

Stanisław Lem

Fiasko

LAS BIRNAM

— Ładnie pan siadł.

Człowiek, który to powiedział, nie patrzył już na pilota w skafandrze ze zdjętym hełmem pod pachą. W okrągłej sali kontrolnej, z podkową pulpitu w środku, podszedł do ściany ze szkła i spoglądał na wielki, choć daleki walec statku, osmalonego u dysz. Wciąż jeszcze chlapało z nich na beton czarniawą wymiociną. Drugi kontroler, barczysty, w berecie wciśniętym na łysą czaszkę, puścił taśmę zapisu wstecz i gdy się przewijały, samym kątem oka, niby ptak o nieruchomej powiece, zezował ku przybyszowi. Na uszach miał słuchawki a przed sobą szereg chaotycznie migających monitorów.

— Jakoś poszło — rzucił pilot. Udając, że to mu niezbędne przy odpinaniu ciężkich rękawic z podwójnymi ściągaczami, oparł się nieznacznie o wysuniętą krawędź pulpitu. Po tym lądowaniu łaskotało go w kolanach.

— Co to było?

Mały przed szybami, w wytartej skórzanej kurtce, z mysią, nie ogoloną twarzą, klepał się po kieszeniach, aż znalazł w jednej papierosa.

— Defleksja ciągu — bąknął pilot, trochę Zaskoczony flegmą powitania.

Tamten, już z papierosem w ustach, zaciągnął się i spytał przez dym:

— Ale dlaczego? Nie wie pan?

Nie — chciał odpowiedzieć pilot, lecz zmilczał, bo mu się wydawało, że powinien wiedzieć. Taśma się skończyła. Jej koniec furczał z wirującym bębniem. Wielki wstał, odłożył słuchawki, teraz dopiero skinął mu głową i odezwał się chrypliwie:

— London. A to jest Gosse. Witamy na Tytanie. Czego się napijemy? Może być kawa albo whisky.

Młody pilot zmieszał się. Znał nazwiska tych ludzi, ale nigdy ich nie widział i nie zdając sobie z tego sprawy uznał, że kierownikiem musi być ten wielki i to jest Gosse, tymczasem było na odwrót. Przystawiając to sobie w głowie, wybrał kawę.

— Jaki fracht? Głowice karborundowe? — spytał London, kiedy już we trzech siedli do stolika, wysuniętego ze ściany, z kawą parującą w szklankach podobnych do zlewek laboratoryjnych: miały dziobki. Gosse popił kawą żółtą pigułkę, odetchnął, rozkaszał się i wysiakał nos, aż mu oczy zaszyły łzami.

— I promienniki też pan przywiózł, co? — zwrócił się do pilota.

Ten, znów zaskoczony, bo oczekiwał większego zainteresowania swoim wyczynem, tylko głową przytaknął. Nie co dzień dławi się rakiecie podczas lądowania ciągu. Zamiast listy towarowej miał w ustach gotową relację, jak nie próbując ani przedmuchiania dysz, ani zwiększenia głównego ciągu, od razu wyłączył automatykę i siadł na samych boosterach, sztuką jakiej poza symulatorem nigdy jeszcze nie próbował. A i to dawno. Więc znów musiał sobie poprzestawiać myśli.

— Przywiozłem — powiedział z tego wszystkiego i poczuł nawet zadowolenie, bo to nieźle zabrzmiało. Taki lakoniczny wyszedł z zagrożenia.

— Ale nie tam, gdzie należało — uśmiechnął się mały, Gosse.

Pilot nie wiedział, czy to żarty.

— Jak to nie tam...? Przecież przyjęliście mnie. Wezwaliście — poprawił się.

— Musieliśmy.

— Nie rozumiem.

— Toż pan miał lądować w Graalu.

— No to po co ściągnęliście mnie z kursu?

Zrobiło mu się gorąco. Wezwanie brzmiało kategorycznie. Wprawdzie złapał wytracając szybkość radiowe doniesienie Graala o jakimś wypadku, ale mało co zrozumiał przez zakłócający szum. Naleciał bowiem ku Tytanowi od Saturna, żeby jego grawitacją wytracać pęd i tym samym oszczędzić paliwa, więc otarł się statkiem o magnetosferę olbrzyma, aż mu zatrzęszczało na wszystkich zakresach fal. Zaraz potem odebrał wezwanie tego kosmodromu. Nawigator musi usłuchać kontroli lotów. A tu nawet skafandra nie dali mu zdjąć, biorąc od razu na spytki. Duchem był wciąż nadal w sterowni, z pasami wrzynającymi się wściekle w barki i pierś, gdy rakietą uderzyła już rozkraczonymi łapami w beton, ale boostery do końca się nie wypaliły i łomocąc ogniem, wprawiały cały korpus w podrygi.

— O co chodzi? Gdzie miałem właściwie sięść?

— Pańska drobnica należy się Graalowi — wyjaśnił mały, wycierając zaczerwieniony nos. Miał katar. — A myśmy przechwycili pana nadorbitalnie i wezwaliśmy tu, bo potrzebujemy Killiana. Pańskiego pasażera.

— Killiana? — zdziwił się młody pilot. — Nie mam go na pokładzie. Oprócz mnie

jest tylko Sinko, drugi pilot. Tamci zdębieli.

— Gdzie jest Killian?

— Teraz już pewno w Montrealu. Jego żona rodzi. Odleciał przede mną towarowym wahadłowcem, zanim wystartowałem.

— Z Marsa?

— Jasne, a skąd? O co chodzi?

— Bałagan panujący w kosmosie nie ustępuje ziemskiemu — zauważył London. Nabijał fajkę tytoniem z taką siłą, jakby ją chciał roztluc. Był zły. Pilot też.

— To nie mogliście mnie spytać?

— Byliśmy pewni, że on leci z panem. Taki był ostatni radiogram.

Gosse znów wytarł nos i westchnął.

— Wystartować nie może pan już tak czy owak — odezwał się wreszcie. — A Marlin nie mógł się doczekać promienników. Teraz wszystko zwali na mnie.

— Przecież są — wskazał pilot głową mgłę za szybami, gdzie ciemniało wysmukłe wrzeciono jego statku. — Chyba sześć. A dwa gigadżulowe. Rozdmuchną każdą mgłę czy chmurę jak nic.

— Ale nie wezmę ich na plecy i nie zataszczę Marlinowi — odparował Gosse w coraz gorszym humorze.

Niedbalstwo i samowola podrzędnego lądowiska, które, jak powiedział kierownik, przechwyciło go po trzech tygodniach rejsu nie upewniwszy się, czy ma oczekiwanego pasażera, dotknęła pilota. Nie spieszył się z oświadczeniem, że będą się musieli sami zatroszczyć o jego fracht. Przed usunięciem awarii nie da rady, choćby i chciał. Milczał.

— Jasne, że zostanie pan u nas.

Z tymi słowami London dopił kawę i podniósł się z aluminiowego krzesła. Był ogromny jak zapaśnik ciężkiej wagi. Podszedł do szklanej ściany. Pejzaż Tytana, martwa wściekłość gór, nieziemskich barwą w rudej poświacie, dociśniętej brązowymi chmurami do ich grzbietów, stanowiła doskonale tło dla jego postaci. Podłoga wieży delikatnie wibrowała. Co za stara przetwornica, pomyślał pilot. Też wstał, żeby obejrzeć swój statek. Jak latarnia morska sterczał pionowo z pędzącej nisko mgły. Podmuch odwiał jej kłęby, ale już nie było widać plam przegrzewu na dyszach. Może przez odległość i półmrok, a może po prostu ostygły.

— Macie tu gamma defektoskopy? — Statek był dlań ważniejszy od ich kłopotu. Sami go sobie sprawili.

— Mamy. Ale nie dam podejść nikomu do rakiety w zwykłym skafandrze — odezwał

się Gosse..

— Myśli pan, że to stos? — poderwało pilota.

— A pan?

Mały kierownik też wstał i podszedł do nich. Z podłogowych szczelin wzdłuż wypukłych szyb wiało miłym ciepłem.

— Temperatura skakała przy schodzeniu ponad normę, ale Geigery się nie odezwały. To chyba tylko dysza. Może wypluło ceramikę z ogniowej komory. Miałem wrażenie, że coś gubię.

— Ceramika poszła swoją drogą, ale był wyciek — orzekł stanowczo Gosse.

— Ceramika się nie topi.

— Ta kałuża? — zdziwił się pilot. Stali przed podwójnymi szklami. Pod rufą rzeczywiście rozlała się czarna kałuża. Mgły, pędzone wicherą, co chwila omiatały kadłub statku.

— Pan co ma w stosie? Ciężką wodę czy sól? — spytał London. Przewyższał pilota o głowę. Z radia dobiegło popiskiwanie. Gosse skoczył tam, włożył słuchawki z laryngofonem i rozmawiał z kimś cicho.

— To nie może być ze stosu... — bezradnie powiedział pilot. — Mam ciężką wodę. Roztwór jest czysty jak łza. Przezroczysty. A to jest czarne jak smoła.

— No to puściło chłodzenie w dyszy — zgodził się London. — I potrzaskało ceramikę.

Mówił jak o zapałkach. Wcale nie przejął się awarią, która uwięziła pilota ze statkiem w tej dziurze.

— Pewno tak... — przyświadczył młody człowiek. — Największe ciśnienie jest w tulejach przy hamowaniu.

Jak ceramika pęknie w jednym miejscu, to całą resztę wymiecie główny ciąg. Wszystko wypluło ze sterburtowej dyszy.

London się nie odezwał. Pilot dodał z wahaniem:

— Może siadłem trochę za blisko...

— Głupstwo. Dobrze, żeś pan w ogóle równo siadł.

Pilot czekał dalszych uwag, krojących na pochwałę, ale London odwrócił się ku niemu i obejrzał od rozczochranych jasnych włosów do stóp w białych butach skafandra.

— Jutro pošlę technika na deflektoskopię... Wrzucił pan stos na jałowy bieg? — dodał nagle.

— Nie. Całkiem wyłączyłem. Jak na dokowanie.

— To dobrze.

Pilot wiedział już, że nie ma komu opowiadać o szczegółach walki z rakieta nad samym kosmodromem. Kawa kawą — ale czy gospodarze, co mu się tak narzucili, nie powinni dać pokój i łazienkę? Marzył o gorącym tuszu. Gosse wciąż bormotał do mikrofonu. London stał nad nim pochylony. Sytuacja była niewyraźna, ale pełna napięcia. Pilot czuł już, że ci dwaj mają na głowie coś ważniejszego od jego przygody i że to się wiąże z sygnałami Graala. Dosłyszał lecąc strzępy — było w nich coś o maszynach, które nie doszły i o ich poszukiwaniu.

Gosse obrócił się z fotelem, przez co zbyt naciągnięty przewód zesunął mu słuchawki z uszu na szyję.

— Gdzie jest ten pański Sinko?

— Na pokładzie. Kazałem mu sprawdzić reaktor. London wciąż pytająco patrzył na kierownika. Ten zaprzeczył nieznacznie głową i mruknął:

— Nic.

— A ich śmigłowce?

— Wróciły. Widoczność zero.

— Pytałeś o udźwig?

— Nie dadzą rady. Ile waży gigapromiennik? — zwrócił się do pilota przysłuchującego się rozmowie.

— Nie wiem dokładnie. Niecałe sto ton.

— Co oni robią? — nastawał London. — Na co czekają?

— Na Killiana — odparł Gosse i dosadnie zaklął.

London wyjął ze ściennej szafki butelkę White Horse, potrząsnął nią, jakby badając czy to dostatecznie dobry środek na stan rzeczy i wstawił ją z powrotem na półkę. Pilot stał i czekał. Już nie czuł ciężaru skafandra.

— Zginęli nam dwaj ludzie — odezwał się Gosse. — Nie doszli do Graala.

— Nie dwaj, tylko trzech — sprostował ponuro London.

— Przed miesiącem — podjął Gosse — dostaliśmy transport nowych Diglatorów. Sześć sztuk dla Graala. Graal nie mógł przyjąć statku, bo nie nadażył z nowym betonowaniem kosmodromu. Kiedy wylądował pierwszy kontenerowiec "Achilles", dziewięćdziesiąt tysięcy ton, całe zbrojenie płyt, komisyjnie zagwarantowane, trzasło. Dobrze, że się statek nie przewrócił. Wyciągali go z zapadliska do stoczni dwie doby. Na gwałt robili zastrzyki cementu, położyli ogniotrwałą wykładzinę i otwarli port. Ale te Diglatory stały u nas. Panowie eksperci uznali, że przewóz rakieta się nie opłaci, zresztą kapitanem "Achillesa" jest

Ter Leoni. Gdzie by on ruszył dziewięćdziesięciotysięcznikiem na sto osiemdziesiąt mil z Graala tutaj, czy taki grzmot to pchła? Marlin przysłał dwóch najlepszych kierowców. W zeszłym tygodniu przeprowadzili dwie maszyny do Graala. Już tam pracują. Przedwczoraj ci sami ludzie wrócili śmigłowcem po dalsze maszyny. Wyruszyli o świcie, w południe minęli Wielki Cypel i kiedy zaczęli schodzić, urwała się łączność. Zmarnowało się kupę czasu przez to, że prowadzenie przejmuje od Cypla sam Graal. Myśleliśmy, że się nie odzywają, bo są w naszym cieniu radiowym. — Gosse mówił to spokojnie i monotonnie. London stał tyłem przy szybach. Pilot słuchał.

— Tym samym śmigłowcem przyleciał z operatorami Pirx. Posadził swego "Cuiviera" w Graalu i chciał się ze mną zobaczyć. Znamy się od lat. Helikopter miał go zabrać wieczorem, ale nie przyleciał, bo Marlin wysłał wszystko co miał na poszukiwania. Pirx nie chciał czekać. Albo nie mógł. Miał jutro startować i chciał być sam przy klarowaniu statku. No i wymógł na mnie, żebym mu dał wracać do Graala jednym z Diglatorów. Żądałem słowa, że pójdzie południowym szlakiem, dłuższym, ale poza depresją. Dał słowo i złamał. Widziałem go na ORSANIE, jak schodził w depresję.

— Co to jest ORSAN? — spytał pilot. Był blady. Pot wystąpił mu na czoło, ale czekał na wyjaśnienie.

— Orbitalny satelita patrolowy. Przechodzi nad nami co osiem godzin i akurat dał mi wtedy obraz. Pirx zeszedł na dół i znikł.

— Pirx? — spytał pilot ze zmienioną twarzą. — Komandor Pirx?

— Tak. Pan go zna?

— Czy go znam! — wybuchnął pilot. — Służyłem pod nim jako stażysta. On podpisał mój dyplom... Pirx? Przez tyle lat wychodził cało z najgorszych... — Urwał. Zagotowało się w nim. Podniósł oburącz hełm, jakby chciał nim rzucić w Gossego.

— Jak pan mu dał iść samemu Diglatorem? Jak pan mógł? Przecież to dowódca dalekiej żeglugi, a nie szofer...

— Znał te maszyny, kiedy pan chodził jeszcze w krótkich majtkach — odparł Gosse. Widać było, jak broni się przed zarzutem. London z kamienną twarzą podszedł do monitorów, między którymi Gosse siedział ze słuchawkami na szyi i przed nosem wytrząsał mu popiół z fajki do pustego aluminiowego bębna. Obejrzał ją, jakby nie wiedział, co trzyma, wziął w obie garście i fajka pękła. London cisnął kawałki, wrócił do okna i znieruchomiał, splótszy na grzbiecie palce ściśniętych pięści.

— Nie mogłem mu odmówić...

Gosse zwrócił się niechybnie do Londona, który jakby nie słysząc, patrzył przez szkło

w chybotliwe skłębienia rudej mgły. Już tylko dziób rakiety wynurzał się z niej chwilami.

— Gosse — odezwał się naraz pilot — pan mi da maszynę.

— Nie dam.

— Mam patent operatora tysięczników.

Gossemu oczy rozbłysły na mgnienie, lecz powtórzył:

— Nie dam. Pan nigdy nie operował na Tytanie.

Nic nie mówiąc, pilot zaczął zdejmować skafander. Odkręcił szeroki metalowy kołnierzyk, porozpinał barkowe zaczepy, pod nimi — zamek błyskawiczny, sięgnął głęboko za pazuchę i wyjął portfel zgnieciony długim noszeniem pod ciężką otuliną skafandra. Naramienne płyty rozwarły mu się, jakby rozprute. Przystąpił do Gossego i po kolei kładł przed nim papiery.

— To z Merkurego. Miałem tam Biganta. Japoński model. Osiemset ton. A tu prawo operowania tysięcznikami. Wierciłem na Antarktydzie lądolód szwedzkim zimnochodem, Krioperatorem. To jest fotokopia drugiej nagrody z zawodów na Grenlandii, a to z Wenery.

Rzucał fotografie jak atutowe karty.

— Byłem tam z ekspedycją Holleya. To jest mój termoped, a to kolegi zmiennika. Oba prototypowe modele, niezłe. Tylko klimatyzacja ciekła.

Gosse podniósł na niego oczy.

— Toż pan jest pilotem?

— Przekwalifikowałem się. Właśnie u komandora Pirxa. Najpierw służyłem na jego "Cuivierze". Pierwsze dowództwo dostałem na holowniku...

— Ileż pan ma lat?

— Dwadzieścia dziewięć.

— Jak pan zdążył tak poprzeskakiwać?

— Kiedy się chce, to można. Zresztą kierowca planetarnych maszyn opanuje każdy nowy typ po godzinie. Tyle, co przesiąść się z motoroweru na motocykl. — Urwał. Miał jeszcze plik zdjęć, ale ich nie wyjął. Zebrał rzucone z pulpitu, wetknął w wytarte skórzane okładki i schował do wewnętrznej kieszeni. W rozpiętym szeroko skafandrze, nieznacznie zaczerwieniony, stał obok Gossego. Na monitorach biegły wciąż jałowe pręgi światła. London, przysiadłszy na rurowej poręczy pod szybami, obserwował milczkiem tę scenę.

— Powiedzmy, że dałbym panu Diglatora. Dajmy na to. Co pan pocznie?

Pilot uśmiechał się. Na jego czole świeciły kropelki potu. Jasna czupryna nosiła znak po ciemieniowych poduszkach hełmu.

— Wezmę promiennik i pójdę tam. Gigadzulowy, z ładowni. Helikoptery Graala takiego nie uniosą, ale dla Diglatora i sto ton to nic. Pójdę i rozejrzę się trochę... Marlin może sobie darować poszukiwania z powietrza. Wiem, ile tam jest hematytów. I mgły. Z helikoptera nic się nie wypatrzy.

— A pan pójdzie z maszyną od razu na dno.

Pilot uśmiechnął się szerzej, błyskając białymi zębami. Gosse zobaczył, że ten chłopiec — bo to był prawie chłopiec, tylko rozmiary skafandra dodawały mu lat — ma takie same oczy jak Pirx. Może trochę jaśniejsze, ale z takimi samymi zmarszczkami przy kątach powiek. Mrużył je, przez co spojrzenie miał jak wielki kot w słońcu — zarazem niewinne i ostre.

— On chce wejść w depresję i "rozejrzeć się trochę" — powiedział do Londona, ni to pytając, ni to wydając na pośmiewisko zuchwalstwo ochotnika. London ani drgnął Gosse wstał, zdjął słuchawki, podszedł do kartografu i jak roletę ściągnął wielką mapę północnej półkuli Tytana. Wskazał dwie grube krechy, wygięte przebiegiem na żółto-liliowym tle, pociętym liniami warstwie.

— Jesteśmy tutaj. Po prostej do Graala sto dziesięć mil. Tą starą marszrutą, czarną, sto czterdzieści sześć. Straciliśmy na niej czterech ludzi, kiedy Graal się betonował i jedyne lądowisko było u nas. Wtedy używało się pedypulatorów na dieslach, napędzanych hypergolami. Jak na tutejsze warunki, pogoda stała śliczna. Dwie partie maszyn doszły do Graala bez szwanku. A potem w jednym dniu przepadły cztery wielkochody. We Wielkiej Depresji. Na tym zakreskowanym kółku. Bez śladu.

— Wiem — zauważył pilot. — Uczyłem się tego. Znam nazwiska tych ludzi.

Gosse dotknął palcem miejsca, w którym od czarnego szlaku na południe wykreślono czerwony obchód.

— Przedłużyło się drogę, ale nikt nie wiedział, jak daleko sięga zdradliwy teren. Geologów tam rzucono. Można było posłać dentystów. Też znawcy dziur. Na żadnej planecie nie ma chodzących gejzerów, a tu są. To niebieskie na północy to Mare Hynicum. My i Graal jesteśmy w głębi lądu. Ale to nie jest żaden ląd. To gąbka. Mare Hynicum nie zalewa depresji między nami i Graalem, bo cały brzeg jest płaskowyżem. Geologowie uznali ten tak zwany kontynent za podobny do bałtyckiej tarczy fennoskandii.

— Pomylili się — wtrącił pilot. Zanosił się na wykład. Postawił hełm w kącie i, rozparty na krześle, złożył ręce jak grzeczny uczeń. Nie wiedział, czy Gosse chce go zapoznać z marszrutą, czy od niej odstraszyć, ale sytuacja dość mu smakowała.

— Ano właśnie. Pod skałami leży hydrokarbonowa marzłość. Paskudztwo wykryte

przy głębokich nawiertach.

Wieczny lód, fałszywy, z polimerów węglowodorowych. Nie topnieje nawet przy zerze Celsjusza, a myśmy tu nie zanotowali nigdy temperatury wyższej niż minus dziewięćdziesiąt stopni. Wewnątrz depresji roi się od starych kalder i zdechłych gejzerów. Eksperci widzieli w tym pozostałość aktywności wulkanicznej. Kiedy te gejzery ożyły, przylecieli goście z większym wykształceniem. Sejsmoakustyka wykryła głęboko pod skałami sieć jaskiń, tak rozgałęzionych, jakich świat nie widział. Zrobiło się speleologiczną ekspertyzę — ludzie ginęli, ubezpieczenia płaciły, więc w końcu i konsorcjum otworło kieszeń. Potem astronomowie dodali: kiedy księżyc Saturna znajduje się między Tytanem i Słońcem, grawitacyjny wpływ wchodzi w maksimum, lądowa tarcza ulega zgnieceniu i z ognisk pod mantią wyciska magmę. Tytan ma wciąż gorące jądro. Magma krzepnie, nim wydostanie się z głębin kominami, ale krzepnąc podgrzewa całą Orlandię. Mare Hynicum jest jak woda, a podstawa Orlandii jak gąbka. Zaczopowane koryta podziemne udrożniają się, i stąd gejzery. Ciśnienie dochodzi do tysiąca atmosfer. Nigdy nie wiadomo, którędy to świństwo wytryśnie. A pan koniecznie pragnie tam iść, co?

— Owszem — odparł w sposób równie wyszukany pilot. Chętnie założyłby nogę na nogę, ale nie mógł w skafandrze. Pamiętał, jak kolega, który spróbował to zrobić, przewrócił się razem ze stołkiem.

— Chodzi o Las Birnam? — dodał. — Mam już uciekać, czy mogę serio porozmawiać z panem, kierowniku? Gosse, puszczać to mimo uszu, ciągnął:

— Nowy szlak kosztował majątek. Trzeba było kumulatywnymi ładunkami nagryzać ten wał lawy — to jest główny wyciek Gorgony. Nawet Mons Olympus Marsa może się schować przed Gorgoną. Dynamit okazał się słabiotki. Był u nas niejaki Harenstine — może pan o nim słyszał? — który proponował, żeby zamiast przebijać się przez ten wał, wykuć w nim stopnie — zrobić schody. Bo to będzie tańsze. W konwencji ONZ powinien być przepis zabraniający dopuszczania do astronautyki idiotów. Wał Tyfona, cóż, przebiły specjalne bomby termojądrowe, po wydrążeniu tuneli. Gorgona, Tyfon — całe szczęście, że Grecy mieli tylu bogów i można ich pożyczać z mitologii. Nowy szlak otworło się rok temu. Przecina tylko najdalej wysuniętą na południe kotlinę depresji. Dostał od ekspertów rozkaz, że ma być bezpieczny. Tymczasem ciągi podziemnych pieczar są wszędzie — pod całą Orlandią. Trzy czwarte Afryki! Kiedy Tytan stygł, krążył po silnie wydłużonej orbicie. Zbliżał się do strefy Roche'a, w którą wpadła moc mniejszych księżyców i Saturn zmełł je na swoje pierścienie. Więc Tytan stygł wrząc i powstawały na nim wielkie bąble w perisaturnium, marzły w aposaturnium, a potem przyszły sedymentacje, glaciecje i tę bąblowatą, gąbczastą,

amorficzną skałę pokryły i zepchnęły w głąb. Nieprawda, że Mare Hynicum wpływa tam tylko przy odpowiedniej ascenzji wszystkich księżyców Saturna. Tych wtargnięć i wytryskiwania gejzerów nie da się przewidzieć. W zasadzie wiedzą o tym wszyscy, co tu pracują, i przewoźnicy, i piloci, i pan. Chociaż ten szlak kosztował miliard, wstęp powinien być ciężkim maszynom wzbroniony. Wszyscy, w dawnym sensie, znajdujemy się w niebie. Czy nie mówi o tym nazwa kopalni — Graal? Tylko że niebo okazało się paskudnie kapitałochłonne. Można było się urządzić lepiej. W paradę weszła buchalteria. Wypłaty za ginących są spore, ale mniejsze od inwestycji, która zredukowałaby niebezpieczeństwo. Już prawie skończyłem. Może być, że tamci się wykaraskają, nawet jeżeli ich zatopiło. Zaczyna się odpływ, a pancierz Diglatora wytrzyma sto atmosfer na cal. Tlen mają na trzysta godzin. Marlin wysłał robocze poduszki i dał na remont dwa superciążki. Bez względu na to, co pan potrafi, nie warto. Nie warto nadstawiać karku. Diglator należy do najcięższych...

— Pan obiecał skończyć — przerwał mu pilot. — Spytałem tylko jednym słowem, dobrze? A Killian? Gosse otworzył usta, rozkaszał się i usiadł.

— Przecież po to miałem go przywieźć — dodał pilot. — Nie?

Gosse pociągnął dolny brzeg mapy, przez co furknąwszy zwinęła się, wziął papierosa i powiedział znad płomyka zapalniczki:

— To jego rzecz. Znał teren. A poza tym miał kontrakt. Nie mogę zabraniać operatorom, żeby zawierali umowy z Graalem. Mogę złożyć dymisję i pewno to zrobię. I mogę odprawić z kwitkiem każdego bohatera.

— Pan mi da maszynę — powtórzył spokojnie pilot. — Mogę zaraz pogadać z Graalem. Marlin podskoczy, wyda zlecenie i koniec. Dostanie pan służbowo. Marlinowi wszystko jedno, Killian czy ja. A instrukcję umiem na pamięć. Szkoda czasu, panie Gosse. Proszę dać mi coś zjeść, umyć się, a potem obgadamy szczegóły.

Gosse popatrzył bezradnie na Londona i rozczarował się, jeśli oczekiwał wsparcia.

— On pójdzie — odezwał się jego zastępca. — Słyszałem o nim od tego speleologa, co był latem w Graalu. On jest akurat taki, jak twój Pirx. Cicha woda. Tylko fajki szkoda. Wykap się, kolego. Tusze są na dole. I zaraz wróc, żeby zupa nie wystygła.

Pilot, uśmiechnąwszy się do Londona z wdzięcznością, wyszedł. Po drodze podniósł swój biały hełm tak energicznie, aż wszystkie końcówki węzów uderzyły go po bokach skafandra. Ledwie zamknął za sobą drzwi, London jął hałasować naczyniem przy podgrzewaczach.

— Co to da? — Gosse zadał ze złością pytanie jego plecom. — Ty też dobry jesteś!

— A ty maślany przyjaciel. Po coś dał Pirxowi maszynę?

— Musiałem. Dał słowo.

London odwrócił się ku niemu z garnkiem w rękach.

— Chłopie, puknij się w czoło. Słowo dał! Taki, jak ci da słowo, że skoczy za tobą do wody, to dotrzyma. A jak da, że będzie się tylko patrzył, jak toniesz, to także skoczy. Nie mam racji?

— Racja i racjonalność to nie to samo — Gosse bronił się jeszcze bez przekonania. — Jak on może im pomóc?

— Może znaleźć ślady. Weźmie promiennik.

— Przestań! Lepiej posłucham Graala. Może jest jakaś wiadomość.

Daleko było jeszcze do zmierzchu, choć ściemniło się od chmur, siadających wokół rozświetlonego grzyba wieży. London krzątał się przy stole, a Gosse, paląc papierosa za papierosem, ze słuchawkami na uszach, odbierał jałową gadaninę bazy Graala z gąsienicówkami, wysłanymi po powrocie śmigłowców. Jednocześnie myślał o tym pilocie. Czy nie zbyt skwapliwie, bez pytań, zmienił kurs, by u nich wylądować? Dwudziestodwuletni dowódca statku z patentem żeglugi kosmicznej wielkiego zasięgu musi być twardzielem i zapaleńcem. Inaczej nie wybiłby się tak szybko. Niebezpieczeństwo kusiło jego zuchowatą młodość. Jeśli on sam był winien, to niedopatrzenia. Gdyby spytał o Killiana, wmusiłby statek Graalowi. Nie zdawał sobie zresztą sprawy kierownik Gosse, po dwudziestu godzinach bez snu, że niechcący pochował już w myślach przybysza. Jak on się właściwie nazywa? Wiedział, ale zapomniał i wziął to za objaw nadchodzącej starości. Dotknął lewego monitora. Zielonymi szeregami wyskoczyły litery:

STATEK: HELIOS DROBNICOWIEC II KLASY PORT MACIERZYSTY: SYRTIS
MAIOR

DOWÓDCA PILOT: ANGUS PARYIS

DRUGI PILOT: ROMAN SINKO FRACHT: CZY PODAĆ LISTĘ TOWARÓW

???

Zgasił ekran. Tamci weszli w swetrach i gimnastycznych spodniach. Sinko, chudy, kędzierzawy, przywitał się z zaaferowaniem, bo stos miał jednak wyciek. Siedli do zupy z puszek. Gossego uczepliła się myśl, że ten zawadiaka, któremu powierzy maszynę, ma przekręcone nazwisko. Nie Parvis powinien się nazywać, ale PARSIFAL, bo to pasowało do Graala. Nie było mu jednak do żartów, więc zabawę w anagramy zachował dla siebie. Po krótkiej dyskusji, czy zjedli obiad, czy kolację, nierozstrzygalnej przez różnicę czasów: pokładowego, ziemskiego i Tytana, Sinko zjechał na dół, aby omówić z technikiem defektoskopię, szykowaną na koniec tygodnia, gdy stos ostygnie i zasklepi się mu

prowizorycznie pęknięcia obudowy, pilot zaś z Gossem i Londonem wyłonili w pustej części sali dioramę Tytana. Obraz, utworzony przez holograficzne rzutniki, trójwymiarowy, barwny, z wyrysowanymi marszrutami, sięgał od północnego bieguna po zwrotnik. Można go było pomniejszać lub powiększać i Parvis zapoznał się z całą przestrzenią dzielącą ich od Graala.

Gościnny pokój dostał mały, lecz przytulny, z piętrowym łóżkiem, biurkiem o pochylnej płycie, fotelem, szafką i prysznicem tak ciasnym, że mydląc się pod tuszem, wciąż uderzał łokciami o ścianki. Położył się na kocu i jął studiować gruby podręcznik tytanografii, wzięty od Londona. Poszukał najpierw w indeksie hasła LAS BIRNAM, lecz nie było go ani pod "L", ani pod "B". Nauka nie przyjęła tego miana do wiadomości. Kartkował książkę, aż dotarł do gejzerów. Podług autora było z nimi nie całkiem tak, jak mówił Gosse. Tytan, krzepnąc szybciej niż Ziemia i reszta wewnętrznych planet, zamknął w swych głębiach olbrzymie masy skompresowanych gazów, które u załomów jego skorupy napierają na osady starych wulkanów oraz podziemne sieci ich magmatycznych żył, rozkorzenionych na setki kilometrów i przy określonej konfiguracji synklin oraz antysynklin mogą się przebijać do atmosfery fontannami wysokoprężnych ciał lotnych. Mieszanina, skomplikowana chemicznie, zawiera dwutlenek węgla, zamarzający niezwłocznie w śnieg, który niesiony wichrami, zaściela równiny i stoki górskie grubą warstwą. Angusa zniechęcił rychło suchy tok wyvodu. Zgasił światło, okrył się, zaskoczony nieco tym, że ani koc, ani poduszka nie podfruwają, bo przywykł bez mała przez miesiąc do nieważkości — i zasnął natychmiast. Jakiś wewnętrzny impet wytrącił go z bezprzytomności w jawę tak nagle, że otworzył oczy, siedząc, gotów wyskoczyć z pościeli. Bezmyślnie rozglądał się dokoła, masując sobie szczękę. Od tego ruchu wspomniął, co mu się śniło. Boks. Walczył z zawodowcem, przeczuwając z góry porażkę i jak kloc runął znokautowany. Rozwarł szeroko oczy, całe pomieszczenie obróciło się jak sterownia przy nagłym zwrocie, i ocknął się na dobre. Jednym krótkim spięciem wróciło wczorajsze lądowanie, awaria, spór z Gossem i narada u dioramy. Pokoik był niewielki jak kabina na frachtowcu, co przypomniało mu ostatnie słowa Gossego, zanim się rozstali: że był za młodu marynarzem wielorybnika. Goląc się rozważał powziętą decyzję. Gdyby nie nazwisko Pirxa, pomyślałby dwa razy, zanimby tak bezwzględnie zażądał zgody na ten wyjazd. Pod strumieniami na przemian gorącej i lodowatej wody spróbował zaśpiewać, ale wyszło to bez przekonania. A więc był nieswój. Czuł, że jego zamysł zakrawa na gorsze od ryzyka głupstwo. Oślepiany bryzgami bijącymi w podniesioną twarz, przez mgnienie obracał w głowie myśl o uniku. Ale wiedział, że to wykluczone. Tak mógłby postąpić jakiś szczeniak. Wytarł się porządnie, zasłał łóżko i już ubrany ruszył na poszukiwanie Gossego. Teraz zaczynało mu się spieszyć. A tu trzeba jeszcze się zaznajomić z nie znanym modelem,

potrenować trochę, przypomnieć sobie właściwe odruchy.

Gosseo nigdzie nie było. Od podstawy kontrolnej wieży szły w dwie strony zabudowania, połączone z nią tunelowymi przejściami. Lokalizacja kosmodromu była rezultatem niedopatrzania czy zwykłej pomyłki. Podług bezludnej auskultacji złoża kopalin miały tkwić pod dnem tej niegdyś wulkanicznej doliny, właściwie starego krateru, którego kolisko wydeły sejsmiczne skurcze Tytana. Więc najpierw tu rzucono maszyny i ludzi i zaczęto montować beczkowate ciągi mieszkalne dla górniczych załóg, aż poszły wieści, że paręset mil dalej rozpościerają się niesamowicie bogate i łatwe w eksploatacji uranowe złoża. W zarządzie projektu doszło wówczas do rozłamu. Jedni chcieli likwidować ten kosmodrom i wszystko zacząć od nowa na północo-wschodzie, drudzy upierali się, że tylko tu, a za depresją są, owszem, złoża powierzchniowe, lecz płytkie, więc mało wydajne. Zwolenników likwidacji pierwszego przyczółka nazwał ktoś raz poszukiwaczami świętego Graala, tak już zostało i nazwa Graal przywarła do terenu odkrywkowych robót. Ani kosmodromu nie rzucono, ani go nie rozbudowano. Poszło na zgniły kompromis, wymuszony niedostatkiem sił, właściwie kapitałów. Więc choć ekonomiści obliczyli iks razy, że na długi dystans lepiej się opłaci zamknąć lądowisko w starym kraterze i skoncentrować prace w jednym miejscu Graala, zwyciężyła logika doraźności. Zresztą Graal długo nie mógł przyjmować większych statków, a znów krater Roembdena — ten geolog go odkrył — nie miał własnego naprawczego doku, portalowych dźwigów przeładunkowych, najnowszej aparatury, i trwał wieczny spór o to, kto komu służy i kto ma co z tego. Podobno część zarządu dalej wierzyła w uran leżący pod kraterem, jakoż robiono trochę próbnych wierceń, lecz szły niemrawo, bo ledwie ściągnęli tu trochę ludzi i mocy, zaraz Graal, interweniując przez dyrekcję, zabierał ich do siebie i znowu zabudowania pustoszały, a maszyny stawały, porzucone wśród mroczejących wokół ścian Roembdena. Parvis, podobnie jak inni przewoźnicy, nie uczestniczył w tych tarcjach i konfliktach, choć musiał się trochę znać na nich z zewnątrz, bo wymagała tego delikatna pozycja każdego człowieka z transportu. Graal chciał wciąż wymową dokonanych faktów zlikwidować kosmodrom, zwłaszcza po rozbudowaniu własnego lądowiska, a Roembden mu w tym bruździł, zresztą bruździł, czy nie bruździł, okazał użyteczność, gdy znakomite betony Graala poczęły się zapadać. Na prywatny użytek uważał Parvis, że korzenie tego chronicznego rozdarcia są natury psychologicznej, a nie finansowej, bo powstały dwa lokalne i przez to już skłócone ze sobą patriotyzmy, krateru Roembdena i Graala, a reszta była poszukiwaniem argumentów na rzecz każdej strony. Tego lepiej nie należało mówić nikomu z pracujących na Tytanie.

Wnętrza, ciągnące się pod wieżą kontroli, przypominały opuszczone miasto

podziemne i aż żał było patrzeć, ile tu się materiałów niepotrzebnie walało. Raz już wyładował w Roembdenie, jako pomocnik nawigatora, ale tak było im wtedy spieszno, że nie zszedł nawet z pokładu, przez cały czas postoju w ładowni, by nadzorować pracę wyładunku, a teraz patrzył na nie rozpakowane, nawet nie odpieczętowane pojemniki z tym większym niesmakiem, że poznawał i te, które wtedy przywiózł. Poirytowany pustką, zaczął pohukiwać jak w lesie, ale tylko echo zadudniło martwo w zamkniętych korytarzach składu.

Pojechał windą na górę. Znalazł Londona w pomieszczeniu kontroli lotów, lecz i on nie wiedział, gdzie podziwia się Gosse. Żadne nowe komunikaty z Graala nie nadeszły. Monitory mrugały. W powietrzu unosił się zapach smażonego boczku. London robił na nim jajecznicę. Skorupki rzucał do zlewu.

— Jaja tu macie? — zdziwił się pilot.

— Żebyś wiedział.

London był już z nim na ty.

— Jeden elektronik, ze wrzodem żołądka, przywiózł kojec kur, pilnował diety, a jakże. Najpierw zaczęły się protesty, zaśmierdzą nam tu życie, co dasz kurom jeść, ale zostawił parę z kogutem i teraz sobie nawet chwalimy. Świeże jaja łakoma rzecz w tych stronach. Siadaj, Gosse sam się znajdzie.

Angus poczuł głód. Wpychając w usta nieestetycznie duże kawały jajecznicy, usprawiedliwiał się w duchu: przed tym, co go czekało, trzeba się zaopatrzyć w kalorie. Zabrzęczał telefon. Gosse wzywał go do siebie. Podziękował więc Londonowi za wyszukany posiłek, dopił duszkiem kawę i zjechał piętro niżej. Kierownika zastał w korytarzu, już odzianego w kombinezon. Wybiła godzina. Angus skoczył do gościnnego po swój skafander. Przywdział go sprawnie, połączył zbiornik tlenu z węzłem skafandra, ale nie odkręcił zaworu i nie włożył hełmu, niepewny, czy od razu mają wyjść z hermetycznych pomieszczeń. Zjechali do podziemia drugą windą, towarową. Tam też był skład, zawalony pojemnikami podobnymi do armatnich jaszczów, bo sterczały z nich po pięć tlenowe butle jak granaty wielkiego kalibru. Skład był rozległy, a tak zapchany, że szło się między ścianami ze skrzyń, pochlastanych różnojęzycznymi napisami. Ładunki od wytwórców ze wszystkich ziemskich kontynentów. Pilot czekał dobrą chwilę na Gossego, który poszedł się przebrać, i nie poznał go od razu w ciężkim roboczym skafandrze montera, powalonym smarami, z noktowizorem nasuniętym na szkło hełmu.

Przez komorę ciśnieniową wyszli na zewnątrz. Spód budowli wisiał nad nimi, bo całość przypominała wyolbrzymiony grzyb z oszklonym kapeluszem. Na górze krzątał się już London, przesłaniając cieniem zielone jarzenie monitorów. Obeszli podstawę wieży, krągłą,

bezokienną, niczym latarnia morska wystawiona na przybój fał, i Gosse rozsunął wrota garażu z pofałdowanej blachy. Załopotwały świetlówki. W pustym wnętrzu przed odsuniętym ku tylnej ścianie podnośnikiem stał łazik, podobny do dawnych księżycowych aut Amerykanów. Otwarte podwozie, ławeczki z oparciem dla nóg, nic poza ramą na kołach, kierownicą i zamkniętą z tyłu baterią akumulatorów. Gosse wyjechał na nierówny szuter, pokrywający przyziemie wieży i zatrzymał się, by pilot mógł wsiąść. Ruszyli przez rudą mgłę ku niewyraźnej, niskiej budowli, kłocowatej, z płaskim dachem. Daleko za grzbietami gór majaczyły mętne słupy światła, jak przeciwlotniczych reflektorów. Nie miały jednak z taką starocia nic wspólnego. Słońce Tytana zwłaszcza w pochmurne dni daje niewiele światła, więc podczas eksploatacji uranowych rud wprowadzono na stacjonarną orbitę nad Graalem ogromne zwierciadła lekkiej konstrukcji, zwane selektorami, żeby skupiały promienie słoneczne na kopalnianym terenie. Pożytek okazał się problematyczny. Saturn z księżycami tworzy fatalny dla obliczeń przestwór oddziaływania wielu mas. Toteż mimo wysiłków astroinżynierii słupy blasku uległy odchyleniom, często wędrując aż do krateru Roembdena. Odludkom tego miejsca sprawiały owe najścia słoneczne nie tylko ironiczną satysfakcję, gdyż nocą zwłaszcza cały kocioł krateru, wyrwany z ciemności, objawiał swój groźny, fascynujący urok. Gosse, wymijając łazikiem przeszkody — podobne do niekształtnych kuf walcowate bryły, czopy małych wulkanicznych ujść — też dostrzegł ową jasność, zimną jak zorza polarna, i mruknął jakby do siebie:

— Idą ku nam. Nieźle. Za parę chwil będzie można rozejrzeć się jak w teatrze.

I dodał, już z jawną złośliwością:

— Dobry chłop, ten Marlin.

Angus pojął drwinę, bo oświetlenie Roembdena równało się egipskim ciemnościom w Graalu, więc Marlin czy jego dyspozytor już ściągali obsługę selektorów z łóżek, żeby uruchomionymi silnikami skierowali zwierciadła kosmiczne, gdzie należy. Ale dwa słupy światła zbliżały się coraz bardziej i w jednym łysnął już oblodzony wierzch wschodniej grani. Dodatkową uciechą Roembdenowców była dziwna na Tytanie przejrzystość atmosfery w ich kraterze. Pozwalała tygodniami podziwiać na ugwieżdżonym firmamencie żółtą, płaskopierścienną tarczę Saturna. Choć pięć razy odleglejszy niż Księżyc od Ziemi zjawiał się wschodzący Saturn ogromem zaskakującym zawsze nowicjuszy. Bez lornety ujawniał wielobarwne smugi powierzchni i czarne krople cienia, rzucanego przez jego bliższe księżyce podczas zaćmień. Widowiska te umożliwiał borealny wicher, pędzący gardzielą skał tak gwałtownie, że dawał fenowy efekt. Nigdzie indziej nie było też na Tytanie tak ciepło jak w Roembdenie. Może obsługa selektorów nie zdołała ich jeszcze opanować, a może nie było

komu się do tego brać przez alarm, dość, że struga słoneczna sunęła już dnem kotliny. Zrobiło się jasno jak w dzień. Łazik mógłby jechać bez reflektorów. Pilot widział betony, szarzące wokół jego "Heliosa". Za ich płaszczyzną, tam, dokąd zmierzali, wznosiły się jak skamieniałe pnie niewiarygodnych drzew korki wulkaniczne, wysadzone kiedyś z sejsmicznych przestrzelin, skrzepłe od milionów lat. W perspektywicznym skrócie zdawały się pogruchotaną kolumnadą świątyni, a ich biegnące cienie wskazówkami szeregu słonecznych zegarów, pokazujących obcy, rozpędzony czas. Łazik minął ową nieregularną palisadę. Toczył się nierówno, elektryczne silniki popłakiwały cienko, płaski budynek spoczywał jeszcze w półmroku, ale już było widać, że wznoszą się za nim dwie czarne sylwety — jakby gotyckich kościołów. Ich rzeczywistą wielkość ocenił, kiedy wysiadł i poszedł ku nim obok Gossego.

Takich kolosów jeszcze nie widział. Nigdy nie operował Diglatorem, do czego się jednak nie przyznał. Gdyby taką maszynę odziać we włochate skóry, zamieniłaby się w King Konga. Proporcje nie były ludzkie, raczej antropoidalne. Nogi z mostowych kratownic schodziły pionowo, by przejść w stopy, potężne jak czołgi, nieruchomo zaryte w gruz osypiska. Wieżowe uda wchodziły w miednicowy okrąg, a w nim, jak szerokodenny okręt, tkwił żelazny korpus. Garście górnych kończyn zobaczył dopiero zadarłszy głowę. Zwisły wzdłuż tułowia niczym bezwładnie opuszczone, wysięgne dźwigi ze stalowo zwartymi pięściami. Oba kolosy były bezgłowe, a to, co z dala wziął za wieżyczki, okazało się, na tle nieba, antenami sterczącymi każdemu z barków.

Za pierwszym Diglatorem, niemal dotykając jego pancerza stawem zgiętej w łokciu ręki — jakby go chciał szturchnąć w bok i zamarł — stał drugi, bliźniaczy. Przez to, że stał trochę dalej, można było w jego piersi dostrzec lśniące szkłem okno. Kabinę kierowcy.

— To jest "Kastor", a to "Polluks" — dokonał prezentacji Gosse. Powiódł po olbrzymach ręcznym reflektorem. Blask wyłuskiwał z półmroku pancerze nagolenników, ochronne puklerze kolan i kadłuby lśniące czarno jak tusze wielorybie.

— Haartz, ten bałwan, nie umiał ich nawet wprowadzić do hangaru — powiedział Gosse. Omackiem szukał na piersi klimatyzacyjnego pokrętła. Oddech przymglał mu trochę szkło hełmu.

— Ledwie wyhamował przed tą skarpią... Pilot domyślił się, czemu ów Haartz wtłoczył oba kolosy w skalny wyłom i czemu wolał je już tam zostawić. To przez bezwładność mas. Nie inaczej niż morski statek, samokrocząca maszyna podlega sternikowi tym o cięższej, im jest masywniejsza. Miał już na końcu języka pytanie, ile waży Diglator, ale nie chcąc się blamować ignorancją, wziął latarkę od Gossego i ruszył wzdłuż stopy olbrzyma. Wodząc światłem po stali tak, jak się spodziewał, znalazł tabliczkę znamionową przynitowaną

w poziomie ludzkich oczu. Maksymalna moc ciągła 14000 K W, dopuszczalna moc przeciążeń 19000 K W, spoczynkowa masa 1680 ton, reaktor wielotarczowy Tokamak z wymiennikiem Foucaulta, hydrauliczny napęd głównej przekładni i dyferencjałów Rolls Royce'a, chassis made in Sweden. Puścił wiązkę blasku w górę, wzdłuż kratownicowej nogi, nie mógł jednak ogarnąć naraz całego kadłuba. Promień ledwie zarysował kontur czarnych bezgłowych barów. Odwrócił się do Gossego, ale ten znikł. Pewno poszedł włączyć ogrzewczą instalację lądowiska. Jakoż przyziemne rurki jeły rozpraszać ścielącą się nisko, rzadką mgłę. Błędny słup słonecznego selektora łąził po kotlinie niby pijany, wyrrywając z mroków to kloce składów, to grzyb wieży kontroli z jego zieloną przepaską własnego światła, to dawał gasnące zaraz odbłaski, trafiwszy na oblodzenia dalszych skał, jakby usiłował budzić martwy pejzaż, ożywiając go ruchem. Naraz zboczył, pędząc po rozległych betonach i przeskoczywszy przez grzyb kontroli, palisadę magmowych pni, parterowy magazyn, trafił pilota, który przesłonił się rękawicą i prędko zadarł głowę w hermie, ile mógł, by przy tej okazji ogarnąć oczami całego Diglatora. Pokryty antykorozyjną czarną polewą załśnił nad nim jak dwunogi pancernik, co stanął dęba. Jakby pozował do zdjęcia w magnezjowym rozbłysku. Zahartowane płyty piersiowe, krągła osada bioder, filary i wały napędowe ud, ochronne puklerze kolanowych stawów, kratownice goleni błyszczały nieskazitelnie na znak, że nigdy dotąd nie pracował. Angus doznał radości i tremy. Przelknął przez ściśnięte gardło ślinę i w już oddalającym się świetle zaszedł olbrzyma od tyłu. Gdy zbliżył się do pięty, jej podobieństwo do ludzkiej stopy z *zelaza* stało się najpierw karykaturalne, a potem, u wrytej w miał podeszwy, znikło. Stał już jak pod fundamentem kranu portalowego, którego nic nie wyrwie z gruntu. Opancerzony obcas mógł służyć za podstawę prasy hydraulicznej. Skokowy staw ukazywał ściskające go sworznie jak śruby okrętowe, a kolano, wypuklające się w pół nogi, na wysokości pewno dwu pięter, było istnym młynem. Garście olbrzyma, większe od koparkowych szczęk, zwiślały nieruchomo zakrzeplę w postawie na baczność. Choć Gosse gdzieś przepadł, pilot nie zamierzał zwlekać. Dostrzegł stopnie wystające z obszycia pięty i uchwyty dla rąk, więc począł włązić na górę. Staw skokowy otaczał mały występ, z którego już wnętrzem okratowanej łydy biegła pionowa drabinka. Nie tyle trudno, ile dziwnie było się pięć po jej szczeblach. Doprowadziła go do klapy, umieszczonej nie nazbyt wygodnie nad prawym udem dlatego, bo jej pierwotna, najbardziej racjonalna dla budowniczych lokalizacja była źródłem nie kończących się drwin, miernej zresztą jakości. Projektanci pierwszych pedypulatorów mieli co prawda te żarty za nic, ale później musieli się z nimi liczyć, gdy się wyjawilo, że trudno o kandydatów na kierowców, ciętych prześmiewkami za to, któredy dostają się do brzucha swych Atlasów.

Odryglowanie klapy włączyło girlandę małych świetlówek. Spiralnymi schodkami dotarł do kabiny. Była jakby wielką szklaną beczką czy rurą, na przestrzał wpasowaną w pierś Diglatora, nie pośrodku, lecz po lewej stronie, jakby inżynierom chciało się umieścić człowieka tam, gdzie u żywego wielkoluda jest serce. Omiótł wzrokiem wnętrze, też oświetlone, i z niemałą ulgą rozpoznał swojskość układów sterowania. Poczul się jak u siebie. Pospiesznie rozdziawszy się ze skafandra po zdjęciu hełmu, włączył klimatyzację, gdyż został tylko w trykotowym swetrze i elastycznych spodniach, a miał, by poruszać olbrzymem, rozebrać się do naga. Kabinę napełniało wdmuchiwane, ciepłe powietrze, a on przy wypukłej czołowej szybie patrzył w dal. Wstawał już dzień, ponury, zwykły, bo na Tytanie zawsze panuje jakby przedburzowa poświata. Widział w niej skalne rumowiska okolicy daleko za kosmodromem, jak z okna wieżowca, boż znalazł się na wysokości ośmiu pięter. Nawet na grzyb wieży kontrolnej patrzył z góry. Aż po grzbiety gór u widnokregu tylko dziób "Heliosa" przewyższał jego stanowisko. Przez boczne, też wygięte wklęsło, szkła mógł zajrzeć w głąb mrocznych szybów, słabo rozjaśnionych lampkami, pełnych maszynerii, która pomału wzdychała miarowym szumem, jakby zbudzona z letargu czy snu. Nie było w kabine żadnych rozrządczych pulpików, sterów, ekranów, nic prócz odzienia dla kierowcy, zmiętego na podłodze jak pusta, metalicznie lśniąca skóra i mozaiki czarnych kubików, przytwierdzonych do przedniej szyby, podobnych do zabawek z dzieciennego pokoju, bo na ściankach tych kubików widniały sylwetki malutkich nóg i rąk — prawych z prawej, a lewych z lewej strony. Gdy kolos szedł i wszystko grało w nim sprawnie, te małe wizerunki jaśniały spokojnym seledynem. Przy zakłóceniu barwa zmieniała się w szarozieloną, jeśli przypadłość była drobna, aby w razie poważniejszych awarii obrócić się w purpurę. Był to, rzutowany w czarną mozaikę, posegmentowany obraz całej maszyny. Młodzieniec, w ciepłym tchu klimatyzacji, obnażył się, cisnął trykoty w ką i wziął się do naciągania operatorskiego stroju. Elastyczny materiał, poddając się, opiał mu bose stopy, uda, brzuch, barki, aż lśnić po szyję w tej elektronicznej węzowej skórze, starannie, palec po palcu, wtłoczył sobie dłonie do rękawic. Kiedy zaś jednym ruchem z dołu przez pierś zaciągnął zamek błyskawiczny, czarna dotąd mozaika zapłonęła kolorowymi światełkami. Jednym spojrzeniem sprawdził, że ich układ jest taki sam jak w typowych zimnochodach, którymi powodował na Antarktydzie, choć ani się równały masą z Diglatorem. Sięgnął do stropu po szelki, rodzaj uprząży, aby opasać się nią i zapiąć mocno na piersi. Gdy klamra się zatrzasnęła, uprząż poderwała go sprężynując łagodnie, tak że ujęty pod pachami, jak w dobrze wyścielonym gorsecie, zawisł i mógł poruszać swobodnie każdą nogą. Sprawdziwszy, że ramionami porusza tak samo łatwo, poszukał głównego włącznika, sięgnąwszy sobie za kark, znalazł dźwigenkę i wcisnął ją do

oporu. Wszystkie światełka na kubikach zdwoiły jasność, a zarazem posłyszał, jak głęboko pod nim ruszają silniki wszystkich kończyn na jałowym biegu, cmokając z cicha, bo z korbowodów ciekł nadmiar smarów, wtłoczonych w obrotowe łożyska jeszcze w ziemskiej stoczni dla ochrony przed korozją.

Uważnie spoglądając w dół, aby nie zawadzić o bok składowego budynku, zrobił pierwszy, ostrożny, mały krok. W wyściółce jego odzienia tkwiły tysiące elektrod, wszytych giętkimi spiralkami. Przywarłszy do nagiego ciała, czerpały impulsy nerwów i mięśni, aby przekazywać je molochowi. Jak każdemu ze stawów szkieletowych człowieka odpowiadał w maszynie utysiąkrotniony, hermetycznie zamknięty staw z metalu, tak poszczególnym grupom mięśni, zginających i prostujących kończyny, odpowiadały isticie armatnie cylindry, w których chodziły tłoki, parte bijącym z pomp olejem. Lecz o tym wszystkim operator nie musiał ani myśleć, ani wiedzieć. Poruszać się miał tak, jakby chodził po ziemi, jakby deptał ją nogami, jakby schylał tułów, żeby wyciągniętą ręką ująć potrzebny przedmiot. Ważne były tylko dwie różnice. Najpierw samej wielkości, boż jedno ludzkie stąpienie równało się dwunastometrowemu krokowi maszyny. To samo działo się z każdym poruszeniem. Więc chociaż dzięki niebywalej precyzji przekaźników maszyna mogła z woli kierowcy podnieść choćby i ze stołu pełny kieliszek i wznieść go na wysokość dwunastu pięter, nie uroniwszy ani kropli i nie miażdżąc szklanej stopki w cęgowym uchwycie, byłby to szczególnie popis umiejętności operatora, demonstracja jego kunsztu, gdyż kolos nie kamyczki i kieliszki miał podnosić, lecz wielotonowe rurociągi, trawersy, głazy, a gdy mu dano w cęgi rąk odpowiednie narzędzia, stawał się wieżą wiertniczą, spychaczem, dźwigiem — a zawsze mocarzem, łączącym prawie niewyczerpane siły z ludzką zręcznością.

Wielkochody stały się spotęgowaniem koncepcji egzoszkieletu, który, jako zewnętrzny wzmacniacz ciała ludzkiego, był znany z wielu prototypów dwudziestowiecznych. Wynalazek zwiądl, bo na Ziemi nie znaleziono dłań zrazu bezkonkurencyjnych zastosowań. Odrodziło ten pomysł zawłaszczanie systemu słonecznego. Pojawiły się maszyny planetarne, dostosowane do globów, na których miały pracować, podług miejscowych zadań i warunków. Ciężarem były to więc maszyny różne, lecz bezwładnością mas wszędzie takie same, i w tym tkwiła druga najistotniejsza różnica między nimi i ludźmi.

Zarówno wytrzymałość budulca, jak napędowa moc mają swe granice. Stawia je nawet z dala od wszystkich ciężących ciał obecna bezwładność masy. Nie można wykonywać wielkochodem szybkich ruchów, jak nie można błyskawicznie wstrzymać na morzu krążownika albo obracać ramieniem wysięgowym kranu jak śmigłem. Kto by tego spróbował

w Diglatorze, połamałby mu mostowe kończyny, by go więc ochronić przed takim wypadkiem, inżynieria wprawiła we wszystkie odnogi napędu bezpieczniki, udaremniające wszelki manewr równy katastrofie. Kierowca mógł jednak wyłączyć każdy z tych ograniczników, albo i wszystkie, gdy wpadł w najgorsze tarapaty. Kosztem zrujnowania maszyny potrafiłby może ująć z życiem sam spod obwału skalnego czy z innej opresji. A gdyby nawet to nie dawało ratunku, miał jako ostatnią szansę *ultimatum refugium*, wityfikator. Człowieka chronił bowiem zewnętrzny pancerz wielkochodu, wewnętrzne puklerze kabiny, w niej zaś nad kierowcą na kształt dzwonu otwierał się wylot wityfikatora. Urządzenie potrafiło zamrozić człowieka w okamgnieniu. Co prawda medycyna nie stać było jeszcze na ożywienie zweryfikowanych ciał ludzkich: ofiary katastrof, przechowywane w pojemnikach z płynnym azotem, spoczywały, czekając niezmiennie nadejścia przyszlówiecznych kunsztów rezurekcyjnych.

To odrzucenie lekarskich powinności w nieokreślonej przyszłości wyglądało mnóstwu ludzi na makabryczną dezercję, na obietnicę ratunku bez jakiegokolwiek gwarancji spełnienia. Był to jednak precedens, zarazem ostateczny w medycynie i graniczny, ale nie pierwszy. Wszak pierwsze transplantacje małych serc śmiertelnie zagrożonym ludziom wywołały podobne reakcje oburzenia i zgrozy. Zresztą badając opinie kierowców stwierdzono, jak skromną nadzieję widzą w aparaturze wityfikacyjnej. Ich zawód był czymś nowym: czająca się w nim śmierć tak stara jak wszystkie ludzkie przedsięwzięcia. Toteż Angus Parvis krocząc ciężkimi stąpnięciami po gruncie Tytana ani myślał o czarnej cembrowinie nad głową z jej przyciskiem, świecącym jak mały rubin wewnątrz przezroczystego kołpaczka. Z przesadną ostrożnością wydostał się na betonową płytę kosmodromu, aby wypróbować na niej Diglatora. Natychmiast wróciło znane mu z dawien dawna wrażenie, że jest zarazem niezwykle lekki i ciężki, swobodny i skrępowany, powolny i prędko — jedynym przybliżeniem mogły być odczucia nurka, którego wypór wody pozbawia ciężaru ciała, lecz płynny ośrodek stawia mu opór tym większy, im szybciej chce się poruszać. Prototypy maszyn planetarnych szły zrazu po kilku godzinach pracy na złom, wyzbyte jeszcze ograniczników ruchliwości. Nowicjuszowi, co postąpił parę kroków wielkochodem, udziela się przeświadczenie, że sztuka jest dziecinnie łatwa, i przez to, gdy zechce wykonać proste zadanie, ot, położyć szereg trawersów na murach budowanego domu, rozwali mur i pognie sztaby, nim dojdzie to jego świadomości. Ale i maszyna z zabezpieczeniami może być zdradliwa dla niewprawnego kierowcy. Odczytać liczby krańcowych obciążeń jest równie łatwo, jak zapoznać się z treścią podręcznika o jeździe na nartach, lecz nikt nie został mistrzem slalomu dzięki podobnej lekturze. Angus, oswojony już i to dobrze z tysięcznikami,

poczuł, przy niedużym z początku przyspieszeniu kroków, że podwładny mu olbrzym ma prawie dubeltową masę. Wisząc w oszklonej kabince jak pająk w dziwnej sieci, od razu powściągnął ruchy nóg, a nawet przystanął, żeby z rozmyślną powolnością wziąć się na miejscu do gimnastyki. Przeształ z nogi na nogę, pochylając tułów na boki i dopiero potem obszedł kilka razy swoją rakietę.

Serce biło mu mocniej niż zwykle, lecz wszystko szło bez błędów. Widział jałową, burą w niskich mgłach dolinę, dalekie rzędy świateł, wyznaczających granice lądowiska, a pod wieżą kontroli maleńką postać Gossego, istną mrówkę w oddali. Otaczał go łagodny, niezbyt natarczywy szum, w którym jego uszy, wprawiając się z każdą chwilą lepiej w rozróżnianie odgłosów, poznawały basowe tło głównych silników, to rozpędzających się do stłumionego śpiewu, to mruczących jakby z łagodnym wyrzutem przy zbyt raptownym hamowaniu wyrzucanych w przód stutonowych nóg. Wychwytywał już chóralny zew hydrauliki, bo olej parł tysięcznymi przewodami w cylindry, aby tłoki miarowo podnosiły, zginały i stawiały każdą kończynę obutą w czołg na betonie. Aż wysłuchał delikatny przyśpiew żyroskopów, wspomagających go samoczynnie w utrzymaniu równowagi. Gdy raz spróbował z rozmysłu wykonać ostrzejszy skręt, masyw, w którym tkwił, okazał się nie dość zwrotny dla wydolności silników i choć posłusznie wybuchły całą mocą, olbrzym zachybotał się, choć nie wypadł mu z kontroli, bo momentalnie złagodził skręt, zwiększwszy jego promień.

Zaczął się potem bawić podnoszeniem wielotonowych głazów za skrajem betonowanej płaszczyzny i od tych brył w momencie nagryzania chwytynymi cęgami szły iskry w jazgotliwym chrobocie. Nie minęła godzina, a poczuł się już pewnym swego Diglatora. Wrócił w znany mu stan, który doświadczeni nazywają "wrośnięciem człowieka w wielkochód". Zatracał bowiem granicę między sobą a maszyną i jej ruchy stały się już jego własnymi ruchami. Aby zakończyć trening, wspiął się, i to dość wysoko, na piarżyste zbocze, i tak się już wprawił, że po hurkocie głazów, kiedy zaczynały miażdżone usuwać mu się spod nóg, poznawał, ile wolno mu wymagać od kolosa, którego już zdążył polubić. Dopiero gdy zeszedł ku świecącym mgławo liniom lądowiska, w pełni jego satysfakcji jak igła weszło przypomnienie o czekającej go wyprawie, razem ze świadomością, że Pír i dwaj inni ludzie, zamknięci w takich samych olbrzymach, nie tylko utknęli, lecz znikli we wielkiej depresji Tytana. Nie wiedząc sam, czy dla dodatkowej zaprawy, czy dla pożegnania, obszedł zwiężającym się kręgiem statek, którym wylądował, i wdał się w krótką rozmowę z Gossem. Kierownik stał już obok Londona za szybami wieży. Widział ich, usłyszał, że nadal nic nie wiadomo o losie zaginionych, i przy rozstaniu podniósł wysoko żelazną prawicę. Może

komuś wydałby się ten gest patetyczny czy nawet błazeński. Wolał go od wszelkich słów. Uczynił miarowy zwrot w tył, wrzucił na jedyny podstropowy monitor holograficzne zdjęcie terenu do przebycia, włączył wskaźnik azymutu razem z projekcją szlaku skierowanego na Graala i ruszył dwunastometrowymi krokami w drogę.

Dwa są rodzaje pejzażów, właściwe bliższym planetom Słońca: celowe i spustoszone. Celowo jest urządzony każdy krajobraz Ziemi, jako planety, co wydała życie, bo w nim wszystko ma swój użytkowy sens. Zapewne, nie zawsze go miało, lecz miliardy lat pracy organicznej zrobiły swoje: więc po to są barwy kwiatów, żeby owady wabić, a chmury po to, żeby pastwiska i lasy polewać deszczem. Każda forma i rzecz tłumaczy się tam czyjaś korzyścią, to zaś, co takiej korzyści jawnie wyzbyte, jak lodowce Antarktydy czy łańcuchy górskie, stanowi enklawę pustynną, wyjątek z reguły, dziki choć może urodziwy nieużytek, ale nie na pewno, gdyż człowiek, wzięwszy się do obracania biegu rzek, by użyźnić bezwodną suszę, albo ocieplając bieguny, za poprawę jednych obszarów płacił stepowieniem innych i naruszał tym samym klimatyczną równowagę biosfery, wyregulowaną przez ewolucyjny mózół życia z pozorną tylko bylejakością. Głębiny oceaniczne nie służyły podwodnym stworom mrokiem, zabezpieczającym przed napaścią, żeby go rozświetlały wedle potrzeby luminiscencją, lecz na odwrót: ten mrok powołał właśnie takie, odporne na ciśnienie i żeglujące światłościę, stworzenia do bytu. Na przerosłych życiem planetach tylko w ich podziemiu, w jaskiniach i grotach nieśmiało dochodzi do głosu ta kreacyjna moc natury, która, nie wprzęgnięta do żadnych przystosowawczych służb, nie obciosywana w walkach o byt swoimi wytworami, z miliardoletnią koncentracją, w nieskończonej cierpliwości stwarza kroplami tężejących roztworów solnych fantasmagoryczne lasy stalaktytów i stalagmitów, ale to jest na takich globach uchyłkiem planetarnych prac, przytrzaśniętym głucho skalnymi sklepieniami, i choćby dlatego nie może objawić swego rozmachu. Stąd wrażenie, że takie miejsca to nie zwyczajność natury, lecz wylęgarnie jej marginesowych dziwolągów, na prawach wyjątków z reguły chaosu.

Z kolei na globach wyschłych, jak Mars albo Merkury, zanurzonych w rażącym je wietrze słonecznym, tym oddechu rozrzedzonym, lecz bezustannie wiejącym od macierzystej gwiazdy, powierzchnie są pustynną martwotą, wszelkie dźwigane formy trawi bowiem płomienny żar, by obracać je w proch wypełniający kraterowe misy. Dopiero tam, gdzie panuje śmierć i wieczna, i spokojna, gdzie nie pracują ani sita, ani żarna doboru naturalnego, by wszelki stwór kształtować wedle rygorów przeżywania, otwiera się przestwór zdumiewających dzieł materii, która nie naśladując niczego, nikomu nie podwładna, wykracza w ludzkim oku poza granice ludzkiej wyobraźni. Właśnie dlatego fantastyczne

krajobrazy Tytana okazały się takim zaskoczeniem dla jego pierwszych eksploratorów. Ludzie utożsamili porządek z życiem, a bezład z nudną martwością. Trzeba było stanąć na zewnętrznych planetach, na Tytanie, największym z ich księżyców, by poznać cały fałsz tej apodyktycznej diagnozy. Dziwadła Tytana, czy względnie bezpieczne, czy zdradliwe, są, oglądane z dali i z wysokości, zwykłymi rumowiskami chaosu. Nie tak jednak przedstawiają się, kiedy zstąpić na grunt tego księżycyca. Straszliwy mróz całego przestworu, w którym Słońce jeszcze świeci, ale już nie grzeje, okazał się nie dławnicą, lecz ostrogą materialnej kreacji. Wprawdzie spowolnił ją, lecz niejako właśnie przez to dał jej pole do popisu, dostarczył bowiem tego wymiaru, który jest dla przyrody, nie poruszonej życiem i nie przeżarzonej Słońcem, niezbędny jako przesłanka twórczości, skierowanej we wieczność: dał jej czas, w którym jeden milion wieków czy dwa nie mają żadnego znaczenia.

Tworzywem natury są tutaj te same zasadniczo pierwiastki chemiczne, co na Ziemi, lecz na niej poszły one, aby tak rzec, w niewolę biologicznej ewolucji i tylko w niej zdumiewały człowieka wyrafinowaniem zawiłych związków, sprzęgających się w organizmy i ich życiowo uzależnione hierarchie gatunkowe. Uznało się przez to, że wysoka zawiałość jest własnością nie wszelkiej materii, lecz tylko żywej, bo w nieorganicznym stanie chaos nie może wydać niczego prócz ślepych skurczów wulkanicznych, rzygających potopami lawy i deszczem siarkowych popiołów.

Krater Roembdena pękł niegdyś na północo-wschodzie swojego koliska. Potem wypełził tą wyrwą lodowiec z zamarzonego gazu. Po następnych milionach lat cofnął się, by pozostawić na przeorany obszarze osady mineralne — zachwyty i frasunek krystalografów i innych nie mniej zdumionych naukowców. W samej *rzeczy* było na co patrzeć. Pilot, teraz już kierowca wielkochoду, miał przed sobą, ujętą w oddalone zbocza gór, połągą równinę, zaslaną — czym właściwie? Jakby się nad nią rozwarły upusty nieziemskich muzeów i lapidariów, jakby runęły kaskadami koście, zewłoki i szczątki strupieszalnych maszek — a może ich niewydarzone, obłąkańcze projekty, jedne bardziej fantastyczne od drugich. Zdruzgotane fragmenty istot, którym tylko przez jakiś przypadek nie przyszło uczestniczyć w kołowrotach życia. Widział olbrzymie zebra, ale może kościotrupy pajaków, skwapliwie obejmujących goleniami cętkowane krwawo, pałubiaste jaja, wczepione w siebie kryształowymi kłami żuchwy, kręgi talerzowatych stosów pacierzowych, jakby je rozsypały przedpotopowe gady rulonami po zgniciu. Tę niesamowitość widziało się w jej bogactwie najlepiej z wysokości Diglatora. Poblize Roembdena zwali jego mieszkańcy cmentarzem — i doprawdy ten krajobraz zdawał się pobojuwiskiem wiekowych zmagani, cmentarzyskiem nad wszelką miarę rozrosłych i próchniejących szkieletów. Angus dostrzegł wyslizgane

powierzchnie stawowe, co by się mogły wysunąć z padliny górokształtnych poczwar i nawet było na nich znać rudziejące krwawymi skrzepami miejsca przyczepu ścięgien, a obok rozwłóczone pokrywy skórne z tęczującym włosiem, które łagodnie przeczesywał i układał w mieniające się fale wiatr. Przez mgłę majaczyły dalej wielopiętrowe członkonogi, wzarte w siebie do wzajemnego przeniknięcia się u skonu. Od graniastych, rozzwierciedlonych brył odstrzelały tak samo lśniące poroża, z bezładnie rozrzuconymi naokoło puszczelami i czerepami brudnobiałej barwy. Widział je i wiedział, że lęgające się w mózgu aluzyjne obrazy i ich ponure sensory są tylko złudzeniem porażonego obcością wzroku. Gdyby starannie pogrzebał w pamięci, wspomniałby bodaj, jakie związki dawały w miliardoletniej chemii właśnie te formy, które poplamione hematytami, podszywały się pod okrwawioną kość, a które, wykraczając poza skromne dokonania ziemskich azbestów, utworzyły tęczującą puszystość najdelikatniejszego runa. Lecz pewne i solenne wyniki takich analiz okazywały się bezsilne wobec wrażenia narzucającego się oczom. Właśnie przez to, że tu nic, nigdy, niczemu nie służyło, że nie działał tu ów gilotynowy nóż ewolucji, amputujący każdej dziczce to, co nie wspiera przeżywania ani mu nie służy, właśnie dzięki temu, że natura, nie poskramiana ani rodzonym przez się życiem, ani zadawaną śmiercią, mogła zdobyć wyzwoliny, ujawniała właściwą sobie rozrzutność, bezgraniczne marnotrawstwo, jako brutalny przepych na nic, jako wiekuiącą moc stwarzania bez celu, potrzeby, sensu — i ta prawda, z wolna przejmująca patrzącego była, rozumie się, niezrównanie srożej dotkliwa od wrażenia, że patrzy na kosmiczne panopticum trupiej mimikry, że tu naprawdę rozpostarły się pod burzowym nieboskłonem śmiertelne szczątki nieznanych stworzeń. Trzeba więc było niejako do góry nogami postawić całe przyrodzone i tylko w jednym kierunku zdolne iść myślenie: nie dlatego były te kształty podobne kościom, żebrom, czaszkom i kłom, ponieważ kiedyś służyły życiu — nigdy przecież — lecz tylko dlatego szkielety ziemskich kręgowców, ich sierść, dlatego chitynowe pancerze owadów i skorupy małży odznaczają się taką architektoniką, symetrią, gracją, albowiem natura umie to wytworzyć również tam, gdzie ani życia, ani właściwej mu celowości nigdy nie było i nie będzie.

Wpadłszy w trans podobnej zadumy filozoficznej młody pilot aż drgnął nagle, gdy wspomniął, skąd się tu wziął, w czym tkwi i jakie ma zadanie. A jego żelazny wehikuł posłusznie, w okamgnieniu utysiąkrotnił jego wahanie i drgnięcie wzwyciem pędni i dygotem całej swojej masy trzeźwiąc go i pogrążając zarazem we wstydy. Zebrałszy się w sobie, kroczył dalej. Początkowo nijak mu było stawiać nogi, bijące jak młoty parowe, na niby-szkieletach, lecz próby lawirowania okazały się tyleż daremne, co kłopotliwe. Więc tylko niekiedy zawahał się, gdy drogę zastąpiło mu szczególniejsze spiętrzenie i obchodził je

na koniec tylko, kiedy brodzenie w owych stertach i ich druzgotanie mogło sprawić fatywę nawet jego pokornemu olbrzymowi. Zresztą z bliska wrażenie, że depcze po niezliczonych kościach, że miażdży kaloty czaszek, uzebrowania skrzydeł, odpekłe od łbów łuki jarzmore i rogi, mała do zaniknięcia. Raz tak, jakby szedł po resztkach jakichś organicznych machin, więc tworów hybrydowych — półzwierząt, wynikłych od skrzyżowania życia z martwością — sensu z bezsensu — a raz tak, jakby rozłukiwał irydowymi butami nadludzko rozkrzaczone klejnoty, szlachetne i nieczyste, co zaszyły częściowo bielkami wzajemnych przeniknięć i metamorfizacji. A ponieważ z wysokości swego chodu musiał wciąż baczyć, gdzie i pod jakim kątem stawia wieżę nogi, ponieważ ten przemarsz pierwszego etapu trwał — z konieczności spowolniony — ponad godzinę, śmiech go brał, gdy pomyślał, jakich wysiłków imali się ziemscy artyści, żeby wykroczyć poza rubież ludzką, to znaczy usensowniającej wszystko, imaginacji, jak się ci biedacy tłukli między ścianami swych wyobraźni i jak niedaleko odstępowali od banału, do ostatka wyciskając mózgi, podczas kiedy tu na jednym akrze powierzchni więcej się pyszniło oryginalności niż na setce ich wystaw, zrodzonych troskliwą udreką. Że jednak nie ma takich bodźców, do których człowiek rychło nie nawyka, wnet już maszerował przez owe cmentarze chalkocytów, spineli, ametystów, plagioklazów, albo raczej ich dalekich, nieziemskich krewnych, jakby stąpał po zwyczajnym piargu, krusząc w ułamku mgnienia gałąź, co się wykryształizowała w swój niepowtarzalny rozbieg przez miliony lat; nie z ochoty, lecz z musu obracał ją w szklistą kurzawę, bo go niekiedy na widok wspanialszego od innych wytworu tych wiekuistych prac brał żal, lecz one tak się wzajem tłumiły, tak gasiły się nieprzebranym nadmiarem, że go już jedno tylko poruszało do ostatka.

To mianowicie, jak mu się ta kraina — ale nie jemu jednemu! — kojarzyła ze snem, z państwem majaków i szaleństwem rażonej urody. Słowa, że to jest strefa, w której natura śni, wcielając swoją wspaniałą grozę, swoje rozpętane koszmary wprost niejako, z pominięciem wszelkiej psychiki, w litą twardość materialnych ukształtowań, te słowa same mu się formowały na wargach. Tak samo bowiem jak we śnie, cokolwiek ujrzał, zdawało się zarazem całkowicie obce i absolutnie własne, wciąż coś przypominało i tym przypomnieniom wymykało się uparcie w następnej chwili, wciąż zdawało się grubym nonsensem, maskującym sobą jakiś cienki, aluzyjnie przewrotny sens — bo tu się wciąż jakby tylko od wieków zaczynało z świetną precyzją, ale nigdy nie mogło siebie dokończyć, wejść w pełnię ziszczenia, zdecydować się na finał — czyli na własne przeznaczenie.

Tak sobie dumał, oszołomiony i otoczeniem, i swymi refleksjami, jako że filozoficzne myśli nie były w jego zwyczaju. Już miał wzeszłe słońce za sobą, więc poprzedzał go teraz jego cień i było łaskotliwie dziwne dostrzegać w ruchach tego kanciastego kładącego się

daleko w przód cienia jego maszynową, a zarazem swoją własną, człowieczą naturę — bo była to sylweta bezgłowego, jak okręt rozkołysanego w chodzie robota, który miał zarazem jemu tylko właściwe ruchy i demonstrował je jakby z ostentacyjną przekorą, bo w wyolbrzymieniu. Co prawda nie doświadczał tego widoku po raz pierwszy, lecz prawie dwugodzinny marsz po uroczysku jakoś uskrzydlił mu czy wysubtelnił wyobraźnię. Nie żałował też, że skręciwszy za Roembdenem bardziej na zachód, stracił łączność radiową z Roembdenowcami. Miał wyjść z radiowego cienia na trzydziestej mili — więc już niedaleko — lecz teraz wołał być sam, uwolniony od stereotypu pytań i meldunkowych odpowiedzi.

Na horyzoncie zaciemniały czarniawe sylwety — nie był zrazu pewien, czy chmur, czy gór. Angus Parvis, który szedł do Graala i przy całym przeżytych rozbiegu wyobrażeń ani raz nie skojarzył swego nazwiska z Parsifalem — człowiekowi najtrudniej zawsze wyjść ze swej identyczności umysłowej tak samo, jak wyskoczyć z własnej skóry, i to w mit — już odwrócił uwagę od pobliza marszowego, tym bardziej że sceneria udawanej śmierci, planetarnego *theatrum anatomicum* minerałów, rzedła. Już mijał takim roziskrzeniem przewrotne miejsca, jakby zastawione tajemnie na jego oczy, z nie udawaną obojętnością. Od chwili, w której podjął decyzję, zakazał sobie myśleć o tym, który tę decyzję spowodował. Nie sprawiało mu to trudu. Jako astronauta nauczył się być długo ze sobą sam. Maszerował kołyszącym się Diglatorem, bo kolos musiał się naprzemiennie chylić na boki, ale było mu to dobrze znane. Krokomierz wskazywał prawie trzydzieści mil na godzinę. Upiorne reminiscencje gadzich i płazich tańców śmierci ustąpiły miejsca łagodnym fałdom skały, pokrytej drobniejszym od piasku, lżejszym i bardziej miłąkim wulkanicznym tufem. Mógł przyspieszyć, wiedział jednak, że sensacje, doznawane w pełnym chodzie, są trudne do długiego znoszenia, a czekał go wielogodzinny marsz i to w znacznie cięższym terenie, jeszcze przed depresją. Płasko pozębione kontury na widnokręgu już nie udawały chmur. Szedł ku nim, a jego cień płynął przed nim, pokraczny, gdyż przez wzgląd na ogrom masy wielkocód ma nogi równe tylko jednej trzeciej długości kadłuba: przynaglony do zwiększenia chyżości, musi, aby przedłużyć kroki, wyrzucać kolejno każdą kończynę w przód razem z biodrem, co jest wprawdzie możliwe, gdyż pierścienienna osada nóg, a właściwie ich podwozia, odpowiadająca biodrom, jest ogromną ślizgową tarczą, w którą wpasowano kadłub. Jednakowoż do bocznych wychyleń przyłączają się wówczas podrzuty w górę i w dół całego wielkoluda i krajobraz zatacza się przed kierowcą jak pijany. Do biegu tak ciężkie maszyny nie są zdolne. Problematyczny jest dla nich już i zeskok z wysokości dwóch metrów na Tytanie. Na mniejszych globach i na ziemskim Księżycu swoboda poruszeń jest lepsza. Zresztą konstruktorzy nie dbali o szczególną szybkość tych maszyn, gdyż nie po to mają

chodzić, by służyć jako środek komunikacji, ale by wykonywać ciężkie prace, a umiejętność marszu to dodatek, usamodzielniający pracowite kolosy.

Przez bodaj godzinę Angusowi zdawało się na przemian, że za parę chwil utknie w skalnym chaosie, to znów, że azymut został wytyczony wprost genialnie, gdy bowiem zbliżał się do kolejnego rumowiska, do płyt kamiennych, wspartych tak chwiejnie, jakby miał je byle powiew obrócić w grmiącą lawinę, zawsze w ostatniej chwili pokazywało się dogodne przejście, nie musiał więc ani lawirować, ani wycofywać się z utykającej ślepo drogi. Co prawda uznał rychło, że na Tytanie najdoskonalszym kierowcą byłby człowiek zezowaty, skoro należało zarazem przepatrywać z wysokości teren przed maszyną i świetlisty wskaźnik kierunkowy, drżący jak igła zwyczajnego kompasu na tle półprzeźroczystej mapy. Jakoś to jednak szło i całkiem niezgorzej, gdy zawierzył i oczom, i busoli. Odcięty od świata szumem siłowych agregatów i rezonansowym dudnieniem, w jakie wprawiał cały kadłub ten ciężki marsz, widział przecież świat Tytana przez bezodblaskowe szyby swego szklanego pomieszczenia. Gdziekolwiek zwrócił głowę — a czynił tak, ilekroć pozwalał równiejszy teren — widział nad morzami mgieł grzbiety górskie, porośnięte rozpękłymi wulkanami, martwymi od wieków. Idąc po chropawym lodzie, dostrzegał wtopione weń głęboko cienie, bomb wulkanicznych i niepojęte ciemniejsze kształty — jakby rozgwiad czy głowonogów, zakrzepłych niczym owady w bursztynie.

Potem teren się zmienił: też groźny, lecz w odmienny sposób. Zdawało się, że planeta przeszła okres jakichś bombardowań i erupcji, które w ślepych wyskokach lawy i bazaltu wspięły się niebotycznie, aby zamrzeć bezruchem dzikim i obcym. Wkraczał już w te wulkaniczne wąwozy. Zwisy dalszych ścian zdawały się czymś niemożliwym. Cóż; takie było, niewyraźne w mowie istot ukształtowanych planetą bardziej sielską, zdynamizowanie martwoty tych sejsmicznych zastygnięć, w rozmachu, spotęgowanym przez ciężenie, nie większe od Marsowego. Zagubionemu w tym labiryncie człowiekowi jego kroczący wehikuł przestał się wydawać olbrzymem. Mała, wprost znikomy wobec zerwisk lawy. W kilometrowych ogniospadach ściał je kiedyś kosmiczny mróz, a nim ostygły, lecąc w przepaście, rozciągnął w gigantyczne pionowe sople — monstrialne kolumnady. Widok ten czynił Diglatora mikroskopijnym insektem, wędrującym wzdłuż budowli, porzuconej po tyleż niedbałym, co mocarnym wzniesieniu przez prawdziwych olbrzymów planety. Gdyby ciężki syrop ciekł z krawędzi jakiejś i tężał w stalaktytowe sople — ze szpar podłogi widziany przez mrówkę. Proporcje były jednak przeraźliwsze. Właśnie w tej dzikości, w tym ładzie chaosu, obcym ludzkim oczom, że nie przywodził na myśl żadnych gór ziemskich, objawiała się okrutna uroda pustkowie, wyrzygniętego z planetarnych głębin i ściętego pod obcym słońcem

z żaru w gład. Pod obcym, gdyż Słońce nie było tu płomienną tarczą jak na Księżycu czy na Ziemi, lecz zimno rozpalonym gwoździem, wbitym w rudy nieboskłon, niewiele dającym światła i mniej jeszcze ciepła. Na zewnątrz było minus 90 stopni — temperatura wyjątkowo w tym roku łagodnego lata. W wylocie wąwozu dostrzegł Angus niebo w łunie — ta łuna wstępowała coraz wyżej, aż ogarnęła ćwierć firmamentu i nie od razu pojął, że to ani zorza, ani promień solektora, lecz macierzysty władca Tytana — wielkopierścienny, żółty jak miód Saturn.

Ostry przechył, chybnięcie kabiny, nagły rozryk silników uprzytomniły mu, odparowane szybciej refleksiem żyroskopów niż jego manewrem, że teraz nie czas na kontemplacje astronomicznej czy wręcz filozoficznej natury. Kornie spuścił oczy w dół. Osobliwe, dlaczego akurat wówczas zdał sobie sprawę z komizmu swych poruszeń. Wisząc w uprzęży, przebierał nogami w powietrzu, lecz odczuwał każdy gromowy krok, choć niby huśtał się jak dziecko w zabawie. Wąwóz stawał się stromy. Choć zredukował krok, maszynownia wypełniła się natężonym wyciem turbin. Znalazł się w głębokim cieniu i nim zapalił reflektory, w ostatniej chwili ominął wybrzuszenie skały, większe od Diglatora. Tendencja jego rozpędzonych wahadłowo mas, by słuchając pierwszego prawa Newtona, nadal poruszać się po prostej trajektorii, naruszona koniecznym zwrotem, rzuciła silniki w skrajnie przeleżenie. Wszystkie wskaźniki, dotąd spokojnie zielone, rozbłysły purpurą. Turbiny zawyły rozpaczliwie, dając ze siebie wszystko. Obrotomierz głównego żyroskopu zamrugał na znak, że jego bezpiecznik przepala się — i w takim pochyleniu kabiny, jakby Diglator padał, oblał go całego zimny pot, bo w koszmarnie głupi sposób zgruchoce powierzona maszyna. Ale tylko lewy łokciowy kaptur zawadził o skałę ze zgrzytem statku partego na rafy, spod stali bryznęło dymem, kurzawą, snopami krzesanych iskier i wielkochód, dygocąc, odzyskał równowagę.

Pilot otrząsnął się. Był rad, że w wąwozie stracił radiową łączność z Gossem, bo samoczynny nadajnik ukazałby na monitorze jego przygodę. Wyszedł z głębokiego cienia i zdwoił uwagę. Wciąż czuł wstyd, przecież sprawa była elementarna i stara jak świat. Wszak i maszynista wie odruchowo z nawyku, że ruszyć z miejsca samym parowozem i ruszyć, gdy ciągnie sznur wagonów, to całkiem różne rzeczy. Więc kroczył jak na musztrze, a kolos był mu znów posłuszny aż dziw. Widział przez szkła, jak mały ruch jego ręki staje się natychmiast wymachem cęgowatego łapska, a kiedy stawia krok, wieżowa noga, wysuwając się do przodu, błyska tarczą kolana.

Od kosmodromu odsądził się już o pięćdziesiąt osiem mil. Z mapy, z satelitarnych fotografii, które studiował poprzedniego wieczoru, a na koniec z dioramy terenu,

wymodelowanej w skali 1:800, wiedział, że droga do Graala dzieli się na trzy zasadnicze części. Pierwszą obejmowało tak zwane cmentarzysko i wulkaniczny wąwóz, który właśnie opuścił. Drugą już widział — była to wyrwa w masywie zakrzepłej lawy, przestrzelona seriami odpalanych ładunków termojądrowych, gdyż ten masyw, największy z wycieków orlandzkiego wulkanu, nie dał się inaczej pokonać przez stromiznę wałowatych stoków. Nuklearne eksplozje wżarły się w sejsmiczny górotwór, barykadujący przejście, i rozcięły go na dwoje jak rozgrzany nóż bryłę masła. Na tytanogramie kabiny ten przesmyk okalały wykrzykniki, przypominając, że nie wolno w nim opuścić wehikułu w jakichkolwiek okolicznościach.

Resztkowe promieniowanie wywołane przez termojądrowców było wciąż niebezpieczne dla człowieka poza pancerzem wielkochołu. Wylot wąwozu oddzielała od wejścia w przesmyk milowa równina, czarna, jakby obsypana sadzami. Mógł na niej znów usłyszeć Gossego. Zmilczał o zderzeniu ze skałą, a Gosse powiedział mu, że za przesmykiem Wielkiego Cypla, w połowie drogi, radiową opiekę przejmie nad nim Graal. Tam też rozpoczynała się trzecia, ostatnia część drogi przez depresję.

Czarny pył, zalegający równinę między dwoma wybrzuszeniami górotworu, pokrył nogi Diglatora wyżej kolan. Szedł w jego niskich kłębach szybko i sprawnie ku niemal prostopadłym ścianom przestrzeliny. Dotarł do niej przez gruzy, zeszlone na gładkich powierzchniach odpeknąć słonecznym żarem wybuchu. Odłamy te, twarde jak diament, miażdżone irydowymi podeszwami Diglatora, rozpadały się z hukiem wystrzałów. Ale dno przesmyku było gładkie jak stół. Szedł już między osmalonymi ścianami, w pogłosie gromowych ech stapania, które stało się jego własnym: wrósł w maszynę i była jego cielesnym wyolbrzymieniem. Dostał się w mroczną głąb, tak nagłą, tak nieprzejrzystą, że musiał zapalić reflektory. Ich rtęciowe blaski walczyły w kotłowisku cieni, szamoczących się między filarami skalnej gardzieli, z zimnym, rudym, nieprzychylnym światłem nieba, jaśniejącego w bramie przesmyku, która stawała się tym większa, im bliższa. Na ostatnim odcinku przesmyk zwężał się, jakby nie miał już przepuścić jego wielkoluda, jakby musiał się zaklinować jego kanciastymi barami w kominiastym ścieśnieniu, lecz była to iluzja — po obu stronach zostawało kilka metrów luzu. Inna rzecz, że zwolnił, bo "Polluks" wchodził w tym większe boczne kołysanie, im szybciej szedł i na to nie było rady. Kaczkowaty chód w przyspieszeniu wynikał z praw dynamicznie rozpedzonych mas i nie ze wszystkim udało się inżynierom pokonać wielkie momenty obrotowe. Końcowe trzysta metrów szedł znów coraz stromiej pod górę, uważnie stawiając stopy i trochę wychylał się ze swego wysoko zawieszzonego miejsca, by dobrze widzieć, na czym stawia wieżową nogę. To przepatrywanie

pobliza tak go zajęło, że dopiero gdy światło, otoczywszy go ze wszystkich stron, rozjaśniło kabinę, poderwał głowę i zobaczył zupełnie inny, niezmierny krajobraz.

Wielki Cypel trwał nad białym i rudym oceanem wełnistych chmur, samotny, czarny, smukły, jedyny na niebie po horyzont. Zrozumiał, czemu niektórzy nazywają go Bożym Palcem. Wyhamował z wolna kroki i zatrzymawszy się w tym najwspanialszym widokowo miejscu, spróbował — w ściszym śpiewie turbin — wyłowić głos Graala. Nie usłyszał jednak nic, więc począł wzywać Gossego, ale i ten się nie odezwał. Był wciąż w radiowym cieniu. Zaszła wtedy osobliwa rzecz. Przedtem radiowy kontakt z kosmodromem był dlań jakoś przykry, zdawał mu się przeszkadzać, przez to chyba, że odczuwał nie w słowach, lecz w głosie Gossego skryty niepokój, jakby niedowiarstwo, czy da sobie radę, i w tym niepokoju tkwiło coś z chęci patronowania mu, czego wprost nie znosił. I oto teraz, gdy został prawdziwie sam, bo ani ludzki głos, ani automatyczne pulsy radiolatarni z Graala nie mogły go w tym bezkresnym białym pustkowiu podeprzeć, odczuł zamiast swobodnej ulgi taką niepewność, jak człowiek w pełnym cudów pałacu, który nie miał wprawdzie najmniejszej ochoty go opuścić, ale zobaczył, jak wrota, przedtem zapraszająco rozwarte, same się za nim zamykają. Skarcił się za bezowocny nastrój podobny do lęku i zaczął schodzić ku powierzchni obłoczonego morza po zboczu dość łagodnym, ale miejscami oblodzonym, prosto na Wielki Cypel, czarny, sięgający nieba i tak ugięty, jakby był palcem, który przyzywa go ku sobie.

Raz i drugi podeszwowa płyta wielkocochu obśliznęła się z tępym zgrzytem, bijąc w dół gromadami głazów wyrwanych z lodowego okucia, ale te poślizgi nie groziły upadkiem. Stawiał tylko nogi, żeby wbijać każdą stopę zadziornymi piętami w zaskorupiałą szreń, przez co poruszał się wolniej niż dotąd. Schodził wybruszonym stokiem między dwoma żlebami, uparcie i przesadnie tupiąc, aż fontanny bryzgów lodowych obtłukiwały mu nagolenniki i tarcze kolan, coraz to rzucając oczami dalej, w głąb doliny, której dno przezierało już przez rozziwy mgieł, a im niżej schodził, tym bardziej górował nad nim znad odległych, mlecznie jaśniejących chmur czarny palec Wielkiego Cypla. Dotarł lask do strefy puszystych obłoków, płynących równo i wolno jak po niewidzialnej wodzie; opływały go już po uda, po krętarze bioder, jeden owiał go wraz z kabiną, lecz znikł jak zdmuchnięty. Przez kilka chwil Czarny Palec majaczył jeszcze nad pierzastą bielą — jak skalna maczuga, stercząca nad arktycznym oceanem, nieruchoma wśród piany i kry, aż znikł jak z oczu nurka, który zstąpił na morskie dno. Przystanął nasłuchując, bo mu się wydało, że słyszy przerywany, słaby, piskliwy ton. Zwracając Diglatora raz w lewo, raz w prawo, czekał, żeby ten zawodzący śpiew, wcale wyraźny, zabrzmiał mu w obu uszach jednakowo. Nie słyszał samego Graala, lecz

kierunkową radiolatarnię Cypla. Miał iść wprost ku niej, a gdyby zboczył z drogi, przerywany sygnał rozdzieliłby się podług zboczenia: biorąc się nazbyt w prawo, a więc w zgonną stronę depresji, posłyszałby w prawym uchu ostrzegawczy skowyt, a jeśli by zmierzał z przeciwnym odchyleniem, ku nieprzebytym ślepych ścianom, sygnał odezwałby się nie aż tak alarmowym, choć też wskazującym błąd basem. Krokومتر pokazał setną milę. Większą, technicznie trudniejszą, część drogi zostawił za sobą. Mniejsza, zdradliwsza, spoczywała przed nim, okutana w mgiełną toń. Lite chmury ciemniały teraz wysoko, widoczność sięgała kilkuset metrów, aneroid zapewniał, że tu rozpościera się właściwa niecka depresji, a dokładniej, jej uczciwie twarde obrzeże. Szedł zdając się zarazem na słuch i na wzrok, gdyż okolice rozjaśniały śniegi, zamarzonego dwutlenku węgla oczywiście i bezwodników innych skrępyłych gazów. Z rzadka wystawały spod ich bieli narzutowe głązy, ślady lodowca, który kiedyś wtoczył się od północy w rozpadlinę wulkanicznego masywu, pogłębił ją na południe pełną cielskiem, przeorał, wziął w denny lód odłamy skalne, a potem, cofając się czy topniejąc od magmatycznego podgrzewu, idącego z głębin Tytana, powypływał i zostawił morenę, rozrzuconą w chaotycznym odwróceniu. Krajobraz odwrócił się, jakby rozpostarł dołem zimowy dzień i przykrył go ciemną od chmur, nocną stroną. Angus nie miał już za towarzysza nawet własnego cienia. Stapał pewnie, zagłębiając oproszone kryształkami żelazne buty w śnieg, a w panoramicznych wstecznych lusterkach mógł widzieć własne ślady, godne tyranozaura, tego największego z dwunogich drapiezców mezozoiku, i sprawdzał tymi zerknięciami, czy pozostawiony trop jest wciąż jednak prosty. Jednakowoż od niewiadomego czasu poczęła mu się zdawać dziwna rzecz, którą odganiał jako niemożliwą: odnosił coraz silniejsze wrażenie, że nie jest w kabinie sam, że za jego plecami znajduje się drugi człowiek, a obecność tego człowieka poznawał po jego oddechu. Tak osaczyło go wreszcie to złudzenie — a nie wątpił, że ma do czynienia z iluzją, wywołaną może zmęczeniem słuchu, stępiącego od monotonii radiowych sygnałów, że wstrzymał oddech. Wtedy tamten przeciągle, wyraźnie westchnął. O złudzeniu nie mogło chyba być mowy. Osłupiał, potknął się, kolosem zatoczyło. Angus poderwał go w rozbłysku wskaźników i zawyciu turbin, hamował, szedł coraz wolniej, aż stanął. Tamten przestał dyszeć. A więc jednak był to pogłos z maszynowych studni Diglatora? Stojąc omiół wzrokiem całą przestrzeń, aż ujrzał na bezmiernych ścieliskach śniegowych czarną kreskę, wykrzyknik, zarysowany tuszem na bieli horyzontu tam, gdzie jasność nie wyjawiała, czy jest wałem nawianych zasp, czy obłoków. A chociaż nigdy nie widział w podobnej scenerii zimowej wielkochoду z milowej dali, opanowała nim pewność, że to jest Pirx. Ruszył więc ku niemu, nie dbając ani trochę o nasilające się rozdwojenie sygnału w słuchawkach. Przyspieszył

chodu. Czarny znak drobiaży u samej ściany bieli był już figurką, mrowiącą przez to, że też szybko maszerował. Po kilkunastu minutach jęły się ujawniać jego rzeczywiste rozmiary. Dzielilo ich pół mili, może nieco więcej. Dlaczego nie odezwał się, nie wzywał go nadajnikiem? Sam nie wiedział, ale nie śmiał. Wpatrzony do łez, dostrzegał już w szklistym okienku, sercu kolosa, maleńkiego człowieczka, który w zawieszeniu poruszał się niczym pajacyk na nitkach. Trzymał się za nim i obaj szli zostawiając za sobą długie pyłowe kity, niczym statki, z których każdy ciągnie za sobą spienioną brudę farwateru. Angus doganiał go, zarazem koncentrując uwagę na tym, co się działo przed nimi, a działo się, bo w oddali falowała łopocząca białą kłębiasta zamieć, której prześwity łyskały jaśniejszą nad śnieg bielą. To była strefa zimnych gejzerów. Wtedy okrzyknął gonionego, raz, drugi, trzeci, a że tamten, zamiast odpowiedzieć, przyspieszył kroku, jakby usiłował umknąć przed ratownikiem, zrobił to samo gnając coraz większym rozkołyssem tułowia i wymachami potężnych ramion w bliskość zagłady. Krokومتر drgał u czerwonego kresu — 48 mil na godzinę. Angus nawoływał ściganego ochrypłym z podniecenia głosem, który zamarł mu nagle na ustach, bo czarna postać poszerzyła się puchnąc, wydłużyła, jej kontury straciły ostrość i nie człowieka w Diglatorze już widział, lecz wielki cień, rozpraszający się w bezkształtną plamę, aż rozwiany szczeł. Był sam i samego siebie usiłował dogonić — fenomen dosyć rzadki, lecz znany i na Ziemi — jako widmo Brockenu w Alpach. Własne odbicie, powiększone, na tle jasnych chmur. Nie on — to jego ciało, porażone odkryciem, w pełni okrutnego rozczarowania, napięte wszystkimi mięśniami, w zadyszeć w gorzkim przypiływie wściekłości i rozpaczyc chciało stanąć jak wryte, od razu, bez zwłoki, a wtedy w ryku, jakim buchnęły trzewia kolosa, targnęło nim do przodu. Czujniki łysnęły jak rozprute żyły krwią. Diglator cały zadygotał niczym okręt, co uderza kadłubem w skałę podwodną, korpus skłoniło rozpędem i gdyby Angus go nie podtrzymał, nie wyprowadził z rzucenia w przód seria stopniowo po wolniejających kroków, pewno by runął na grunt. Chóralny protest tak nagle przeciążonych agregatów uspokoił się, a on, czując, jak po rozpalonej twarzy ciekną mu łzy zawodu i gniewu, stał na rozkraczonych nogach dysząc, jakby sam z takim wysiłkiem przebiegł ostatnie kilometry. Ochłonał, otarł miękką wewnętrzną wyściółką rękawicy pot, którym nasiąkły brwi, widział, jak olbrzymia łapa wielkochodu, powiększając ten odruchowy gest, podnosi się, przesłania okno kabiny całą szerokością przedramienia i trafia z łomotem promiennik, osadzony na bezgłowych barach. Zapomniał odłączyć prawicę z obwodu wzmacniaczy! Ten kolejny idiotyczny postępek ocucił go całkowicie. Zawrócił, żeby się wycofać własnym śladem, bo tony kierunkowych sygnałów rozstroiły się ze wszystkim. Należało wrócić na szlak, iść nim, jak długo się da, a w wypadku oślepienia zawieją, pędząc

od strefy gejzerów — zapamiętał jej wygląd w gonitwie — zdać się na promiennik. Jakoż odnalazł miejsce, na którym lustrem z chmur i gazów fatamorgana otumaniała go do pełnej zatraty orientacji. A może zgłupiał wcześniej, kiedy uległ nie optycznemu, lecz akustycznemu złudzeniu i przestał porównywać marszrutę, wskazywaną przez radio, z jej odpowiednikiem na mapie terenu w kabinie? Tam, dokąd zanosło go własne widmo, nie bardzo daleko od wyznaczonej drogi — podług krokomierza wszystkiego dziewięć mil — podług mapy nie było żadnych gejzerów. Ich front przebiegał bardziej na północ — wedle ostatniego rozpoznania terenu, jakie ukazywała mapa. Na podstawie meldunków zwiadu lotniczego i radarowego, zdjęć wykonanych przez ORSANA, Marlin polecił przemieścić szlak z Roembdena do Graala tak dalekim obchodem południowym, aby biegł kłopotliwie, lecz pewnie, przez wnękę depresji, nigdy dotąd nie zatapianą, choć zasypywaną śniegiem gejzerów. Podłoże owej wnęki mogło zostać w najgorszym razie zatarasowane wydmami dwutlenkowego śniegu, lecz Diglator miał dostateczną moc, by przebrnąć i przez zaspy pięciometrowej grubości, a gdyby w nich utknął i dał o tym znać, Graal mógł skierować ku niemu bezładne spychacze, zdjęte z kopalnianych robót. Sęk tkwił w tym, że nie było wiadomo, gdzie przepadły kolejno trzy wielkochody, ponieważ nieprzerwaną radiową łączność dopuszczała depresja na starym szlaku, porzuconym po uprzednich katastrofach, natomiast południowej niecki krótkie fale nie dosięgały wprost, a z ich odbicia nie dało się korzystać, gdyż Tytan nie posiada jonosfery. Należało użyć satelitarnych przekaźników, lecz w paradę wszedł już przed tygodniem Saturn, ogonem swej burzliwej magnetosfery zagłuszając wszelką emisję prócz laserowej, a lasery Graala przebijały wprawdzie pokłady chmur i mogły tym samym dotrzeć do patrolowych satelitów, te jednak, nie wyposażone w przemienniki fal z tak szerokim zakresem, nie mogły przekodować impulsów świetlnych w radiowe. Mogły co prawda kolimować odbierane błyski i śłać je w depresję, niestety daremnie. Po to, by przebić gejzerowe burze, przyszłoby pchnąć laserami moc, która stopiłaby lustra satelitów. Wprowadzone na orbity, gdy Graal się dopiero szykował do robót, lustra uległy powolnej korozji i przymgliwszy się wchłaniały zbyt wiele energii promienistej, zamiast odbijać ją z 99-procentową dzielnością. W ten splot niedopatrzeń, źle pojmowanej oszczędności środków, pośpiechu, transportowych opóźnień i zwykłych głupstw, właściwych ludziom wszędzie, więc i w Kosmosie, dostały się jeden po drugim zaginione wielkochody. Twardy grunt południowej wnęki miał się stać ostatnią deską ratunku. O tym jednak, czy naprawdę jest taki twardy, Angus miał się niebawem przekonać. Jeśli liczył na wykrycie tropu swych poprzedników, rychło utracił nadzieję. Szedł zgodnie z azymutem i zawierzył mu, bo teren podnosił się, aż wyprowadził go z kurniawy. Po lewej widział zaryte w chmury *zbozza*

starej magmy, odwianej ze śniegu. Trawersował je z rozważą. Szedł po kamieniołomie, w poprzek zaladzonych żlebów, lecz ich lód zawierał w sobie pęcherze nie zamarzonego gazu. Gdy raz i drugi żelazna stopa przebiła lodową skorupę zapadając się w pustą głąb, szum silników znikł, a uszy napelnił mu taki grzechot i trzask pękającego lodu, jaki słyszy chyba tylko wachtowy lodołamacza, taranującego w grzmotach polarne torosy. Troskliwie obejrzał potem nogę, wydobytą z załomu, nim ruszył dalej i mozolił się tak, aż radiowy dwugłos, tej samej barwy i wysokości, zająknął się. Prawy zaniósł się świstem, a lewy zeszedł w bas. Skręcił więc, aż tony zabrzmiały jednakowo. Jakoż otwarło się dość szerokie przejście między spiętrzonymi płytami kry, o której wiedział, że nie jest lodem, lecz skrzępłymi węglowodorami. Po suchym, gruboziarnistym piargu zstępował hamując kroki, ile mógł, tak parło z pochyłości tysiąc osiemset ton wielkochołu. Wulkaniczne ściany w chmurach otwarły widok na kotlinę i zamiast pewnego gruntu ujrzał las Birnam.

Chyba tysiące gardzieli było ciasnymi ujściami naraz, wyrzucając w trującą atmosferę strugi amonowej solanki. Rodniki amonu, utrzymywane w wolnym stanie potwornym ciśnieniem skał, kipiąc strzelały ku ciemnemu niebu i obracały je w odmęt. Wiedział, że nie miały dotrzeć aż tu, eksperci uznali to za wykluczone, lecz nie myślał o nich: należało albo zawrócić od razu do Roembdena, albo iść za przewodnim śpiewem, niewinnym, choć fałszywym jak śpiew syren Odyseusza. Brudnożółte chmury rozpływały się leniwie i ciężko nad całą depresją, aby padać dziwnym, lepkiem, ciągnistym śniegiem, krzepnącym w birnamskie lasy. Nazwano je tak, bo one idą. Nie są to zresztą żadne lasy i tylko z wielkiej odległości przypominają zawaloną śniegiem puszcę. Zaciekła gra chemicznych rodników, wciąż podsycana nowymi dopływami, bo poszczególne grupy gejzerów biją, każda własnym, uporczywie miarowym rytmem, tworzy chrupkie porcelanowe dżungle, dochodzące ćwierćmilionowych wyżyn, gdyż ich wzrostowi sprzyja słaba grawitacja, tak że są to rozdrzewienia i gęstwy szklistej bieli, nakładające się na siebie kolejnymi warstwami, aż wreszcie denne nie mogą już podtrzymać wspinającego się wciąż w niebo masywu koronkowych rozgałęzień i zapadają się z przeciągłym, zgrzytliwym łomotem jak planetarny skład porcelany, kiedy go miazdzy trzęsienie ziemi. Tak zresztą, "trzęsieniem porcelany", nazwał ktoś niefrasobliwie te obwały lasów birnamskich, które oszałamiającym i niewinnym widowiskiem są jedynie oglądane z lotu ptaka — czy raczej śmigłowca. Taki las Tytana i z bliska zdaje się konstrukcją ulotną, koronkową i białopienistą, toteż nie tylko wielkochód, lecz i człowiek w skafandrze może się przedzierać przez jego zakrzepłe poszycie. Nie można się co prawda zagłębiać łatwo w tej lżejszej od pumeksu, zastygłej pianie, która jest czymś pośrednim między rozdętą w zlodowaczeniu śnieżystą mazią i koronką, uplecioną z

najcieńszych porcelanowych włókien. Nie sposób czynić to szybko, ale można przecież iść naprzód, bo ów ogrom jest prawdziwie zakrzepłą chmurą, utworzoną z żyłkowanych pajęczyn we wszystkich odcieniach bieli, od perłowo opalizującej po oślepiająco mleczną. Lecz choć iść w las można, nigdy nie wiadomo, czy właśnie ta jego połać nie znajduje się już u kresu wytrzymałości i nie zapadnie się grzebiąc wędrowca pod kilkusetmetrowym pokładem samodruzgocącego się szkliwa, tylko w odpryskach lekkiego niemal jak puch.

Już przedtem, gdy był na trawersie, zapowiedzią białych lasów, skrytych jeszcze, czarnym występem górskiego zbocza, był biały brzask w tej stronie, jakby miało tam wzejść słońce. Brzask był taki sam, jak jasność kładąca się na chmurach ziemskiego oceanu północnego, kiedy statek, płynąc jeszcze otwartymi wodami, zbliża się do lodowych pól.

Angus szedł na spotkanie lasu. Wrażenie, że stoi na statku, albo raczej sam nim jest, potęgował miarowy rozkołys niosącego go olbrzyma. Póki schodził ze stromizny, sięgał wzrokiem po horyzont, obrysowany jasną linią dali, a las wyglądał z wyżyny jak przyplaszczona na gruncie chmura, której cała powierzchnia wzdyma się, targana niezrozumiałym mrowieniem. Szedł kołysząc się, a chmura przed nim rosła niby czoło lądolodu. Już rozróżniał odchodzące od niej długie, kręte jęzory, jak śnieżne lawiny, poruszające się w niesamowicie spowolnionym tempie. Gdy ledwie kilkaset kroków oddzielało go od śnieżystych skłębien, począł rozróżniać ziejące w nich otwory, jak wyloty jaskiń, aż po drobne jak nory. Ciemniały w splątanim lśnieniu puszystych gałązek i rosochatych konarów z pół mętnego, pół białego szkła, aż pod jego żelaznymi butami zachrząścił gruz ostry i łamliwy, chrupiący przy każdym stąpieniu. Radiowy dwugłos wciąż go zapewniał, że idzie we właściwym kierunku. Więc szedł, słysząc przez wzmożony poszum silników, które zwiększały obroty, by pokonywać rosnący opór, skrzekliwy charkot rozłamywanego kolanami i korpusem gąszczu, wyzbywszy się pierwszej tremy, bez cienia strachu, lecz w sercu z rozpaczą, bo pojmował aż za dobrze, że już prędzej odnalazłby igłę w stogu niż chociażby jednego z zaginionych. Nie mogło być w tym gąszczu żadnych śladów przejść, bo wciąż bijące z gejzerów fontanny zasilają chmurę, przez co każda wyrwa i wylom zarastały się rychło jak bliźniejąca rana. Przeklinał w duchu otaczające go może jedyne na świecie piękno. Ten, kto nazwał je zapożyczony u Szekspira, był pewno estetyczną naturą, ale nie do takich skojarzeń skłaniał się teraz Angus w Diglatorze. Las Birnam Tytana przez splot znanych i nie znanych przyczyn na przemian cofa się i postępuje wewnątrz depresji, na tysiącach, dziesiątkach tysięcy jej hektarów — a same gejzery nie są w nim zbyt groźne, gdyż dostrzega się ich obecność z dala, zanim jeszcze je widać jako wibrujące w niebosiężnym wytrysku słupy gazów utwardzonych podziemnym ciśnieniem, a sam ich ryk,

tak gromowy i tak przeraźliwie świszczący, jakby w porodowych mękach z bólu czy z wściekłości ryczała sama planeta, wprawia w ruch przyziemie i z pomocą trąby powietrznej kładzie naokoło cały roztrzęsiony, łamiący się, pryskający zastygłym już szkliwem gąszcz. Trzeba by nadzwyczajnego pecha, by wpaść do ujścia gejzeru, który między jedną a drugą erupcją pada w chwilową martwość. Lecz łatwo przychodziło omijać w bezpiecznym dystansie właśnie te, co oznajmiały swą aktywność ciągłym świszczącym gromem i dygotaniem dookolnego poszycia, jego drżącej przedśmiertelnie bieli. Natomiast wybuch niespodziewany, choćby niezbyt bliski, najczęściej stawał się przyczyną gigantycznego obwału.

Angus przylgnął omal twarzą do pancерnej szyby i patrzył, stawiając powoli, powoli krok za krokiem. Widział białomleczne pnie najgrubszych zastygłych pionowo strumieni i jak wyżej rozdrzewiają się migotliwym kłębowiskiem, bo zwarte i masywne były tylko u spodu. A na zlodowaciałej dżungli przyziemia rosły następne, coraz bardziej lotnymi kondygnacjami, krzepnąc w szkieletowate, pajęczyniaste wypustki, kokony, gniazda, niby-widłaki, wiciowce, skrzela odartych z ciała ryb, ale oddychające jeszcze, bo wszystko, wszędzie mżąc rozpełzało się, owijało, z grubych okiści wysnuwały się cienkie iglaste pędy, łączyły się w zwoje, osiadały, spływały, znów zachodziły na siebie marznącym, bezustannie siąpiącym z niewiadomych wysokości, kleistym mlekiem. Żadne słowo, powstałe na Ziemi, nie mogło sprostać owej pracy, w białym, odmytym z cieni, jasnym milczeniu, tej ciszy, spoza której dochodził daleki jeszcze, budzący się dopiero pomruk, świadectwo podziemnego napływu, wtłaczanego w kominy gejzerów, i kiedy stanął, aby nasłuchiwać, skąd idzie ten głośniejący pogrom, dostrzegł, jak birnamski las zaczął go w siebie wchłaniać. Nie podszedł do niego jak las w *Makbecie*, lecz jakby znikąd, z powietrza, zupełnie tutaj nieruchomego, wyłaniały się mikroskopijne płatki śniegu, który nie padał, lecz zjawiał się na ciemnych płytach pancерza, na spawach naramiennych tarcz, już cały wierzchni korpus miał przyprószony tym śniegiem, który zatraczał podobieństwo do śniegu, bo nie padał ulegle na metalowe płaszczyzny kadłuba, nie zbierał się sypko w jego zagłębieniach, lecz lgnął jak biały syrop, kielkował, wypuszczał mlecznowłókniste nici i Angus ani się obejrzał, jak obrósł śnieżnym futrem, które tysiącnymi pasemkami ciągnąc się i grając światłem pokryło go i zmieniło kadłub Diglatora w olbrzymią białą pałubę, w dziwacznego bałwana. Wtedy wykonał niewielki ruch, szarpnięcie, i oto zakrzepłe odlewy jego żelaznych kończyn, nagolenników, runęły ogromnymi kawałami, obrócone upadkiem w stosy delikatnych *drzazg*. Blask wyłaniał z chwiejnej kipieli fantasmagoryczne kształty i raził, lecz nie oświetlał gruntu, więc teraz dopiero ocenił Angus właściwie korzyść, jaką dawał mu włączony promiennik. Jego niewidzialny żar wytapiał w

gąszczu tunel, którym szedł, słysząc to z prawej, to z lewej strony donoszące się z uczonej podścieliskiem chmury odgłosy gazowych strumieni, jak wystrzały armatnie, a w pewnym momencie minął targany wściekłymi zrywami, biczący otoczenie pióropusz niedalekiego gejzeru. Nagle śnieżysty las zrzędł, tworząc jakby polanę pod pęczkowato wydetą gałęziastą kopułą. Pośrodku leżał czarny ogrom, ukazując mu dna szepionych żelaznych stóp i skręcony bokiem korpus, w skrócie podobny do okrętowego wraku na mieliźnie. Lewe ramię, górne, wchodziło między białe pnie, z garścią przesłoniętą ich krzaczastym gąszczem, prawe wgniótł w grunt kadłub przy upadku. Żelazny olbrzym spoczywał skręcony, lecz jak gdyby nie pokonany ze wszystkim, gdyż prócz oszronionych kończyn był wolny od śniegu. Powietrze drżało nieznacznie nad wypukłością tułowia, ogrzewane wciąż płynącym z wnętrza ciepłem i Parvis skamieniały przed bliźniaczym wielkochodem nie śmiał wprost uwierzyć oczom, że przecież zaszedł niewiarygodny cud — spotkania. Już chciał się odezwać, gdy dwie rzeczy spostrzegł jednocześnie: pod obalonym Diglatorem rozciekła się szeroko kałuża oleiście żółtawego płynu — z pękniętych przewodów hydraulicznych, co oznaczało chociażby i częściowe porażenie ruchów. Nadto przednia szyba kabiny, teraz tak podobna do owalnego okna okrętowego, ziała rozbita i tylko z listew obramowania sterczały izolacyjne poduszki. Ten otwór, pełen mroku, parował, jakby gigant nie mógł wydać w agonii ostatniego tchnienia. Triumf, radość, dziękczynne zaskoczenie pilota zastąpiła zgroza. Zanim ostrożnie i pomału pochylił się nad wrakiem, wiedział, że jest pusty. Jakoż jego reflektor obiegił wnętrze z przewodami zwisającymi beładnie i doczepioną do nich metaliczną skórą — nie mogąc już nachylić się bardziej, z trudem zazierał we wszystkie kąty opuszczonej kabiny w nadziei, że rozbitek, uszedłszy w skafandrze, zostawił jakąś wiadomość, znak, ale odkrył tylko wyróconą skrzynkę narzędziową i klucze, które się z niej wysypały. Dość długo próbował domyślić się, co zaszło. Diglatora mógł powalić obwał, a kierowca przytłoczony gruzem, gdy wysiłki podźwignięcia maszyny spełzły na niczym, wyłączył system bezpieczników ograniczających dopuszczalną moc i w rezultacie pękły przewody od zbyt wysokiego ciśnienia oleju. Szyby w kabinie nie rozbił sam, mógł przecież wydostać się włazem udowym lub awaryjnym na grzbiecie. Raczej strzaskała się przy obwale, gdy wielkochód runął i pierwotnie leżał na płask. Na bok obrócił się w toku zmagania z masywem, który go przytłaczał. Trująca atmosfera wypełniwszy kabinę zabiłaby człowieka szybciej niż mróz. Jeśli tak, obwał nie zaskoczył nie przygotowanego. Gdy sklepiony gąszcz naparł z góry na maszynę, widząc, że nie ustoi, kierowca zdążył włożyć skafander. Tym samym został zdany na awaryjne sterowanie, bo pierwaj musiał ściągnąć z siebie elektroniczną skórę. Jego Diglator nie miał wysokocięplnego promiennika, więc uczynił jedyną rozsądną rzecz, dobrze

o nim świadcząca. Wziął narzędzia, wpełził do maszynowni i stwierdziwszy, że nie uda mu się naprawić hydrauliki, bo popękało zbyt wiele rurociągów i wyciek okazał się też nadto wielki, odłączył przekładnie lokomocyjne od reaktora i wrzucił go na całą prawie moc. Wielkocłod uznał słusznie za stracony, ale żar nuklearnego stosu, choćby przepalał wnętrze siłowni, albo raczej właśnie przez to, że je rozgrzał do czerwoności, wydzielał się przez pancerny kadłub i roztopiał tym samym górę gruzowiska. Tak powstała owa jaskinia z zeszkłonymi ścianami, świadcząc ich wyglądem o temperaturze bijącej z wraku. Angus sprawdził odtworzone wypadki, zbliżywszy do grzbietu kadłuba Geigery. Od razu zaterkotały ostro. Stos na szybkich neutronach już roztopił się od własnego żaru i pewno chłódł, ale zewnętrzny pancierz był i radioaktywny, i gorący. Kierowca opuścił więc swój wehikuł przez rozbite okno, porzucił bezwartościowe narzędzia i poszedł pieszo w las. Szukał jego śladów w rozlanym oleju, a nie znalazłszy żadnych, okrążył metalowego trupa wypatrując otworów w ścianach błyszczącej pieczary, dość obszernych, by przepuściły człowieka. Nie było takich nigdzie. Angus nie potrafił wyliczyć w głowie, ile czasu mogło upłynąć od katastrofy. Dwaj ludzie zginęli w lesie przed trzema dobowi, Pirx jakieś dwadzieścia do trzydziestu godzin później. Różnica w czasie jako zbyt nikła nie dawała podstaw do ustalenia, czy trafił na wrak któregoś z operatorów Graala, czy Pirxa. Stał, żywy w żelazie nad martwym żelastwem i z zimną rozważą zastanawiał się co począć. W którymś uchyłku tego wytopionego gorącym bąbla niechybnie ział przełaz, wykorzystany przez kierowcę, lecz się po jego odejściu zasklepił. Porcelanowa blizna powinna być dość cienka. Z Diglatora by jej nie wypatrzył. Unieruchomiwszy go, przebrał się jak mógł najszybciej w skafander, dudniąc po stopniach zbiegł do udowej klapy, osunął się po drabince na stopę i zeskoczył na szklisty grunt. Wytopiona w obwale jaskinia wydała mu się natychmiast znacznie większa, czy też raczej on sam jakby nagle zmałał. Obszedł ją dokoła — prawie sześćset kroków. Przybliżał hełm ku przejrzystszym miejscom, opukiwał je, było ich niestety wiele, a kiedy młotem, wziętym ze sterówki, jął kuć wnękę między isticie dębowymi filarami, trzasła jak szkło, a zarazem zaczął się nań sypać gruz ze sklepienia. Leciał ciurkiem, potem zatrzeszczało i oberwała się na niego istna chmura lekkich brył i szklanego pyłu. Zrozumiał wtedy, że to na nic. Tropów tamtego nie odnajdzie, a sam tkwi w nie najlepszej pułapce. Wyłom, przez który wstąpił w głąb nadtopionego obwału, już się zasklepił białymi soplami, już tężały jak słupy soli, ale nieziemskiej, bo rozkrzewiającej się grubszymi od ramienia splotami. Nie było rady. Co więcej, nie było i czasu na ostrożny rozmyśl, sklepienie siadało bowiem i omal już dotykało kopuły promiennika na barach jego wielkocłodu, jakby stawał się Atlasem dźwigającym na sobie cały ciężar skrzepłych w górę gejzerowych wytrysków. Sam nie spał, jak znalazł

się na powrót w kabinie, już nieznacznie pochylającej się razem z kadłubem, zginanym milimetr po milimetrze, jak wciągnął elektroniczny strój i przez mgnienie ważył jeszcze myśl, czy włączyć promiennik. Lecz tutaj we wszelkim poczynaniu tkwiło ryzyko nie do przewidzenia; nadtopiony strop mógł równie dobrze poddać się, jak runąć; odnalazł kilkoma krokami miejsce tuż przy czarnym wraku, z którego mógł wziąć rozpęd, i całą mocą taranował zamarzły wyłom, nie aby haniebnie uciec, lecz wydostać się ze szklistego grobowca. A potem się zobaczy, co dalej.

Siłownia zagrała turbinami. Wzdęta naciekami biel ściany zarysowała się, uderzona dwójgim stalowych garści, te czarniawe rysy poszły gwiaździcie w górę i na boki, a zarazem huknął zewsząd grom. To, co się stało, zaszło zbyt szybko, by nadażyć z rozumieniem. Poczul udar z wysoka tak potężny, aż otaczający go gigant wydał jeden basowy skowyt, zatoczył się, lecąc przez rozpękły wyłom jak kartka papieru, i wyrznął pod lawiną brył, stłuczek, miału tak nagle w grunt, że wbrew wszystkim amortyzatorom zawieszenia Parvisowi wnętrzości wbiły się wprost w gardło. Zarazem ostatnia faza runięcia była niesamowicie powolna: gruzy, zaścielające drogę, którą przyszedł, zbliżały się, widziane przez szyby, jakby nie on padał, lecz ta śnieżna gładź, bombardowana gradem ruin, stawała przed nim dęba; z piętrowych wyżyn zbliżał się ku tej bieli, okutanej obłokami kurzawy, aż poprzez wszystkie wręgi kadłuba, wyjące silniki, ich osady, ochronne płyny pancerza dotarł do niego ostatni, grzmiący cios. Leżał oślepy. Szyba nie pękła, lecz wryła się w hańdę gruzowiska, którego właściwą masę czuł na sobie, na grzbiecie Diglatora. Turbiny wyły już nie pod nim, lecz za nim na jałowych obrotach, bo w szczycie przeleżenia same się wysprzęgliły. Na czarnym jak sadza tle okna czerwono płonęły wszystkie wskaźniki. Powoli prawe zbladły, poszarzały, przeszły w seledyn, lecz te z lewej gasły już jeden po drugim jak stygnące kostki węgla. Spoczywał w porażonym lewostronnie wraku. Wraku — ruchom ręki i nogi z tej strony nie odpowiadało nic. Świecił tylko zarys drugiej symetrycznej połowy wielkochodu. Wciągając kurczowo powietrze, wyczuł w nim woń gorącego oleju: stało się. Czy można choć pełzać w połowicznie sparalizowanym Diglatorze? Spróbował. Turbiny posłusznie *unisono* od razu zagrały, lecz wtedy znów błysły purpurą ostrzeżenia. Obwał rzucił nim nie ze wszystkim do przodu, lecz wysuniętą przy padaniu bakburta, która wzięła na siebie pierwsza cały impet zderzenia. Oddychając głęboko, z rozmyślną powolnością, oślepy, włączył wewnętrzne oświetlenie i wyszukał awaryjny interocektor wielkochodu: żeby rozpoznać położenie wszystkich kończyn i kadłuba z pominięciem agregatów napędowych. Obrysowany zimnymi liniami wizerunek ukazał się od razu. Obie stalowe nogi szepiły się, a właściwie skrzyżowały; tak więc staw kolanowy lewej pękł. Lewa stopa zaszła za prawą, lecz

i tą nie mógł nawet drgnąć. Musiały tam wciąć się w siebie występy konstrukcji, a resztę zrobiło ciśnienie obwału. Zapach rozgrzanej cieczy z hydrauliki drażnił mu już natarczywie nozdrza i piekł. Raz jeszcze jął się szamotać, przełączywszy całą olejonośną sieć na daleko słabszy, awaryjny obwód. Darmo? Już coś rozgrzanego, śliskiego, miękko opływało mu stopy, golenie, uda — w białym brzasku świetlówek nad głową, leżąc na szybie, zobaczył wciekający do kabiny olej. Nie było innego wyjścia. Otworzył zatrzask, wysunął się z elektronicznej otuliny, klęcząc nago otworzył szafkę ściany, która obróciła się w strop, i aż stęknął pod skafandrem, co wypadł nań uderzając w pierś tlenowymi butlami, a za nim białą kulą spadł w kałużę oleju hełm. Trykoty ociekały płynem hydraulicznym. Bez wahania, nagi, w sztucznym spokojnym świetle, wlaź do skafandra, otarł nasadę hełmu, bo i ją otłuściło, nałożył go, ściągnął zaczepy i na czworakach polazł studnią, teraz już poziomą jak tunel, do udowego wjazdu.

Zarówno zwykły, jak awaryjny nie dały się odemknąć. Nikt nie wie, jak długo przebywał potem w kabinie, kiedy zdjął hełm i ułożywszy się na zaolejonej szybie, podniósł rękę ku czerwonemu światelku, żeby rozbić plastikową kopułkę i z całej siły wcisnąć w głąb przyszłości zakłęsły guzik witrifikatora. Nikt też nie może wiedzieć, co myślał i co czuł, gotując się na lodową śmierć.

NARADA

Doktor Gerbert siedział przy rozwartym na oścież oknie i wyciągnięty wygodnie, z nogami owiniętymi puszystym kocem, przeglądał oprawny w folię plik histogramów. W pokoju mimo białego dnia panował półmrok. Potęgował go strop czarny, jak uwędzony, krzyżowały się w nim grube, nasiąkłe żywicą dźwigary. Płasko wiązane płyty drzewa tworzyły posadzkę, ściany były utworzone z grubych bali. Przez okna widać było lesiste stoki Łowcy Chmur, dalej masyw Cracatalqa i pionowy obryw najwyższego ze wszystkich szczytu, podobnego do bawołu z ułamanym rogiem, który Indianie nazwali przed wiekami Wniebowziętym Kamieniem. Nad szarą od głazów doliną wznosiły się rozległe zbocza, w cieniu połyskujące lodem. Poprzez północną przełęcz ział błękit równin. W niesłychanej odległości wzbijała się tam w niebo wąska smużka dymu — ślad czynnego wulkanu. Doktor Gerbert porównywał ze sobą poszczególne zdjęcia, robiąc na niektórych znaki długopisem. Nie dochodził go najłżejszy szmer. Płomyki świec stały nieruchomo w chłodnym powietrzu. Ich blask wydłużał groteskowo kontur mebli ciosanych według staroindiańskich wzorów. Wielki fotel w kształcie ludzkiej szczęki rzucał na sufit makabryczne cienie zębatach poręczy, kończących się wywiniętymi kłami. Nad kominkiem uśmiechały się wycięte w drewnie bezokie maskary, a stolik obok Gerberta opierał się na zwiniętym wężu, którego głowa spoczywała na dywanie połyskując oczodołami. Czerwonawo szkliły się w nich półszlachetne kamienie.

Rozległ się daleki dźwięk dzwonka. Gerbert odłożył studiowane błony filmowe i wstał. Pokój przeistoczył się w mgnieniu oka. Stał się obszerną jadalnią. Stół pośrodku nie był nakryty obrusem. Na czarnych deskach świeciły srebra i jaspisowa zieleń zastawy. Przez rozwarte drzwi wjechał wózek, jakiego używają paralitycy. Spoczywał w nim mężczyzna tęgi, o twarzy mięsistej, z małym noskiem zagubionym niemal między policzkami. Miał na sobie skórzaną bluzę. Ukłonił się uprzejmie Gerbertowi, który usiadł przy stole. Równocześnie weszła chuda jak kij dama o czarnych włosach, przeciętych pośrodku pasmem

siwizny. Naprzeciw Gerberta zjawił się gruby, niski jegomość z apoplektyczną twarzą. Gdy służący w wiśniowej liberii obniósł pierwsze danie, wszedł jak ktoś spóźniony siwy mężczyzna z rozdwojonym podbródkiem. Zatrzymawszy się przy masywnym kominku z głazów między kredensami, grzał rozpostarte ręce nad ogniem, nim usiadł na miejscu wskazanym przez sparaliżowanego gospodarza.

— Czy pana brat nie wrócił jeszcze z wycieczki? — spytała chuda kobieta.

— Pewno siedzi na Zębie Mazumaca i patrzy w naszą stronę — odrzekł spytany, który wtoczył się fotelem w przerwę między krzesłami, umyślnie dla niego pozostawioną.

Jadł szybko, z dużym apetytem. Poza tym odezwaniam się obiad upłynął w milczeniu. Gdy służący nalał ostatnią czarkę kawy, której aromat mieszał się ze słodkawym dymem cygar, chuda kobieta odezwała się ponownie:

— Vanteneda, musi pan nam dziś opowiedzieć dalszy ciąg tej historii o Oku Mazumaca.

— Tak, tak — powtórzyli wszyscy.

Mondian Vanteneda, trochę odęty, splótł palce na grubym brzuchu. Potem obrzucił wszystkich spojrzeniem, jakby zamykając krąg słuchaczy. Dogasająca kłoda trzasnęła na kominku. Ktoś odłożył widelec. Brzęknęła łyżeczka i nastąpiła cisza.

— A na czym skończyłem?

— Na tym, jak don Esteban i don Guilielmo, poznawszy legendę o Cratapulau ruszyli w góry, aby dostać się do Doliny Czerwonych Jezior...

— Przez cały czas wędrówki — zaczął Mondian, poprawiwszy się w swym wózku — obaj Hiszpanie nie spotkali żadnego człowieka ani zwierzęcia i słyszeli tylko niekiedy skwiry szybujących orłów, czasem zaś przeleciał nad nimi sęp. Po wielu wysiłkach udało im się wejść na grań Martwej Ręki. Ujrzeni wówczas przed sobą wysoki grzbiet, podobny do kadłuba konia, który staje dęba, z niekształtnym łbem przewieszonym w niebo. Jego szyję ostrą jak szyja konia owiewała mgła. Wówczas don Esteban przypomniał sobie dziwne słowa starego Indianina z nizin: "strzeżcie się grzywy Czarnego Konia". Obaj naradzili się, czy mają iść dalej, don Guilielmo miał, jak pamiętacie, wytatuowany na przedramieniu szkic orientacyjny łańcucha górskiego. Zapasy kończyły im się już, choć szli dopiero szósty dzień. Zjedli więc resztki solonego, wyschłego na powróż mięsa i zaspokoili pragnienie przy źródelku, które wytryska pod Ściętą Głową. Nie mogli jednak zorientować się w okolicy, gdyż wytatuowana mapa była niedokładna. Przed zachodem słońca mgły zaczęły się wznosić na podobieństwo przybierającego morza. Ruszyli w górę, wspinając się na grzbiet Konia, ale choć szli tak szybko, że krew rozdzwoniła im się w głowach, a w usta łapali oddech jak

zdychające zwierzęta, mgła była szybsza i doгнаła ich na samej szyi Konia. W tym miejscu, gdzie objął ich biały całun, grań zwięza się i nie jest szersza od trzonka maczety. Gdy więc nie mogli dalej iść, siedli na grani okrakiem, właśnie tak, jak się siada na konia, i zewsząd otoczeni nieprzeniknioną, wilgotną bielą poruszali się aż do zapadnięcia ciemności. Gdy zupełnie opadli z sił, grań się skończyła. Nie wiedzieli, czy to jest obryw przepaści, czy też owo zejście w Dolinę Siedmiu Czerwonych Jezior, o którym opowiadał im stary Indianin. Przesiedzieli więc całą noc, wzajemnie podtrzymując się plecami, wsparci o siebie, grzejąc się własnymi ciałami i opierając się nocnemu wiatrowi, który gwizdał o grań jak nóż o kamień. Zdrzemnięcie groziło upadkiem w czeluść, nie zmrużyli więc oczu przez siedem godzin. Potem wzeszło słońce i rozbiło mgły. Ujrzeli, że skała ucieka im spod nóg tak pionowo w dół, jakby siedzieli na szczycie muru. Przed nimi ziała ośmiostopowa wyrwa. Mgły targały się na strzępy o szyję Konia. Poznali wtedy w oddali czarną Głowę Mazumaca i ujrzeli bijące w górę słupy czerwonych dymów, pomieszane z białymi obłokami. Krwawiąc sobie ręce zeszli wąskim wąwozem i dotarli do górnego kotła Doliny Siedmiu Czerwonych Jezior. Tutaj jednak opuścił Guilielma ostatek sił. Don Esteban wszedł pierwszy na półkę skalną wiszącą nad otchłanią i prowadził towarzysza za rękę. Szli tak, aż natrafili na osypisko, na którym mogli spocząć. Słońce wzeszło wysoko i Głowa Mazumaca zaczęła pluć w nich bryłami gładów, odpryskującymi od przewieszek. Uciekli więc w dół. Gdy Głowa Konia wisiała nad nimi tak mała jak piątka dziecka, zobaczyli pierwsze Czerwone Źródło w obłoku rudawych pian. Wówczas don Esteban dobył zza pazuchy pęk rzemieni, wygarbowanych na kolor drzewa akantu, których frędzle pomalowane czerwono były pozwijane w liczne węzły. Przesuwał po nich długo palcami, odczytując indiańskie pismo, aż odgadł właściwą drogę.

Otworzyła się przed nimi Dolina Milczenia. Szli jej dnem po ogromnych gładach, między którymi ziały szczeliny bez dna.

— Czy jesteśmy już blisko? — spytał Guilielmo szeptem, gdyż głos nie mógł mu się wydobyć ze spieczonego gardła.

Don Esteban dał mu znak milczenia. W pewnej chwili Guilielmo potknął się i potracił kamyk, który pociągnął za sobą inne. Na odzew tego głosu pionowe ściany Doliny Milczenia zadymiły, pokrył je srebrny obłok i tysiące wapiennych maczug runęło w dół. Don Esteban, który przechodził właśnie pod wysklepioną nawieszką, wciągnął przyjaciela pod to przykrycie, gdy druzgocąca lawina dopadła ich i przeszła jak burza dalej. Po minucie nastąpiła cisza. Don Guilielmo miał głowę okrwawioną odpryskiem gładu. Jego towarzysz zdarł z grzbietu koszulę, porwał ją na pasy i przewiązał mu czoło. Wreszcie, gdy dolina stała się tak wąska, że niebo nad nimi nie było szersze od rzeki, ujrzeli spływający po gładach bez

najsłabszego szmeru potok, którego woda, jasna jak oszlifowany diament, wpadała do podziemnego koryta. Musieli teraz wejść po kolana w strumień bystry i lodowaty. Podcinał im nogi z okrutną siłą. Niebawem jednak wody skręciły w bok i stanęły na suchym żółtym piasku przed pieczarą o licznych oknach. Don Guilielmo pochylił się osłabły i zauważył, jak dziwnie lśni ten piasek. Garść, którą podniósł do oczu, była niezwykle ciężka. Przybliżył rękę do ust i zgryzł to, co mu wypełniało dłoń. Poznał, że jest pełna złota. Don Esteban wspominał słowa Indianina i rozejrzał się po grocie. W jednym jej kącie błyszczał pionowy, zastygły, zupełnie nieruchomy płomień. Był to blok wypolerowanego wodą kryształu, nad którym ział w skale otwór. Prześwitywało przezeń niebo. Podeszedł do przezroczystej bryły i zajrzał w jej głąb. Kształtem przypominała olbrzymią, wbitą w grunt trumnę. Zrazu widział w głębi tylko miliardy ruchomych płomyków, oszałamiające wirowisko srebra. Potem wydało mu się, że wszystko wokół ciemnieje i dostrzegł wielkie, rozchylające się płyty kory brzozej. Gdy znikły, ujrzał, jak z samego środka lodowej bryły ktoś nań patrzy. Była to miedziana twarz pełna ostrych zmarszczek, o oczach wąskich jak klinga. Im dłużej patrzył, tym wyraźniej rósł w niej zły uśmiech. Z przekleństwem uderzył w głaz sztyletem, lecz ostrze ześliznęło się bezsilnie. Zarazem miedziana twarz wykrzywiona śmiechem znikła. Ponieważ don Guilielmo zdawał się gorączkować, jego towarzysz zachował tajemnicę widzianą dla siebie.

Ruszyli dalej. Grota rozpościerała się siecią korytarzy. Wybrali najszerszy i zapaliwszy przyniesione pochodnie, ruszyli w głąb. W pewnym miejscu czarną paszczą otworzył się w chodniku boczny korytarz. Buchało stamtąd powietrze gorące jak ogień. Musieli przebyć to miejsce skokiem. Dalej korytarz zacieśniał swoją gardziel. Jakiś czas szli na czworakach, wreszcie dotarli do przejścia tak ciasnego, że musieli pełzać. Potem prześwit nagle się zwiększył. Mogli klęknąć. Gdy ostatnia pochodnia dopalała się, grunt zachrząścił im pod stopami. Rzucąca jeszcze trochę blasku pod ich stopy. Klęczeli na żwirowisku brył czystego złota. Ale i tego było im nie dość. Poznawszy Usta Mazumaca i jego Oko, pragnęli zobaczyć także jego Trzewia. Don Esteban szepnął w pewnej chwili do towarzysza, że coś widzi. Guilielmo daremnie wyzierał mu przez ramię.

— Co widzisz? — spytał.

Estebanowi koniec płonącego smolaka parzył już palce. Powstał nagle: ściany odeszły gdzieś, był tylko wielki mrok, w którym pochodnia drażyła czerwonawą grootę. Guilielmo widział, jak towarzysz postępuje naprzód, a płomień w jego ręku chwieje się, rzucając olbrzymie cienie.

Nagle w głębi zamajaczyła widmowa olbrzymia twarz, odwrócona oczami w dół, zawieszona w powietrzu. Don Esteban krzyknął. Był to krzyk straszliwy, ale Guilielmo

zrozumiał słowa. Towarzysz jego wzywał Jezusa i jego Matkę, a tacy ludzie jak Esteban wołają te słowa tylko twarzą w twarz ze śmiercią. Gdy rozległ się krzyk, Guilielmo zakrył twarz rękami. Potem zagrzmiało, owiał go płomień i stracił przytomność.

Mondian Vanteneda pochylił się do tyłu i milcząc patrzył gdzieś między siedzących, ciemny na tle okna, którego kontur przecięty piłą gór liliowiał w narastającym zmierzchu.

— W górnym biegu Araquerity Indianie polujący na rogate wyłowili białego człowieka, który do barków miał przyczepioną wydętą powietrzem bawołą skórę. Plecy jego były rozcięte, a żebra wyłamane w tył na kształt skrzydeł. Indianie obawiając się wojsk Corteza usiłowali spalić zwłoki, jednakże o ich osiedle zawadziła konna sztafeta Ponterona zwanego Jednookim. Trupa zawieziono do obozu i rozpoznano don Guilielma. Don Esteban nie wrócił nigdy.

— A więc skąd jest znana ta cała historia?

Głos ten rozległ się jak zgrzyt. Wszedł służący z kandelabrem. W świetle ruchliwych płomyków ukazała się twarz pytającego, cytrynowa, o bezkrwistych wargach. Uśmiechał się uprzejmie.

— Powtórzyłem na początku opowieść starego Indianina. Mówił on, że Mazumac widzi wszystko przez swoje oko. Wyrażał się może nieco mitologicznie, ale w zasadzie miał rację. Był to początek szesnastego wieku i niewiele wiedzieli Europejczycy o możliwościach wzmożenia siły wzroku, jakie dają szlifowane szkła. Dwa olbrzymie kryształy górskie, nie wiadomo, czy stworzone siłami natury, czy też obrobione ludzką ręką, stały na Głowie Mazumaca i w grocie Trzewi tak, że patrząc w jeden, widziało się wszystko w otoczeniu drugiego. Był to niezwykły peryskop, utworzony z dwu lustrzanych pryzmatów, oddalonych od siebie o trzydzieści kilometrów. Indianin, który stał na szczycie Głowy, widział obu świętokradców wstępujących w Trzewia Mazumaca. Być może nie tylko widział, ale mógł spowodować ich zgubę.

Mondian wykonał szybki ruch ręką. Na stół w krąg pomarańczowego światła padł pęk rzemieni, związanych u jednego końca w gruby węzeł. Skórę o spelzłej farbie cechowały głębokie nacięcia. Zaszeleściła padając, tak była wyschła i stara.

— Był więc ktoś — kończył Vanteneda — kto śledził wyprawę i pozostawił jej opis.

— A więc pan zna drogę do pieczary złota?

Uśmiech Mondiana stawał się coraz obojętniejszy, jakby wraz z niknącymi za oknem szczytami odpływał w lodowatą, milczącą górską noc. — Ten dom stoi właśnie u wejścia do Ust Mazumaca. Gdy wymówiło się w nich słowo, Kotliny Milczenia powtarzała je potężnym grzmotem. Był to naturalny kamienny głośnik, tysiąc razy silniejszy od elektrycznych.

— Jak to...?

— Tafelę lustrzaną trafił przed wiekami piorun, roztopiając ją w kupę kwarcu. Kotlina Milczenia to właśnie ta, na którą wychodzą nasze okna. Don Esteban i don Guilielmo przybyli od strony Bramy Wiatrów, ale Czerwone Źródła dawno już się wyczerpały i głoś nie strąca kamieni, widocznie dolina była rezonatorem i pewne dźwiękowe drgania wywoływały obluźnienie osady wapiennych iglic. Pieczarę zamknął wstrząs podziemny. Był tam gład wiszący, który jak klin odsuwał od siebie dwie skalne ściany. Wytrąciło go z łoża wstrząśnienie, a ściany zwały się na zawsze. Co się stało później, gdy Hiszpanie usiłowali sforsować przesmyk, kto strącił kamienną lawinę na kolumnę pieszych Corteza — nie wiadomo. Myślę, że nikt tego nie będzie nigdy wiedzieć.

— No, no, drogi Vantededa, skały można rozsadzić, przebić maszynami, wodę wypompować z podziemi — nieprawdaż? — przemówił gruby, niski jegomość przy końcu stołu. Palił cienkie cygaro ze słomką.

— Sądzi pan?

Mondian nie ukrywał ironii.

— Nie ma takiej siły, która rozwarłaby Usta Mazumaca, jeśli On sobie tego nie życzy — powiedział odpychając się gwałtownie od stołu. Podmuchał zgasił dwie świece. Inne paliły się błękitnym płomieniem, a płatki kopciucha polatywały nad nimi jak małe ćmy. Wsunął pomiędzy 1 warze swoją owłosioną rękę, chwycił ze stołu pęk rzemieni i na miejscu skrzył wózką z taką siłą, aż zaświszczała guma kół. Obecni wstali i zaczęli wychodzić. Doktor Gerbert siedział wciąż zapatrzony w ruchliwy płomień świecy. Z otwartego okna ciągnął lodowaty powiew. Wzdrygnął się od przejmującego chłodu, zwrócił oczy ku służącemu, który wniósł i złożył przed kratą kominka, wytrawioną ogniem na błękitny kolor, ciężkie naręcze polan. Umiejętnie rozrzucił żar i budował nad nim kunsztowny dach z bierwion, gdy ktoś otworzył drugie drzwi i dotknął framugi. Całe wnętrze znów się przeistoczyło w okamgnieniu. Kominek z chropawych gładów, służący u paleniska, krzesła o rzeźbionych oparciach, lichterze, świece, okna i górskie noc za nimi znikły w równym matowym świetle; zniknął też rozległy stół z zastawą i w białej, niewielkiej sali pod obłą wklęsłym, gładkim stropem został tylko Gerbert na jedynym krześle, przed kwadratową płytą z jego talerzem i nie dojedzoną pieczenia: tylko ta część stołu ocalała.

— Bawisz się? Teraz? W stare bajędy? — pytał przybyły, który zgasiwszy widowisko, nie bez trudu pozbywał się rozdętej, przejrzystej folii, okrywającej jego mszysty kombinezon, zapięty aż po szyję. Rozdarł wreszcie folię, nie mogąc z niej wyswobodzić nóg w lśniących jak metal butach, odrzucił zmiętą i przesunął kciukiem po piersi, od czego kombinezon

rozwarł się szeroko. Był młodszy od Gerberta, niższy, o nagiej muskularnej szyi nad koszulką bez kołnierza.

— Jest dopiero pierwsza. Umówiliśmy się na drugą — a histogramy i tak znam na pamięć.

Gerbert podniósł ich plik, jakby odrobinę zmieszany. Tamten rozpiął grube cholewki butów, poczłapał ku metalowej listwie biegnącej wzdłuż ścian i tak szybko, jakby puszczał pod palcami talię kart, wywoływał kolejno holograficzne widma biesiady, mknącej wstecz, równiny z grupą stromych wapiennych iglic, białych w świetle księżyca jak upiorny szkielet nietoperza, osłonecznionej dżungli z barwnym trzepotem motyli wśród lian, wreszcie piaszczystej pustyni z wysokimi kopcami termitów. Zjawiały się zawsze naraz, otaczały ich i ginęły przepływając w następne. Gerbert czekał cierpliwie, aż jego koledze znudzi się ów przegląd. W migotliwej zmianie blasków i barw, z tęczką histogramów w ręku, był już myślami daleko od widowiska, którym chciał może stłumić wewnętrzny niepokój.

— Czy zaszła jakaś zmiana...? — spytał wreszcie. — Co?

Młodszy kolega po fachu przywrócił salce jej ascetyczny wygląd i ze spoważniałą twarzą bąknął trochę niewyraźnie:

— Nie. Nic się nie odmieniło. Tylko Arago prosił mnie, żebyśmy zaszli do niego przed naradą.

Gerbert zamrugnął jak niemile zaskoczony tymi słowami.

— I co mu powiedziałeś?

— Że przyjdziemy. Co tak patrzysz? Nie w smak ci ta wizyta?

— Zachwycony nie jestem. Nie mogłeś mu odmówić. Jasne. Ale i bez teologicznej domieszki mamy paskudny problem. Czego on chce od nas? Mówił coś?

— Nic. To nie tylko przyzwoity, ale i mądry człowiek. I dyskretny.

— Więc da nam dyskretnie do zrozumienia, że jesteśmy kanibalami.

— Nonsens. Zresztą nie idziemy na żaden sąd. Wzięliśmy ich na pokład po to, żeby ich ożywić. On też to dobrze wie.

— I to z krwią także?

— Pojęcia nie mam. Czy to takie straszne? Transfuzje robiło się przez dwieście lat.

— W jego oczach to nie będzie transfuzja, tylko profanacja zwłok — co najmniej. Okradanie trupów.

— Którym i tak już nic nie pomoże. Transplantacje są też stare jak świat. Religie — nie znam się na tym, w każdym razie jego kościół się temu nie sprzeciwiał. A w ogóle — skąd ci się zebrało nagle na skrupuły wobec duchownego, zakonnika? Dowódca zgodzi się i

większość, jeśli nie wszyscy. Arago nie ma nawet prawa głosu. Leci z nami jako obserwator watykański czy apostołski. Jako pasażer i widz.

— Niby tak, Wiktorze. Ale histogramy okazały się fatalną niespodzianką. Nie należało dopuścić do zabrania tych zwłok na "Eurydykę". Byłem temu przeciwny. Dlaczego nie przewieziono ich na Ziemię?

— Sam wiesz — tak się złożyło. A poza tym uważałem, że jeżeli w ogóle komukolwiek, to właśnie im należy się nasz lot.

— I dużo im z niego przyjdzie, skoro w najlepszym wypadku uda się reanimować jednego kosztem tamtych. Wiktor Terna patrzył na Gerberta okrągłymi oczami.

— Co się z tobą dzieje? Opamiętaj się. Czy to nasza wina? Na Tytanie nie było warunków umożliwiających diagnozę. Tak czy nie? Gadaj zaraz. Chcę wiedzieć, z kim właściwie mam iść do tego dominikanina. Nawróciłeś się na wiarę praojców? Widzisz w tym, co musimy zrobić — czego musimy żądać — coś złego? Grzech?

Gerbert, dotąd spokojny, pohamował krótkie wzburzenie.

— Doskonale wiesz, że będę żądał tego samego, co ty i prymariusz i znasz moje poglądy. Rezurekcja nie jest żadnym złem. Zło tkwi w tym, że z dwóch zdalnych do reanimowania ożywić da się tylko jednego i że nikt za nas nie zadecyduje o wyborze... Szkoda mitręgi. Chodź. Chcę to mieć za sobą.

— Muszę się przebrać. Zaczekasz na mnie?

— Nie. Pójdę sam. Przyjdź tam, do niego. Który to pokład?

— Trzeci środkowego członu. Będę za pięć minut.

Wyszli razem, lecz wsiedli do różnych wind. Gerbert pomknął w owalnym srebrnym wnętrzu, dotknąwszy właściwych cyfr. Jajowaty pojazd wyhamował miękko, wklęsła ścianka rozwarła się spirala jak fotograficzna przesłona. Naprzeciw, w bezzródłowej poświacie, biegły szeregi wklęsłych drzwi o wysokich progach jak na dawnym okręcie. Odnalazł drzwi z 84 numerem, z małą tabliczką "R.P. Arago, MA., DP. DA." Nim zdążył rozważyć, czy pod literami D.A. kryje się Delegat Apostoński, czy Doctor Angelicus — myśl była tyleż głupia, co nie na miejscu — drzwi się rozsunęły. Wszedł do przestronnej kajuty, z wszech stron ujętej w regały z książkami za szkłem. Na dwu przeciwległych ścianach znajdowały się obrazy w jasnych ramach, sięgające od stropu do podłogi. Po prawej widniało *Drzewo Wiadomości* Cranacha z Adamem, wężem i Ewą, po lewej *Kuszenie świętego Antoniego* Boscha. Nim przyjrzał się dziwotworom, płynącym po niebie tego *Kuszenia*, Cranach wessany za biblioteczne półki utworzył przejście, w którym pojawił się Arago w białym habicie, i nim obraz wrócił na swoje miejsce jako drzwi, lekarz dostrzegł za postacią

dominikanina czarny krzyż na białym tle. Przywitani się uściskiem ręki i siedli za niskim stołem, zavalonym chaotycznie papierami, wykresami i mnóstwem otwartych tomów, z których wystawały kolorowe zakładki. Arago miał szczupłą, prawie śniadą twarz o szarych przenikliwych oczach pod niemal białymi brwiami. Habit zdawał się zbyt nań obszerny. W ścięgniętych rękach pianisty trzymał zwykły drewniany metr. Gerbert od niechcenia powiódł wzrokiem po grzbietach starych książek. Nie miał ochoty odezwać się pierwszy. Oczekiwał pytań, które nie padły.

— Doktorze Gerbert, nie równam się z panem wiedzą. Mogę się jednak porozumiewać z panem w języku Eskulapa. Byłem psychiatrą, nim przywdziałem ten strój. Naczelnny lekarz udostępnił mi dane... tej operacji. Ich wymowa jest perfidna. Ze względu na niezgodność grup krwi i tkanek, w grę wchodzi dwaj ludzie, lecz obudzić może się tylko jeden.

— Albo żaden — wyrwało się Gerbertowi nieomal wbrew woli. Pewno przez to, że zakonnik wyminął właściwszy termin: wskrzeszenia z martwych. Dominikanin pojął to w lot.

— *Distinguo* ważne dla mnie, dla pana zapewne się nie liczy. Dysputa na eschatologicznym pułapie jest bezprzedmiotowa. Ktoś jak ja, na moim miejscu, mówiłby, że prawdziwie martwy jest człowiek w rozkładzie — po zejściu w ciele nieodwracalnych zmian. I że takich spoczywa na okręcie siedmiu. Wiem, że ich szczątki przyjdzie naruszyć i rozumiem konieczność, której nie mam prawa aprobować. Od pana, doktorze, i od pańskiego przyjaciela, który tu zaraz się zjawi, chcę odpowiedzi na jedno pytanie. Możecie mi jej odmówić.

— Słucham — odpowiedział Gerbert, czując, jak cierpnie.

— Niechybnie domyśla się pan. Chodzi o kryteria wyboru.

— Terna nie powie panu nic innego niż ja. Nie dysponujemy żadnymi obiektywnymi kryteriami. A pan — zaznajomiwszy się z danymi — też to wie... ojciec Arago.

— Wiem. Ocena szans jest ponad siłę ludzką. Medykomy wykonawszy iks bilionów obliczeń, dały dwóm spośród dziewięciu tych ludzi szansę dziewięćdziesiąt dziewięć procent, z odchyleniem wewnątrz granicy nieusuwalnego błędu — jako szansę w alternatywie. Obiektywnych kryteriów nie ma i właśnie dlatego śmiem pytać o wasze.

— Stoją przed nami dwie sprawy — z niejaką ulgą odparł Gerbert. — Jako lekarze będziemy razem z naczelnym żądali od dowódcy określonych zmian w nawigacji. Niechybnie ojciec będzie tu po naszej stronie?

— Nie mogę uczestniczyć w głosowaniu.

— Tak. Ale postawa zajęta przez ojca może mieć wpływ...

— Na wynik tej narady? Toż on już jest przesądzony. Nie dopuszczam myśli, by powstała jakaś opozycja. Większość opowie się “za”. A dowódca ma w rękę ostateczną decyzję i zdziwiłbym się, gdyby jej nie znali lekarze.

— Będziemy żądać więcej zmian niż w pierwszym ustaleniu. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent to nie jest dla nas dosyć. Ważne jest każde następne miejsce po dziesiątym przecinku. Energetyczny koszt razem ze zwłoką ekspedycji będzie ogromny.

— To dla mnie nowość. A... druga sprawa?

— Wybór zwłok. Jesteśmy najzupełniej bezradni, ponieważ wskutek skandalicznych zaniedbań, którym radiowcy nadali bardziej elegancką nazwę przeciążenia kanałów łączności, nie możemy ustalić nazwisk ani funkcji, ani życiorysów, tych ludzi. W rzeczywistości zaszło coś więcej niż niedbalstwo. Biorąc na przykład te kontenery, nie wiedzieliśmy, że zarówno pamięć starych agregatów tej kopalni — Graala — jak i maszyn cyfrowych w Roembdenie uległa znacznemu zniszczeniu w toku robót demontażowych. Osoby odpowiedzialne za los tych, których dowódca z naszą zgodą wziął na pokład, oświadczyły, że dane można uzyskać z Ziemi. Nie wiadomo tylko, kto, kiedy, komu dał takie zlecenia — wiadomo, że wszyscy, by tak rzec, umyli ręce.

— Tak bywa, kiedy kompetencje znacznej liczby ludzi zachodzą na siebie. Co nie jest niczym usprawiedliwieniem...

Zakonnik urwał, spojrzał Gerbertowi w oczy i cicho powiedział:

— Pan był przeciwny wzięciu ofiar na statek? Gerbert niechętnie skinął głową.

— W rozgardiaszu przed startem żaden pojedynczy głos, do tego lekarza, a nie biegłego astronauty, nie mógł zaważyć. Jeśli byłem przeciwny, żywiąc pewne obawy, nie jest mi od tego teraz lżej.

— Więc jakże? Na co zamierzacie się zdać? Na rzut kością?

Gerbert nastroszył się.

— Wybór nie będzie zależał od nikogo poza nami — po naradzie, jeśli nasze żądania zostaną spełnione w zakresie czysto technicznym. Nawigacyjnym. Przeprowadzimy ponowną obdukcję oraz przetrząśniemy do ostatniego włoska i zmiotka całą zawartość witryfikatorów.

— Jaki wpływ na wybór reanimowanego może mieć jego identyfikacja?

— Może żadnego. Nie będzie to w każdym razie cecha, jakość, istotna w obrębie medycyny.

— Ludzie ci — zakonnik ważył ostrożnie słowa, mówiąc powoli, jakby stąpał po coraz cieńszym lodzie — zginęli w tragicznych okolicznościach. Jedni wykonując zwykłe obowiązki, jako pracownicy tych kopalń czy zakładów. Inni, idąc tamtym na ratunek. Czy

dopuszcza pan takie zróżnicowanie — gdyby się powiodło — jako kryterium?

— Nie.

Odpowiedź padła natychmiast i kategorycznie. Ściana książek przed siedzącymi rozsunała się, wszedł Terna i przeprosił za spóźnienie.

Zakonnik wstał. Wstał również Gerbert.

— Dowiedziałem się wszystkiego, co możliwe — powiedział Arago. Był wyższy od obu lekarzy. Za jego plecami Ewa zwracała się do Adama, wąż wpełzał na drzewo raju. — Dziękuję panom. Przekonałem się o tym, co winienem wiedzieć i tak. Nasze fuchy się stykają. Nie osądzamy nikogo podług zasług i win, tak samo jak wy nikogo wedle tych różnic nie ratujecie. Nie zatrzymuję: już czas na panów. Zobaczymy się przy naradzie.

Wyszli. Gerbert w kilku słowach streścił Ternie rozmowę z obserwatorem apostolskim. W doskonale okrągłym rozbiegu korytarzy wsiedli do jajowatego, matowosrebrnego wehikułu. Właściwy szyb otworzył się i wchłonął bezkołowy pojazd z przeciągłym westchnieniem. W okrągłych oknach zamigotały światła mijanych pokładów. Siedząc naprzeciw siebie, milczeli. Obaj, nie wiedząc czemu, czuli się dotknięci sentencją, którą zakonnik podsumował spotkanie. Wrażenie to było jednak zbyt nieokreślone, by warto je analizować przed tym, co ich czekało.

Sala obrad mieściła się w piątym członie "Eurydyki". Statek, gdy oglądany w locie z dali, przypominał długą, białą gąsienicę o kulisto wypukłych segmentach, i to gąsienicę skrzydlatą, gdyż z jej boków wychodziły płaty, zakończone kadłubami hydroturbin. Łeb "Eurydyki", spłaszczony, okalały jak czułki czy zuwaczki kolce mnóstwa anten. Kuliste człony, złączone z sobą krótkimi cylindrami trzydziestometrowej średnicy, sprzęgał i usztywniał podwójny kil wewnętrzny, gdy kosmiczny okręt przyspieszał, szedł pełnym chodem lub hamował. Silniki, zwane hydroturbinami, w istocie były termonuklearnymi reaktorami typu strumieniopływowego, a za paliwo służył im wodór wysokiej próżni.

Napęd ten okazał się lepszy nawet od fotonowego. Sprawność jądrowych paliw u przyświeatlnych chyżości spada, gdyż lwią część kinetycznej energii unosi z sobą płomień odrzutu, beżużytecznie bijący w próżnię, i tylko drobny ułamek wyzwalonej mocy udziela się rakiecie. Z kolei, napęd fotonowy, więc świetlny, wymaga obciążenia statku milionami ton materii i antymaterii jako anihilacyjnego paliwa. Natomiast silniki strumieniowo-przepływowe biorą za paliwo międzygwiezdny wodór. Jego wszechobecne atomy są jednak tak rozproszone w galaktycznej próżni, że efektywną dzielność rozwijają silniki takiego typu dopiero powyżej 30000 kilometrów prędkości na sekundę, a pełną wydajność zyskują przy zbliżaniu do biegu światła. Toteż statek z podobnym napędem nie może ani sam wystartować

z planety, gdyż jest po temu zbyt masywny, ani sam rozpędzić się do chwili, gdy wpadające we wloty reaktorów atomy zagęszczają się dostatecznie dla zapłonu. Ziejące pustką wlotowe tuleje gnają wówczas tak, że i najwyższa kosmiczna próżnia wpycha — taranowana — dość wodoru w ich gardziele, by w komorach ogniowych rozbłysły sztucznie wzniecone strugi słońca; współczynnik użytecznej dzielności rośnie i statek, nie obciążony własnymi zapasami paliwa, może mknąć ze stałym przyspieszeniem. Po niespełna roku akceleracji, odpowiadającej ciężeniu ziemskiemu, osiąga niemal dziewięćdziesiąt dziewięć procent prędkości światła i gdy na jego pokładzie płyną minuty, na Ziemi mijają dziesiątki lat.

“Eurydykę” budowano na orbicie wokół Tytana, gdyż miał służyć za jej startową platformę. Wiele bilionów masy tego księżycy obróciły konwencjonalne stosy termojądrowe w energię dla przetwornic, a one z kolei, jako laserowe wyrzutnie, uderzyły słupami spójnego światła w gigantyczną rufę “Eurydyki”, jak prochowe gazy wewnątrz armatniej lufy w dno granatu. Księżyc przyszło pierwiej odrzec, pracami astroinżynieryjnymi, z jego gęstej atmosfery; wybudować na nim zakłady radiochemiczne i siłownie hydronuklearne na płycie równikowego kontynentu, po roztopieniu jej gór kumulatywnymi udarami żaru, z satelitów jednorazowego użycia. Ich salwy obróciły wielki masyw górotworu w lawę, a kriobalistyczne bomby wspomogły mróz, by to czerwono rozplawione morze ścięło się w twardą, gładką równinę sztucznego Mare Herculaneum. Na dwunastu tysiącach kwadratowych mil jego równiny wyrósł las miotaczy laserowych, rzeczywisty Herkules ekspedycji. W krytycznym dniu i sekundzie dał ognia, aby zepchnąć “Eurydykę” z jej stacjonarnej orbity. Wydłużany słup spójnego światła parł rufowe zwierciadła okrętu poza Układ Słoneczny. W miarę jak rozpędzający go promień słabł, statek wspomagał się własnymi boosterami, gubiąc ich kolejno wypalone baterie już poza Plutonem. Tam dopiero zagrały jego rozdzielone w próżnię hydrosilniki.

Ponieważ miały pracować przez całą drogę, statek przyspieszał jednostajnie, przez co panowało na nim ciężenie równe ziemskiemu. Działo w długiej osi, i tylko w niej. Dlatego każdy kulisty człon “Eurydyki” był osobną jednostką. Pokłady biegły w nim w poprzek kadłuba od burty do burty, iść w górę znaczyło zbliżyć się do dziobu, a w dół — do rufy. Gdy cały okręt hamował lub zmieniał kursy, oś napędu odchyłała się od osi poszczególnych kulistych dzwon. Przez to stropy stawałyby się ścianami, a przynajmniej pokłady kładłyby się na boki. Aby tego uniknąć, każdy segment kadłuba zawierał w sobie kulę zdolną do obrotów w pancерnej otulinie jak w toczonym łożysku. Żyrostatory dbały o to, by wszystkie pokłady każdej kuli kadłuba — było ich osiem, mieszkalnych siła odrzutu zawsze trafiała w pionie. Podczas manewrów tego rodzaju pokłady poszczególnych kul odchyłały się od głównej

kilowej osi statku. Aby i wtedy można przechodzić z jednych segmentów do innych, otwierał się tunelowy system dodatkowych śluz, zwanych ślimacznicami. Tylko wtedy jadący owymi tunelami odczuwali zmiany lub brak ciężenia, gdy ich winda biegła przez międzyczołowe odcinki kadłuba.

Gdy przyszło do walnej narady, pierwszej po starcie, "Eurydyka" miała przed sobą prawie rok ciągłej akceleracji, więc nic nie naruszało w niej ustalonego ciężenia.

Zgromadzeniom całej załogi służył piąty człon zwany parlamentem. Pod wklęsłym pułapem leżał niezbyt wysoki amfiteatr, sala, którą obiegały cztery rzędy ław, przeciętych w równych odstępach pochyłymi przejściami. Pod jedyną płaską ścianą ciągnął się długi stół, właściwie blok zespolonych pulpity z monitorami. Za nim, zwróceniu ku obecnym, zajmowali miejsca nawigatorzy z podwładnymi specjalistami.

Osobliwości wyprawy utworzyły szczególny skład dowództwa. Lotem zawiadywał Bar Horab, mocą główny dyspozytor Khargner, łącznością radiofizyk De Witt, a na czele gremium naukowców, zarówno przydatnych w samej podróży, jak tych, co mieli wejść w akcję dopiero u celu, stał polistor Nomura.

Kiedy Gerbert i Terna weszli na górną galerię, obrady już się zaczęły. Bar Horab odczytywał zebranych postulatów lekarzy. Nikt nie zwrócił się ku wchodzącym, jedynie naczelnym lekarz, Hrus, siedzący między dowódcą i dyspozytorem mocy, wyraził im nagane ściągnięciem brwi. Niewiele się spóźnili. W ciszy zewsząd brzmiał flegmatyczny głos Bar Horaba.

—...domagają się redukcji ciężenia do jednej dziesiątej. Uważają to za konieczne dla ożywienia zwłok, które spoczywają w chłodni. Oznacza to zdławienie ciągu do dolnej granicy. Mogę to zrobić. Tym samym cały program lotu, we wszystkich gotowych obliczeniach, zostanie przekreślony. Można sporządzić nowy program. Tamten wykonało pięć niezależnych grup projektu na Ziemi, żeby wykluczyć możliwość błędów. Na tyle nas nie stać. Nowy program sporządzą dwa nasze zespoły — tym samym okaże się nie tak pewny jak poprzedni. Ryzyko jest małe, lecz realne. Pytam was więc, czy mamy przegłosowywać żądanie lekarzy bez dyskusji, czy też stawiać im przedtem pytania?

Większość opowiedziała się za dyskusją. Hrus nie zabrał sam głosu, lecz wezwał Gerberta.

— W słowach dowódcy kryje się pewien zarzut — oświadczył Gerbert, nie wstając ze swego miejsca w najwyższym rzędzie ław. — Skierowany jest do tych, którzy przekazali nam trupy znalezione na Tytanie, nie zatroszczywszy się o ich stan. W tej kwestii można by przeprowadzić śledztwo, by wykryć winnych. Czy jednak są wśród nas, czy nie, sytuacji to

nie odmieni. Naszym zadaniem jest pełna rezurekcja człowieka, zachowanego niewiele lepiej niż mumie faraonów. Muszę tu wejść w historię medycyny. Próby witrifikacji sięgają dwudziestego wieku. Bogaci starcy dawali się pochować w płynnym azocie z nadzieją, że będą kiedyś wskrzeszeni. Oczywiście nonsens. Zamrożonego trupa można tylko ocieplić, by zgnił. Potem nauczono się zamrażać drobne skrawki tkanek, jajeczka, spermę i proste drobnoustroje. Im ciało większe, tym trudniejsza witrifikacja. Oznacza ona błyskawiczne ścięcie wszystkich płynów organizmu w lód, z przeskoczeniem fazy krystalizacji, bo kryształki powodują nieodwracalne zniszczenie subtelnej budowy komórkowej. Witrifikacja jest natomiast zeszkleniem ciała i mózgu w ułamku sekundy. Łatwo błyskawicznie rozgrzać dowolny obiekt do wysokiej temperatury. Oziębic prawie do zera Kelwina tak szybko jest nieporównanie trudniej. Dzwonowe witrifikatory ofiar z Tytana były prymitywne i działały bardzo brutalnie. Przyjmując kontenery na pokład, nie znaliśmy ich budowy. Dlatego stan zwłok okazał się takim zaskoczeniem.

— Dla kogo i dlaczego? — spytał ktoś z pierwszego rzędu.

— Dla mnie jako psychonika, dla Terny, który jest somatykiem, a też naturalnie dla naszego naczelnego. Dlaczego? Otrzymaliśmy kontenery bez jakiegokolwiek specyfikacji i schematy zeszlówiecznych witrifikatorów. Nie wiedzieliśmy, że dzwony z zamrożonymi ludźmi uległy częściowemu zgnieceniu przez lodowiec i że włożono je na miejscu do termosowych pojemników z płynnym helem, aby od razu przewieźć je wahadłowcem na nasz pokład. Przez czterysta godzin od startu, kiedy rozpędał nas "Herkules", mieliśmy podwójną grawitację i dopiero potem mogliśmy przystąpić do oględzin kontenerów.

— To było trzy miesiące temu, kolego Gerbert — odezwał się ten sam głos z dołu sali.

— Tak. Stwierdziliśmy przez ten czas, że wszystkich na pewno nie ożywimy. Trzech przyszło wykluczyć od razu, bo ich mózgi uległy zmiżdżeniu. Z pozostałych możemy ożywić tylko jednego, chociaż w zasadzie nadają się do reanimacji dwa trupy. Rzecz w tym, że wszyscy ci ludzie mieli w układzie krążenia krew.

— Prawdziwą krew? — spytał ktoś z innego miejsca sali.

— Tak. Erytrocyty, osocze i tak dalej. Dane dotyczące krwi mamy w holotekach, ale nie możemy robić transfuzji, nie mamy przecież krwi, więc rozmnożyło się erytroblasty, pobrane ze szpiku. Krew jest. Jednakowoż zachodzi niezgodność tkanek. Do reanimacji nadają się dwa mózgi. Ale życiowo ważnych narządów starczy tylko dla jednego człowieka. Jeden może zostać poskładany z tych dwóch. Fatalne, choć prawdziwe.

— Mózg można wskrzesić i bez ciała — powiedział ktoś z sali.

— Nie zamierzamy tego robić — odparł Gerbert. — Nie jesteśmy tu po to, żeby robić

makabryczne eksperymenty. Przy obecnym poziomie medycyny muszą być makabryczne. Zresztą nie w określeniach rzecz, tylko w kompetencji. Wtrącamy się w kwestie żeglugi jako lekarze, a nie jako astronauty. Nikt postronny nie może nam dyktować postępowania. Nie będę zatem wchodził w szczegóły operacji. Przyszło odwapnić i metalizować szkielet. Usuwać helem nadmiar azotu z tkanek, kanibalizować inne trupy dla jednego. To nasza rzecz. Wyjaśnić mam tylko podstawę naszego żądania. Potrzebujemy możliwie słabej grawitacji podczas reanimowania mózgu. Najlepsza byłaby zupełna nieważkość. Wiemy jednak, że nie da się jej uzyskać bez wygaszania silników, co rozstroiłoby do reszty program lotu.

— Szkoda czasu na te uwagi, kolego — pierwszy lekarz nie ukrywał zniecierpliwienia. — Dowódca i zebrani chcą wiedzieć, czemu przypisać to żądanie.

Nie powiedział "nasze żądanie", lecz jedynie "to". Gerbert udając, że nie dostrzegł owego przejęzyczenia — przekonany zresztą, że nie było mimowolne, powiedział z udawanym spokojem:

— Neurony w mózgu ludzkim normalnie się nie dzielą. Nie rozmnażają się, ponieważ stanowią materiał osobniczej tożsamości, jako pamięci, i innych cech, zwanych pospolicie charakterem, duszą i tak dalej. W mózgach ludzi wityfikowanych tym prymitywnym sposobem, jak na Tytanie, powstały ubytki. Potrafimy już doprowadzić sąsiednie neurony do podziałów, ażeby się rozmnożyły, wypełniając ubytki, ale tym samym likwidujemy indywidualność tak potraktowanych i zachowanych neuronów. Żeby ratować osobniczą tożsamość, trzeba jak najmniej neuronów zmusić do podziału, bo potomne są jak neurony niemowlęcia — niejako puste i nowe. Nawet przy zerowym ciężeniu nie ma pewności, czy i w jakiej mierze wskrzeszony ulegnie amnezji. Jakaś część pamięci ginie przy wityfikacji nieodwracalnie, nawet w najdoskonalszych kriostatach, ponieważ subtelne styki synapsów doznają urazów na molekularnym poziomie. Dlatego nie twierdzimy, że wskrzeszony będzie dokładnie tym samym człowiekiem, jakim był koło stu lat temu. Twierdzimy tylko, że im słabsze będzie ciężenie podczas reanimacji mózgu, tym więcej będzie szans ocalenia osobowości. Skończyłem.

Bar Horab jakby od niechcienia spojrzął na naczelnego lekarza, który zdawał się zatopiony w studiowaniu papierów.

— Głosowanie uważam za zbędne — powiedział. — Na prawach dowódcy zarządzam zdławienie ciągu w terminie, który wyznaczą lekarze i na potrzebny im czas. Proszę uznać naradę za zamkniętą.

Przez salę przeszło lekkie poruszenie. Bar Horab wstał, dotknął ramienia Khargnera i obaj skierowali się do dolnego wyjścia sali. Gerbert z Terną omal biegiem ruszyli ku górnej

galerii, nim ktokolwiek zdążył ich zagadnąć. Na korytarzu spotkali dominikanina. Nie odezwał się do nich, skinął tylko głową i ruszył w swoją stronę.

— Nie spodziewałem się tego po Hrusie — rzucił Terna, wsiadając z Gerbertem do rufowego wyciągu. — Za to dowódca — o! — to człowiek na właściwym miejscu. Czułem, jak się na nas rzucą koledzy z bratnich fachów, a najpierw nasi “psychonauci”. Uciał to jak nożem...

Winda zwalniała już, mijane światła migotały coraz wolniej.

— Mniejsza o Hrusa — mruknął Gerbert. — Jeżeli koniecznie chcesz wiedzieć, Arago rozmawiał z Horabem tuż przed naradą.

— Skąd wiesz?

— Od Khargnera. Był u Horaba przed rozmową z nami.

— Myślisz, że?

— Nie myślę, tylko wiem jedno: pomógł nam.

— Ale jako duchowny teolog.

— Nie znam się na tym. Natomiast on się zna na medycynie i na teologii. Jak godzi jedno z drugim, to jego rzecz. Chodźmy się przebrać, przyjdzie wszystko przygotować — i podać godzinę.

Przed zabiegiem Gerbert jeszcze raz odczytał przesłany z holoteki protokół. W trakcie robót najcięższe maszyny planetarne stanęły, bo ich czujniki wykryły bliskość metalu i zawartej w nim organicznej materii. Po kolei wydobyto z birnamskich rozwalisk siedem starych wielkochodów a z nich sześć zwłok. Dwa Diglatory spoczywały oddalone od siebie ledwie o kilkaset metrów. Jeden był pusty, drugi zawierał człowieka w dzwonowym wityfikatorze. W lodowiec wgrzyły się koparki ósmej generacji, wobec których Diglator był karłem. Kierownictwo prac, wstrzymawszy bezładne olbrzymy, wysłało na poszukiwania dalszych ofiar — depresja birnamska pochłoneła bowiem dziewięciu ludzi — kroczące wiertnice z biosensarami wysokiej czułości. Po tym, który opuścił swój Diglator, nie wykryto żadnych śladów. Pancerze wielkochodów uległy zgnieceniu pod narosłymi zwałami lodu, lecz wityfikatory zachowały się nad podziw dobrze. Ekipa nadzoru zamierzała zrazu wysłać je dla reanimacji na Ziemię, oznaczało to jednak poddanie zamrożonych ciał trzykrotnym przeciążeniom: przy starcie małego wahadłowca z Tytana, przy akceleracji rakiety transportowej na linii Tytan—Ziemia i przy lądowaniu na Ziemi. Prześwietlenie kontenerów wyjawilo ciężkie obrażenia wszystkich zwłok, w tym złamania podstawy czaszki, przez co tak złożony transport uznano za zbyt ryzykowny. Ktoś wpadł wówczas na myśl przekazania wityfikatorów “Eurydyce”, która dysponowała najnowszą aparaturą reanimacyjną, a zarazem

jej przyspieszenie przy odlocie musiało być znikome ze względu na gigantyczną masę statku. Pozostała kwestia identyfikacji zwłok, niewykonalnej przed otwarciem witryfikatorów. Hrus, naczelny lekarz "Eurydyki", ustalił w porozumieniu z dowództwem i sztabem SETI, że dokładne dane i nazwiska wyrwanych lodom Tytana będą przekazane statkowi drogą radiową z Ziemi, ponieważ wszystkie dyski komputerowej pamięci, wymontowane już uprzednio, spoczęły w archiwach szwajcarskiego ośrodka SETI. Do chwili startu kanały łączności były zatłoczone, ktoś albo coś — człowiek lub kalkulator — przypisał emisji danych niską lokatę ważności i "Eurydyka" opuściła okołoksiężycową orbitę, nim brak tej informacji pojęli lekarze. Interwencja Gerberta u dowódcy nie zdała się na nic, gdyż statek już przyspieszał, party "Herkulesowymi" laserami jak pocisk. W tej fazie rozruchowej Tytan przyjmował całą moc świetlnego odrzutu i planetologowie uważali, że może ulec rozpęknięciu. Obawy nie sprawdziły się, akceleracja szła jednak nie tak gładko, jak spodziewali się projektanci. Księżycową skorupę wgniół "Herkules" w głąb litosfery, gwałtowne fale sejsmiczne wprawiły w ruch osadę laserowych wyrzutni, a choć wytrzymała te trzęsienia ziemi — a raczej Tytana — słoneczny słup chwiał się i dygotał. Przyszło zmniejszyć emitowaną moc, przeczekać zmierzchające wstrząsy i od nowa nawodnić skolimowane lasery na zwierciadlaną rufę statku. Zakłóciło to łączność, spiętrzyło nie wysyłane w porę wiadomości, a co gorsza Tytan, dwa lata przedtem wypchnięty z pobliża Saturna i wyhamowany w obrotach tak, by "Herkules" mógł w pozornym bezruchu rozpędzić światłem "Eurydykę", ulegał wibracjom. Wieleśet tysięcy starych głowic termonuklearnych, wbitych jako awaryjna rezerwa w ciężki księżyc, wygasło na koniec i owe drgania. Nie przyszło to łatwo. W efekcie reanimatorzy nie mogli wziąć się do dzieła, gdyż "Eurydyka", trafiana i chybianą przez szereg tygodni, odbierała powrót słonecznego słupa w rufę jako udary, rozprzestrzeniające się po całym statku.

Trudności z kolimacją ognia, sejsmiczne wstrząsy Tytana, niewypały kilku boosterowych baterii odwlekły więc rezurekcyjną operację, co wielu lecących usprawiedliwiało i tym, że szansę przywrócenia znalezionych do życia wyglądały niedobrze. Z każdym dniem równej już akceleracji łączność z Ziemią pogarszała się, a na dobitkę pierwszeństwo miały radiogramy decydujące o sukcesie ekspedycji. Na koniec statek zyskał z Ziemi nazwiska pięciu zamarzłych rozbitków, ich fotografie i zyciorysy, lecz nie starczyło tego do ustalenia tożsamości. Przy witryfikacji, zachodzącej eksplozywnie, twarzowe części czaszek uległy zgruchotaniu. Wtórne implozje wewnątrz kriotenerów zdarły z marznących ludzi odzież, jaką nosili pod skafandrami, a jej szczątki wypchnął tlen z pękających skafandrów do azotowycl trumien i obrócił je w próchno. Mówiło się potem o zdobyciu z

Ziemi odcisków palców, danych stanu uzębienia, lecz przybyły, aby zwiększyć konfuzję. Na skutek prastarej rywalizacji Graala i Roembdena komputerowe dzienniki prowadzonych robót były nieporządne, zresztą nikt nie wiedział, czy jakaś część zachowanych dysków pamięci uległa zniszczeniu lub trafiła do archiwów poza Szwajcarią. Człowiek, który mógł ożyć na "Eurydyce", nosił niechybnie jedno z sześciu nazwisk: Ansel, Nawada, Pirx, Kochler, Parvis, Illuma. Lekarzom pozostało liczyć na to, że wyszedłszy z poreanimacyjnej amnezji, uratowany rozpozna własne nazwisko ze spisu — jeśli sam nie będzie go sobie mógł przypomnieć. Taką nadzieję żywili Hrus i Terna. Gerbert, psychonik, miał wątpliwości. Po ustaleniu terminu operacji udał się więc do dowódcy, by mu wyłuszczyć swój problem. Praktycznie trzeźwy Bar Horab uznał, że warto ponownie zbadać zawartość opróżnionych z ciał witryfikatorów.

— Najlepsi byliby kryminologowie, biegli sądowi — zauważył. — Skoro nie mam ich na pokładzie, pomogą wam... — zawahał się — Lakatos i Biela.

— Fizycy są też rodzajem detektywów — dorzucił z uśmiechem.

Wydobyto więc poczerniały, jak osmalony ogniem kriotener, podobny do wygiętego sarkofagu, na poziom głównego laboratorium. Ujęty w masywne ceگی, po nałożeniu kluczy na zewnętrzne zaczepy, otworzył się powoli wzdłuż z przeraźliwym zgrzytaniem. Czarne wnętrze ziało spod uchylonej klapy trumiennego wieka. Skafander w środku zapadł się, jego właściciel spoczywał już od tygodni w płynnym helu, razem z bryłą azotową, w którą został wmrózony. Lakatos i Biela wydobyli pusty skafander i zanieśli go na niski metalowy stół. Zresztą został poddany oględzinom przy wyjmowaniu zwłok, lecz nie znaleźli nic prócz zmarzłych szczątków tkaniny i wplątanych w kable przewodów klimatyzacyjnych. Teraz rozpruli oszroniony skafander od pierścienia, do którego mocuje się hełm, wzdłuż torsu i pneumatycznych nogawek po wielkie buty. Wymontowali z truchła kręte spiralne rurki razem z częściami pogruchotanych węzów tlenowych, dokonując sumiennie sekcji: każdy strzępek szedł pod lupę, na ostatek zaś Biela wlaźł z ręczną lampą do walcowatego kriotenera. Aby ułatwić mu zadanie, manipulator rozciął pancerne blachy i rozciągnął je szeroko. Skafander pękł bowiem na spojeniach łączących rękawy ramion z pokrywą korpusu albo kiedy Diglator uległ rosnącemu zgniataniu przez walący się nań lodowiec birnamski, albo od wewnętrznego ciśnienia wybuchowej witryfikacji. Jeśli zamknięty w nim człowiek miał przy sobie jakieś osobiste rzeczy, mogły ulec wypchnięciu przez rozdarcia skafandra i wpaść razem ze strugami krzepnącego azotu i ludzkiej krwi do kontenera — w momencie, gdy na jego otwarty dotąd wylot spadała wystrzelona z góry przyłbica, kołpak ze specjalnej stali, odcinający tego, kto ginął w skafandrze, od zewnętrznego świata.

Po to, by ściągnąć kołpak z pojemnika, wypadło użyć hydraulicznych imadeł, bo cęgowy manipulator okazał się za słaby. Obaj fizycy i lekarz odstepili na kilka kroków od platformy, zabieg był bowiem bardzo brutalny i nim kołpak, podobny do głowicy olbrzymiego armatniego pocisku, drgnął i jał się zesuwać z górnej części pojemnika, spod wanadiowych kłów rzygnęło grubymi odłamkami pancerza. Czekali na koniec tego zabiegu. Dopiero gdy czarne jak żużel okruchy przestały się sypać, a dzwon zdarty z kriotenera zwrócił ku nim puste wnętrze, Lakatos podniósł go czterodźwigniowym manipulatorem pod strop, a Bielą chciał ponownie zbadać pojemnik — mimowolnie wszyscy wtedy zastygli, bo rozpadając się do reszty wzdłuż spoin, blachy zadygotały i powoli upadły na platformę jakby w powtórce doświadczonej już kiedyś agonii. Sterowane szczęki przeniosły w powietrzu ciężki kaptur na drugą stronę sali i ułożyły go tam jak połówkę pustej bomby z taką ostrożnością, że spoczęła bez dźwięknięcia na aluminiowym blacie.

Bielą przystąpił do rozdartego pojemnika. W środku ciemniały resztki wyściółki wewnętrznej zeszlými warstwami, niby zwiędłe i spalone liście. Lakatos patrzył mu przez ramię. Znał się nieźle na dziejach wityfikacji. Za czasów Graala i Roembdena głowicę wbijały na pojemnik z człowiekiem ładunki wybuchowe, by proces lodowego zeszklenia przebiegał możliwie szybko. Wityfikowany musiał pierwiej zdjąć hełm, choć zostawał w skafandrze. Aby udar nie zmiądzzył mu głowy, wyściółkę kołpaka tworzyły pneumatycznie rozdymane poduszki. Pękając osłaniały zamrażanego, któremu w usta wbity wtryskowy stożek właczał płynny azot, łamiąc zwykle zęby a nawet kości szczęk. Szło o to, by mózg uległ ścięciu ze wszystkich stron naraz, a więc i od podstawy, znajdującej się tuż nad podniebieniem. Urazów tych nie mogła ówczesna technika wykluczyć. Fizycy po trochu wyszarpywali warstwy skruszałych osłon, kładli jedne obok drugich, aż instrumenty obnażyły metalowe dno kriotenera. Wśród skruszałych spopielin trafili na obiekt też zgnieciony, o zachowanym kształcie małej książeczki, z rogami nadpalonymi jak w ogniu. Na w pół zwęglony przedmiot był tak kruchy, że od dotknięcia prószył popiołem, więc ułożyli go pod szklaną pokrywą, bo i oddech mógł go uszkodzić.

— Wygląda jak mały pokrowiec. Może nawet ze zwierzęcej skóry. *Porte feuille*. Ludzie nosili to wtedy przy sobie. A dokumenty były przeważnie z celulozy przerobionej na papier.

— Ale i z plastikowych polimerów — dorzucił Gerbert uwagę do słów Bieli.

— Mało zachęcające — odparł fizyk. — W tych warunkach celuloza nie jest bardziej odporna od starych plastików. Jak to się dostało do tej pałuby?

— To łatwo sobie wyobrazić — Lakatos zbliżył ku sobie rozwarłe ręce. — Kiedy

złączył styki, dolny dzwon wbił mu się przez nogi po pierś, a górna część, wystrzelona równocześnie, wcisnęła się na tamtą. Ładunki były implozyjne, oczywiście nie takie, żeby zgnieść człowieka. Azot wypełnił skafander, tak że pękł pod pachami i wyciskane powietrze mogło go obedrzeć do naga. Podmuchał granatów nieraz obnażał tak żołnierzy przy bliskim wybuchu...

— Co z tym zrobimy?

Gerbert patrzył, jak fizycy wypełnili najpierw klosz krzepnącym płynem, jak wyjęli odlew, w którym czarniał płaski strzęp jak owad w bursztynie, i wzięli się do analiz. Wykryli chemikalia używane ongiś do tłoczenia papierowych banknotów, związki organiczne, typowe dla skóry zwierzęcej, garbowanej i barwionej, oraz nikłe ślady srebra. Stanowiły pewno ostatki fotograficznych zdjęć, bo służyły do nich sole srebra. Zmieniając twardość promieni, utrwaliwszy wyjęty z odlewu szczątek, zdobyli na koniec zawily palimpsest — rodzaj bezładnej gmatwaniny liter i małych krążków, być może pieczętek. Chromatograf oddzielił cienie druku od atramentu pisma, bo atrament miał szczęśliwie mineralną przymieszkę. Reszty dokonały filtry mikrotomografu. Rezultat okazał się skromny. Jeżeli w samej rzeczy znaleźli dowód tożsamości, co wyglądało prawdopodobnie, imię nie dało się odczytać, a z nazwiska ustalili tylko pierwszą literę: P. Mogło liczyć od pięciu do ośmiu liter. Od P zaczynały się nazwiska dwu ludzi — spośród których mogli ożywić jednego. Wezwali na monitory spinogramy wszystkich spoczywających w płynnym helu. To warstwiczne prześwietlenie, daleko bardziej precyzyjne od zamierzchniego Roentgena, pozwoliło ustalić wiek ofiar z dokładnością do dziesięciu lat, podług kostniny stawowych chrząstek i naczyń krwionośnych, jako że za życia tych ludzi medycyna nie umiała jeszcze powstrzymać zmian zwanych sklerozą. Obaj zdadni do reanimacji byli podobnej budowy ciała, licowe części czaszki wymagały odtworzenia plastyczną chirurgią, mieli podobne grupy krwi, podług zwapnienia żeber i ledwie śladowego aorty zdawali się liczyć od trzydziestu do czterdziestu lat. Podług życiorysów, zawierających historie przebytych schorzeń, żaden nie podległ operacji, pozostawiającej blizny na powłokach ciała. Lekarze wiedzieli o tym, chcieli jednak skorzystać z wiedzy fizyków: prześwietlenie polegało na magnetycznym rezonansie jąder atomowych w organizmie. Fizycy potrząsnęli tylko głowami: jądra stałych pierwiastków są tak dobre, jak bezweczne. Co innego, gdyby w ciałach tych ludzi znalazły się izotopy. Otóż w samej rzeczy były i znów okazały się ślepą uliczką. Obaj ulegli niegdyś napromieniowaniu dawką rzędu 100—200 remów. Prawdopodobnie w ostatnich godzinach życia.

Oglądać w różnych płaszczyznach wewnętrzne narządy człowieka to zajęcie niejako anonimowe i abstrakcyjne. Widok nagich trupów, wmarzłych w azotowy lód pod helem,

zwłaszcza ich pomiażdżonych twarzy, był taki, że Gerbert wołał go oszczędzić fizykom. Obaj nieżywi mieli zachowane gałki oczne — co potajemnie było ostateczną biedą lekarzy, bo niechybnie ślepotą jednego zadecydowałyaby niejako za nich o tym, że ożywić trzeba człowieka z nietkniętym wzrokiem. Po odejściu fizyków Terna usiadł na platformie z rozprutym kriotenerem i siedział tak, nie odzywając się, aż Gerbert nie wytrzymał napięcia.

— Więc jak? — spytał. — Który?

— Można by skonsultować się z Hrussem... — wahająco mruknął Terna.

— Po co? *Tres faciunt collegium*.

Terna wstał, uderzył w klawiaturę, ekran posłusznie ukazał obok siebie dwa szeregi zielonych cyfr, z jedną czerwoną po prawej. Mrugała ostrzegawczo. 'Wyłączył aparat, jakby nie mógł tego znieść. Chciał znów dotknąć klawisza, ale Gerbert objął go i przytrzymał.

— Przestań. To na nic. Tamten patrzył mu w oczy.

— Może poradzić się... — zaczął, ale nie dokończył zdania.

— Nie. Nikt nam nie pomoże. Hrus...

— Nie myślałem o Hrusie.

— Wiem. Chciałem powiedzieć, że formalnie biorąc, Hrus podejmie decyzję, jeżeli się do niego zwrócimy. Będzie musiał jako naczelny, ale to nędzny wybieg. Zauważ zresztą, jak się ulotnił. Nie przeciągajmy tego. Za godzinę... za niecałą już, Khargner zdławi ciąg. — Puścił Ternę i na pulpicie wciskał kontakty pogotowia sali reanimacyjnej, mówiąc jednocześnie:

— Umarłych nie ma. Nie istnieją tak, jakby nigdy się nie urodzili. Nie zabijemy nikogo. Odtworzymy jedno życie. Spójrz na to od tej strony.

— Doskonale — odparł Terna z roziskrzonymi oczami. — Masz słusność. To piękny uczynek. Odstępuję ci go. Ty wybierzesz.

Biały wąż, okręcony wokół kielicha na ściennej tablicy zajaśniał gotowością.

— Dobrze — powiedział Gerbert. — Pod jednym warunkiem. Sprawa zostanie między nami i nikt się o tym nie dowie. Przede wszystkim ON. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— Namyśl się dobrze. Po zabiegu wszystkie szczątki pójda za burtę. Zetrę wszystkie dane w holotece. Ale ja i ty będziemy wiedzieli, będziemy, bo nie możemy zetrzeć własnej pamięci. Czy potrafisz zapomnieć?

— Nie.

— A milczeć?

— Tak.

— Wobec wszystkich?

— Tak.

— Do końca? Terna zawahał się.

— Słuchaj... przecież wszyscy wiedzą — sam powiedziałeś na naradzie, że możemy wybrać...

— Musiałem, Hrus wiedział, co i jak. Ale po wygaszeniu danych skłamiemy, że ten człowiek miał obiektywną preferencję, wykrytą przez nas tutaj i teraz.

Terna skinął głową.

— Zgadzam się.

— Sporządzimy protokół. Napiszemy go razem. Sfalszujemy dwie pozycje. Podpiszysz?

— Tak. Z tobą.

Gerbert otworzył ścienną szafę. Wisiały w niej srebrzyste kombinezony w białych butach ze szklanymi maskami twarzowymi. Wyjął swój i począł go wdziewać. Terna poszedł za jego przykładem. W centralnym okrągłaku sali rozsunęły się drzwi, zajaśniało wewnątrz windy. Drzwi zamknęły się, winda spłynęła w dół, w opuszczonej sali zrobiło się nieco ciemniej, tylko nad świetlnymi punktami tablicy jaśniał wąż Eskulapa.

ROZBITEK

Wrócił do przytomności ślepy i pozbawiony ciała. Pierwsze myśli nie składały się ze słów. Doznawał niewyraźalnie pomieszanych uczuć. Odpływał, przepadał gdzieś i wracał. Dopiero odnajdując wewnętrzną mowę, mógł stawić sobie pytania: czego się przeraziłem? Co to za ciemność? Co to znaczy? A kiedy uczynił ten krok, zdołał pomyśleć: kim jestem? Co się ze mną dzieje? Chciał się poruszyć, żeby rozpoznać własne ręce, nogi, tors, wiedząc już, że ma ciało, a przynajmniej powinien je mieć. Nic jednak nie było mu posłuszne i nic nie drgnęło. Nie wiedział, czy ma otwarte oczy. Nie odczuwał powiek ani ich ruchów. Natężył wszystkie siły, żeby podnieść powieki i może to się udało. Nie zobaczył jednak nic prócz tej samej ciemności, jaką był dotąd. Te próby, kosztujące wiele trudu, znów przywiodły go do pytania: kim jestem? Człowiekiem. Oczywiście ta wydała mu się rewelacją. Chyba dochodził świadomości, skoro zaraz potem wewnętrznym się uśmiechnął, bo cóż to za dokonanie, taka odpowiedź. Słowa wracały powoli, nie wiadomo skąd, zrazu rozsypane i bez składu, jakby je wyławiał niczym ryby z niewiadomych głębin: jestem. JA jestem. Nie wiem gdzie. Nie wiem, czemu nie czuję mego ciała? Teraz poczynął czuć swoją twarz, wargi, może nos, umiał nawet poruszyć nozdrzami, choć wymagało to ogromnego natężenia woli. Wytrzeszczał gałki oczne we wszystkie strony i dzięki rozumowaniu, bo powracało, umiał zdecydować: albo oślepiłem, albo jest całkiem ciemno. Ciemność kojarzyła się z nocą, a noc z wielką przestrzenią, pełną czystego i chłodnego powietrza, a przez to z oddychaniem. Czy oddycham? — pytał siebie i wsłuchiwał się we własny mrok, tak podobny do nicości i tak od niej różny. Wydawało mu się, że oddycha, ale nie tak, jak zwykle. Nie pracował zebrami, brzuchem, spoczywał w niezrozumiałym zawieszeniu, a powietrze wchodziło weń samo i łagodnie wychodziło. Nie mógł inaczej oddychać.

Miał już twarz, płuca, nozdrza, usta i oczy, ale niewidzące. Postanowił ścisnąć ręce w pięści. Doskonale pamiętał, co to są ręce i jak się je zaciska w kulaki. Mimo to nie wyczuł nic i tu wrócił lęk, już racjonalny, bo wynikały z rozważania: albo paraliż, albo straciłem ręce i

chyba nogi. Wniosek wyglądał na fałszywy — miał bowiem płuca, to było pewne, a jednak nie miał ciała. W jego mrok i lęk wtargnęły miarowe, dalekie, głuche tony — krwi? A serce? Biło. Jako pierwszą wieść z zewnątrz posłyszał dźwięki mowy. Słuch otwarł mu się naraz, choć przytłumiony, i wiedząc, że dwaj ludzie rozmawiają, rozróżnił bowiem dwa głosy — nie rozumiał, co mówią. Język był znajomy, tylko słowa niewyraźne jak przedmioty oglądane przez zapocone szkło albo przez mgłę. W miarę koncentrowania uwagi słuch wyostrzał mu się i dziwna rzecz — poprzez słuch wykroczył poza siebie. Przez to znalazł się w jakiejś przestrzeni, w której był dół, boki, góra. Zdążył sobie jeszcze uświadomić, że oznacza to ciążenie, nim cały skupił się w swoim słuchu. Głosy były męskie, jeden wyższy i cichszy, drugi niski, baryton, jakby całkiem blisko. Kto wie, może zdołałby się odezwać, gdyby spróbował. Chciał jednak pierwej słuchać, nie tylko z ciekawości i nadziei, ale dlatego, bo rozkoszną rzeczą było tak dobrze słyszeć i coraz dokładniej rozumieć mowę.

— Ja bym go jeszcze potrzymał w helu — to był ten bliższy głos, sugerujący dużego, ciężko zbudowanego mężczyznę, tyle było w nim siły.

— A ja nie — powiedział dalszy i młodszy.

— Dlaczego? To nie zaszkodzi.

— Popatrz na jego mózg. Nie, nie *calcarina*. Prawy *temporalis*. Wernicke. Widzisz? On już nas słyszy.

— Amplituda jest mała, wątpię, czy rozumie.

— Już oba czołowe płaty, właściwie to norma.

— Widzę.

— Wczoraj alfy prawie jeszcze nie było.

— Bo hibernował. To normalne. Rozumie czy nie rozumie — azotu wciąż jest za dużo. Dodam helu. Długa cisza i miękkie stapania.

— Czekaj — patrz... To był baryton.

— On się zbudził... no, co...

Reszty nie dosłyszał, szeptali. Odzyskał wewnętrzną jasność myśli. Kto mówił? Lekarze. Miałem wypadek? Gdzie? Kim jestem? Myślał coraz szybciej, a tamci naszeptwali wpadając sobie w słowa.

— Dobre, frontalne bez zarzutu... ale z *thalamusem* coś nie tak... przełącz niżej... nie mogę się rozeznąć. Daj Eskulapa. Albo lepiej medykom... Tak. Popraw obraz. Jak rdzeń?

— Prawie przy zerze. To dziwne.

— Dziwne raczej, że nie NA zerze. Pokaż ośrodek oddechowy... mhm...

— Pobudzić?

— Nie, po co? Jeszcze się naoddycha sam. Tak jest pewniej. Tylko ponad chiasmą...
Coś krótko dźwiękło.

— On nie widzi — ze zdziwieniem rzekł młodszy głos.

— Dziewiątkę ma już sprawną. A czy cokolwiek widzi, zaraz się przekonamy...

W milczeniu i ciszy doszły go metalowe szczęknięcia. Zarazem w jego mrok weszła szarawa, mdła poświata.

— Aha! — orzekł triumfalnie baryton. — To było tylko na synapsach. Źrenice reagowały już od tygodnia. Zresztą — dodał ciszej — on nie będzie mógł...

Niezrozumiały szept.

— Agnozja?

— Skąd. Byłoby dobrze, gdyby... patrz na wyższe składowe...

— Pamięć się restytuuje?

— Nie wiem, nie powiem ani tak, ani nie. Jak obraz krwi?

— W normie.

— Serce?

— Czterdzieści pięć.

— Ciśnienie wyrzutowe?

— Sto dziesięć. Może odłączyć już?

— Lepiej nie. Czekaj. Mały impuls w rdzeń... Poczul, jak w nim coś drgnęło.

— Wraca tonus mięśni, widzisz?

— Nie mogę patrzeć równocześnie na miogramy i na mózg. Rusza się?

— Rękami... niezbornie.

— A teraz? Obserwuj twarz. Mruga?

— Otwarł oczy. Widzi?

— Jeszcze nie. Na ile reagują źrenice?

— Na cztery luksy. Świecę sześć. Widzi?

— Nie. To znaczy czuje światło. To reakcja talamiczna. Niech medykom poprawi elektrody i da prąd. O — świetnie...

We mgle zobaczył coś bladoloróżowego i błyszczącego nad sobą. Zarazem usłyszał głos przerywany oddechem:

— Zostałeś uratowany. Będiesz zdrow. Nie próbuj mówić. Jeżeli mnie zrozumiałeś, zamknij dwa razy oczy. Dwa razy.

Uczynił to.

— Doskonale. Będę do ciebie mówił. Jeśli nie zrozumiesz, mrugnij jeden raz.

Bardzo starał się rozpoznać to blade i różowawe, ale nie mógł.

— On stara się ciebie zobaczyć — doszedł ten dalszy drugi głos. Skąd mógł to wiedzieć?

— Będziesz widział i mnie, i wszystko — mówił powoli baryton. — Musisz być cierpliwy. Rozumiesz? Przytaknął powiekami. Chciał się odezwać, lecz tylko coś w nim chrypnęło.

— Nie, nie — skarcił go ten sam głos. — Na rozmowy za wcześnie. Nie możesz mówić, bo jesteś intubowany. Dostajesz powietrze wprost w głąb tchawicy. Nie oddychasz sam — my oddychamy za ciebie. Rozumiesz? To dobrze. Teraz będziesz spał. Kiedy się zbudzisz i wypoczniesz, pogadamy. Dowiesz się wszystkiego, a teraz... Wiktor, uspij, powolutku... miłych snów...

Przestał widzieć, jakby światło zgasło w nim, a nie nad nim. Nie chciał zasnąć. Chciał zerwać się na równe nogi. Ale już i te mroki, którymi był, rozplynęły się i znikły. Miał wiele snów, dziwnych, pięknych i takich, których nie można ani zapamiętać, ani opowiedzieć. Bywał wielością czujących rzeczy naraz. Wychodził daleko i wracał. Widział ludzi, poznawał ich twarze, ale nie mógł sobie przypomnieć, kim są. Czasami zostawał mu tylko wzrok, niczym nie ograniczony, pełen niewidzialnego słońca. Zdawało mu się, że wieki mijają w tych snach i pustkach między nimi. Naraz ocknął się. Razem z jawą odzyskał ciało. Leżał na wznak, spowity puszystym, miękkim materiałem. Napiął mięśnie grzbietu. Czuł mrowienie w udach. Nad sobą miał bladozielony płaski sufit, obok lśniły jakieś przewody i szkła, ale nie potrafił obrócić głowy w bok. Coś ją trzymało, zagłówek miękki, lecz ujmujący aż po skronie i elastycznie ścisły. Oczyma poruszał swobodnie. Za przezroczystą ścianą wznosiły się jakieś aparaty, na samym skraju pola widzenia jaśniały skaczące światełka i rychło spostrzegł, że pozostają z nim w jakimś związku, bo kiedy wciągał powietrze głębiej, aż rozdymało klatkę piersiową, one rozjaśniały się tym samym rytmem. A tam, dokąd właściwie już nie umiał zerknąć, różowiało coś równym, jednostajnym, powolnym tempem — i rozkołys tej różowizny też dotrzymywał mu kroku — a właściwie jego sercu. Nie wątpił już, że znajduje się w szpitalu. Więc wypadek. Jaki i gdzie? Marszczył brwi, czekał, by wyjaśnienie wychylnęło z pamięci, daremnie. Znieruchomiał, zamknął oczy, koncentrował wolę na pytaniu, ale odpowiedź nie przybywała. To, że mógłby dowolnie poruszać nogami, rękami, palcami, gdyby nie owijający materiał, już go nie zadowalało. Spróbował odchrząknąć, dotykał językiem wewnętrznej powierzchni zębów, wreszcie odezwał się: — Ja. Ja!

Poznał własny głos. Ale czyj był ten głos własny, nie wiedział i nie rozumiał, jak to może być. Spróbował wyzwolić się z krepującej otuliny i napiął kilkakrotnie mięśnie. Wtedy

opadła go ciężka, dziwnie nagła senność i znów zgasł w sobie jak dogorywający płomyk lampy.

Nie liczył mijających dni. Cykl życia podzielony był na statku umownym prostym sposobem, zgodnie z ziemskim rytmem. Za dnia wszystkie pokłady, korytarze, tunelowe przejścia między członami kadłuba stały w jasnym świetle. O dziesiątej rozpoczynał się zmierzch jako słabnięcie złotawej bieli idącej ze stropów i ścian, przez jakąś godzinę panował niebieski półmrok, aż promieniowanie gasło i tylko biegnące środkiem pułapów świetlóweki prowadziły samotnego wędrowca. Tę porę lubił bowiem najbardziej. Mógł zwiedzać "Eurydykę" i za dnia — wszystkie pomieszczenia były dostępne, zapewniano go, że nikomu nie przeszkadza, owszem, może iść, gdzie chce, pytać, lecz wolał dla przechadzek noc.

Fizycznie sprawny, po rannym treningu w sali gimnastycznej szedł do szkoły. Sam to tak nazwał. Zasiadał przed Memnorem, aby odzyskać pamięć w grze obrazów i słów budzących skojarzenia, a zarazem uczyć się tego, co było tak obce. Wobec maszyny, nieskończenie cierplivej i niezdolnej do okazywania żadnych uczuć, zdziwienia, górowania nad nim, nie czuł się skonsternowany. Jeśli czegoś nie chwycił, Memnor uciekał się do figuralnych pomocy, prostych schematów, stosował biegle dydaktyczne programy, sięgając do spichlerzy innych maszyn okrętu. Holoteka zawierała w archiwalnym dziale dziesiątki tysięcy filmów — ale to nie były filmy — fotografii — lecz nie przypominały dawnych zdjęć, skoro każdy wezwany obraz stawał się rzeczywistym otoczeniem, a każde słowo — ciałem, co prawda chwilowym i ulotnym. Gdyby chciał, mógłby zwiedzać wnętrza piramid, gotyckie katedry, zamki Loary, księżyc Marsa, miasta, lasy, lecz robił to tylko wiedząc, że i takie zjawy stanowią ważną część terapii. Lekarze starali się go traktować jako jednego z członków załogi, nigdy jako pacjenta, odnosił nawet wrażenie, że trochę go unikają, jakby chcąc podkreślić, że nie różni się niczym od innych ludzi.

Wróciła mu pamięć wzrokowa razem z doświadczeniem życiowym, fachem nawigatora i znawcy wielkochołów. Statki zmieniły się co prawda nie mniej niż maszyny planetarne i był wobec nich trochę jak marynarz z epoki żaglowców w erze pasażerskich olbrzymów oceanu. Te luki nietrudno przychodziło zapępniać. Przeszarzałe wiadomości zastępował nowymi. Lecz coraz dotkliwiej zdawał sobie sprawę z utraty najgorszej i już może bezpowrotnej. Nie umiał w sobie wskrzesić żadnych imion, nazwisk, wraz ze swoim. Co osobliwsze, pamięć podzieliła mu się jakby na dwóje. To, co przeżył niegdyś, wróciło doń zblakłe, chociaż dokładne w szczegółach, jak drobiazgi dziecka, odnalezione w schowkach rodzinnego domu po latach, pobudzają nie tylko wygląd, lecz emocjonalną aurę. Raz, w pracowni fizyków, woń parującej cieczy z destylatora — gorzkawym śwędem dotknąwszy

nozdrzy, w okamgnieniu wywołała coś więcej niż obraz, bo obecność jasną, choć nocną na przygodnym lądowisku, kiedy stojąc pod jeszcze rozpalonymi lejami dysz, pod dnem swej uratowanej rakiety, czuł ten sam swąd nitrowego dymu i szczęście, o którym nie wiedział wtedy nic, a teraz zrozumiał je wspomnieniem. Nie opowiedział o tym doktorowi Gerbertowi, choć właściwie należało, skoro usłyszał od niego, że powinien natychmiast przyjść z każdą zaskakującą reminiscencją, bo ona jest jakby jednym z zasypanych miejsc pamięci i trzeba je drążyć, nie dla psychoterapii, lecz torowania zatartych dróg w mózgu — by je rozewrzeć i coraz pełniej wracać w ten sposób do siebie. Rada była racjonalna, fachowa, on też się miał za myślącego racjonalnie, a jednak ukrył to przed lekarzem. Milkliwość należała niechybnie do jego podstawowych cech. Nigdy nie był skłonny do zwierzeń — a jeszcze tak intymnych. Powiedział sobie zresztą, że jeśli przypomni sobie, kim jest, to nie przez węch, jak pies. Uznał refleksję za głupią. Ani mu w głowie powstało wywyższać się nad lekarzy, lecz został przy swoim.

Gerbert rychło zorientował się w jego powściągliwości. Dał mu słowo, że jego rozmowy z Memnorem nie są nagrywane i może sam zetrzeć treść każdej z pamięci pedagoga, jeśli chce. Tak też robił. Przed maszyną nie miał tajemnic. Pomagała mu odtworzyć bezlik wspomnień, lecz bez imion i nazwisk ludzkich — i jego własnego. Na koniec spytał o to interlokutora wprost.

Ten zamilkł na dobrą chwilę. Przywracanie pamięci, zwane jej treningiem, odbywało się w kajucie dość dziwnie urządzonej. Stało w niej kilka staroświeckich sprzętów, istnych okazów muzealnych, w niemal dworskim stylu, foteliki ze złoceniami i wygiętymi nóżkami, każdą ścianę zdobiły obrazy starych Holendrów — te, które wspomniał jako ulubione i zjawiły się potem jakby idąc mu na pomoc. Obrazy zmieniały się kilkakrotnie, a płótno wzięte w rzeźbione ramy nie było żadnym płótnem, choć doskonale naśladowało przedziwo i gruzły olejnej farby. Memnor wyjawiał mu też, jak tworzą się te doskonałe, chwilowe repliki. Sam maszynowy dydakta był niedostrzegalny, nikt go oczywiście nie ukrył, lecz będąc podkładem Eskulapa, odłączonym dla tych rozmów, nie miał w kajucie kształtu, zdolnego zakłócić nastrój ucznia, więc żeby rozbitek nie mówił w pustą przestrzeń ani do mikrofonu czy ściany, miał przed sobą, chodząc w tym gabinecie, popiersie Sokratesa znane z czytanek greckiej mitologii. A może filozofii. Popiersie z dość kudłatą głową zdawało się kamienne, czasem jednak uczestniczyło mimiką w dyskusjach. Dla pouczonego nie było to miłe — jakby w złym guście. Niezdolny wymyślić konkretnej odmiany, nie chcąc się narzucać Gerbertowi z niczym, przywykł do tego oblicza i tylko chcąc wyjawić coś dotkliwego, chodził przed mentorem mówiąc doń, nie patrząc, jakby mówił do siebie. Fałszywy Sokrates

zdawał się wahać jak przy zbyt trudnym problemie.

— Odpowiem ci w sposób niezadowolający. Nie jest zbyt dobrze dla człowieka rozeznawać się w pełni cielesnego i duchowego urządzenia. Zupełne rozeznanie określa granicę ludzkich możliwości, a człowiek znosi je tym gorzej, im mniej jest z przyrodzenia ograniczony w zamiarach. Tyle po pierwsze. Po wtóre, imiona zachowuje się inaczej niż wszelkie pojęcia, schowane za mową. Czemu? Ponieważ imiona nie tworzą żadnego spójnego układu. Są przecież czysto umowne. Każdy nazywa się jakoś, lecz mógłby się nazywać całkiem inaczej i być tym samym człowiekiem. O imionach własnych decyduje przypadek, zwany rodzicami. Tak więc imionom i nazwiskom brak konieczności logicznej i fizycznej. Jeśli pozwolisz na małą dywagację filozofa, istnieją tylko rzeczy i ich relacje. Być człowiekiem to tyle, co być pewną rzeczą, niniejsza o to, że żywą. Być bratem lub synem, to już relacja. Badając noworodka wszystkimi metodami, wykryjesz w nim wszystko i dotrzesz do jego kodu dziedzicznego, ale nie do nazwiska. Świat się poznaje. Natomiast do imion tylko się przywyka. Tej różnicy nie czuje się w zwykłym życiu. Kto jednak przyszedł dwa razy na świat, doświadcza jej. Niewykluczone, że przypomnisz sobie, jak się nazywałeś. Może to zajść w każdej chwili. Może nie zajść wcale. Dlatego radziłem ci przybrać choć tymczasowe imię. Nie będzie w tym żadnej nieuczciwości ani fałszu. Staniesz w sytuacji własnych rodziców nad twoją kolebką. Oni też nie wiedzieli, nim się pobrali, jakie nadadzą ci imię. Wybrawszy je, po lalach, nie umieliby już pomyśleć, że masz jakieś inne, przyrodzone, właściwsze imię i że go ci nie nadali.

— Mówisz raczej jak Pytia — powiedział na to, starając się ukryć, jak dotknęły go słowa o jego śmierci. Nie pojmował, czemu tak reaguje na dobrze znany fakt — choć właściwie powinien odczuwać niesłychaną satysfakcję powstałego z martwych.

— Nie chodzi mi o imię. Wiem, że moje nazwisko zaczyna się na P. Cztery do sześciu liter. Parvis albo Pirx. Wiem, że tamtych nie dało się uratować. Byłoby lepiej, gdyby mi nie pokazali tej listy.

— Liczyli na to, że się rozpoznasz.

— Nie mogę wybrać na oślep. Mówiłem ci to już.

— Wiem i rozumiem twoje pobudki. Należysz do ludzi zwracających mało uwagi na samych siebie. Tak było z tobą zawsze. Nie chcesz wyboru? Nie.

— Ani nadanego imienia?

— Nie.

— Co więc zamierzasz?

— Nie wiem.

Może usłyszałby jeszcze jakieś perswazyjne rady, lecz pierwszy raz odkąd bywał w tym gabinecie, skorzystał z uprawnień — żeby zetrzeć treść wszystkich rozmów z maszyną i jakby mu tego nie było dość, następnym dotknięciem zdmuchnął w nicość popiersie greckiego mędrca. Poczul wówczas złą satysfakcję, bezrozumną, choć przejmującą, jakby zabił, nie zabijając, tego, przed kim się nazbyt obnażył, i kto, będąc Nikim, tak rozsądnie i bezapelacyjnie patronował jego bezradności. Była to nędzna namiastka; argumentu i pożałował uczynku, którym rozstał się z bezwinnym urządzeniem. Skoro jednak miało rację w tym, że nie tyle siebie chciał mieć w świecie, ile w sobie świat, stłumił próżny gniew, wstyd i zapomniał o nich na dobre, wzięwszy się do spraw ważniejszych od własnej przeszłości. Było czego się uczyć. Największy i ostatni projekt szukania cywilizacji pozaziemskich zwany CYKLOPEM spełził po kilkunastu latach na niczym. Tego zdania byli ci, którzy po nasłuchu gwiazd oczekiwali odbioru zrozumiałych sygnałów. Zagadka Milczącego Wszechświata, *Silentium Universi*, urosła w wyzwanie, rzucone ziemskiej nauce. Skrajny optymizm garstki astrofizyków na schyłku XX wieku, zaraziwszy tysiące innych ekspertów, na równi z laikami, obrócił się w swoje przeciwieństwo. Miliardy włożone w budowę radioteleskopów, filtrujących promieniowanie milionów gwiazd i galaktyk, dały wprawdzie zysk w postaci nowych odkryć, lecz żadne nie przyniosło oczekiwanych wieści "Innego Rozumu". Teleskopy umieszczone na orbiterach w próżni, zostały co prawda kilkakrotnie trafione przez strugi fal dość osobliwych, by pobudzić gasnące nadzieje. Jeśli była to sygnalizacja, odbiór trwał krótko i urywał się, nie powracając. Być może przestwór okołosłoneczny przeszyły igły przesłań, zwróconych do jakichś gwiazdowych adresatów, więc owe zapisy usiłowano rozszyfrować daremnie na niezliczone sposoby. Sygnalizacyjnej istoty tych impulsów nie dało się z pewnością ustalić. Toteż tradycja i ostrożność kazały specjalistom uznać podobne zjawiska za plody gwiazdowej materii, za emisję najtwardszej radiacji, przypadkiem skupionej przez tak zwane soczewki grawitacyjne w kształt wąskich pasm czy igieł. Naczelna reguła w obserwacji żądała uznania za naturalne fenomeny wszystkiego, co nie ujawniało wyraźnie sztucznego pochodzenia. Astrofizyka zaś tak się już zaawansowała, że starczyło jej hipotez, zdolnych ściśle "odtłumaczyć" każdy rodzaj postrzeżonej emisji bez odwołania do jakiegokolwiek istoty jako nadawców. Powstawała dość paradoksalna sytuacja: im większą ilością teorii operowała astrofizyka, tym trudniej przyszłoby rozmyślnej sygnalizacji udowodnić swą autentyczność. Pod koniec XX wieku rzecznicy projektu CYKLOPA sporządzili obszerny katalog kryteriów odróżniających to, co Natura może spłodzić bogactwem swych sił od tego, co im niedostępne i tym samym wygląda jak "kosmiczny cud" — na Ziemi odpowiadałyby mu liście spadłe z drzew tak, by ułożyć się w litery sensownego

zdania, albo otoczaki wyrzucone na rzeczny piasek w porządku kół i stycznych lub trójkątów Euklidesa. Tym samym ułożyli naukowcy szereg przykazań, jako powinności, które muszą spełnić dowolni nadawcy sygnałów pozaziemskich. Niemal połowa tego spisu uległa przekreśleniu w początkach następnego stulecia. Nie tylko pulsary, nie tylko soczewki grawitacyjne, nie tylko masery gazowych chmur gwiazdnych, nie tylko olbrzymie masy galaktycznego ośrodka łudziły obserwatorów regularnością, repetycją, osobliwym łaodem wielorakich impulsów. Na miejsce unieważnionych "powinności nadawców" wprowadzono wnet nowe, aby i te wkrótce unieważnić.

Stąd wziął się pesymizm — jako przeświadczenie o unikalności Ziemi nie tylko w ramieniu Drogi Mlecznej, lecz w miriadach innych spiralnych galaktyk. Dalsze przyrosty wiedzy — właśnie astrofizycznej — zderzyły ów pesymizm ze sceptycyzmem. Ilość cech kosmicznych energii i materii, które utworzyły pojęcie "*Antropic Principle*", ścisłego związku między tym, jaki jest Wszechświat i tym, jakie jest życie, miała wręcz nieodpartą wymowę. W Kosmosie, zawierającym ludzi, należało oczekiwać narodzin życia i poza Ziemią. Kolejno powstawały więc domysły, godzące życiodajność Kosmosu z jego milczeniem. Życie powstaje na bezliku planet, lecz rozumne istoty rodzi w najrzadszym splocie wyjątkowych trafów.

Nie powstaje wprawdzie dość często, lecz rozwija się na ogół w pozabiałkowe strony — krzem ukazał już obfitość związków równą obfitości połączeń węgla, atomowego zwornika białek, a silikonowe wszczęte ewolucje pozostają trwale niestyczne ze strefą rozumu lub tworzą jej odmienne, wyzbyte pokrewieństwa z ludzką umysłowością.

Nie rozbłysk inteligencji zdarza się różnopościeciowo, lecz trwa krótko. Tylko w swej bezrozumnej epoce biegnie rozwój życia przez miliardy lat. Stworzenia Naczelne, jeśli ukształtowane, po stu lub dwustu tysiącach lat bezwiednie wszczynają erupcję technologiczną. Erupcja ta nie tylko unosi je coraz szybciej ku coraz wyższym umiejętnościom władania mocami Przyrody. Ten wybuch — bo podług zegara kosmicznego chodzi o istną eksplozję — roznosi cywilizacje w zbyt odmienne strony, by mogły się porozumieć przez wspólnotę myślenia. Takiej wspólnoty nie ma wcale. Stanowi ona przesąd antropocentryczny, odziedziczony przez ludzi po najstarszych wierzeniach i mitach. Rozumów może być wiele i właśnie przez to, że jest ich aż tak wiele, niebo wobec nas milczy. Nic podobnego, utrzymywały inne hipotezy. Rozwiązanie zagadki jest daleko prostsze. Ewolucja życia, jeśli narodzi Rozum, czyni to serią jednorazowych przypadków. Rozum ten może zostać unicestwiony w powiciu każdym gwiazdnym wtargnięciem w poblizę rodzicielskiej planety. Interwencje kosmiczne są zawsze ślepe i losowe; czyż paleontologia, z

pomocą galaktografii, tej archeologii Drogi Mlecznej, nie dowiodła, jakim kataklizmom, jakim górom mezozoicznych zwłok gadzich zawdzięczają Naczelność ssaki — i jaki splot zająć — glacjałów, pluwiałów, stepowienia, zmian ziemskich biegunów magnetycznych, tempa mutacji, stał się drzewem genealogicznym człowieka? Mimo to Rozum może dojrzywać wśród trylionów słońc. Może wkraczać na drogę ziemskiego rodzaju, a wówczas ta wygrana na gwiazdnej loterii po jednym, drugim tysiącu lat obraca się w katastrofę, gdyż technologia jest obszarem groźnych pułapek i kto weń wkroczy, łatwo kończy fatalnie.

Istoty rozumne umieją dostrzec to zagrożenie, ależ tak, kiedy już jest za późno. Wyzbywszy się wiar religijnych, przemierzywszy ich późne, zwyrodniałe odmiany jako ideologie, nęcące spełnieniem doczesnych, tylko doczesnych życzeń, cywilizacje usiłują wyhamować własny rozpęd, lecz to już niemożliwe. Nawet tam, gdzie ich nie rozdziera żaden wewnętrzny antagonizm.

Rozbitek z Tytana miał wiele czasu, aby stawiać pytania i słuchać odpowiedzi. Od rozmyślań nad sobą i światem, na Ziemi zwanych filozofią, przechodzą Rozumni do działań, wyjaśniających im coraz dobitniej, że cokolwiek powołało ich do bytu, nie dało im nic pewniejszego nad śmiertelność. Zawdzięczają jej właśnie swoje powstanie, bo bez niej nie pracowałyby miliardoletnia zmienność kształtowanych i ginących gatunków. Zrodziła ich otchłań wszystkich śmierci archeozoiku, ery paleozoicznej, kolejnych geologicznych epok i razem ze swoim Rozumem otrzymują zapewnienie zgonu. Rychło, po kilkunastu wiekach od tej diagnozy, rozpoznają rodzicielskie sposoby Natury, ową tyleż perfidną, co marnotrawczą technologię samospełniających się procesów, jakich używa Przyroda, by dać pole kolejnym formom życia. Owa technologia budzi podziw, dopóki pozostaje niedostępna jej odkrywcom. I to nie trwa jednak długo. Okradłszy rośliny, zwierzęta, własne ciała z ich sekretów, przetwarzają środowisko, czyli siebie, a ten wzrost władztwa nie daje się nasycić. Mogą wyjść w Kosmos — aby przekonać się na dobre, jak jest im obcy i jak piętno zwierzęcego pochodzenia odcisnęło się bezwzględnie w ich ciałach. Przewyciężają i tę obcość; niebawem wewnątrz zbudowanej technosfery stają się ostatnim reliktem prastarej schedy biologicznej. Razem z dawną nędzą, z głodem, epidemiami, bezlikiem starczych przypadłości mogą porzucić śmiertelne ciała. Szansa ta pojawia się zrazu jako fantasmagoryczne, dalekie, przerażające rozdroże.

Tego rodzaju ogólniki, tracące dość ponurym patosem i jakąś inżynierską eschatologią, przyjmował rozbitek do wiadomości z niechęcią. Chciał poznać cel wyprawy, skoro stał się jej mimowolnym uczestnikiem i zbliżyło go do jej projektu klasyczne już w egzobiologii dzieło nowszej daty, w którym ujrzał diagram Hortegi i Neyssla. Diagram ten

przedstawia rozwój psychozoików w Kosmosie z ich ciągiem głównym i rozgałęzieniami. Początek głównego ciągu przypada na wczesny wiek technologiczny. Jest w czasowym przebiegu krótki; nie daje odgałęzień przez tysiąc lat, między etapem narzędzi mechanicznych i informatycznych. W następnym tysiącleciu informatyka krzyżuje się z biologią, tworząc nurt przyspieszenia biotycznego. W tym miejscu wartość diagnostyczna wykresu przechodząc w prognostyczną słabnie. Kształt głównego ciągu wyznaczyły fakty i teorie; jego rozbiegi są wypadkowymi już samych tylko teorii, co prawda wspartych przez inne, o wysokim stopniu wiarygodności. Krytycznym rozdrożem głównego ciągu jest czas, w którym sprawność konstruktorska Rozumnych zrównuje się z życiosprawczą potencją Natury. Przewidzieć dalszego biegu pojedynczej cywilizacji nie można. Wynika to z samego charakteru rozdroża. Pewna część cywilizacji może pozostać na głównym ciągu, przez silną restrykcję dostępnej, lecz nie urzeczywistnianej autoewolucji. Przypadek graniczny biokonserwatyzmu oznacza wtedy prawo stanowione (ustawy, konwencje, zakazy z penitencjarną sankcją), któremu podlegają kategorycznie sprawności, przejęte od Natury. Powstają techniki zwrócone ratowniczo ku środowisku: winny przystosować technosferę bezurazowo do biosfery. Zadanie to może, choć nie musi, zostać wykonane; wówczas cywilizacja, w serii autodestrukcyjnych kryzysów, faluje demograficznie. Może padać i regenerować się szereg razy, płacąc za tę samozgubną inercję miliardami ofiar. Nawiązywanie międzygwiazdnej łączności nie należy wtedy do jej najpilniejszych zadań.

Konserwatyści głównego ciągu milczą: to oczywiste.

Niekonserwatywnych biotycznie rozwiązań jest wiele. Podjęte decyzje są na ogół nieodwracalne. Stąd silny rozbieg starych psychozoików. Hortege, Neyssel i Amicar wprowadzili pojęcie "okna kontaktu". Jest to przedział czasu, w którym Rozumni stoją JUŻ wysoko użytkową wiedzą, lecz JESZCZE nie wzięli się do przekształcania naturalnie danej im Rozumności — odpowiednika mózgu ludzkiego. "Okno kontaktu" jest kosmicznie mgnieniem.

Od łuczywa do lampy naftowej upłynęło 16 000 lat, od tej lampy do lasera sto lat, różnica informacji niezbędnej dla kroku łuczywo—laser jest podobna do różnicy nieodzownej dla kroku dzielącego rozpoznanie kodu dziedziczności od jego wdrożenia w poatomowy przemysł. Przyrosty wiedzy są w fazie "okna kontaktu" eksponencjalne, u jej kresu — hyperboliczne. Przedział kontaktu jako porozumienia liczy pesymalnie 1000 lat ziemskich, optymalnie 1800 do 2500 lat.

Poza oknem panuje dla wszystkich cywilizacji niedojrzałych i przejrzałych milczenie. Pierwsze nie dysponują dla łączności mocą, drugie albo otorbiają się, albo tworzą agregaty

komunikujące się z sobą nadświatlnie. W kwestii nadświatlnej łączności panował spór. Żadnego rodzaju materii bądź energii nie można doprowadzić do przekroczenia chyżości światła, lecz tę barierę można, twierdzili niektórzy, ominąć wybiegiem. Niechaj pulsar z wzmrożonym w neutronową gwiazdę magnetycznym polem wiruje z przyświatlną szybkością. Promień jego emisji zatacza kręgi wokół osi pulsara i w dostatecznej odległości przemierza odcinki przestrzeni z nadświatlną prędkością. Jeżeli na kolejnych odcinkach obiegu tego promienia znajdują się obserwatorzy, mogą zsynchronizować swoje zegary ponad barierą wykrytą przez Einsteina. Winni tylko znać dane dotyczące odległości boków trójkąta "pulsar — obserwator A — obserwator B" oraz prędkość obrotową "latarni morskiej".

Tyle dowiedział się wskrzeszony na "Eurydyce" o kosmicznych cywilizacjach w roku jej bezustannie rosnącego pędu. Dotarł wtedy do bariery, której nie umiał przezwyciężyć. Maszynowy pedagog nie okazał niezadowolenia uczniowi zbyt mało zdolnemu, by pojąć arkana energetyki sideralnej i jej związków z inżynierią i balistyką grawitacyjną. Te owoce ostatnich odkryć wsparły projekt wyprawy do gwiazd Harpii, zakrytych przed zeszlówiecznymi astronomami chmurą, zwaną Workiem Węgla. "Eurydyka" miała go wyminąć, wejść do "temporalnej przystani" kollapsara ochrzczonego Hadesem, wysłać jeden swój człon ku planecie zwanej Kwintą Dżety Harpii, czekać powrotu zwiadowcy i wykonać dla powrotu zagadkowy manewr zwany pasażem przez retrochronalny teroid — dzięki czemu wróci w pobliże Słońca ledwie osiem lat po starcie. Bez tego pasażu wróciłaby po dwóch tysiącach lat, a właściwie nigdy.

Statek zwiadowczy "Eurydyki" miał samodzielnie przebyć cały parsek z załogą w stanie embrionacji. Wariant witryfikowania ludzi odrzucono, ponieważ dawał tylko 98% pewności ożywienia ściętych w lód. Pilot przedwiecznych rakiet czuł się przy tych wykładach jak dziecko wdrażane w funkcje synchrofazotronu. Albo niedostateczne były umiejętności Memnora, albo jego. Uznał też, że stał się odludkiem i nie może dłużej być Robinsonem u boku elektronicznego Piętaszka. Pojechał do obserwatorium w dziobowym członie "Eurydyki", żeby zobaczyć gwiazdy. Istna hala lśniła niepojętą aparaturą, darmo szukał armatniej osady reflektora albo teleskopu znanej konstrukcji — czy po prostu kopuły z przesłoną dla wizualnych obserwacji nieba. Wysoka przestrzeń zdawała się bezludna, choć oświetlona piętrowymi girlandami dookólnych lamp. Biegły wzdłuż nich wąskie galerie, połączone kolumnami aparatów. Wróciwszy po nieudanej wizycie do swej kajuty, zauważył na stole starą, roztrzępaną książkę z karteczką od Gerberta, który użyczył mu tej lektury do snu. Lekarz znany był z tego, że wziął na pokład moc książek fantastycznej treści i wołał je od olśniewających holowizyjnych spektakli. Widok książki wzruszył obdarowanego. Tak

długo był znów wśród gwiazd i tak długo ich nie widział, a nie umiał, co gorsza, zbliżyć się do ludzi, którzy ufundowali mu nową podróż — wraz z nowym życiem. Kajutę, jak o to prosił, dostał urządzone niby wpół na morskim statku, wpół — na dawnej towarowej rakiecie — pomieszczenie mieszkalne sternika czy nawigatora, niepodobne w niczym do pasażerskich, bo to nie miejsce chwilowego pobytu jak w hotelu, lecz. dom. Miał nawet piętrową koję. Na górnej kładł zwykle odzież, kiedy się rozbierał, nad wezglowiem dolnej zaświeceł lampkę, okrył nogi kocem i myśląc, że grzeszy znów biernością i lenistwem, ale już może ostatni raz, otworzył książkę w miejscu oznaczonym przez Gerberta. Przez chwilę czytał nie rozumiejąc słowa, tak podziałał nań zwykły czarny druk. Krój czcionek, żółtawy, osłabły papier kartek, prawdziwe szwy introligatorskie, wypukłość grzbietu w okładkach, wydały mu się czymś niewiarygodnie własnym, jedynym, zgubionym i odnalezionym — choć prawdą a Bogiem nigdy nie był pożeraczem literatury. Teraz jednak w czytaniu odkrywał coś solennego, jakby nieżyjący autor złożył mu kiedyś obietnice, i choć tyle przeszkód przyszło pokonać, ziściła się. Miał dziwny zwyczaj: otwierał książkę na chybił trafił i tam zaczynał lekturę. Pisarzom niezbyt by się to podobało. Nie wiedział, czemu tak postępuje. Być może chciał wtargnąć w zmyślony świat nie przez przygotowane wejście, lecz od razu w środek. Zrobił to i teraz.

“...opowiedzieć panu?

Profesor zaplótł ręce na piersiach.

— Okrętem do portu Borna — zaczął, opadając na krzesło. Przymknął oczy.

— Kołowcem rzeczonym do Bangala. Tam zaczyna się dżungla. Potem sześć tygodni konno, dłużej nie można. Nawet muły giną. Śpiączka... Był tam taki stary szaman, Nfo Tuabe — wymówił to słowo z francuskim akcentem na ostatniej sylabie. — Przyjechałem łapać motyle. Ale on wskazał mi drogę...

Przerwał na krótką chwilę. Otworzył oczy.

— Pan wie, co to znaczy dżungla? Skąd może pan wiedzieć? Zielone, oszalałe życie. Wszystko drży, czuwa, rusza się, w gęstwinie natłok żarłocznych stworzeń, obłąkane kwiaty jak wybuchy kolorów, ukryte w lepkich pajęczynach owady — tysiące, tysiące nie poklasyfikowanych gatunków. Nie to co u nas, w Europie. Nie trzeba szukać. W nocy cały namiot obsiadają ćmy, wielkie jak dłoń, natarczywe, ślepe, setkami padają w ogień. Cienie chodzą po płótnie. Murzyni drżą, wiatr nawiewa grzmoty z różnych stron. Lwy, szakale... No, ale to nic. Potem przychodzi osłabienie i gorączka. Jeśli się już porzuciło konie — dalej pieszo. Miałem surowicę, chininę, germaninę, wszystko co pan chce. Wreszcie pewnego dnia

żadnej rachuby nie ma, człowiek czuje dopiero, że podział tygodni i cały kalendarz jest jakimś śmiesznym sztucznym tworem — pewnego dnia nie można dalej iść. Dżungla się kończy. Jeszcze jedna wioska murzyńska. Nad samą rzeką. Rzeki nie ma na mapie, bo trzy razy do roku zapada w lotne piaski. Część koryta jest podziemna. Ot, kilka lepianek z wypalanej słońcem gliny i szlamu. Tam mieszkał Nfo Tuabe. Nie znał angielskiego, skądże. Miałem dwu tłumaczy. Pierwszy przekładał moje słowa na dialekt wybrzeża, a drugi tłumaczył z dialektu na język Buszmenów. Nad całym pasem dżungli, od szóstego stopnia szerokości, panuje tam stara rodzina królewska. Potomkowie Egipcjan, jak sądzę. Wyżsi i daleko inteligentniejsi od Murzynów z Afryki Środkowej. Nfo Tuabe narysował mi nawet mapę, oznaczył na niej granice królestwa. Uratowałem mu syna od śpiączki. I za to właśnie...

Nie otwierając oczu, profesor sięgnął do wewnętrznej kieszeni. Wydobył z notatnika kartkę papieru porysowaną czerwonym atramentem. Wiły się na niej pogmatwane linie.

— Trudno się zorientować... Tutaj kończy się dżungla, jak ucięta nożem. To granica królestwa. Spytałem, co jest dalej. Nie chciał mówić o tym w nocy. Musiałem przyjść w dzień. Dopiero wtedy, w tej swojej cuchnącej norze bez okien... nie wyobraża pan sobie, jaki tam jest zaduch... powiedział mi, że dalej są mrówki. Białe ślepe mrówki, które budują wielkie miasta. Kraj ich ciągnie się całymi kilometrami. Rude mrówki walczą z białymi. Nadchodzą wielką, żywą rzeką przez dżunglę. Wtedy słonie uchodzą z okolicy stadami, wyłamując w poszyciu wielkie tunele. Tygrysy uciekają. Nawet węże. Z ptaków zostają tylko sępy. Mrówki idą rozmaicie: czasem miesiąc, dniem i nocą, rdzawym ruchomym strumieniem, a cokolwiek stanie na ich drodze — niszczą. Dochodzą do skraju dżungli, napotykają kopce białych i zaczyna się walka. Nfo Tuabe widział ją raz w życiu. Rude mrówki, pokonawszy straż białych, wchodzą do ich miasta. Nie wracają nigdy. Co się dzieje z nimi — nie wiadomo. Ale na drugi rok przedzierają się przez dżunglę nowe zastępy. Tak było za jego ojca, dziada i pradziada. Tak było zawsze. Gleba w mieście białych mrówek jest żyzna. Za dawnych czasów Murzyni próbowali zużytkować ją, usiłowali zniszczyć ogniem kopce termitów. Ale przegrali tę walkę. Zasiwy zostały zniszczone. Budowali szałas i zagrody z drzewa. Termity docierają do nich podziemnymi korytarzami, przenikają w głąb konstrukcji i tak je przegryzają od wnętrza, że nagle padają, gdy dotknąć ręką. Próbowali użyć gliny. Wtedy zamiast robotników zjawiali się żołnierze. Ci właśnie — wskazał na słój.

W środku, przymocowane klamerkami do szklanej płytki, widniały okazy olbrzymich termitów. Kilka wojowników, ogromnych i jakby kalekich stworzeń. Trzecią część tułowia okrywał rogowy pancerz z przyłbicą zakończoną rozdziawionymi nożycami. Delikatne nóżki i odwłok przytłaczała masa rozrosłego pancerza.

— To nie jest dla pana niczym nowym, prawda? Wiemy, że są połączone ziemie, na których panują termyty. W Ameryce Południowej... Mają dwa rodzaje żołnierzy, coś w rodzaju wewnętrznej policji i obrońców. Kopce dochodzą ośmiu metrów wysokości. Zbudowane z piasku i wydaliny, tworzą cement, twardszy od portlandzkiego. Żadna stal się go nie ima. Bezokie, białe, miękkie owady, które żyją od kilkunastu milionów lat odcięte od światła. Zbadane przez Packarda, Schmelza i tylu innych. Ale nikt z nich nawet nie podejrzewał... Rozumie pan? Uratowałem mu syna i w zamian za to... Och, to był mędrzec... Wiedział, w jaki sposób odwdziżyć się białemu po królewsku. Taki zupełnie siwy, czarny aż popielaty Murzyn, jak maska uwędzona w dymie. Powiedział mi tak:

Kopce ciągną się milami. Cała równina jest nimi pokryta. Jak las, jak martwy las, jedno przy drugim, skamieniałe olbrzymie pnie — trudno się między nimi przedrzeć. Wszędzie grunt twardy, głucho dudniący pod stopą, zasłany splotami jakby grubych sznurów. To są kanały, którymi biegną termyty. Zbudowane są z tego samego cementu co kopce. Ciągają się daleko, wnikają pod ziemię, wydostają się w górę, mają rozgałęzienia, skrzyżowania, przejścia do wnętrza kopców, a co kilkadziesiąt centymetrów — rozszerzenia, w których mijają się termyty, biegnące w przeciwnych kierunkach. Tam, w głębi Miasta, pośród miliona skamieniałych termitier, w których wrze ślepe, gwałtowne życie, jest jeden kopiec inny. Niewielki, czarny i zakrzywiony hakowato.

Pokazał mi swym brunatnym kciukiem, jak on wygląda.

Tam jest serce narodu mrówek. Więcej nie chciał powiedzieć.

— I pan mu uwierzył? — wyszeptał słuchacz. Czarne oczy profesora paliły go.

— Wróciłem do Bona. Kupiłem pięćdziesiąt kilogramów dynamitu w laskach funtowych, jak go używają w kopalniach. Oskardy, łopaty, kilofy, rydle, cały ekwipunek. Zbiorniki siarki, węże metalowe, maski, siatki — najlepsze, jakie mogłem dostać. Kanistry benzyny lotniczej i arsenał owadobójczych środków, jaki można tylko sobie wyobrazić. Potem wynająłem dwunastu tragarzy i pojechałem w dżunglę.

— Zna pan eksperyment Collengera? Uznano go za bajkę. Nie był to co prawda myrmekolog, lecz amator. Przekroił cały kopiec termitów od góry do dołu płytą stalową tak, że obie połowy nie komunikowały się ze sobą wcale. Kopiec był młody, termyty dopiero go budowały. Po sześciu tygodniach wydobyl płytę i okazało się, że budowały nowe korytarze tak, że ich wyloty po obu stronach przegrody ściśle sobie odpowiadały — ani milimetra różnicy w pionie czy w poziomie. Tak jak ludzie budują tunel, jednocześnie rozpoczynając roboty z dwu stron góry i spotykają się w jej wnętrzu. W jaki sposób porozumiewały się termyty przez stalową płytę? Potem — doświadczenie Glossa. Także nie sprawdzone.

Twierdził, że jeśli zabić królową termitów, owady oddalone o kilkaset metrów od kopca zdradzają natychmiast podniecenie i wracają do domu.

Znowu przerwał. Wpatrywał się w czerwony żar kominka, nad którym zjawiały się i znikwały lotne błękitne płomyki.

— Drogę miałem... no tak. Najpierw uciekł przewodnik, potem tłumacz. Rzucali rzeczy i znikali. Rano, kiedy się budziłem w moskitierze — milczenie, wybałuszone oczy, przerażone twarze i szepty za plecami. Pod koniec wiązałem ich z sobą, a koniec sznura owijałem wokół pięści. Noże zabierałem, żeby go nie mogli przeciąć. Od ciągłego nie dosypiania czy od słońca dostałem zapalenia oczu. Rano powiek nie mogłem rozewrzeć, tak były sklezione. A tu szło lato. Koszula od potu była sztywna jak nakrochmalona, hełmu nie można tknąć z zewnątrz palcem, bo natychmiast wyskakują bąble. Lufa karabinu parzy jak rozpalona sztaba.

Torowaliśmy sobie drogę przez trzydzieści dziewięć dni. Nie chciałem iść przez wioskę starego Nfo Tuabe, bo mnie o to prosił: tak że na skraj dżungli wyszliśmy zniecka. Nagle się ten piekielny, duszny gąszcz liści, pnączy, rozwrzeszczanych papug, małp skończył. Jak okiem sięgnąć równina, żółta jak skóra starego lwa. Na niej pośród kęp kaktusów stożki. Kopce. Budowane ślepo od wnętrza, więc często niekształtne. Tutaj spędziliśmy noc. Nad ranem zbudziłem się ze straszliwym bólem głowy. Poprzedniego dnia nieostrożnie zdjąłem na chwilę hełm. Słońce stało wysoko. Żar był taki, że powietrze paliło płuca. Obrazy przedmiotów drżały, jakby piasek płonął. Byłem sam. Murzyni uciekli, przegryzłszy sznur. Pozostał tylko trzynastoletni chłopiec, Uagadu.

Zacząłem iść. We dwójkę dźwigaliśmy bagaż na odległość kilkudziesięciu kroków. Potem wracaliśmy i znosili resztę rzeczy. Taką wędrowkę trzeba było powtarzać pięć razy w słońcu, które paliło jak szatan. Pomimo białej koszuli dostałem na plecach wrzodów, które się nie goiły. Musiałem spać na brzuchu. Ale to wszystko głupstwo. Cały dzień zagłębialiśmy się w Miasto Termitów. Nie wiem, czy jest na świecie coś groźniejszego. Niech pan sobie wyobrazi: ze wszystkich stron, z przodu, z tyłu kamienne kopce wznoszące się na dwa piętra. Miejscami tak bliskie, że ledwo można się było między nimi precyzyjnie przesuwać. Nieskończony las chropowatych szarych kolumn. A w środku, kiedy się przystanęło, nikły, bezustanny, miarowy szelest, chwilami przechodzący w pojedyncze stuknięcia. Ściana dotknięta ręką mrowiła się, drżała bez ustanku, nocą i dniem. Kilka razy zdarzyło się nam rozgnieść jeden z takich tunelów, które wyglądają jak popielate powrozy, całymi pękami rozrzucone po ziemi. Szły tam nieskończonymi szeregami białe owady. Natychmiast ukazywały się rogowe hełmy żołnierzy, którzy cięli na oślep powietrze nożycami i wyrzucali lepki, parzący płyn.

Szedłem tak dwa dni, bo nie było mowy o jakiegokolwiek orientacji. Dwa, trzy, cztery razy dziennie wdrapywałem się na kopiec wyższy od innych, szukając tego, o którym mówił Nfo Tuabe. Ale widziałem tylko skamieniały las. Dżungla za nami stała się zielonym pasem, potem — błękitną linią na widnokręgu, wreszcie znikła. Zapasy wody malały. A kopcom nie było kresu. Przez lunetę widziałem coraz dalsze aż po horyzont, gdzie zlewały się jak kłosa zboża. Podziwiałem mego chłopca. Bez skargi robił to wszystko co ja, nie wiedząc po co ani dlaczego. Szliśmy tak cztery dni. Byłem zupełnie pijany słońcem. Ochronne okulary nie pomagały. Straszliwy blask był i w niebie, na które przed zmierzchem ani spojrzeć, i w piasku, który się jarzył jak rtęć. A wokół palisady kopców — bez końca. Ani śladu żywego stworzenia. Tu się nawet sępy nie zapuszczały. Tylko gdzieniegdzie stały samotne kaktusy.

Nareszcie wieczorem wydzieliwszy przypadającą na ten dzień porcję wody wdrapałem się na szczyt bardzo wielkiego kopca. Myślę, że pamiętał czasy Cezara. Już bez nadziei rozglądałem się, gdy wtem zobaczyłem w lunecie czarny punkt. Myślałem zrazu, że szkło jest zabrudzone. Myliłem się. To był ten kopiec.

Nazajutrz wstałem, gdy słońce było jeszcze 'pod horyzontem. Ledwie dobudziłem mego chłopca. Poczuliśmy nieść rzeczy w kierunku, który oznaczałem wedle kompasu. Zrobiłem też szkic okolicy. Tymczasem kopce, choć nieco niższe, zbliżały się do siebie. Wreszcie stanęły takim częstokołem, że już nie mogłem się przedostać. Murzynek jeszcze mógł, więc podawałem mu pakunki, stojąc między dwiema kolumnami cementu. Potem przeciskałem się górą. Trwało to pięć godzin. Przez ten czas przebyliśmy może sto metrów. Widziałem, że w taki sposób nie zrobimy nic, ale opanowała mnie jakaś gorączka. Nie mówię dosłownie, bo stale miałem koło trzydziestu ośmiu stopni. To sprawa klimatu. Może zresztą wpływa to jakoś na mózg. Wziąłem pięć funtów dynamitu w laskach i wysadziłem kopiec, który stał nam na drodze. Ukryliśmy się za innymi, kiedy zapaliłem lont. Wybuch był przytłumiony, siła eksplozji poszła w głąb. Grunt zadygotał. Ale inne kopce stały. Z wysadzonego zostały tylko wielkie skorupiaste odłamy, wijące się od białych ciał. Dotychczas nie szkodziliśmy sobie nawzajem. Teraz rozpoczęła się walka. Nie można było przejść przez krater utworzony wybuchem. Dziesiątki tysięcy termitów wyłaziły z czeluści i szły ławą jak fala. Obmacywały każdy skrawek gruntu. Rozpaliłem siarkę, wziąłem na plecy zbiornik. Pan wie, jak wygląda taki przyrząd. Przypomina sikawkę, którą ogrodnicy skraplają krzewy. Albo miotacz ognia. Gryzący dym buchał rurą, którą trzymałem w ręku. Nałożyłem maskę gazową, drugą dałem chłopcu. Dałem mu też specjalnie w tym celu zamówione buty — oplecione stalową siateczką. Udało się nam w ten sposób przejść. Puszczając strumienie dymu, który rozpędzał termyty. Te, które się nie cofały, ginęły. W jednym miejscu musiałem użyć benzyny,

rozlałem ją i podpaliłem, stwarzając między nami i potokiem termitów zaporę z ognia. Pozostało jeszcze jakichś sto metrów do czarnej termiery. O spaniu nie było mowy. Siedzieliśmy przy kopającym bezustannie zbiorniku, świecąc latarkami. Co za noc! Tkwiał pan kiedyś sześć godzin w masce gazowej? Nie? No więc niech pan sobie wyobrazi, ca to znaczy tkwić w rozpalonym gumowym ryju. Gdy chciałem odetchnąć swobodniej, odciągając maskę od twarzy, dusiłem się dymem. Tak przeszła noc. Chłopak mój drżał bezustannie. Bałem się, czy to nie febra.

Wreszcie wstał nowy dzień. Woda kończyła się. Mieliśmy jeszcze tylko jeden kanister. Mógł starczyć nam najwyżej na trzy dni przy skąpym zaspokajaniu pragnienia. Należało jak najszybciej wracać.

Profesor przerwał, otworzył oczy i spojrzał w palenisko. Żar poszarzał już całkiem. Światło lampy ogarniało pokój zielony, łagodny blask jakby sączący się przez tafle wody.

— Wtedy doszliśmy do czarnego kopca. Podniósł dłoń w górę.

— Jak zakrzywiony palec. Tak wyglądał. O powierzchni gładkiej, jak wypolerowanej. Otaczały go kopce niskie, co najosobliwsze — nie pionowe, lecz pochylające się ku niemu rzekłbyś, maskary skamieniałe w groteskowym ukłonie.

Zgromadziłem wszystkie zapasy w jednym miejscu tego koliska — mierzyło ze czterdzieści kroków — i zabrałem się do roboty. Nie chciałem niszczyć czarnego kopca dynamitem. Od chwili, gdy weszliśmy w tę przestrzeń, termity więcej się nie pokazywały. Można było zerwać wreszcie maskę z twarzy. Co za ulga! Przez parę minut nie było na ziemi człowieka szczęśliwszego ode mnie. Nieopisana rozkosz swobodnego oddechu — i ten kopiec, czarny, niesamowicie zakrzywiony, niepodobny do niczego, co znałem. Jak oszalały tańczyłem i śpiewałem, nie bacząc na pot gradem lecący z czoła. Mój Uagadu patrzył na to przerażony. Myślał może, że oddaję cześć czarnemu bożkowi...

Ochłonałem jednak szybko. Powodów do radości było niewiele: woda kończyła się, suchy prowiant starczył ledwo na dwa dni. Co prawda zostawały termity. Murzyni uważają je za przysmak. Ale nie mogłem się przewyciężyć. Zresztą głód uczy...

Urwał znowu. Oczy mu błyszczały.

— Żeby dużo nie mówić... mój panie, rozwaliłem ten kopiec... stary Nfo Tuabe mówił prawdę.

Pochylił się do przodu. Rysy jego zaostrzyły się. Mówił bez wytchnienia.

— Była tam najpierw warstwa włókien, cienkiego przedziwa niezwyklej gładkości i mocy. We wnętrzu — centralna komora, otoczona grubą warstwą termitów. Czy to były w ogóle termity? Jak żyję, takich nie widziałem. Olbrzymie, płaskie jak dłoń, pokryte srebrnymi

włoskami, z lejkowatymi główkami, zakończonymi czymś w rodzaju anteny. Anteny te stykały się z szarym przedmiotem, nie większym od mojej pięści. Owady były niesłychanie stare. Nieruchome jak z drewna. Nie próbowały się nawet bronić: Odwłoki pulsowały miarowo. Ale kiedy odrywałem je od tego centralnego przedmiotu, tej rzeczy krągłej i niezwyklej — natychmiast ginęły. Rozpadały mi się w palcach jak zetlałe szmaty. Nie miałem ani czasu, ani sił, żeby to wszystko badać. Wydobyłem ów przedmiot z komory, zamknąłem w kasetce z blachy stalowej i natychmiast razem z moim Uagadu ruszyłem w drogę powrotną.

Mniejsza o to, jak dotarłem do wybrzeża. Spotkaliśmy rude mrówki. Błogosławiłem chwilę, w której zdecydowałem się wlec z powrotem jedyny kanister pełen benzyny. Gdyby nie ogień... Ale mniejsza z tym. To osobna historia. Powiem tylko jedno: na pierwszym postoju uważnie obejrzałem tę rzecz porwaną z czarnego kopca. Kiedy oczyściłem ją z nalotów, ukazała się idealnie regularna kula z substancji ciężkiej, przezroczystej jak szkło, ale nieporównanie silniej załamującej światło. Otóż tam w dżungli objawił się pewien fenomen, na który zrazu nie zwracałem uwagi. Sądziłem, że to może złudzenie. Ale gdy dotarłem do cywilizowanych obszarów na wybrzeżu i później jeszcze, przekonałem się, że to nie było złudzenie...

Cofnął się w głąb fotela i prawie niewidzialny w cieniu, z głową odcinającą się od jaśniejszego tła, mówił:

— Prześladowały mnie owady. Motyle, ćmy, pajęczaki, błonkoskrzydłe, co pan tylko chce. Dzień i noc ciągnęły za mną huczącą chmurą. A właściwie nie za mną — za moim bagażem, za metalową kasetką, która zawierała kulę. W czasie podróży okrętem było trochę lepiej. Używając radykalnych środków owadobójczych pozbyłem się tej plagi. Nowe nie przybywały — nie ma ich na pełnym morzu. Natomiast ledwo wylądowałem we Francji, wszystko zaczęło się od nowa. A najgorzej mrówki. Gdziekolwiek zatrzymywałem się dłużej niż na godzinę, pojawiały się mrówki. Rudnice, mrówki pniakowe, faraona, czarne, żniwiarki, wielkie i małe ciągnęły nieodparcie do tej kuli, zbierały się na kasetce, pokrywały ją dygocącym kłębem, cięły, przeżerały, niszczyły wszystkie osłony, jakimi ją opakowałem, dusiły się nawzajem, ginęły, wyrzucały kwas usiłując nagryźć nim stalową blachę... Urwał.

— Ten dom, w którym się znajdujemy, jego samotne położenie, wszystkie zabezpieczenia, które stosuję, spowodowane są przez to, że bezustannie oblegają mnie mrówki.

Wstał.

— Robiłem doświadczenia. Za pomocą diamentowych wiertel odkruszyłem od kuli opilek nie większy niż ziarnko maku. Wywierał takie samo działanie przyciągające jak cała

kula. Odkryłem też, że jeśli ją otoczyć grubym płaszczem ołowianym, działanie jej ustaje.

— Jakies promienie...? — ochryłym głosem wyrzucił słuchacz. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w ledwo majaczącą twarz starego uczonego.

— Być może. Nie wiem.

— ... pan ma tę kulę?

— Tak. Czy chce pan ją zobaczyć?

Słuchacz zerwał się na równe nogi. Profesor przepuścił go pierwszego w drzwiach, wrócił do biurka po klucz i pospieszył za gościem w ciemny korytarz. Weszli do wąskiej komórki bez okien. Była pusta, w kącie stała duża kasa. pancerna starego systemu. Słabe światło nie osłoniętej żarówki pod sufitem błyszczało sinawo w pancernych płytach. Profesor wetknął pewną ręką klucz w zamek. Przekręcił, nastąpił chrzęst cofających się rygli, grube drzwi odchyliły się. Odstąpił w bok. Kasa była pusta."

SETI

Kajuty fizyków znajdowały się na czwartej kondygnacji. Umiał już poruszać się na "Eurydyce". Przystudiował plan całego statku, tak niepodobnego do tych, którymi latał. Nie rozumiał wielu nazw i przeznaczenia dziwnych urządzeń rufowego członu, bezludnego i odciętego od reszty kadłuba potrójnymi grodziami. Gąsienicowy moloch wskroś i wzdłuż przesywały tunele komunikacyjne, istna sieć podziemna walcowate rozciągnięte miasta. W jego mięśniach spoczywała pamięć wędrówek w korytarzach ciasnych, owalnych w przekroju lub krągłych jak studnie, w których przychodziło płynąć w nieważkości, od czasu do czasu pomagając sobie lekkim pchnięciem, aby uczynić właściwy zwrot przy skręcie, a w towarowcach do ładowni można się było dostać i prościej, szybem klimatyzacyjnego przedmuchu, wystarczyło włączyć sprężarkę i mknęło się w szumie niemal prawdziwego wiatru, a nogi zawieszony w powietrzu zdawały się niepotrzebnym szczątkowym narządem, z którym nie wiadomo, co robić. Prawie żałował bezgrawitacji, którą tak nieraz kłął przy byle naprawie, bo prawa Newtona dawały o sobie znać i wystarczyło uderzyć młotkiem bez porządnego uchwytu drugą ręką, by polecieć po wypadkowej, robiąc zabawne tylko dla innych koziołki.

Windy, właściwie bezkołowe obłe kabiny z oknami tak wygiętymi, że widziało się w nich własne zniekształcone skurczeniem odbicie, poruszały się bezszelestnie, podając liczby mijanych sektorów i mrugając na właściwym przystanku.

Korytarz miał zarazem szorstką i poduszkowaną wyściółkę podłogi, za rogiem znikł właśnie podobny do żółwia odkurzacz, a on szedł wzdłuż szeregu drzwi, lekko wypukłych jak ściana, o wysokich progach okutych miedzią, bo to pewno spodobało się jakiemuś architektowi wewnątrz. Trudno było wymyślić inną przyczynę. Stał przed kajutą Laugera, straciwszy naraz pewność siebie. Wciąż nie potrafił stać się jednym z ludzi statku. Ich życzliwość w mesie, skwapliwość, z jaką raz jedni, raz inni prosili go do swego stołu, zdawała mu się przesadna, jakby chcieli udawać, że naprawdę jest jednym z nich — i tylko na razie jakoś nie przydzielono mu żadnego stanowiska. Wprawdzie rozmawiał z Laugerem, a

ten zapewnił go, że może przyjść, kiedy zechce, ale i to zamiast go napełnić ufnością, jakoś nastroszyło. W końcu Lauger nie był byle kim, pierwszy fizyk, i nie tylko na "Eurydyce". Nigdy nie sądził, że mogą go opaść wątpliwości, jak należy się zachować wobec kogokolwiek, *savoir-vivre* — to słowo miało tu posmak słowa "flirt" w podziemiach piramidy. Drzwi bez klamki, starczyło dotknąć ich opuszkami palców — otwały się tak szybko, że omal cofnął się jak dzikus przed autem. Obszerne wnętrze uderzyło go nieporządkiem. Wśród stosów taśm, płyt, papierów, atlasów wznosiło się wielkie biurko, wygięte blatem w półpiersień, z obrotowym siedzeniem w środku, za nim na ścianie prostokątna czerń z błędzącymi świetlikami iskier. Po obu stronach tej rozmrowionej tablicy wisiały na podświetlaczach wielkie fotografie mgławic spiralnych, a dalej wypukły się pionowe, słupaste cylindry, częściowo pootwierane, pełne przegródek z dyskami procesorów. W lewym kącie olbrzymiał skośnie czworogranny aparat z podczepionym krzeselkiem, wbity wylotem w strop, a ze szczeliny pod binokularami drobnymi skokami spływała taśma z jakimś wykresem, gromadząca się już zwojami na podłodze. Okrywał ją stary perski dywan z zatartym hieroglificznym wzorem. Ten dywan oszołomił go do reszty. Kolumniasty cylinder znikł, tworząc wejście do następnego pomieszczenia. Stał w nim Lauger, w płóciennych spodniach i swetrze, z nie ostrzyżoną od dawna głową i uśmiechał się do niego porozumiewawczo i niewinnie. Miał twarz mięsistą, jakby przedwcześnie postarzałego dziecka, i tak niepodobną do twórcy wysokich abstrakcji, jak Einstein, kiedy jeszcze pracował w jakimś urzędzie.

— Dzień dobry... — powiedział przybyły.

— Chodź, kolego, chodź. Dobrze przyszedłeś: za jednym zamachem wejdiesz w fizykę i w metafizykę... I wyjaśniająco dodał:

— Jest u mnie ojciec Arago.

Wszedł za Laugerem do drugiej kajuty, mniejszej, z zakrytą koją, kilkoma fotelikami wokół stołu, na którym dominikanin rozpatrywał przez lupę jakieś plany, a może komputerową mapę planetarną, bo biegły po niej równoleżniki.

Arago wysunął fotel koło siebie. Usiedli we trzech.

— To Marek — ojciec go zna? — spytał Lauger, i nie dając mu dojść do słowa, ciągnął:

— Domyślam się pana kłopotów, panie Marku. Trudno dogadać się z duchem w maszynie.

— Maszyna jest bezwinna — zauważył dominikanin z wyczuwalną ironią w głosie. — Gada to, co w nią włożono.

— To znaczy — co włożyliście — poprawił go przekornie uśmiechnięty fizyk. — Nie ma zgody w teoriach, ale też nigdy jej nie było. Chodzi o los nadokiennych cywilizacji — dorzucił wyjaśnienie dla nowego gościa. — Ale skoro wszedł pan w nasz spór, streszczę początek. Pan już wie, że dawne pojęcia o ETI¹ zdążyły się zmienić. Jeśli jest nawet milion cywilizacji w galaktyce, ich trwanie podlega takiemu rozrzutowi czasowemu, że nie można się najpierw porozumieć z gospodarzem planety, a potem go odwiedzić. Cywilizacje trudniej łapać niż jednodniówki. Dlatego nie szukamy motyla, tylko poczwarki. Wie pan, co to jest okno kontaktu?

— Wiem.

— No właśnie! Przesiawszy ze dwieście milionów gwiazd, wykryliśmy jedenaście milionów kandydatek. Większość ma albo planety martwe, albo pod oknem, albo nad oknem. Wyobraź sobie — przeszedł niespodzianie na ty — żeś się zakochał w portrecie szesnastoletniego dziewczęcia i ruszasz w zaloty. Podróż niestety musi trwać pięćdziesiąt lat. Staniesz przed staruszką lub nieboszczką. Jeżeli poczniesz słać oświadczyzny pocztą, sam się zestarzejesz, nim otrzymasz pierwszą odpowiedź. To jest *in nuce* pierwotna koncepcja CETI. Nie można rozmawiać z wielowiekowymi interwałami.

— Więc lecimy do poczwarki? — spytał. Od niejakiego czasu nazywano go Markiem, a teraz nie wiedzieć czemu przemknęło mu przez myśl, czy nie wyszło to od zakonnika, który, jak on, był i nie był członkiem załogi.

— Nie wiadomo, do czego — zauważył Arago. Lauger zdawał się zadowolony z tych słów.

— Zapewne. Życiodajne planety rozpoznajemy podług składu atmosfer. Ich katalog liczy wiele tysięcy w naszej Galaktyce. Odsialiśmy prawie trzydzieści budzących nadzieję.

— Rozumu?

— Rozum jest w pieluszkach niewidzialny. Kiedy dojrzeje, wylatuje z okna. Trzeba go dopaść wcześniej. Skąd wiemy, że nasz cel wart jest fatygi? To Kwinta, piąta planeta Dżety Harpii. Mamy szereg danych.

— *In dubio pro reo* — powiedział dominikanin.

— A kto jest wedle ojca oskarżonym? — spytał Lauger, znów nie dał mu odpowiedzi i kontynuował:

— Pierwszym kosmicznym symptomem rozumu jest radio. Grubo przed radioastronomią. No, nie bardzo grubo — koło stu lat. Planetę z nadajnikami można wykryć, kiedy ich łączna moc przejdzie w gigawaty. Kwinta emituje w zakresie krótkim i ultrakrótkim

1 Extralrestrial Intelligence

mniej niż jej Słońce — jak na martwą planetę, fenomenalnie dużo. Jak na zelektronizowaną — średnio, bo tkwi pod poziomem szumów słonecznych. Ale coś tam jest, coś radiowego, podprogowego. Mamy na to dowody.

— Poszlaki — skorygował go znów apostołski wysłannik.

— Nawet mniej — jedną poszlakę zgodził się Lauger. — Ale co ważniejsze, na Kwincie obserwowano punktowe błyski elektromagnetyczne i jeden został zarejestrowany w całej emisji przez spektroskop orbiterów znad Marsa. Te dwa orbitery kosztowały Ziemię sporo: naszą ekspedycję.

— Bomby atomowe? — spytał człowiek pogodzony już z imieniem Marka.

— Nie. Raczej wstęp do inżynierii planetarnej, bo były termojądrowe, czyste. Gdyby na Kwincie szły rzeczy ziemskim biegiem, zaczęłyby się od uranidów. Co więcej, te błyski zjawiały się tylko wewnątrz polarnego kręgu. Czyli na tamtejszej Antarktydzie albo Arktyce. W ten sposób można topić łądólód. Ale nie w tym się różnimy — spojrzal na dominikanina. — Chodzi o to, czy przybyciem możemy wyrządzić tam szkodę. Ojciec Arago uważa, że tak. Jestem podobnego zdania...

— Więc gdzie różnica?

— Uważam, że gra jest warta świeczki. Poznawanie świata bez szkód nie jest możliwe.

Zaczynał pojmować sens kontrowersji. Zapomniał, kim jest. Wrócił mu dawny animusz.

— Książ... to jest — ojciec leci z nami — wbrew swoim przekonaniom? — zwrócił się wprost do duchownego.

— Naturalnie — odparł Arago. — Kościół należał do przeciwników wyprawy. Tak zwany kontakt może się stać darem Danaów. Otwarcie szkatułki Pandory.

— Ojciec zaraził się już mitologicznym patronatem projektu — roześmiał się Lauger. — "Eurydyka", "Jupiter", "Hades", "Cerber"... nakradliśmy się u Greków. Statek zresztą powinien się być zwać "Argo", a my — psychonautami. Postaramy się wyrządzić jak najmniej szkód. Dlatego przebieg operacji jest taki zawiły.

— *Contra spem spero...* — westchnął zakonnik. — A raczej — poprawił się — chcę być w błędzie.

Lauger zdawał się go już nie słyszeć, zajęty inną myślą.

— Zanim zbliżymy się do Kwinty, upłynie tam co najmniej trzysta lat, podczas roku czasu pokładowego. To znaczy, że dopadniemy ich już w górnej części okna. Oby nie później! Sekundowe różnice naszych manewrów mogą nas ogromnie przyspieszyć lub opóźnić. A

szkody... wasza dostojność wie, że cywilizacja utechniczona jest bezwładna, choć nie stacjonarna. Inaczej mówiąc, niełatwo zbić ją z kursu. Cokolwiek zajdzie, nie zstąpimy tam w roli bogów przybyłych z nieba. Nie szukaliśmy pierwotnych kultur i nie ma w CETI astroetnologów.

Arago milczał, patrząc na fizyka spod uchylonych powiek. Świadek rozmowy odważył się zapytać:

— A czy to dobrze?

— Co? — zdziwił się Lauger.

— Uznać nieobserwowalnych za nie istniejących. To zrównanie jest tylko praktycznie słuszne...

— Można to nazwać też oportunizmem, jeśli ktoś chce — odparł chłodno Lauger. — Wybraliśmy zadanie, które można wykonać. Okno kontaktu ma empiryczną ramę, ale ma też etyczne uzasadnienie. Nie wlejemy jaskiniowcom do głowy oleju, wydestylowanego przez dwudziesty drugi wiek. Zresztą co tam *pluralis maiestaticus*. Stałem przy projekcie i jestem tu, bo przez kontakt rozumiem wymianę wiedzy. Wymianę. Nie patronat, nie udzielanie pouczeń meliorystycznych.

— A jeśli panuje tam zło? — spytał Arago.

— A czy istnieje uniwersalizm zła? Jego niezmiennik? — przeciwstawił się Lauger.

— Obawiam się, że istnieje.

— Więc należało powiedzieć "*non possumus*" i zignorować projekt...

— Spełniam tylko moją powinność.

Z tymi słowami duchowny wstał, pochylił przed nimi głowę i wyszedł.

Lauger rozparty w fotelu zrobił niewyraźny grymas, poruszył ustami, jakby poczuł w nich gorzki smak, by mruknąć z rezygnacją:

— Szanuję go za to, że wyprowadza mnie z równowagi. Wszystkiemu przyprawia skrzydła. Albo rogi. Dość. Nie po to chciałem pana zobaczyć. Wyślemy na Kwintę zwiad. Kadłubowcem zdolnym do lądowania. "Hermesem". Polecą dziewięciu lub dziesięciu ludzi. Skład czwórki dowódczej został ustalony. Pozostałych wybierze się podług specjalności balotowaniem. Czy chce pan być w urnie?

Zrazu nie zrozumiał.

— No, wylądować tam...

Ogień w niego uderzył. Niedowierzania w zachwycie. Lauger widział, jak mu zajaśniały oczy, i uprzedzając go oświadczył:

— Dostanie się do urny nie przesądza jeszcze o uczestnictwie. Nie przesądzą o nim

naukowe zasługi. Największy teoretyk może najłatwiej zrobić w portki. Potrzeba ludzi twardych. Takich, których nic nie złamie. Gerbert to wspaniały psychonik, psycholog, znawca dusz, ale męstwa nie sprawdza się w laboratoriach.

— Czy wiesz, kim jesteś?

Zbladł.

— Nie.

— To ci powiem. W birnamskim lodowcu zginęło sporo ludzi w kroczących maszynach. Zaskoczyły ich erupcje gejzerów. Byli to zawodowi kierowcy, wykonywali zleconą pracę i żaden nie wiedział, że idzie na śmierć. Dwóch ludzi poszło ich szukać z własnej woli. Jesteś jednym z tych dwóch.

— Skąd może pan wiedzieć...? Doktor Gerbert mówił mi, że...

— Doktor Gerbert i jego asystent to lekarze okrętowi. Znają się na medycynie, ale nie na komputerach. Uważali za właściwe zachowanie tajemnicy lekarskiej — skoro nie dało się wykryć tożsamości wskrzeszonego. Traumatyzacja psychiki — to ich argument. Na "Eurydyce" nie ma podsłuchu, ale jest centrum z nieścieralną pamięcią. Dostęp do niej mają dowódca, pierwszy informatyk i ja. Nie powiesz tego lekarzom? Prawda?

— Nie powiem.

— Skrzywdziłbyś ich. Wiem, że tego nie zrobisz.

— Czy nie domyśla się, jeżeli...

— Nie sądzę. Lekarze na bieżąco badają stan zdrowia całej naszej ekipy. Głosowanie jest tajne. Głosuje rada. Z pięciu głosów dostaniesz trzy. Tak przypuszczam. A mówię ci to już teraz dlatego, bo musisz porządnie przysiąc fałdów. Wiem, że okazałeś na symulatorach sprawność astrogacyjną w zeszlowiecznej kategorii, na owe czasy wartą pierwszej lokaty — ale nie na dziś. Będziesz przez rok międzygwiazdowym sztubakiem. Jeśli podołasz temu, zobaczysz Kwintan. A teraz żegnaj, bo mam do odrobienia masę zaległości.

Wstali. Był wyższy od słynnego fizyka i młodszy. On nie poleci — pomyślał. Lauger doszedł z nim do drzwi. Nie widział go ani iskier mknących na czarnym ekranie, nie pamiętał, czy pożegnał się, czy coś mówił. Ani jak znalazł się w swojej kabinie. Nie wiedział, co z sobą robić. Chcąc wejść do małej garderoby, przez pomyłkę otworzył niewłaściwe drzwi, zobaczył w lustrze swoją twarz i powiedział: — Zobaczysz Kwintan.

Zabrał się więc do studiów. Bilans rachunków statystycznych był w całości wyraźny. Życie powstaje i trwa na planetach miliardami lat, lecz jest wtedy nieme. Cywilizacje wyrastają zeń nie aby szczeznąć, lecz przepotwarzyć się w to, co pozaczłowiecze. Ponieważ

częstość narodzin technogennych dla zwykłej galaktyki spiralnej z grubsza jest stała, rodzą się, dojrzewają i znikają w tym samym tempie. Chociaż wciąż powstają nowe, ulatniają się z przedziału porozumienia, czyli okna kontaktu, prędzej, niż można wymienić z nimi sygnały. Niemota bytujących prymitywnie jest oczywista. Milczeniu wysokich poświęcono bezlik hipotez. Stworzyły bibliotekę, którą na razie pominął. Czytał: dla danej chwili, dla danego wieku (to astronomicznie wszystko jedno) Ziemia stanowi, wolno uznać, jedyną cywilizację JUŻ techniczną i JESZCZE biologiczną w zasięgu Drogi Mlecznej. Tym samym rachuby CETI zdawały się pogrzebane. Minęło półtora wieku, by okazało się, że tak nie jest. Pokonanie przestrzeni dzielącej gwiazdy od gwiazd, by jedni Żywi i Rozumni mogli spotkać Innych i wrócić, jest prostym lotem nieziszczalne. Gdyby nawet astronauty żeglowali przyświetlnie, nie zobaczą ani tych, do których się wyprawili, ani tych, którzy pozostali na Ziemi. Tu i tam miną w kilku latach pokładowego czasu co najmniej stulecia. Owo kategoryczne twierdzenie nauki dało Kościołowi asumpt do takiej refleksji teologicznej: Ten, Kto stworzył świat, uczynił spotkania Stworzonych różnogwiezdnie mrzonką. Wzniósł między nimi zaporę, doskonale pustą i niewidzialną, lecz nie do przebicia: jako swoje, a nie człowiecze otchłanie. Jednakowoż dzieje ludzkie biegną zawsze inaczej niż myśl, skierowana ku ich przepowiedni. Otchłanne czeluście próżni okazały się zaporą, której istotnie nie można przebić. Można ją jednak obejść serią szczególnych manewrów.

Uśredniony czas Galaktyki jest jeden — ona sama stanowi zegar pokazujący swój wiek, więc i czas. Tam jednak, gdzie panuje najwyższe natężenie grawitacji, galaktyczny czas ulega gwałtownym przemianom. Ma on granice, u których staje. Są to sfery *Schwarzschilda* — czarne powłoki zapadłych w siebie gwiazd. Powłoka ta jest horyzontem zdarzeń. Zbliżający się doń przedmiot poczyną się rozmywać w oczach oddalonego obserwatora i znika, nim dotknie powierzchni Czarnej Dziury, bo czas, rozciągany grawitacją, przesuwa światło zrazu ku podczerwieni, potem ku coraz dłuższym falom elektromagnetycznym, aż wreszcie ani jeden odbity foton nie wróci już do oczu patrzącego, bo Czarna Dziura wchłania swym horyzontem każdą cząstkę i każdą kruszynę światła na zawsze. Zresztą zbliżając się do Czarnej Dziury, podróżnik ulegnie rozerwaniu wraz ze statkiem przez rosnącą grawitację. Pływy ciężenia rozciągają tam wszelki materialny obiekt aż jako istna nic, której przedłużeniem jest promień Czarnej Kuli, da w nią bezpowrotnie nurka.

Zapadłej w siebie gwiazdy, kollapsara, nie da się nawet oblecieć po dowolnej trajektorii; pływy ciężeniowe zabijają podróżnych i rozszarpia ich statek. Gdyby statkiem był najgęstszy kosmiczny karzeł, gwiazda neutronowa, glob z wtłoczonych w siebie atomowych jąder, wkrzepłych w twardość, wobec której stal jest miększa od gazu, nic to nie pomoże.

Kollapsar wciągnie i taki glob we wrzeciono, rozedrze i połknie w mgnieniu oka, a o znikłym zaświadczy tylko agonalnymi żagwiami uchodzące w próżnię rentgenowskie promieniowanie. Tak nagle gilotynują przybyszów kollapsary powstałe z gwiazd parokrotnie cięższych od Słońca. Jeśli jednak masa Czarnej Dziury będzie stu- lub tysięczsłoneczna, ciążenie u jej horyzontu może być słabe niczym ziemskie. Nic nie grozi zrazu statkowi, co tam dociera, i załoga, wpływając pod taki horyzont, może tego w ogóle nie dostrzec. Nigdy nie zdoła się jednak wynurzyć spod owej niewidzialnej powłoki. Statek, wessany w głąb olbrzymiego kollapsara, w ciągu dni albo godzin, zależnie od masywności pułapki, podlega unicestwieniu, spadając ku jej centrum.

Takie teoretyczne modele grawitacyjnych mogił sporządziła astrofizyka u końca XX wieku. Jak zwykle w historii poznania, model ujawnił swoją niedostateczność. Był uproszczony wobec rzeczywistości. Najpierw skorygowała go mechanika kwantowa: każda Czarna Dziura promieniuje tym słabiej wszakże, im jest większa. Giganty, tkwiące zwykle w centrach galaktyk, też kiedyś szczyzną, choć ich "parowanie kwantowe" będzie trwać sto miliardów lat. Będą ostatnimi relikdami dawnej świetności gwiazdowej Kosmosu.

Dalsze urozóżnorodnienie Czarnych Dziur wykryły następne obliczenia i symulacje. Gwiazda, gdy się zapada, bo jej odśrodkowa radiacja słabnąc nie może się już oprzeć ciążeniu, nie od razu przybiera kształt kuli. W swojej zapaści drga jak kropla, na przemian spłaszczana w dysk i rozciągana wrzecionowate. Te drgania trwają bardzo krótko. Częstotliwość owych drgań zależy od masy kollapsara. Zachowuje się jak gong — taki, co sam w siebie bije. Ale zamilkły gong można pobudzić do drgań uderzeniem. Można też Czarną Kulę wprowadzić w ponowne drgania inżynierią sideralną. Trzeba ją znać i dysponować dostateczną mocą, rzędu 10^{44} ergów, emitowaną tak, by wprowadzić Czarną Kulę w rezonans. Po co? Aby utworzyć to, co astrofizycy, otrzaskani z ogromem, jaki badają, nazwali "cebulą temporalną". Podobnie jak środek cebuli otacza warstwami miąższ, widoczny na przekroju niby słoje drzewa, tak kollapsar w rezonansie otacza się giętym grawitacją czasem, a raczej zawitym uwarstwieniem czasoprzestrzeni. Dla dalekich obserwatorów drga Czarna Dziura jak kamerton przez sekundy. Lecz dla tego, kto by się znalazł koło niej w warstwie wynaczonego czasu, wskazania zegara galaktycznego tracą wszelkie znaczenie. Jeśli więc statek dopadnie Czarnej Dziury, deformującej niejednokrotnie czasoprzestrzeń, to może wpłynąć na bradychronę i w tej strefie spowolnionego czasu trwać latami — aby opuścić po nich ów temporalny port.

W oczach zewnętrznego obserwatora statek zniknie przy docieraniu do Czarnej Dziury, a po niewidzialnym postoju na bradychronie wypłynie w dookolną przestrzeń. Dla

całej Galaktyki, dla wszystkich patrzących z dali, kollapsar, wprowadzony w rezonans, drga sekundy między kształtem spłaszczonego dysku i kształtem wrzeciona. Podobnie zresztą drgał już w agonii, kiedy był zapadającą się gwiazdą, zmożoną własnym ciężarem po wypaleniu nuklearnych wnętrzości.

Dla statku na bradychronie czas może prawie stanąć. Ale to nie wszystko. Dygocący kollapsar nie zachowuje się jak idealnie elastyczna piłka, lecz raczej jak nierównomiernie deformujący się w podskoku balon. Wynika to ze spotęgowania kwantowych efektów. Dlatego przy bradychronach mogą się pojawiać retrochrony: prądy, czy też rzeki czasu płynącego wstecz. Dla obserwatorów odległych nie istnieją ani pierwsze, ani drugie. Po to, aby skorzystać z tych znieruchomień lub zawróceń czasu, trzeba w nie wtargnąć.

Projekt przewidywał skorzystanie z samotnego kollapsara nad konstelacją Harpii jako portu, do którego zawinąć ma "Eurydyka". Zadaniem ekspedycji nie był bowiem kontakt z byle jaką cywilizacją trwającą w przedziale możliwego porozumienia, lecz dopadnięcie takiej cywilizacji, która jak* mknący ku niebu motyl już ulatuje z okna — już trzepece u jego górnej krawędzi, i tam zdąży go dopaść entomolog. — Operacji tej był niezbędny postój w czasie, w takiej odległości od zamieszkaney planety, by ziemscy psychonauci zdążyli ją odwiedzić, nim jej cywilizacja zejdzie z głównego ciągu rozwojowego Hortegi-Neyssla. W tym celu podzielono ekspedycję na trzy etapy. W pierwszym "Eurydyka" miała dotrzeć do kollapsara w gwiazdozbiorze Harpii, upatrzonego jako obszar czatów i temporalnych manewrów. Kollapsar ów nazwano z dobrym sensem Hadesem. "Eurydykę" poprzedzał bowiem bezludny kolos, pocisk jednorazowego użytku, "Orfeusz". Był on działem grawitacyjnym, stanowiąc *gracer (gravitation amplification by collimated excitation of resonance)*. Na sygnał "Eurydyki" miał wprawić Czarną Dziurę w drganie, zgodne z własną częstotliwością jej amplitudy.

Choć olbrzymi w skali ziemskich zjawisk, był "Orfeusz" źdźbełkiem wobec masy kollapsara, którego miał rozhuścić, lecz mógł korzystać ze zjawiska grawitacyjnego rezonansu. Oddając rozdygotanego ducha Hadesowi, zmuszał go do jednego skurczu i rozkurczu, a czarne piekło rozwarłszy wtedy swoje czeluście, otwarłoby dostęp "Eurydyce", żeby wpłynęła w wiry bradychronicznych prądów. Upřednio należało się z pokładu przekonać, że odległa o pięć lat świetlnych Kwinta jest już w pełni technologicznej ery, i podług tej diagnozy ustalić, kiedy nastąpi właściwa pora jej odwiedzin. Po określeniu tej pory "Eurydyka" miała utworzyć sobie temporalną przystań w Hadesie, rozdygotanym gracerową emisją "Orfeusza". Ponieważ było go stać tylko na jeden wystrzał spójnej grawitacji i unicestwiał siebie tym wystrzałem, operacja nie mogła zostać powtórzona. Jeśliby się nie

powiodła od razu przez błąd nawigacyjny w temporalnych burzach, przez fałszywą diagnozę rozwojowego tempa cywilizacji kwintańskiej lub przez jakikolwiek czynnik nie wzięty pod uwagę, wyprawie groziło fiasko, oznaczające w najlepszym wypadku powrót na Ziemię z niczym. Plan był dodatkowo skomplikowany zamiarem użycia, w Hadesowym piekle, retrochrony, czyli czasu płynącego wstecz względem czasu całej Galaktyki, ażeby ekspedycja mogła wrócić w pobliże Słońca ledwie w kilkanaście lat po starcie, choć Harpię dzielił od Ziemi tysiąc parseków. Co prawda dokładna data powrotu leżała w przedziale nieoznaczności: ułamki sekund w żegludze po bradychronach i retrochronach decydowały o latach z dala od pras i młynów grawitacji. Jego umysł nie mógł się pogodzić z tymi wiadomościami, bo wyskakiwały z nich sprzeczności. Główna była taka:

“Eurydyka” ma spocząć nad kollapsarem w beczasie, czy też w czasie innym od powszechnego. Zwiadowcy polecą do Kwinty i wrócą: zajmie to ponad siedemdziesiąt tysięcy godzin, czyli koło ośmiu lat. Kollapsar ma pod uderzeniami gracera dygotać między kształtem spłaszczonego dysku i długiego wrzeciona ledwie parę chwil — dla wszystkich oddalonych obserwatorów. Więc gdy zwiad powróci, nie zostanie już statku w kollapsarowej przystani. Czarna Dziura grubo przedtem przybierze na powrót kształt nie drgającej kuli. A jednak “Hermes”, porzuciwszy Kwintę, ma znaleźć statek macierzysty w temporalnym porcie. Przecież nie zostanie takiego portu, który powstał, aby zaraz zniknąć i tym samym nie będzie już przy powrocie “Hermesa” istniał. Jak pogodzić jedno z drugim?

— Są fizycy — wyjaśnił mu Lauger — utrzymujący, że rozumieją to tak samo, jak rozumieją, czym są kamienie i szafy. W rzeczywistości rozumieją zgodność teorii z wynikami pomiarów. Fizyka, mój drogi, jest wąskim szlakiem, wytyczanym przez czeluście, nieosiągalne dla ludzkiej wyobraźni. Jest to zbiór odpowiedzi na pewne pytania, które zadajemy światu, a świat udziela odpowiedzi pod warunkiem, że nie będziemy mu stawiali innych pytań, tych, które wykrzykuje zdrowy rozsądek. Czymże jest zdrowy rozsądek? Jest tym, co ogarnia intelekt stojący na zmysłach takich samych, jak zmysły małp. Ów intelekt chce poznawać świat zgodnie z regułami ukształtowanymi przez jego ziemską niszę życiową. Ale świat, poza tą niszą, tą wylęgarnią inteligentnych małpoludów, ma własności, których nie można wziąć do ręki, zobaczyć, ugryźć, usłyszeć, opukać, i w ten sposób zawłaszczyć. Lot “Hermesa” będzie trwał dla “Eurydyki” w kollaptycznym porcie parę tygodni. Dla załogi “Hermesa” będzie trwał mniej więcej półtora roku. Z tego trzy miesiące na lot do Kwinty, rok na Kwincie i kwartał drogi powrotnej. Dla obserwatorów, nie znajdujących się ani na “Hermesie”, ani na “Eurydyce”, “Hermes” wykona swoje zadanie w dziewięć lat, a “Eurydyka” zniknie im z oczu na taki sam czas. Podług czasu, mierzonego na jej pokładzie,

przejdzie ona z piątku w sobotę, wróci w piątek i wtedy kollapsar ją wypłuje w przestrzeń. Czas będzie płynął na "Hermesie" wolniej niż na Ziemi dzięki jego przyświeltnemu lotowi. Czas na "Eurydyce" będzie biegł jeszcze wolniej, a potem się cofnie dzięki jej manewrom: zejdzie ona bowiem z bradychrony na retrochronę, a z niej wyskoczy na galaktochronę. Czyli z czasu grawitacyjnie rozciągniętego w czas odwrócony, a z niego wynurzy się i spotka "Hermesa" w nie pofałdowanej czasoprzestrzeni. Jeżeli "Eurydyka" zmyli swoje manewry o sekundy, żeglując po wariochronach, nie napotka "Hermesa". Nie ma w tym żadnych sprzeczności, aby tak rzec, po stronie świata. Sprzeczności powstają przy zderzeniach rozumu, wylętego w znikomym ciężeniu ziemskim, ze zjawiskami ciężych bilionkrotnie większych — i to wszystko. Świat jest urządzony podług uniwersalnych reguł, zwanych prawami Natury, ale ta sama reguła może występować w różnym natężeniu. Ot, powiedzmy: dla tego, kto by wpadł w głąb Czarnej Dziury, przestrzeń zdobywa wygląd czasu, ponieważ on się nie może już w niej cofnąć, tak samo, jak nie możesz się poruszać wstecz w ziemskim czasie, czyli w przeszłość. Przeżyć takiego nurka niepodobna sobie wyobrazić, nawet założywszy, że nie zginie natychmiast pod horyzontem zdarzeń. Mimo to uważam świat za urządzony życzliwie, skoro umiemy opanować tym, co sprzeczne z naszymi zmysłami. Zresztą pomyśl: dziecko potrafi opanować mowę, nie rozumiejąc ani zasad gramatyki, ani składni, ani wewnętrznych sprzeczności mowy, które są skryte przed mówiącymi. Rozgrzałeś mnie do filozofowania. Człowiek łaknie ostatecznych prawd. Sądę, że tak samo zachowuje się każdy śmiertelny rozum. Cóż to jest — ostateczna prawda? To koniec drogi, gdzie nie ma już ani dalszych tajemnic, ani dalszej nadziei. Gdzie o nic nie można już pytać, skoro padły wszystkie odpowiedzi. Nie ma takiego miejsca. Kosmos to labirynt zbudowany z labiryntów. W każdym otwiera się następny. Tam, dokąd nie umiemy wejść sami, dostajemy się matematyką. Sporządzamy z niej wózki do poruszania się w nieludzkich obszarach świata. Z matematyki można też konstruować światy pozakosmiczne, bez względu na to, czy istnieją. Ponadto można rzucić matematykę i jej światy, żeby wykroczyć wiarą w zaświat. Tym zajmują się ludzie pokroju ojca Arago. Różnica między mną i nim to różnica między dostępnością ziszczenia pewnych rzeczy i nadzieją ziszczenia pewnych rzeczy. Mój fach obejmuje to, co dostępne, a jego fach to, co tylko spodziewane, a twarzą w twarz dostępne dopiero po śmierci. Czego dostąpiłeś po śmierci? Co zobaczyłeś?

— Nic.

— W tym właśnie *differentia specifica* między wiedzą a wiarą. O ile mi wiadomo, to, że wskrzeszani nic nie zobaczyli, nie naruszyło dogmatów wiary. Nowsza eschatologia chrześcijaństwa utrzymuje, że wskrzeszony zapomina pobyt w zaświatach. Że jest to —

powiem po swojemu — akt Bożej cenzury, zabraniającej ludziom skakać tam i z powrotem ze świata w zaświat. *Credenti nonfit iniuria*. Skoro warto żyć dla tak elastycznej wiary, czego dowodem Arago, o ileż łatwiej wziąć za dobrą monetę sprzeczności, dzięki którym znajdziesz się wśród Kwintan. Zaufaj fizyce tak, jak; Arago ufa swojej wierze. Fizyka jest w przeciwieństwie do wiary omylna. Masz wolny wybór. Rozważ to. A teraz już idź. Muszę pracować.

Dochodziła północ, kiedy znalazł się w swojej kajucie i na przemian myślał o Laugerze i zakonniku. Fizyk był na swoim miejscu, ale tamten? Czego się spodziewał? Na co liczył? Toż nie na misjonarskie posłannictwo? Czy doprawdy powstała już nadbudówka teologii do nieludzkich darów i stworzeń Boga i czy Arago miał się za jej rzecznika? Dlaczego powiedział podczas rozmowy, że tam może panować zło? Teraz dopiero doszła go zgroza, jaką chyba żył ten człowiek. Nie o siebie się obawiał — lecz o swoją wiarę. Mógł uznać Odkupienie za łaskę, wymierzoną w ludzkość, uczestnicząc w wyprawie do istot nieludzkich — czyli tam, dokąd nie sięga jego Ewangelia. Mógł tak myśleć. A ponieważ wierzył w Bożą wszechobecność, tym samym wierzył we wszechobecność osobowego zła, bo demon, który wodził Chrystusa na pokuszenie, istniał przed Zwiastowaniem i Poczęciem. Więc wiozł z sobą dogmaty, którymi żył, aby je narazić na szwank? Potrząsnął zrezygnowany głową. Laugera mógł pytać o wszystko — ale tamtego nie. W Ewangelii nie ma ani słowa o tym, co Łazarz powiedział po zmartwychwstaniu. Toteż i on sam nie może w niczym pomóc ojcu Arago, choć wstał z martwych. Wiara, by się ocalić, nadała takim rezurekcjom inną, świecką, doczesną nazwę i dzięki temu nie uległa naruszeniu. Zresztą nie znał się na tym, a tylko pojął dotkliwą samotność zakonnika przez to, że sam przestał być samotnikiem, bezradnym i biernym, przypadkowo wziętym na pokład, uratowanym rozbitkiem. Zaczął się rozbierać do snu, wsłuchany w zupełną ciszę “Eurydyki”. Leciała u świetlnej granicy. Niebawem miała odwrócić ciąg. Zegary pokażą we wszystkich pomieszczeniach krytyczną godzinę, by załoga zdążyła ułożyć się w kojach na wznak i przypiąć pasami. Kadłubowe kule wykonają wewnątrz pancernych członów zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Wokół wszystko zawiruje. Zamęt, *vertigo*, potrwa chwilę. Po niej wszystko znów zastygnie w milczącym spokoju. Zamiast omiatać rufę, płomienie ciągu runą wzdłuż dziobu w przód. Łączność z Ziemią nieco się przez to poprawi. Z wieloletnim opóźnieniem będą “Eurydykę” gonić wieści od tych, których załoga porzuciła na Ziemi. Do niego nie przyjdzie taki laserowy list, bo nie zostawił na Ziemi nikogo. Zamiast przeszłości miał jednak przyszłość, dla której warto było żyć.

Prehistoria wyprawy była pełna starć. Rzecz, w zasadzie wykonalna, miała mnóstwo

przeciwników. Rozmaicie obliczane szanse sukcesu nie mogły być znaczne. Lista zajęć, zdolnych tak lub inaczej spowodować zgubę ekspedycji, nie dawała się zamknąć nawet w tysiącach pozycji. Może dlatego wyprawa doszła do skutku. Jej prawie daremność, jej groza były dostatecznie wspaniałym wyzwaniem, aby znaleźli się ludzie gotowi je podjąć. Nim "Eurydyka" pomknęła z rosnącym przyspieszeniem, wzrosły w wyższym nawet wykładniku potęgowym koszty całego przedsięwzięcia — jak słusznie zresztą głosili jego oponenci i krytycy. Ale wszczęte inwestycje miały własny impet i pociągnęły za sobą dalsze. Ekonomiczna strona projektu trzęsła się nie gorzej niż Tytan po starcie "Eurydyki". Podróżnik, zatopiony w lekturach, pominął te kryzysy robót przygotowawczych, budowy statków i ich ziemskich rykoszetów, jakimi stały się niedomagania produkcji i związane z nimi afery polityczne i korupcyjne. Cóż go obchodziły, skoro już leciał? Zagłębił się natomiast w dziejach astronautyki, w dokumentacji przelotów transsolarnych i dotarcia bezludnych sond do Alfy Centaura, w relacje pełne nazwisk pracowników Graala i Roembdena, może w nadziei, że rozpozna wśród nich ludzi dobrze niegdyś znanych. I może nawet jak po nitce do kłębka przez takie rozpoznanie dotrze do siebie. Bywały chwile, przed snem lub tuż po obudzeniu, kiedy już prawie czuł, jak bliski jest tego przypomnienia, zwłaszcza że w niejednym ze snów wiedział, kim był. Ale na jawę przynosił tylko pustą pewność wyśnionej identyczności. Po upływie roku, kiedy "Eurydyka" hamując już wytracała świetlny pęd naprzeciw kollapsara, rosnącego jak prawdziwa dziura w niebie — brakiem gwiazd — trenując się, ucząc, czytając, zaniechał tamtych prób. Co prawda nie ze wszystkim: na jawie był już jednym ze zmianowych pilotów "Hermesa", ale w snach, o których nikomu nie mówił, wciąż jeszcze był tym człowiekiem, który wszedł w las Birnam.

BETA HARPII

“Eurydyka” wytracała szybkość zredukowanym ciągiem przez kilkadziesiąt godzin lecąc po trajektorii zwanej ewolwentą w stronę Bety Harpii, niewidzialnej, ponieważ była kollapsarem. Przecinała już w znacznej odległości wyboczone izograwy, których pływy ciśnieniowe były jeszcze znośne dla ludzi i dla statku. Kurs, wybrany optymalną rachubą, zapewniał bezpieczeństwo, trudno go było jednak uznać za bezproblemowy. Izograwy, linie przechodzące przez punkty przestrzeni o tej samej krzywiznie, wiły się na izolokatorach jak zmięte w czarnym ogniu. Dyżurni w sterowni zwanej postojową, bo zawiadującą statkiem tylko w polu wysoko zmiennych sił ciśnienia, patrzyli na migocące przed nimi monitory, popijając piwo z puszek i rozmawiając dla dystrakcji o głupstwach. W gruncie rzeczy dyżury były tradycyjną pozostałością po klasycznej erze astrogacji. Nikt nie próbowałby nawet przejść na ręczne sterowanie — żaden człowiek nie miał po temu dość szybkich reakcji.

Kollapsar należał do wykrytych późno i ze sporymi kłopotami, jako że był samotnikiem. Najłatwiej wykrywać te, co należąc do układów podwójnych, mają w pobliżu gwiazdę zwaną “żywą”, bo świeci i ściąga ją z niej wierzchnie warstwy astrosfery, które mkną po zwięzających się spiralach ku Czarnej Dziurze, aby zapaść się w nią przy akompaniamencie najtwardszych rentgenowskich rozbłysków. Ów lot kradzionych towarzysze gazów otacza kollapsar dyskiem akrecji, olbrzymią płaszczyzną, wielce niezdrową dla wszelkich obiektów, więc i rakiet. Żaden statek nie zdoła żeglować w takiej okolicy, nim bowiem ulegnie wessaniu pod horyzont zdarzeń, radiacja zniszczy zarówno mózgi ludzkie, jak maszyny cyfrowe.

Samotny kollapsar w gwiazdozbiorze Harpii odkryto dzięki perturbacjom, w jakie wprowadził jej Alfę, Gammę i Deltę. Trafnie nazwany Hadesem, o czterystusłonecznej masie, zdradzał swą narastającą obecność brakiem gwiazd zakrywanych i pozornym zbieganiem się gwiazd wokół jego horyzontu, gdyż był dla ich światła grawitacyjną soczewką. Jego anihilacyjna powłoka obracała się na równiku z dwiema trzecimi prędkości światła, a siły

centryfugalne i Coriolisa wybrzuszały ją, przez co Hades nie tworzył idealnie krągłej kuli. Jeśli nawet horyzont zdarzeń był doskonale kulisty — latały nad nim grawitacyjne burze, ściskając i rozciągając izograwy. Przyczyny owych burz czy cyklonów tłumaczyło osiem teorii, każda inaczej, a najoryginalniejsza, choć niekoniecznie najbliższa prawdy utrzymywała, że w hiperprzestrzeni Hades styka się z innym Kosmosem i tamten daje o sobie znać, wywołując wstrząsy strasznej "pestki" kollapsara, jego centrum, singularności, miejsca bez miejsc i czasu bez czasu, gdzie krzywizna spacjotemporalna osiąga nieskończenie wielką wartość. Teoria "drugiej strony" Hadesowego jądra, w którym infityzmowi zdruzgotanej czasoprzestrzeni dają jednak radę transfinałni inżynierowie obcego *Universum*, była właściwie matematyczną fantazją astronomów, pijanych teratopologią, najnowszym i szczególnie modnym prawnikiem starej teorii Cantora. Ten kollapsar zamierzano nawet nazwać Cantorem, lecz jego odkrywca wołał sięgnąć do mitologii. Ani ziemski sztab SETI, ani dowództwo "Eurydyki" nie troszczyli się zbytnio tym, co zachodzi rzeczywiście POD horyzontem zdarzeń ze względów tyleż praktycznych co oczywistych: horyzont wyznaczał nieprzekraczalną rubież i bez względu na to, co zakrywał, na pewno stanowił wrota zagłady.

Lecąc w wysokiej próżni nad Hadesem, "Eurydyka" odpowiadała właściwymi manewrami na każdą zmianę ciężenia, bijąc z wyrzutni potokami ciężkich pierwiastków, syntetyzowanych cyklem Olimosa z wodoru i deuteru. Brocząc miliardami ton, odzyskiwała chytrze stateczność, gdyż Hades, niewolny do takiej transakcji prawami zachowania, dostarczał okrętowi sporą część energii, wyzwalanej przez wszystko, co łykał, aby pochować na zawsze w swoim wnętrzu. Z grubsza przypominało to lot balonu, który nie traci wysokości za cenę balastowych worów, ciskanych z gondoli. Bardzo z grubsza jednak; żaden sternik nie zdążyłby zawiadywać taką grą.

Wielocłonowy kadłub statku, ze złączonych przegubami dzwon, podobny z dali do milowej pierścienicy, wijącej się białym przecinkiem nad ogromem Czarnej Dziury, byłby pewno interesującym widowiskiem dla obserwatora, lecz nie było go i nie mogło być, gdyż dzielny towarzysz "Eurydyki", "Orfeusz", który miał otworzyć dla niej piekło, był bezludny. Pozostając z gigantyczną nimfą w ciągłej łączności laserowej, czekał sygnału, który miał go obrócić w rezonansową bombę, zwaną jednoimpulsowym gracerem. Podobny, choć tysiąc razy mniejszy, gracer wypróbowano w systemie słonecznym, pozbawiając nim Saturna jednego z największych po Tytanie księżyców. Ponieważ i laserowa łączność zaczęła się pogarszać, "Orfeusz" otrzymał definitywny program działania i posłusznie zamilkłszy, rozpoczął w centrach maszynowni *count-down*. Zbliżył się do kollapsara bardziej od "Eurydyki" i światło jak wszelkie pokrewne mu rodzaje fal elektromagnetycznych

rozmażywało się i gięło, pchane przez podczerwień w strefy radiowe i pozaradiowe. Gdy Hades brał na męki dookolne czas i przestrzeń, zgniatając je nad swym niszczycielskim horyzontem w miazgę, "Eurydyka" dokonywała ostatnich, krytycznych obserwacji Kwinty, piątej planety szóstego słońca Harpii, właściwego celu wyprawy. Wystrzelone uprzednio w przestrzeń z dala od kollapsara orbitujące astromaty utworzyły planetoskop o nie byle jakiej aperturze — dwu astronomicznych jednostek. Obraz, a raczej trójwymiarowy model Kwinty, skupił się w holowizorze jako zrazu mgława, niebieskołaciata chmurna kula, zawisła w hali obserwatorium między jej wielopiętrowymi galeriami. Co prawda nikt tam nie zaglądał. Podobny holoskop zmontowano w obserwatorium, bo ofiarował go ekspedycji japoński producent w celach reklamowych, żeby takie same oferować ziemskim planetariom. Widowskowo przedstawiał się efektownie, lecz astrofizykom był właściwie na nic. Zgodzili się nań, bo cała aparatura zajmowała ściany dziobowej hali, a planetoskop, umieszczony pod przezroczystą kopułą, wypełnił jako ozdoba pusty środek. Pojawiające się wewnątrz obrazy mgławic czy planet przychodzili oglądać goście, by choć tak zobaczyć kosmiczny pejzaż, skryty za bezokiennym kadłubem "Eurydyki".

Rozbitek z Tytana nosił już prócz imienia Marek nazwisko — Tempe. Tak nazywała się dolina, w której Orfeusz po raz pierwszy spotkał Eurydykę. Nazwisko to nadał mu Bar Horab podczas poufnego spotkania skompletowanej załogi zwiadu. Właściwie nie on go tak nazwał; otrzymał stanowisko drugiego zmianowego pilota "Hermesa" przy owej okazji, a dowódca zachowywał się tak, jakby o niczym nie wiedział. Lauger wyparł się autorstwa, czy raczej uchylił się od odpowiedzi żartem, że wszyscy jednakowo ulegli duchom, wywołanym z mitologii greckiej. Dopóki pozwalało na to stałe przy wytracaniu chyżości ciężenie, bywał często u Laugera i przysłuchiwał się jego debatom z Goldem i Nakamurą, astrofizykami, obracającymi się najczęściej wokół zagadki "nadokiennych" cywilizacji. Takich, które uchodziły z głównego ciągu na diagramie Hortegi-Neyssla. Ponieważ nic nie było wiadomo o ich losie, stały się nie lada wyzwaniem dla wyobraźni. Poglądy, żywione przez większość zafascynowanych tą zagadką, od siekiery dało się podzielić na dwoje, wedle przyczyn milczenia, tkwiących w socjologii lub w kosmologii. Gold, choć fizyk, stał przy interpretacji socjologicznej, i to skrajnej, zwanej socjolizą. Społeczność, wchodząc w epokę technologicznego przyspieszenia, najpierw narusza życiowe środowisko, potem może i chce je ratować, lecz konserwacyjne zabiegi okazują się niedostateczne i biosferę zastępują — tyleż z potrzeby, co z konieczności — artefakty. Powstaje środowisko w całości przekształcone, ale nie sztuczne w ludzkim ujęciu owego terminu. Dla ludzi sztuczne jest to, co sporządzili sami; naturalne pozostaje to, co nietknięte lub tylko opanowane, jak woda,

obracająca turbiny lub uprawny grunt, poddany rolniczym zabiegom. Nad oknem różnica ta przestaje istnieć. Skoro wszystko staje się sztuczne, nic nie jest sztuczne. Produkcja, inteligencja, prace badawcze ulegają "przesadzeniu" w całe otoczenie; elektronika lub jej nieznane odpowiedniki i wykwyty zastępują instytucje, ciała ustawodawcze, administrację, szkolnictwo, służbę zdrowia, zanika etniczna tożsamość narodowych skupisk, znikają granice, policja, sądy, uniwersytety, tak samo jak więzienia. Może powstać wówczas "wtórny wiek jaskiniowy" — powszechnego analfabetyzmu i nieróbstwa. Nie trzeba mieć żadnego fachu, aby wyżyć. Kto chce, może naturalnie go mieć, bo każdy może robić, co mu się żywnie spodoba. Nie oznacza to koniecznie stagnacji: środowisko jest posłusznym opiekunem i w tej mierze, na jaką je stać, podług życzeń czy żądań umie się przekształcać. Czy tak, że zachodzi postęp? Na to nie możemy odpowiedzieć, skoro conceptowi postępu sami przypisywaliśmy w dziejach nietożsame znaczenie, w zależności od chwili historycznej. Czy wolno nazwać postępowaniem wiedzę sytuację, w której specjalizacja rozdrabnia działalność poznawczą, budowlaną, intelektualną, twórczą, tak że w każdym fachu każdy coraz głębiej nawierca swe coraz mniejsze poletko? Jeżeli maszyny obliczą wszystko prędzej i lepiej niż żywa istota, po co miałyby liczyć? Jeżeli fotosyntetyczne systemy wytwarzają żywność bardziej różnorodną i zdrowszą niż rolnicy, piekarze, kucharze, cukiernicy, po co uprawiać rolę i zajmować się młynarstwem lub wypiekiem chleba? Dlaczego cywilizacja w takiej socjologii nie śle we wszystkie strony niebios recept na własną doskonałość i wygodę? A po co miałyby to właściwie robić, skoro jej w ogóle już nie ma jako wspólnoty o nienasyconym głodzie żołądków i mózgów?

Powstaje niejako ogromny zbiór jednostek i prawdziwie trudno wtedy o taką, która by wzięła sobie za życiowe zadanie sygnalizację w kosmicznym zakresie o tym, jak się jej powodzi. Sztuczne środowisko niechybnie zostaje sporządzone z takim inżynierskim rozmysłem, ażeby nie mogło osiągnąć cech planetarnej "Osoby". Takie sztuczne środowisko to NIKT, nie inaczej niż łąka, las, step. Tyle że nie dla siebie rośnie, nie dla siebie zakwita, lecz dla kogoś. Dla jakichś istot. Czy głupieją od tego i zamieniają się w tępych pasibrzuchów, zbijających bąki na igraszkach, przyrządzanych im przez planetarną kuratelę? Niekoniecznie. To kwestia punktu widzenia. Co dla jednego człowieka jest ułudą lub próżniactwem, dla innego może być życiową pasją. Tym bardziej brak nam miar i ocen, gdy bierzemy pod uwagę inne istoty innego świata, innej ery dziejów, tak już odmiennych od naszej historii.

Nakamura i Lauger stali przy hipotezie kosmologicznej. Kto Kosmos poznaje, ten w Kosmosie ginie. Nie aby tracił w nim życie — aforyzm ma zupełnie inny sens. Astronomia,

astrofizyka, kosmonautyka to tylko skromne i drobne początki. Jużemy sami zrobili następny krok, opanowawszy elementarz inżynierii sideralnej. Nie chodzi także o ekspansję, o tak dawniej zwaną "fale udarową Rozumu", który ovladnąwszy po swej planecie pobliskimi... rozprzestrzenia się gwiazdnym wychodźstwem na galaktyki. Po co? Żeby coraz gęściej zaludniać próżnię? Nie idzie o "*crescite et multiplicamini*", lecz o działania, których nie potrafimy zrozumieć, więc tym bardziej określić w ich znaczeniu. Czy szympanś może zrozumieć mordegi kosmogonika? Czy *Universum* jest bardzo dużym plackiem, a cywilizacja dzieckiem, usiłującym jak najprędzej zjeść ten placek? Myśl o obcogwiazdnych inwazjach jest projekcją agresywnych cech drapieżnego, z grubsza okrziesanego małpoluda. Skoro sam chętnie zrobiłby bliźniemu, co mu niemiłe, wyobraża sobie Wysoką Cywilizację na ten swój sposób. Floty galaktycznych drednautów mają spaść na jakieś biedniutkie planetki, by dobrać się do miejscowych dolarów, brylantów, czekolady i oczywiście pięknych kobiet. Są im tak samo potrzebne, jak nam samice krokodyli. Więc czymże się zajmują ci nad oknem? Tym, czego nie możemy pojąć i jednocześnie nie dajemy zgody na to, że działalność Tamtych wykroczyła poza obręb naszego pojmowania. Proszę: mamy zrobić dziurę w Hadesie, w jego cebuli temporalnej, żeby się w niej schować. Nie bawimy się jednak w chowanego. Chcemy dopaść cywilizację, nim uleci z okna. Prawdopodobieństwo następnych wypraw o takim samym celu jest znikome. Nasi potomkowie będą nas traktować może i z uszanowaniem: takim, z jakim traktujemy Argonautów, którzy wyruszyli po Złote Runo.

Khargner, który też bywał u Laugera, określał tę wykładnię "cywilizacji poza przedziałem kontaktu" jako "rozumienie przez nierozumienie". Ostatnim czasem nie mógł już sobie pozwolić na udział w dyskusjach, gdyż bliskość celu wymagała jego prawie bezustannej obecności w dyspozytorniach mocy.

Marek Tempe, który wiedział, że nazywa się inaczej, lecz nie wolno mu się zdradzić z tą wiedzą — ze względu na lekarzy — przed snem studiował skład załogi "Hermesa". Z dziesięciu jej członków znał dobrze tylko Gerberta, a ze spotkań u Laugera—małego, czarnookiego Nakamurę. O dowódcy, pod którym miał służyć, właściwie nie wiedział nic. Nazywał się Steergard, był pierwszym zastępcą Bar Horaba, a jego dodatkową specjalność stanowiła socjodynamiczna teoria gier. Każdy uczestnik zwiadu musiał mieć fach, pokrywający fach któregoś z innych, aby od wypadku czy choroby sprawność rekonesansu nie osłabła. Mocą zawiadywał na "Hermesie" grawistyksiderator Polassar. Znał go tylko jako znakomitego pływaka z basenu "Eurydyki", gdzie mógł podziwiać jego muskularne ciało przy skokach z potrójną śrubą do wody. Nie były to okazje do zaznajomienia się z sideralną inżynierią, więc sam starał się ją nagryźć, na próżno, bo już wstęp do niej wymagał

otrząskania z wyrafinowanym potomstwem teorii względności. Pierwszym pilotem został Harrach. Duży, ciężki, krewki, znał się też niezłe na informatyce i wraz z astromatykiem Halbanem miał w pieczy komputer "Hermesa". Czy też, jak się wyraził raz ów komputer, on miał w tych dwóch ludziach swoich podopiecznych. Był to komputer generacji zwanej ostateczną, ponieważ żaden inny nie mógł mieć większej mocy obliczeniowej. Granicę ustanowiły własności materii, jak stała Plancka i szybkość światła. Większą moc obliczeniową rozwijały tak zwane komputery urojone, projektowane przez teoretyków zajmujących się czystą matematyką, niezawisłą od realnego świata. Dylemat konstruktorów wynikał z koniecznych, a zarazem przeciwnych warunków, aby najwięcej neuronów upakować w najmniejszej objętości. Czas biegu sygnałów nie może być dłuższy od czasu reakcji składników komputera. W przeciwnym razie czas biegu ogranicza szybkość obliczeniową. Najnowsze przekładniki reagowały w jednej stumiliardowej części sekundy. Były wielkości atomów. Dlatego właściwy komputer miał ledwie trzy centymetry średnicy. Każdy większy pracowałby wolniej. Komputer "Hermesa" zajmował wprawdzie pół sterowni, lecz aparaturą pomocniczą, dekoderni, podzespołami tak zwanych medytatorów hipotezotwórczych, lingwistycznych i dlatego nie pracujących w czasie realnym. Natomiast decyzje w sytuacjach krytycznych, *in extremis*, podejmowało jego błyskawiczne jądro, nie większe od gołębiego jajka. Zwał się GOD, General Operational Device. Nie wszyscy uważali, że ów skrót powstał, przypadkowo. "Hermesa" zaopatrzono w dwa GODy — "Eurydyka" miała ich osiemnaście.

Prócz Steergarda, Nakamury, Gerberta, Polassara i Harracha, przeznaczonych dla zwiadu jeszcze przed odlotem, mieli w nim uczestniczyć: Arago jako rezerwowi lekarz, co wyglądało na niespodziany wynik tajnego głosowania, Tempe na stanowisku drugiego pilota, logistyk Rotmont oraz dwaj eksperci, wybrani spośród kilkunastu egzobiologów i innych biegłych ziemskiego prezydium SETI — Kirsting i El Salam. W ostatnich tygodniach podróży dziesiątka ta zamieszkała w piątym członie "Eurydyki", zawierającym dokładną kopię "Hermesowego" wnętrza, aby się dobrze zaznajomić ze sobą, jak z zadaniem, które ich czekało. Codziennie rozgrywali tam na symulatorach różne warianty podejścia do Kwinty oraz taktyki nawiązywania kontaktu z jej mieszkańcami. Inny delegat SETI, Thethes, zawiadując ową symulacją, dawał się przyszłej załodze "Hermesa" niezłe we znaki, ciskając ją w najwymyślniejsze awarie, zachodzące równocześnie z innymi albo z ulewą niezrozumiałych sygnałów, imitujących głos obcej planety. Nie wiadomo jak ani czemu utarło się wówczas zwać apostołskiego wysłannika nie ojcem, lecz doktorem Arago. Marek odniósł wrażenie, że duchowny sam tego chciał. Symulacje przerwano przed zakończeniem

programu, gdyż Bar Horab wezwał do siebie zwiadowców w związku z ostatnimi obserwacjami systemu Dżety. Z ośmiu planet tej spokojnej gwiazdy klasy K, cztery wewnętrzne, małe, o masach Merkurego i Marsa, przy sporej aktywności wulkanicznej miały nikielne atmosfery. W dali okręgały Dżetę trzy gazowe, wielkopierścienne giganty, rzędu Jowisza, o potężnie burzliwych atmosferach przechodzących w zgnieciony do fazy metalicznej wodór. Septa, dwakroć cięższa od Jupitera, wyrzucała w próżnię więcej energii, niż otrzymywała od swego Słońca: niewiele brakowało jej do zapłonu w gwiazdę. I tylko Kwinta, o półtorarocznym okresie biegu wokół Dżety, błękitniała jak Ziemia. Rozziewy białych obłoków ujawniały kontury oceaniczne i zarysy lądów. Obserwacja z odległości niemal pięciu lat świetlnych nastęrczała znaczne trudności. Rozdzielczość narzędzi optycznych "Eurydyki" nie mogła podolać należycie zadaniu. Obrazy, przekazywane z wysłanych w przestrzeń orbiterów, też były nie dość ostre. Kwinta znajdowała się względem "Eurydyki" w drugiej kwadrze. Połowa jej tarczki jaśniała i nad nią właśnie wykryto spektralne linie wody i hydroksylu w znacznych skupieniach. Jak gdyby u samego równika, tuż nad nim, opasywał Kwintę wąż niezwykle zgęszczonej pary wodnej. Znajdował się wszakże ponad atmosferą. Nasuwał wniosek o lodowym pierścieniu, trącym wewnętrznymi brzegami o wierzchnie warstwy atmosfery. Tym samym w niedługim czasie miał ulec rozpadowi. Astrofizycy szacowali jego masę na jakieś trzy do czterech trylionów ton. Jeśli woda pochodziła z oceanu, stracił około 20000 kilometrów sześciennych: nie więcej niż jeden procent objętości. Skoro nie można było wynaleźć naturalnych przyczyn tego zjawiska, wysoce prawdopodobne stały się prace podjęte w celu obniżenia poziomu mórz i tym samym odsłonięcia szelfów jako miejsc do zasiedlenia. Z drugiej strony operacja wyglądała na kiepsko wydarzoną — skoro nie dźwignięty na dostatecznie wysoką orbitę zamrzły ułamek oceanu musiał po kilkuset latach spaść weń na powrót. Przy takim rozmachu robót było to do niezrozumiałości dziwaczne. Nadto dały się na Kwincie dostrzec szybko zachodzące jeszcze bardziej zagadkowe zjawiska. Elektromagnetyczny szum, emitowany nierównomiernie przez wiele miejsc planety, wzmógł się znacznie. Jakby naraz uruchomiono tam setki maxwellovskich nadajników. Zarazem wzmogło się promieniowanie w infraczerwieni z drobnymi rozbłyskami w centrach. Mogły to być wielkie lustra, skupiające światło słoneczne w siłowniach. Wnet jednak wyjaśniło się, że składowa termiczna emisji i tam jest niewielka. Widma rozbłysków nie stanowiły ani powtórzeń widma Dżety (co zaszłoby, gdyby to Słońce skupiano w jakichś zwierciadłach), ani nie przypominały spektrów eksplozji nuklearnej. Natomiast radiowy szum wciąż rósł. Był krótko i średniofalowy, w wielu zakresach. Emisja metrowa przypominała modulowaną.

Wiadomość wywołała sensację, zwłaszcza że ktoś ją przeinaczył: szło jakoby o promieniowanie kierowane jak radarowe, czyli planeta dostrzegła już "Eurydykę". Astrofizycy odrzucili tę pogłoskę. Żaden rodzaj radaru nie wykryłby statku w pobliżu kollapsara. Niemniej w godzinie Zero panował triumfalny nastrój. Kwintę ponad wszelką wątpliwość zamieszkiwała cywilizacja tak zaawansowana technicznie, że wykroczyła w Kosmos nie tylko drobnymi pojazdami, lecz mocą zdolną dźwigać w próżnię oceany.

Przygotowania do startu zwiadowcy toczyły się na zmienionej orbicie, we względnie spokojnym afelium Hadesu. Ustał pisk piezoelektrycznych wskaźników, świadczący o ciągłej zmianie napięć we wręgach i podłużnicach kadłuba. Zarazem w ślepych dotąd ekranach ośrodka kontrolnego startu skosem rozjarzył się spiralny rękaw Galaktyki, a przy dobrej woli i wyobraźni można było wśród białawych skłębień gwiazd i ciemnych chmur pyłowych wyróżnić w nieruchomo świecącej kurzawie Dzetę Harpii. Jej planety nie były optycznie dostrzegalne. Technicy szykowali "Hermesa" do odcumowania. W rufowych ładowniach obracały się dźwigi, kołnierze rurowców, którymi "Eurydyka" tłoczyła hypergole do zbiorników zwiadowcy, drżały pod naporem pomp, sztab sprawdzał systemy napędu, nawigacji, klimatyzacji, sprawność dynatronów, raz za pośrednictwem GODa, raz z jego pominięciem przez równoległe linie przesyłu. Po kolei meldowały gotowość bloki cyfrowe ze swymi programami, radiolokacyjne emitory, anteny wysuwały się i chowały jak rogi gigantycznego ślimaka, głęboki bas turbin tłoczących tlen do podpokładowych tuneli "Hermesa" wprawiał jego łożysko, o kształcie otwartego doku, w delikatną wibrację i podczas tej mrówczej krzątaniny miliardotonowa "Eurydyka" z wolna obracała się rufą w stronę Dzety Harpii niby działo mające dać ognia.

Załoga "Hermesa" żegnała się z dowódcą i bliskimi. Zbyt wielu było ludzi na macierzystym okręcie, aby każdy mógł z każdym wymienić choć uścisk dłoni. Potem Bar Horab z tymi, którzy mogli opuścić stanowiska, odprowadził załogę "Hermesa" i stał w tunelowym cylindrze międzyczołowym, kiedy po zamknięciu wielkich wrót doku zasunęły się małe włazy osobowe z przysuniętymi podnośnikami wind i jak z łożyska wyrzutni "Hermes" zaczął się wysuwać pomału, śnieżnie biały, pchany cal po calu hydraulicznymi wypornikami, gdyż sto osiemdziesiąt tysięcy ton jego masy zachowało mimo nieważkości nigdy nie znikającą bezwładność. Technicy "Eurydyki" wraz z biologami, Terną i Hrussem, układali już załogę "Hermesa" do wieloletniego snu. Nie lodowego ani hibernacyjnego: poddano ich embrionacji. Ludzie wracali w niej do życia sprzed narodzin — płodowego, a przynajmniej budzącego to podobieństwo, egzystencji bez tchnienia: podwodnej. Już pierwsze drobne, kroki człowieka w Kosmos ujawniły, jak bardzo ziemskim stworzeniem jest

człowiek i jak nie przystosowanym do potężnych sił, których wymaga przebycie wielkich przestrzeni w najkrótszym czasie. Gwałtowna akceleracja zgniata ciało, zwłaszcza płuca, wypełnione powietrzem, stłacza klatkę piersiową i poraża krążenie krwi. Skoro prawa natury nie dawały się ugiąć, przyszło dostosować do nich astronautów. Tego dokonała embrionacja. Najpierw trzeba było zastąpić krew płynnym nośnikiem tlenu, posiadającym nadto inne własności krwi, od krzepliwości po funkcje odpornościowe. Płynem tym był biały jak mleko onaks. Po ochłodzeniu ciała do temperatury właściwej zwierzętom, które zimują snem, udrożniono operacyjnie zarosłe naczynia, jakimi ongiś płód wymieniał krew z łożyskiem w łonie matki. Serce pracowało nadal, lecz ustawała gazowa wymiana w płucach, które zapadały się i wypełniały onaksem. Kiedy ani w klatce piersiowej, ani we wnętrznościach nie było już powietrza, bezprzytomnego zanurzano w cieczy tak nieściśliwej jak woda. Astronautę przyjmował do wnętrza embrionator, pojemnik o kształcie dwumetrowej torpedy. Utrzymywał ciało w nadzerowej temperaturze, dostarczał mu substancji odżywczych i tlenu onaksem, włączanym sztucznymi naczyniami przez pępek w głąb organizmu. Tak spreparowany człowiek mógł znieść bez szkody równie olbrzymie ciśnienia, jak ryby głębinowe, które nie podlegają zmiadżeniu na głębokości mil w oceanie, ponieważ napór idący z zewnątrz jest taki sam jak w ich tkankach. Toteż płyn, zawarty w embrionatorze, stłaczano do setki atmosfer na centymetr kwadratowy powierzchni ciała. Każdy taki pojemnik brały na statku ciężkie wahadłowe zawieszenia. Astronauci spoczywali w pancernych kokonach niby ogromne poczwarki tak, aby siły akceleracji i deceleracji trafiały ich zawsze od piersi ku grzbietowi. Ich ciała, zawierając ponad 85% wody i onaksu, już bezpowietrzne, nie ustępowały opornością na ściskanie wodzie. Dzięki temu można było bez obawy utrzymywać stałe przyspieszenie statku dwadzieścia razy większe od ziemskiego. Przy takim przyspieszeniu ciało waży dwie tony i wykonywanie oddechowych ruchów żebrami jest nieposilnym zadaniem nawet dla atlety.. Lecz embrionujący nie oddychali, a granicę ich wytrzymałości na gwiazdowy lot wyznaczała jedynie subtelna struktura molekularna tkanek. Kiedy dziesięć serc w pełnej embrionacyjnej kompresji biło już tylko kilka razy na minutę, opiekę nad bezprzytomnymi przejął GOD, a ludzie "Eurydyki" wrócili na jej pokład. Operatorzy odłączyli wtedy komputery macierzystego okrętu od "Hermesa" i prócz martwych, bo bezprądowych kabli nic nie łączyło obu statków.

"Eurydyka" wypchnęła zwiadowcę z szeroko rozwartej rufy, okolonej gigantycznymi płatami rozsuniętego zwierciadła fotonowego. Jej stalowe łapy wydłużając się i rwąc jak nitki już zbędne kable, wysunęły kadłub "Hermesa" w pustkę. Wówczas jego burtowe silniki zajaśniały bladym ogniem jonowym, lecz impuls był zbyt słaby, by go ruszyć z miejsca — tak

olbrzymia masa nie może szybko nabrać szybkości. "Eurydyka" wciągała już swe katapulty, zamykała rufę, a wszyscy obserwujący start w jej sterowni odetchnęli z ulgą — GOD z dokładnością ułamka sekundy wziął się do dzieła. Milczące dotąd hypergolowe boostery "Hermesa" dały ognia. Dla dobrego rozbiegu odpalały ich kolejne baterie. *Zarazem* jonowe silniki dały z siebie wszystko. Ich siny, przejrzysty płomień zmieszał się z oślepiającym boosterów, kadłub okutany dygocącym żarem popłynął gładko i równo we wieczną noc, w przyciemnionej sterowni odbłask ekranów padł na twarze ludzi przy dowódcy i stali się w tej poświacie śmiertelnie bladzi. "Hermes" bił ku nim coraz dłuższym, ciągłym płomieniem, oddalając się ze wzmożoną szybkością. Gdy dalmierze wskazały należyłą odległość, a na skraju pola widzenia koziółkował bezładnie pusty cylinder, który do ostatniej chwili łączył "Hermesa" z "Eurydyką" i odstrzelony salwami startowymi poleciał w mrok, rufowe zwierciadło miliardotonowca zwarło się, przez centralny otwór wysunął się powoli tępy stożek emitora, łysnął raz, drugi, trzeci, aż słup światła runął w otchłań i trafił "Hermesa". W obu sterowniach "Eurydyki" rozległ się chóralny okrzyk radości i — przyznać należy — miłego zaskoczenia, że poszło tak sprawnie. "Hermes" znikł niebawem z wizualnych monitorów. Zjawiały się na nich tylko coraz mniejsze świecące pierścionki, jakby niewidzialny olbrzym palił wśród gwiazd papierosa i puszczał z ust kółka białego dymu. Na koniec obrączki te zlały się w drżący punkt — to lustro zwiadowcy odbijało blask rozpędzającego go lasera "Eurydyki".

Bar Horab, nie doczekawszy się końca widowiska, wrócił do swojej kajuty. Miał przed sobą siedemdziesiąt dziewięć najtrudniejszych godzin sideralnych zabiegów gracerem "Orfeusza", aby utworzyć w rezonansach grawitacyjnych temporalny port — i wpłynąć weń, czy raczej się zanurzyć, gdyż oznaczało to zupełne odcięcie od zewnętrznego świata.

Rozkaz zapłonowy, wysłany "Orfeuszowi", mknął do niego przez dwie doby i właśnie wówczas zaszło na Kwincie kilka zastanawiających zjawisk. Aż do chwili definitywnego oślepienia ich przyrządów astrofizycy odbierali całą galaktyczną emisję z obszaru gwiazd Harpii. Spektra Alf, Delt, aż po Dzetę w niczym się nie zmieniały, co było ważnym sprawdzianem dobrej obserwacyjnej jakości Kwinty. Radiacja, docierająca do "Eurydyki" od planety, podlegała filtrowaniu, a filtry porównywały, nakładały na siebie i precyzowały kaskadowe wzmacniacze komputerów. W najlepszym powiększeniu wizualnym układ Dżety był plamką, którą przesłoni główka zapalki trzymanej w wyciągniętej ręce.

Cała uwaga planetologów skupiła się oczywiście na Kwincie. Jej spektrum i hologramy tworzyły nie tyle obraz planety, ile domysłów komputerowych na jej temat. Ponieważ źródłem informacji były pęki fotonów, nieregularnie rozsiane po widmie wszechmożliwych

promieniowań, w obserwatorium "Eurydyki", tak samo jak niegdyś w ziemskich, u pierwszych teleskopów, nie było zgody w kwestii krytycznej: co widać w samej rzeczy, a co tylko wydaje się widziane.

Umysł człowieka, tak samo jak każdy układ przetwarzający informację, nie może ostro odgraniczyć całkowitej pewności od domniemań. Obserwacje utrudniało Słońce Kwinty, Dżeta, gazowy ogon jej największego globu, Septimy, oraz silna emisja gwiazdowego tła. Dotąd ustalono, że Kwinta przypomina pod wieloma względami fizycznymi Ziemię. Jej atmosfera zawierała 29% tlenu, sporo pary wodnej i około 60% azotu. Białe polarne czapy biegunów dały się wysokim albedem dostrzec jeszcze z okolic ziemskiego Słońca. Lodowy pierścień powstał niechybnie już podczas lotu "Eurydyki", a przynajmniej osiągnął rozmiary czyniące go dostrzegalnym. Teraz, z kosmicznego pobliża, sztuczny charakter radiowej jasności Kwinty ustalono nieomylnie. Wyładowania atmosferycznych burz nie mogły wchodzić w rachubę. Radiową jasnością w zakresie krótkich fal Kwinta dorównała już analogicznej emisji swego Słońca. Podobnie stało się z Ziemią po światowym rozpowszechnieniu telewizji.

Rezultaty obserwacji dokonanych na krótko przed zanurzeniem w grawitacyjnej przystani stały się nagłym zaskoczeniem i Bar Horab wezwał natychmiast ekspertów na naradę, wiedząc, że jej wyników nie zdoła już przekazać załodze "Hermesa". Obradom przyświecał jedyny możliwy cel: jak najszybciej postawić diagnozę temu, co zachodzi na planecie i wysłać wiadomość w ślad za zwiadowcą. Zakodowany pismem wysokoenergetycznych kwantów list doścignie "Hermesa" z bezprzytomną załogą, odbierze go zatem GOD i przekaze ludziom po reanimacji na skraju systemu Dżety. Gwiazdowy list miano zaszyfrować tak, aby tylko GOD mógł go odczytać. Ostrożność zdawała się wskazana: zbiór zmian zaszytych na Kwincie wyglądał dość niepokojąco.

Zarejestrowano serie krótkotrwałych rozbłysków nad termosferą i jonosferą planety oraz między nią a jej Księżycem, około dwustu tysięcy kilometrów od Kwinty. Rozbłyski trwały kilkadziesiąt nanosekund. Spektralnie odpowiadały emisji słonecznej z promieniowaniem obciętym w podczerwieni i ultrafiolecie. Po każdej serii tych rozbłysków, obejmującej kilka godzin, pojawiały się na tarczy planety w strefie międzyzwrotnikowej ciemne smużki po obu stronach lodowego pierścienia. Równocześnie wzmożła się emisja fal metrowego rzędu, przekroczyła obserwowane dotąd maksimum, a zarazem słabła emisja półkuli południowej.

Tuż przed początkiem obrad bolometr celujący w centrum tarczki planetarnej wykazał nagły spadek temperatury rzędu stu osiemdziesięciu stopni Kelvina — z powolną relaksacją.

Zimna plama objęła obszar równy Australii. Zrazu powłoka chmur znikła nad plamą, okalając ją ze wszech stron bardzo jasnym obwałowaniem obłoków, a nim chmury wróciły, bolometr umiejscowił "źródło zimna" o punktowych rozmiarach w samym centrum plamy. Tak więc raptowne ochłodzenie rozbiegało się ze źródła o niewiadomej naturze kolistym frontem.

Na dużym Księżycu Kwinty pojawił się — na ciemnej półkuli odwróconej od Słońca — punktowy rozbłysk, który drgał, jakby się poruszał niezależnie od ruchu skorupy Księżyca. Jakby tuż nad jego powierzchnią chodziło w zakresie jednej dziesięciotysięcznej sekundy łuku ognisko, utworzone z plazmy jądrowej o temperaturze miliona stopni Kelvina.

Przy otwarciu obrad zimna plama znikła pod chmurami, a zachmurzenie Kwinty wzrósłszy ustaliło się na powierzchni większej niż kiedykolwiek przedtem: 92% pokrycia tarczy.

Nietrudno się domyślić, jak podzielone były zdania fachowców. Napraszając się jako pierwsza hipotezę wybuchów nuklearnych, czy to próbnych, czy wojennych można było odrzucić bez dyskusji. Błyski nie miały nic wspólnego spektralnie ani z eksplozjami uranidów, ani z reakcjami termojądrowymi. Wyjątek stanowiła plazmatyczna iskra na Księżycu: jej termonuklearne widmo było jednak ciągłe. Nasuwało wyobrażenie otwartego reaktora wodorohelowego w uchwycie magnetycznym. Dla nukleoników przeznaczenie takiego reaktora było zagadką. Błyski w przestrzeni okołoplanetarnej mogły pochodzić albo ze specjalnie zestrojonych laserów, trafiających jakieś obiekty metaliczne — być może, niklomagnetytowe meteory — albo z kolizji ciał o dużej zawartości żelaza, niklu i tytanu, przy frontalnych zderzeniach i szybkościach rzędu 80—100 km/sek. Nie dały się jednak wykluczyć jako źródła przetwornikowe zwierciadła z pochłaniaczami części fal słonecznych, podlegające wybuchowym awariom.

Narada przeszedłszy w zaciekły spór poróżniła specjalistów. Mówiło się o regulacji klimatu za pomocą bardzo wielkich fotokonwertorów, o fotoelektrycznych ogniach, co jednak nie wiązało się z ogniskiem mrozu u równika. Najbardziej zdumiewające okazały się jednak wyniki fourierowskiej analizy całego radiowego spektrum Kwinty. Ślady wszelkiej modulacji znikły, a zarazem moc nadajników wzrosła. Radiolokacyjna mapa planety ukazywała setki nadajników białego szumu, zlewającego się w bezpostaciowe plamki. Kwinta emitowała ów szum na wszystkich zakresach fal. Szum ów oznaczał albo nadawanie sygnałów typu "*scrambling*", czyli rodzaj szyfrowej komunikacji osłanianej pozornym chaosem, albo wytwarzanie radiowego bezładu z rozmysłem.

Bar Horab zażądał niezwłocznej odpowiedzi na pytanie, CO należy przekazać "Hermesowi" w ciągu najbliższych kilkunastu godzin, gdyż potem urwie się z nim wszelka

łącność. A bardziej konkretnie: NA CO winni się przygotować zwiadowcy i tym samym JAK mają działać, znalazłszy się w systemie Dżety?

Program rekonesansu opracowano już dawno, lecz nie przewidywał zaobserwowanych fenomenów. Było to jawną niemożliwością. *Zrazu* nikt nie kwapił się do zabrania głosu. Wreszcie astromatyk Tuyma jako rzecznik doradczej grupy SETI oświadczył z nie ukrywanym ociąganiem, że żadnych trafnych rad nie da się przesłać "Hermesowi": należy przekazać opis faktów, ich hipotetyczną interpretację i zdać się na samodzielną rozwałę zwiadowców. Bar Horab chciał usłyszeć owe hipotezy bez względu na ich wzajemną sprzeczność.

— Czymkolwiek są zmiany Kwinty, nie są skierowanymi do nas sygnałami — powiedział Tuyma. — W tym wszyscy się zgadzamy. Niektórzy uważają, że Kwinta dostrzegła naszą obecność i szykuje się po swojemu na przyjęcie "Hermesa". Nie jest to domniemanie oparte na racjonalnych danych. Jest to po prostu — moim zdaniem — wyraz niepokoju, albo mówiąc bez ogródek, strachu. Bardzo starego i pierwotnego strachu, który zrodził niegdyś pojęcie kosmicznej inwazji jako katastrofy. Uważam to wyjaśnienie zjawisk za nonsens.

Bar Horab życzył sobie konkretów. O tym, czy ludzie zwiadu mają się bać, czy nie, zadecydują sami. Chodzi o mechanizm nowych zjawisk.

— Koledzy astrofizycy dysponują konkretnymi hipotezami, więc mogą je przedstawić — odparł Tuyma, nie dotknięty ironią słów dowódcy, skoro nie była zaadresowana do niego.

— Mianowicie? — spytał Bar Horab. Tuyma wskazał Nistena i La Pirę.

— Skoki temperatury i albeda mogły spowodować wtargnięcie w układ Kwinty roju meteorów, które zderzały się ze sztucznymi satelitami. To mogło dać rozbłyski — powiedział Nisten.

— A jak tłumaczysz podobieństwo błysków powierzchniowych z widmem Dżety?

— Część satelitów Kwinty mogą stanowić bryły lodu, odprysłe od zewnętrznych krawędzi pierścienia. Odbijały światło słoneczne w naszą stronę tylko wówczas, kiedy kąt padania i odbicia był taki przypadkiem: mogą to być nieregularne bryły o różnych momentach obrotowych.

— A co powiecie o plamie mrozu? — spytał dowódca. — Kto zna dopuszczalne przyczyny jej powstania?

— To jest niejasne — chociaż i jakiś naturalny mechanizm dałoby się wymyślić...

— Jako hipotezę *ad hoc* — wtrącił Tuyma.

— Rozważałem to z chemikami — odezwał się Lauger. — Mogła tam zajść reakcja

endotermiczna. Mnie się co prawda takie *curiosum* nie podoba, chociaż są związki pochłaniające ciepło, kiedy z sobą reagują. Towarzyszące okoliczności nadają temu bardziej drastyczną wymowę.

— Jaka? — pytał Bar Horab.

— Nienaturalną, chociaż i niekoniecznie świadczącą o rozmyśle. Dajmy na to — katastrofa jakichś ogromnych urządzeń chłodniczych, kriotronowych. Jak pożar zakładów przemysłowych z ujemnym znakiem. Ale mnie się to też nie wydaje prawdopodobne. Nie mam żadnych rzeczowych podstaw do takiego twierdzenia — nikt z nas ich nie ma.

Jednakowoż sama bliskość w czasie wszystkich tych zmian wskazuje na to, że są jakoś związane.

— Wartość tej hipotezy też jest ujemna — zauważył któryś z fizyków.

— Nie sądzę. Sprowadzenie szeregu niewiadomych do wspólnego niewiadomego mianownika to zysk, a nie strata informacji... — uśmiechnął się Lauger.

— Proszę o więcej — zwrócił się do niego dowódca. Lauger wstał.

— Powiem, ile będę mógł. Niemowle uśmiechając się, czyni to według założeń, które przyniosło na świat. Tych założeń, statystycznej natury, jest mnóstwo: że różowawe plamy, jakie widzą jego oczka, są ludzkimi twarzami, że ludzie pozytywnie reagują zazwyczaj na uśmiech małego dziecka, i tak dalej.

— Do czego zmierzasz?

— Do tego, że wszystko stoi zawsze na określonych założeniach, choć przeważnie są przyjęte milcząco. Dyskusja toczy się wokół zająć, wyglądających mało prawdopodobnie jako seria zdarzeń niezależnych. Błyski, chaotyzyacja emisyjna, zmiany albedo Kwinty, plazma na Księżycu. Skąd się wzięły? Z działalności cywilizacyjnej. Czy to je wyjaśnia? Przeciwnie: zaciemnia, ponieważ założyliśmy milcząco, że potrafimy rozeznąć się w działaniach Kwintan. Przypominam, że Mars był niegdyś uznawany za starca, a Wenus za młódkę w zestawieniu z Ziemią: pradiadkowie naszych astronomów założyli bezwiednie, że Ziemia jest taka sama jak Mars i Wenus, tyle że młodsza od pierwszego i starsza od drugiej. Stąd poszły kanały Marsa, dzikie dżungle Wenery i reszta, aż wszystko przyszło włożyć między bajki. Sądzę, że nic nie umie zachowywać się bardziej nierozumnie od rozumu. Na Kwincie może działać rozum — a raczej rozumy, nieosiężne dla nas przez różnorodność intencji...

— Wojna?

Głos padł z głębi sali. Lauger, wciąż stojąc, ciągnął: — Wojna nie jest pojęciem zamykającym raz na zawsze zbiór konfliktów z niszczycielską wypadkową. Dowódco, nie licz na oświecenie. Skoro nie znamy ani warunków wyjściowych, ani granicznych, nic nie

obróci niewiadomych w wiadome. "Hermesa" nie ustrzeżemy inaczej, jak radząc, żeby się miał na baczności. Chcesz dokładniejszej rady? Widzę ją tylko w alternatywie: albo działania rozumnych nierozumne, albo niezrozumiałe, bo nie mieszczące się w kategoriach naszej myśli. Ale to tylko mój pogląd — nic więcej.

KWINTA

Przed zanurzeniem radiolokatory ostatni raz wspomniały o "Hermesie", ukazując jak zatacza na nieboskłonie wycinek ogromnej hyperboli, idąc wciąż wyżej, nad rękaw spirali galaktycznej, aby w wysokiej próżni iść przyświatnym chodem, aż radiowe echa zaczęły przychodzić w rosnących odstępach na znak, że "Hermes" podlega relatywistycznym efektom i jego czas pokładowy coraz bardziej rozchodzi się z czasem "Eurydyki". Łączność między zwiadowcą i macierzystym statkiem zerwała się ostatecznie, kiedy sygnały automatycznego nadajnika zwiększyły długość fal, rozciągnęły się w wielokilometrowe pasma i osłabły tak, że ostatni zanotował najczulszy indykator w siedemdziesiątej godzinie od startu, kiedy Hades, trafiony przez samobójczego "Orfeusza", stęknął grawitacyjnym rezonansem i otworzył temporalne czeluście. Cokolwiek miało się przydarzyć zwiadowcy i zamkniętym w nim ludziom, musiało pozostać nieznane przez wiele ich lat.

Tym, którzy śpią snem embrionacyjnym, podobnym do śmierci, jako wyzbytym wszelkich rojeń i choćby nimi wyczuwanej utraty czasu, lot się nie dłużył. Nad białymi sarkofagami w tunelowym embrionatorze przez pancerne szkliwo peryskopu świeciła Alfa Harpii, błękitny olbrzym odstrzelony od innych gwiazd konstelacji jednym z własnych, asymetrycznych wybuchów, gdyż był młodym Słońcem i jeszcze się nie ustatkował po nuklearnym zapłonie swoich wnętrz. Po zniknięciu "Eurydyki" GOD przystąpił do manewrowania. "Hermes", wzbiwszy się nad ekliptykę, runął jak kamień ku Hadesowi, zrazu oddalając się od docelowych gwiazd, żeby je łatwiej osiągnąć grawitacyjnym kosztem giganta, okrążył go bowiem tak, że kollapsar dał mu swym polem solidny rozpęd. Zyskawszy podświetlną prędkość, "Hermes" wysunął z burt wloty strumieniowych reaktorów. Próżnia była tak wysoka, że zgarnianych atomów nie starczyło do zapłonu, więc GOD ekscytował wodór zastrzykami trytu, aż synteza ruszyła. Czarne dotąd gardziele silników rozjarzył blask, pulsujący coraz bardziej, prędzej, jaśniej, i w mroki trysnęły ogniowe słupy helu. Laser "Eurydyki" okazał zwiadowcy startową pomoc mniejszą od przewidywanej, gdyż jeden z

hypergolowych boosterów dał kiepski ciąg i zwierciadło rufowe uchyliło się od kursu, a potem "Eurydyka" przepadła jak wchłonięta w nicość, lecz GOD rychło wyrównał stratę dodatkową mocą, wykradzioną Hadesowi.

Przy 99% szybkości światła próżnia we wlotach silnikowych gęstniała, wodoru było pod dostatkiem, trwale przyspieszenie zwiększało już masę zwiadowcy daleko bardziej niż jego pęd, GOD utrzymywał 20 g bez najmniejszych odchyień, lecz obliczona na czterykroć większe przeciążenia konstrukcja dźmierzyła się bez szwanku. Żaden żywy organizm, większy od pchełki, nie wytrzymałby własnego ciężaru w owym locie. Każdy człowiek ważył ponad dwie tony. Pod tą prasą nie ruszyłyby żebrami, gdyby miał oddychać i serce pękłoby mu, tłocząc ciecz, daleko cięższą niż płynny ołów. Nie oddychali jednak i serca ich już nie biły, choć nie zmarli. Załoga spoczywała w tym samym płynnym ośrodku, który zastępował jej krew. Pompy, sprawne i przy stukrotnym ciężeniu (ale takiego by już embrionujący nie znieśli), tłoczyły w ich naczynia onaks, a serca kurczyły się raz lub dwa razy na minutę, nie pracując, a tylko biernie poruszane napływem życiodajnej, sztucznej krwi.

We właściwym czasie GOD dokonał zmiany kursu i lecąc teraz wprost ku korotacyjnemu skłębieniu gwiazd galaktyki, "Hermes" wyrzucił przed dziób tarczę osłonową. Wyprzedziła statek o kilka mil i znieruchomiawszy pozornie w tej odległości, służyła za przeciwpromienny pancerz. Inaczej przy rozwijającym pędzie promienie kosmiczne zniszczyłyby zbyt wiele neuronów w mózгах ludzkich. Błękitna Alfa świeciła już za rufą. Wewnątrz tunelowego pokładu w długiej rufie "Hermesa" nie zapanowała jednak całkowita ciemność, gdyż otuliny reaktorów dawały mikroskopijny przeciek kwantom i u ścian tłało promieniowanie Czerenkowa. Ten błądy półmrok trwał w pozornym bezruchu, niezmienny w doskonałej ciszy i tylko dwukrotnie wpłynęły weń przez grubościenną okno w zaporze, oddzielającej embrionator od górnej sterowni, ostre, gwałtowne błyski. Za pierwszym razem dotąd ślepy monitor kontrolny tarczy osłonowej łysnął zimną bielą i natychmiast zgasł. GOD, przebudzony w terasekundzie, wydał właściwy rozkaz. Prąd obrócił dźwignie, dziób statku otworzył się i rzygnął płomieniem tak, by nowa wystrzelona w przód tarcza zastąpiła rozbitą przez garść kosmicznego pyłu, która od pędu zderzenia obróciła ochronny dysk w rozżagwioną chmurę pękających atomów. "Hermes" przeleciał przez słoneczny fajerwerk, rozciągający się daleko za rufą i gnał dalej. Automat po kilku sekundach wyhamował niepożądane boczne drgania nowej tarczy, coraz wolniej mrugając pomarańczowymi kontrolkami bakburty i sterburty, jakby czarny kot porozumiewawczo i kojąco mrugał płowymi oczami do GODa. Potem znów wszystko zamarło na statku aż do ponownego trafienia w szczyptę meteorytowego czy kometowego pyłu i operacja odnowienia tarczy

osłonowej dokładnie się powtórzyła. Wreszcie trzepocące elektronami atomy zegarów cezowych dały oczekiwany znak. GOD nie musiał patrzeć na jakiegokolwiek wskaźniki, bo były jego zmysłami i odczytywał ich stan mózgiem, który z uwagi na trzycentymetrowe rozmiary dowcipnie "Eurydyki" zwali kurzym. GOD baczył na wskazania lumenowego nadzoru, by utrzymywać kurs przy redukcji ciągów. Silniki wygaszone i odwrócone poczęły hamować statek. I ten manewr powiódł się znakomicie: przewodnie gwiazdy ani drgnęły na fokatorach, obyło się więc bez poprawki zaprogramowanej trajektorii lotu. W założeniu redukcja przyświelnej chyżości do parabolicznej względem Dżety, więc do jakichś 80 km/sek na mikroparsek przed Junoną, najbardziej zewnętrzną planetą układu, wymagała prostego odwrócenia ciągu, aż sam wygaśnie od niedostatku wodorowego paliwa i przejścia na hamowanie hypergolami. GOD odebrał jednak w porę ostrzeżenia "Eurydyki" i nim wziął się do reanimacyjnych zabiegów, przeprogramował hamowanie. Zarówno blask dysz wodorohelowych, jak płomień samozapłonowych paliw były łatwo rozpoznawalne w ich technicznej, więc sztucznej charakterystyce, a GOD miał teraz za pierwszą regułę "mocno ograniczone zaufanie do Braci w Rozumie". Nie szperał w biblistyce, nie analizował zająć między Ablem i Kainem, lecz wygasił strumieniowo-przepływowe silniki w cieniu Junony i wykorzystał jej ciężenie dla redukcji pędu i zmiany kursu. Drugi glob gazowy Dżety posłużył mu do zejścia na prędkość paraboliczną i dopiero wtedy uruchomił reanimatory.

Równocześnie wysłał na zewnątrz zdalnie sterowane automaty, które nałożyły na dysze rufy i dziobu kamuflażową aparaturę w postaci elektromagnetycznych mikserów. Odtąd płomień ciągu rozmazały się: ich radiacja była spektralnie rozpraszana. Najbardziej delikatny etap hamowania odbył się w przedprożach układu za Junoną: GOD zaplanował go i wykonał zręcznie, jak przystało na komputer ultymatywnej generacji. Po prostu przeciął "Hermesem" najwyższe warstwy atmosfery gazowego olbrzyma. Przed statkiem powstała poduszka rozpalonej plazmy i wytracając w niej szybkość, GOD wymógł na klimatyzacji "Hermesa" wszystko, na co było ją stać, by temperatura w embrionatorze nie podniosła się więcej niż o dwa stopnie. Plazmowa poduszka zniszczyła w okamgnieniu osłonową tarczę, która i tak miała zostać odrzucona; zastąpiła ją tarcza innego typu, jako puklerz chroniący przed pyłem i kometowymi szczątkami wśród planetarnych orbit. "Hermes" oślepił się w ogniowym przejściu, lecz ostygł jeszcze w stożku cienia Junony i GOD sprawdził, że płomienne chmury, omal protuberancje, wywołane hamulcowym pasażem opadają zgodnie z prawami Newtona na ciężką planetę. Nie tylko obecność "Hermesa" zacierał, lecz jego ślady. Statek z wygaszonymi silnikami dryfował w dalekim afelium, kiedy w embrionatorze zapaliły się wszystkie światła, a główce medyków zawisły nad pojemnikami, gotowe do działania.

Podług programu miał się pierwszy obudzić Gerbert, by interweniować jako lekarz, jeśli się to okaże wskazane. Tu jednak kolejność procedury uległa zakłóceniu. Czynniki biologiczne pozostały mimo wszystko najsłabszym ogniwem tak złożonych operacji. Embrionator mieścił się na śródpokładziu i względem statku był mikroskopijną łupinką, otoczoną wielowarstwowymi pancerzami, przeciwpromienną otuliną izolacyjną o dwóch wyjściowych klapach, prowadzących do pomieszczeń mieszkalnych.

Centrum "Hermesa", zwane miasteczkiem, łączyło się szybami komunikacyjnymi ze sterownią, podzieloną na dwie kondygnacje. Między dziobowymi grodziami biegly pokłady z szeregiem laboratoriów, zdalnych do pracy zarówno w stanie nieważkości, jak pod grawitacją. Zasoby mocy mieściły się na rufie — w kontenerach anihilacyjnych, w niedostępnej dla ludzi sideralnej maszynowni i w komorach specjalnego przeznaczenia. Między zewnętrznym a wewnętrznym pancerzem rufy kryły się zespoły podwoziowe, gdyż statek był zdolny do lądowania na planetach i stawał wtedy na wysuniętych stawonogich dźwigarach. Lądowanie musiała poprzedzić próba wytrzymałości gruntu, gdyż na każdą z ogromnych łap rakiety przypadało 30000 ton jej ciężaru. W śródkręciu po sterburcie zmagazynowano sondy rekonesansowe i ich pomocnicze oprzyrządowanie, po bakburcie automaty obsługi wewnętrznej i szperacze zdolne do dalekiego samodzielnego zwiadu lotem lub marszem — nie brakło wśród nich też wielkochodów.

Kiedy GOD włączył układy reanimacyjne, na "Hermesie" panowała korzystna dla operacji nieważkość. Budzony w pierwszej kolejności Gerbert odzyskał normalne tętno i temperaturę ciała, ale się nie ocknął. GOD zbadał go sumiennie i zawahał się z podjęciem decyzji. Był skazany na samodzielność. Dokładniej mówiąc, nie wahał się, lecz zestawiał ze sobą rozmaite dystrybucje prawdopodobieństwa skutecznych zabiegów. Wynik anamnezy był dwumianowy. Mógł albo wziąć się do reanimacji dowódcy, Steergarda, albo wydobyć lekarza z embrionatora i przenieść go do salki operacyjnej. Postąpił jak człowiek rzucający w obliczu niewiadomych monetą. Gdy nie wiadomo, co lepsze, nie ma taktyki nad czysto losową. Randomizator wskazał dowódcę i GOD go usłuchał. Po dwu godzinach Steergard, jeszcze na wpół przytomny, usiadł w otwartym embrionatorze, rozdarłszy przejrzystą błonę, która obciskała jego nagie ciało. Rozejrzał się dokoła, szukając oczami tego, kto winien już był nad nim stać. Głośnik coś do niego mówił. Wiedział, że jest to głos mechaniczny, że coś się stało z Gerbertem, choć nie rozumiał dobrze powtarzanych w kółko słów. Chcąc wstać, uderzył głową w nie do końca odchyloną pokrywę embrionatora, co go na chwilę zamroczyło. Pierwszym dźwiękiem ludzkiej mowy w systemie Dżety było soczyste przekleństwo. Lepki, biały płyn ściekał Steergardowi z włosów przez czoło na twarz i piersi. Wyprostował się zbyt

raptownie i koziółkując ze zgiętymi kolanami przeleciał tunelem wzdłuż wszystkich pojemników z ludźmi aż do klapy w ścianie. Przywarł plecami do miękkiej wyściółki w kącie między nadprożem i stropem i otarłszy lepiący się do palców mleczny płyn z powiek, ogarnął spojrzeniem całe cylindryczne wnętrze embrionatora. W przerwie między sarkofagami o podniesionych pokrywach stały już otworem wejścia do łazienek. Wsłuchał się w głos maszyny. Gerbert jak inni żył, ale nie ocknął się po wyłączeniu umbilikatora. To nie mogło być nic poważnego: wszystkie encefalografy i elektrokardiografy pokazywały przewidzianą normę.

— Gdzie jesteśmy? — spytał.

— Za Junoną. Lot przebiegł bez zakłóceń. Czy mamy przenieść Gerberta do operacyjnej?

Steergard zastanowił się.

— Nie. Sam się nim zajmę. W jakim stanie jest statek?

— W pełnej sprawności.

— Czy odebrałeś jakieś radiogramy "Eurydyki"?

— Tak.

— Jaki stopień ważności?

— Pierwszy. Czy podać treść?

— O co chodzi?

— O zmianę procedury. Czy podać treść?

— Jak długie są te radiogramy?

— Trzy tysiące sześćset sześćdziesiąt wyrazów. Czy podać treść?

— Podaj w skrócie.

— Nie mogę streszczać niewiadomych.

— Ile niewiadomych?

— I to jest niewiadomą.

W toku tej wymiany zdań Steergard odbił się od stropu. Lecąc ku zielono-czerwonemu światłu nad kriotenerem Gerberta, zdążył ujrzeć się w lustrze łazienkowego przejścia: muskularny tors, lśniący onaksem, który wyciekał jeszcze kroplami z kikuta podwiązanej pępownicy, jak u ogromnego noworodka w popłuczynach płodowych.

— Co się stało? — spytał. Zaparłszy się bosymi nogami pod kontenerem lekarza, przyłożył mu rękę do piersi. Serce biło miarowo. Na wpółotwartych wargach śpiącego białł kleiście onaks.

— Podaj to, co pewne — powiedział. *Zarazem* wcisnął leżącemu kciuki za żuchwę,

zajrzał do gardła, wyczuł ciepło oddechu, wetknął mu palec między zęby i dotknął ostrożnie podniebienia. Gerbert drgnął i otworzył oczy. Były pełne łez, jasne i czyste jak woda. Steergard z milczącą satysfakcją stwierdził skuteczność tak prymitywnego cucenia. Gerbert nie zbudził się, bo zacisk na jego pępownie nie został całkowicie odłączony. Zakleszczył cewnik, który odskoczył, tryskając białym płynem. Pepek sam się zwarł. Oburącz ugniatał piersi leżącego, czując, jak lepią mu się do dłoni. Gerbert patrzył mu w twarz oczami otwartymi jak osłupiały w zdziwieniu.

— Wszystko w porządku — powiedział Steergard. Masowany zdawał się nie słyszeć.

— GOD!

— Słucham.

— Co zaszło? "Eurydyka" czy Kwinta?

— Zmiany na Kwincie.

— Podaj zbiór.

— Zbiór mętnych jest mętny.

— Mów, co wiesz.

— Przed zanurzeniem zaszły szybkozmienne skoki albeda, radioemisja osiągnęła trzysta gigawatów białego szumu. Na Księżycu drga biały punkt uznany za plazmę w magnetycznym uchwycie.

— Jakie zalecenia?

— Ostrożność i rekonesans w kamuflażu.

— A konkretnie?

— Działać podług własnego uznania.

— Odległość od Kwinty?

— Miliard trzysta milionów mil po prostej.

— Kamuflaż?

— Wykonałem.

— Mix?

— Tak.

— Zmieniłeś program?

— Tylko podejścia. Statek jest w cieniu Junony.

— Sprawność statku pełna?

— Pełna. Czy mam reanimować załogę?

— Nie. Obserwowałeś Kwintę?

— Nie. Wytraciłem kosmiczną w termosferze Junony.

— To dobrze. Teraz milcz i czekaj.

— Milczę i czekam.

Ciekawy początek — pomyślał Steergard, wciąż masując piersi lekarza.

Ten westchnął i poruszył się.

— Widzisz mnie? — spytał go nagi dowódca. — Nie mów. Mrugnij.

Gerbert zamrugał i uśmiechnął się. Steergarda oblał pot, ale wciąż go masował.

— *Diadochokynesis...!* — zaproponował Steergard.

Leżący zamknął oczy i niepewną ręką dotknął czubka swego nosa. Potem spojrzeli na siebie w uśmiechu. Lekarz zgiął kolana.

— Chcesz wstać? Nie spiesz się.

Nie odpowiadając, Gerbert ujął rękami brzeg swego łoża i dźwignął się. Zamiast usiąść, od impetu wzbił się w powietrze.

— Uważaj — zero g — przypomniał mu Steergard. — Pomału...

Gerbert rozglądał się po wnętrzu embrionatora, już przytomny.

— Jak tamci? — spytał, odgarniając włosy przylepione do czoła.

— Reanimacja w toku.

— Czy mam pomagać, doktorze Gerbert? — spytał GOD.

— Nie trzeba — rzucił lekarz. Sam po kolei sprawdzał kontrolne wskaźniki nad sarkofagami. Dotykał piersi, oglądał gałki oczu, badał odruchy spojówkowe. Doszedł go szum wody i ekshaustorów z łazienki. Steergard brał prysznic. Nim lekarz doszedł do ostatniego, Nakamury, dowódca już w szortach i czarnej koszulce trykotowej wrócił ze swojej kabiny.

— Jak ludzie? — spytał.

— Wszyscy zdrowi. U Rotmonta ślad arytmii.

— Zostań przy nich. Zajmę się pocztą...

— Są wiadomości?

— Sprzed pięciu lat.

— Dobre czy złe?

— Niezrozumiałe. Bar Horab zalecił zmianę programu. Coś dostrzegli na Kwincie przed zanurzeniem. I na Księżycu.

— Co to znaczy?

Steergard stał u wejścia. Lekarz pomagał wstać Rotmontowi. Trzej już się myli. Inni pływali wokół, poznawali się, przeglądali w lustrze, próbując mówić jeden przez drugiego.

— Daj mi znać, kiedy przyjdą do siebie. Czasu mamy dość. — Z tymi słowami

dowódca odepchnął się od klapy, przeleciał między nagimi jak pod wodą wśród białych ryb i znikł w przejściu do sterowni.

Po rozważeniu sytuacji Steergard wyprowadził statek nad płaszczyznę ekliptyki, opuściwszy stożek cienia najslabszym ciągiem, aby podjąć pierwsze obserwacje Kwinty. Widniała blisko Słońca jak sierp. Całą okrywały chmury. Jej szum nasilił się do czterystu gigawatów. Analizatory fourierowskie nie wykazywały żadnego typu modulacji. "Hermes" oblekł się już osłoną, pochłaniającą nietermiczne promieniowanie, aby nie można go było wykryć radiolokacją. Steergard wolał przesadzić w ostrożności, niż zgrzeszyć jakimkolwiek ryzykiem. Techniczna cywilizacja oznaczała astronomię, astronomia — czułe bolometry i tym samym nawet asteroid, cieplejszy od próżni, mógł zwrócić na siebie uwagę. Toteż do pary wodnej, użytej teraz dla manewrowania, domieszał nieco siarczków, w jakie obfitują sejsmiczne gazy. Co prawda czynne wulkanicznie asteroidy są rzadkością, zwłaszcza przy masie tak małej jak masa zwiadowcy, lecz roztropny dowódca wysłał w przestrzeń sondy i skierował je na siebie, aby się upewnić, że niezbędne dla dalszej korekcji lotu użycie silniczków parowych pozostanie prawie niedostrzegalne nawet przy zamierzonym schodzeniu ku Kwintcie. Chciał ją zająć od strony Księżyca, aby go dokładnie obejrzeć.

Wszyscy zebrali się już w bezgrawitacyjnej sterowni. Wyglądała jak wnętrze wielkiego globusa, ze stożkowatym uchyłkiem, zamkniętym ścianą monitorów, z fotelami pokrytymi szczepnym obiciem. Wystarczyło wziąć się za poręcze i docisnąć ciało do siedzenia, aby przylgnęło na dobre do owej tkaniny. Chcąc wstać, należało odepchnąć się jednym silnym ruchem. Było to prostsze i lepsze od pasów. Zasiedli więc w dziesięciu, jak w małej sali projekcyjnej, a czterdzieści monitorów ukazywało planetę, każdy w innym zakresie spektralnego widma. Największy centralny monitor mógł dokonywać syntezy monochromatycznych obrazów, nakładając je na siebie wedle poleceń. W rozrywach chmur, pozwijanych pasatami i cyklonami, niewyraźniały mocno poszczerbione zarysy oceanicznych brzegów. Kolejno filtrowany blask pozwalał raz widzieć powierzchnie obłocznego morza, a raz skrytą pod nim powierzchnię globu. Zarazem słuchali monotonnego wykładu, jakim raczył ich GOD. Powtarzał ostatni radiogram "Eurydyki". Biela dopuszczał uszkodzenia infrastruktury technicznej Kwintan wywołane sejsmicznie. Lakatos i kilku innych stało przy hipotezie mianowanej naturalistyczną. Mieszkańcy planety wyrzucili część wód oceanicznych w przestrzeń, aby zwiększyć powierzchnię lądową. Ciśnienie wywierane przez ocean na jego dno zmniejszyło się i wskutek tego uległa naruszeniu równowaga w litosferze. Idący od wnętrza napór wywołał wielkie pęknięcia skorupy, najcieńszej pod oceanem. Dlatego dalsze miotanie wód w Kosmos przerwano. Jednym słowem, podjęte działania dały katastrofalny

rykoszet. Podług innych opinii hipoteza jest błędna, jako że nie uwzględnia dalszych niezrozumiałych zjawisk. Ponadto istoty, zdolne do prac w planetarnej skali, przewidywałyby ich sejsmiczne skutki. Podług obliczeń, biorących za wyjściowy model Ziemię, kataklityczne ruchy litosfery mogłyby wywołać usunięcie co najmniej jednej czwartej objętości oceanu. Redukcja ciśnienia, spowodowana wyrzucaniem nawet sześciu trylionów ton wody, spustoszeń globalnych sprawić by nie zdołała. Kontrhipoteza przyjmuje katastrofę typu "łańcuchowo-dominowego" jako niepożądany efekt doświadczeń ze źle opanowaną grawitologią. Inne domniemania obejmowały zamierzoną destrukcję przestarzałej bazy technologicznej, rodzaj wyburzania, nierozmyślnie zakłócenie klimatu podczas miotania wód w przestrzeń lub cywilizacyjny chaos o nieznanym przyczynach. Żadna z hipotez nie potrafiła umiejscowić w sobie wszystkich dostrzeżonych zjawisk tak, by utworzyły spójną całość. Toteż radiogram wysłany przez Bar Horaba tuż przed wejściem w Hades uprawniał zwiadowców do całkowicie samodzielnych poczynań, z poniechaniem wszystkich ustalonych wariantów programu, jeśli uznają to za właściwe.

ŁOWY

W afelium Dżety, z dala od jej największych planet, Steergard wprowadził statek na eliptyczną orbitę, by astrofizycy mogli dokonać pierwszych obserwacji Kwinty. Jak zwykle w takich układach, wlokły się w próżni szczątki starych komet, odarte z gazowych ogonów i porozrywane na skrzepłe gązły wielokrotnymi przejściami przez poblizę Słońca. Wśród tych rozproszonych brył i zgęstków pyłu dostrzegł GOD z czterech tysięcy kilometrów obiekt niepodobny do meteoru. Dotknięty radiolokatorem, dał metaliczne odbicie. Nie mógł być bryłą magnetytową o dużej zawartości żelaza, nazbyt regularny kształtem. Przypominał ćmę o krótkim, grubym odwłoku z kikutami tępych skrzydeł. O cztery stopnie cieplejszy od zlodowaciałej skały, nie wirował, jak przystało na meteor czy odłam kometowego jądra, lecz biegł równo przed siebie, bez śladów napędu. GOD obejrzał go we wszystkich spektralnych pasmach, aż wykrył przyczynę jego stateczności: słaby wyciek argonu, strumień rozrzedzony i przez to ledwie widoczny. Mógł być sondą kosmiczną lub małym statkiem.

— Złapiemy tę ćmę — zdecydował Steergard.

“Hermes” ruszył więc trajektorią pościgową, a znalazłszy się ledwie milę za gonionym, wyrzucił pocisk o chwytnych dźwigniach. Pułapka otwarła szeroko szczęki tuż nad grzbietem osobliwej ćmy i chwyciła jej boki jak w imadło. Bezwładny twór zdawał się lecieć biernie w cęgach, lecz po chwili jego temperatura wzrosła i bijący w tył strumień gazu zgęstniał. Monitor, wskazujący dotąd zgodność programu łowów z ich przebiegiem, łysnął znakami zapytania.

— Włączyć energochłony? — spytał GOD.

— Nie — odparł Steergard. Patrzył na bolometr. Chwycony rozgrzał się do trzystu, czterystu, pięciuset stopni Kelvina, ale jego ciąg wzmógł się nieznacznie. Krzywa temperatury zadrgała i ugięła się. Upolowany stygł.

— Jaki napęd? — spytał dowódca. Wszyscy w sterowni milczeli, przerzucając wzrok z wizualnego monitora na boczne, pozaświatlnych emisji. Świecił tylko bolometryczny.

— Radioaktywność zero?

— Zero — upewnił dowódcę GOD. — Wyciek słabnie. Co robić?

— Nic. Czekać. Lecieli tak długo.

— Weźmiemy to na pokład? — spytał wreszcie El Salam. — Może najpierw prześwietlić?

— Szkoda fatygi. On już zdycha — ciąg mu spadł i ostygł. GOD, pokaż go z bliska.

Przez elektroniczne oczy chwytника ujrzeli czarną skorupę w ospie niezliczonych nadżerek.

— Abordaż? spytał GOD.

— Jeszcze nie. Stuknij go parę razy. Ale w miarę.

Spomiędzy długoramiennych cęgów wysunął się obło zakończony pręt. Metodycznie uderzał w trzymany kadłub, prószący łuskowatym popiołem.

— Może mieć nieudarowy detonator — zauważył Polassar. — Ja bym go jednak prześwietlił...

— Dobrze — zgodził się niespodzianie Steergard. — GOD, przespinoğrafuj go.

Dwie wrzecionowate sondy wystrzelone z dzioba dognały pękatą ćmę, by wziąć ją między siebie na właściwy dystans. Górne monitory sterowni ożyły, ukazując splecione smugi, pasma, cienie, a zarazem na brzegach ekranów wyskakiwały atomowe symbole: węgla, wodoru, krzemu, manganu, chromu, słupki te wydłużały się, aż Rotmont powiedział:

— To na nic. Trzeba to wziąć na pokład.

— Ryzykowne — mruknął Nakamura. — Lepiej zdemontować zdalnie.

— GQD? — spytał dowódca.

— Można. To zajmie pięć do dziesięciu godzin. Zacząć?

— Nie. Wyślij teletom. Niech mu rozetnie pancierz w najcieńszym miejscu i da obraz wnętrza.

— Rozwiertem?

— Tak.

Do otaczających zdobycz dołączyła się następna sonda. Diamentowy świder trafił na nie mniej twardą powłokę.

— Tylko laser — zdecydował GOD.

— Trudno. Minimalny impuls, żeby się w środku nic nie stopiło.

— Nie ręczę — odparł GOD. — Laserować?

— Delikatnie.

Wciągnięte wiertło znikło. W chropowatej powierzchni rozjarzył się biały punkt, a

kiedy dymna chmurka zrzędła, w wytopioną przestrzelinę wlała głowica teleobiektywu. Jej monitor wyświetlał osmolone rury, wchodzące w wypukłą płytę, a cały obraz drżał nieznacznie — i tu odezwał się GOD:

— Uwaga: podług spinografii w centrum obiektu znajdują się ekscytony, a cząstki wirtualne zgnioty konfiguracyjną przestrzeń Fermiego.

— Interpretacja? — spytał Steergard.

— Ciśnienie w ognisku ponad czterysta tysięcy atmosfer albo efekty kwantowe Holenbacha.

— Rodzaj bomby?

— Nie. Prawdopodobnie źródło mocy napędowej. Masą odrzutową był argon. Już się wyczerpał.

— Można to wziąć na pokład?

— Można. W bilansie energia całości równa się zeru.

Oprócz fizyków nikt nie rozumiał, co to znaczy.

— Bierzemy? — spytał dowódca Nakamurę.

— GOD wie lepiej — uśmiechnął się Japończyk. — A co ty powiesz?

Zagadnięty El Salam przytaknął. Trofeum zostało więc wciągnięte do próżniowej komory na dziobie i dla pewności otoczone energochłonami. Ledwie skończyli tę operację, GOD doniósł o innym odkryciu. Dostrzegł obiekt znacznie mniejszy od ujętego, okryty substancją pochłaniającą promienie radiolokatorów, a wykrył go przez spinowy rezonans budulca: było to pękate cygaro o masie jakichś pięciu ton. Znów poleciały orbity i rozżarzywszy izolacyjną otulinę, odarty z niej lśniąca metalem wrzeczono. Próby wzbudzenia jego reakcji spęzły na niczym. Był to trup: w boku ziała wytopiona dziura. Stan obrzeży świadczył o tym, że powstała niezbyt dawno. I tę zdobycz włączono na statek.

Tak więc łowy poszły łatwo. Kłopoty powstały dopiero przy oględzinach i sekcji dubeltowej zdobyczy.

Pierwszy wrak, przypominający w hali dwudziestotonowym cielskiem ogromnego żółwia, zdradzał chropowatą skorupą, nadzartą w bezliku zderzeń z mikrometeoritami i pyłem, chyba stuletni wiek. Jego orbita wybiegała w afelium poza ostatnie globy Dżety. Anatomia solidnie opancerzonego żółwia zaskoczyła prosektorów. Protokół składał się z dwóch części. W pierwszej Nakamura, Rotmont i El Salam dali zgodny opis urządzeń zbadanych w owym tworze, w drugiej ich opinie o przeznaczeniu tych urządzeń zasadniczo się różniły. Polassar, który też uczestniczył w badaniu, zakwestionował domysły obu fizyków. Protokół jest tyle wart, oświadczył, ile wykonany przez Pigmejów opis egipskiej piramidy.

Zgoda co do materiału budowlanego nie wyjaśnia w niczym jego przeznaczenia. Stary satelita miał szczególne źródło energii. Zawierał baterie piezoelektrytów, ładowane przez konwerty, z jakim fizycy nigdy się dotąd nie spotkali. Elektryty, sprasowane w wielokaskadowym imadle czysto mechanicznych wzmacniaczy ciśnienia, rozprężając się dawały prąd, porcjami dawkowanymi przez układ dławikowy z fazową impedancją, ale mogły też dać nagłe i pełne wyładowanie, gdyby sensory pancerza zwały krótko dławnicę. Wówczas cały prąd, obiegając dwuzwojową cewę, rozsadziłby ją w magnetycznej eksplozji. Między akumulatorami i obudową znajdowały się torby czy kieszenie, wypełnione żuzłem. Biegły tamtędy na wół szkliste żyły, o zmatowiałych lustrzanych wnętrzach, być może zerodowane światłowody. Nakamura przypuszczał, że ten wrak uległ niegdyś przegrzaniu, które nadtopiło mu część podzespołów i zniszczyło sensory. Rotmont uznał jednak zniszczenia za wywołane na zimno — katalitycznie. Jak gdyby jakieś mikroparazyty, bez wątpienia martwe, zżuły satelicie sieć jego połączeń w przedniej części. I to bardzo dawno. Wewnętrzną powierzchnię pancerza pokrywały kilkoma warstwami komórki, podobne nieco do pszczelich plastrów, lecz znacznie drobniejsze. Tylko chromatograficznie dało się w ich popiołach rozpoznać silikokwasy, krzemowy odpowiednik kwasów aminowych o podwójnym wiązaniu wodorowym. Tu właśnie opinie dyssektorów rozeszły się definitywnie. Polassar miał te ostatki za wewnętrzną izolację pancerza, natomiast Kirsting za układ pośredni między tkanką żywą i martwą — płód technobiologii o niewiadomym pochodzeniu i funkcjach.

Nad protokołami długo wrzała dyskusja. Ludzie "Hermesa" mieli przed sobą dowody świadczące o poziomie technologii Kwintan sprzed stu lat. Z grubsza biorąc, teoretyczne podstawy tej inżynierii dawały się przyrównać do ziemskiej wiedzy końca XX wieku. *Zarazem* intuicja raczej niż rzeczowe dowody sugerowała im, że główny kierunek rozwoju obcej fizyki już wtedy odchyłał się od ziemskiego. Nie może być ani syntetycznej wirusologii, ani technobiotyki bez uprzedniego opanowania mechaniki kwantowej, a ta z kolei, ledwie zaawansowana, wiedzie ku rozbiciu i syntezie jąder atomowych. W tej epoce najlepszym źródłem energii dla satelitów czy sond kosmicznego zasięgu są mikroosty atomowe. Tymczasem w satelicie nie było żadnych śladów radioaktywności. Czyżby Kwintanie przeskoczyli etap eksplozywnej i łańcuchowej nukleoniki, by się dostać od razu w etap następny — konwersji ciężenia w kwanty silnych oddziaływań? Temu przeczyła piezoelektrytowa bateria starego satelity. Gorzej było z drugim. Miał baterię ujemnej energii, powstającej przy podświetlnym ruchu w polach ciężenia wielkich planet. Jego pulsacyjny system napędowy uległ strzaskaniu przez to, co go celnie ugodziło — być może gigadzulowy strzał spójnego światła. Radioaktywności też nie ujawniał. Wewnętrzne rozporę tworzył

monomolekularny węgiel wiązkami włókien — niezłe osiągnięcie inżynierii ciała stałego. W nie zmiażdżonym przedziale za energetyczną komorą znaleźli rozpękłe rurki z nadprzewodliwymi związkami, urwane niestety tam, gdzie było coś najciekawszego, jak rozpaczał Polassar. Co tam mogło być? Fizycy szli już na domysły, jakich nie wazyliby się tknąć w bardziej przyziemnych okolicznościach. Może ten wrak zawierał wytwornik niestałych superciężkich jąder? Anomalonów? Po co? Jeśli był bezludnym laboratorium badawczym, miałoby to sens. Ale czy nim był? I dlaczego stopiony metal za miejscem trafienia przypominał jakiś archaiczny iskiernik? A nadprzewodliwy stop niobowy ujawniał w nie rozpękłych przewodach pustki, wyżarte przez endotermiczną katalizę. Jakby jakieś “erowirusy” zjawiły się tam prądem czy raczej nadprzewodnikami. Najosobliwsze stały się małe ogniska zniszczeń, wykryte w obu satelitach. Spustoszenia te nie mogły powstać od żadnego gwałtownego działania z zewnątrz. Najczęściej złącza przewodów uległy jakby rozgryzieniu i przeżuciu, tworząc różańcowe wnęki. Rotmont, wezwany na pomoc jako chemik, uznał je za wynik działania aktywnych wielkocząsteczkowych drobin. Udało mu się wyizolować ich sporo. Miały postać asynchronicznych kryształków i zachowały swą wybiórczą agresywność. Jedne atakowały wyłącznie nadprzewodniki. Pokazał kolegom pod mikroskopem elektronowym, jak te martwe pasożyty wgryzają się w nitki nadprzewodliwego związku niobu, które były ich pożywką, bo rozmnażały się kosztem trawionej substancji. Nie sądził, aby te “wiroidy”, jak je nazwał, mogły powstać w łonie satelity samoistnie. Przypuszczał, że aparatura została skażona wiroidami jeszcze w toku montażu. Po co? Dla eksperymentu? Ale w takim razie nie warto było wyrzucać satelitów w przestrzeń.

Nasuwało się więc wyobrażenie premedytowanego sabotażu podczas budowy tych urządzeń. Domysł co prawda mocno ryzykowny. W takim ujęciu krył się za tymi zjawiskami jakiś konflikt. Efekt zderzenia sprzecznych zamierzeń. Innym pachniała ta koncepcja antropocentrycznym szowinizmem. Czy nie mogła to na pewno być przypadłość aparatury na jej molekularnym poziomie? Coś w rodzaju raka martwych tworów o subtelnej i zawilej mikrostrukturze? Chemik wykluczał tę ewentualność dla pierwszego, starego satelity — zółwia, nazwanego w pogoni ćmą. Przy drugim nie mógł już tego uczynić z analogiczną pewnością. Choć nie pojmowali celu, dla jakiego skonstruowano oba kosmiczne wehikuly, inżynierski postęp, jaki zaszedł w czasie między budową pierwszego i drugiego, rzucał się w oczy. Mimo to “erowirusy” znalazły czułe miejsca jako strawę w obu satelitach. Wszedłszy na ten trop, chemik nie mógł i nie chciał go już porzucić. Mikroelektroniczne przebadanie wycinków, branych z obu złowionych urządzeń, poszło szybko, gdyż zajął się tym analizator pod kontrolą GODa. Gdyby nie takie przyspieszenie, i roku nie starczyłoby dla owej

nekrohistologii. Wynik opiewał: pewne elementy obu satelitów zdobyły swego rodzaju odporność na katalityczne trawienie i to w sposób tak wąsko zakreślony, że wolno by mówić o reakcjach immunologicznych przez analogię do żywych organizmów i zarazków. W imaginacji stawał im już obraz mikromilitarnej wojny, toczonej bez żołnierzy, dział, bomb, wojny, w której szczególnie precyzyjną tajną bronią są półkryształiczne pseudoenzymy. Jak to bywa przy uporczywych dociekaniach, zamiast upraszczać się, całościowy sens wykrytych zjawisk podlegał w miarę dalszej pracy komplikacjom.

Fizycy, chemik i Kirsting nie opuszczali już prawie głównego pokładowego laboratorium. Rozmnożyło się na martwych pożywkach kilkanaście typów "związków obrony" i "ataku". Zarazem jednak granica między tym, co było integralną częścią obcej techniki i tym, co w nią wtargnęło dla rujnowania, zatarła się. Kirsting zauważył, że to w ogóle nie jest granica w rozumieniu absolutnie obiektywnym. Powiedzmy, że na Ziemię przybywa nader mądry superkomputer, który nic nie wie o zjawiskach życia, bo jego elektroniczni praszczurowie zapomnieli już, że zbudowały ich jakieś biologiczne istoty. Obserwuje i bada człowieka, który ma katar i pałeczki okrężnicy w jelitach. Czy pobyt wirusów w nosie tego człowieka jest jego integralną, naturalną własnością, czy nie? Powiedzmy, że ten człowiek w trakcie badania przewróci się i nabije sobie guza na głowie. Guz jest podskórnym krwakiem. Uszkodziły się naczynia. Ale ten guz może też być uznany za rodzaj amortyzatora utworzonego dla lepszej ochrony kostnej czaszki przed następnym uderzeniem. Czy taka interpretacja jest niemożliwa? Brzmi nam śmiesznie, ale nie idzie o żarty, lecz o pozaludzkie stanowisko poznawcze.

Steergard, wysłuchawszy skłóconych ekspertów, pokiwał tylko głową i dał im dalszych pięć dni dla badań. Był to istny dopust. Ziemską technobiotyka szła od półwiecza zupełnie innymi drogami. Tak zwaną "nekoewolucję" uznano za nieopłacalną. Nie było nawet domniemań, że jakakolwiek "maszynowa gatunkotwórczość" kiedyś powstanie. Ale nikt nie mógł kategorycznie twierdzić, że na Kwincie nic takiego nie istnieje. Ostatecznie dowódca pytał już tylko, czy należy uznać hipotezę konfliktu wśród producentów kwintańskich za istotną przesłankę dalszego działania zwiadu? Lecz przy zaawansowaniu analiz, jakiego doszli, jego biegli nie chcieli mówić o żadnych pewnych przesłankach. Pewnik nie jest hipotezą ani hipoteza nie jest pewnikiem. Wiedzieli już dość, by pojąć, na jak chwiejnych wyjściowych założeniach wspiera się ich wiedza. Dodatkowym nieszczęściem był brak, także w młodszym wraku, układów łączności choć trochę podobnych do tego, co wywodliwe z teorii automatów skończonych i informatyki. Może wiroidy zeżarły te pseudonerwowe sieci doszczętnie? Lecz powinny by zostać po nich ślady. Szczątki. Może i

zostały, lecz nie umieli ich zidentyfikować. Czy z tranzystorowego liczydełka, puszczonego pod prasę hydrauliczną, można wyprowadzić teorię Shannona albo Maxwella? Ostatnia narada odbywała się w atmosferze wyjątkowego napięcia. Steergard zrezygnował z pozytywnych ustaleń. Pytał tylko, czy można uznać za nie istniejące poszlaki, że Kwintanie opanowali inżynierię sideralną? Uznał to za najważniejsze. Jeśli ktoś nawet domyślał się, czemu tak na to nastaje, milczał. "Hermes" leniwie dryfował w ciemnościach, a oni gmatwali się w gąszczu niewiadomych. Piloci — Harrach i Tempe — milczkiem przysłuchiwali się obradom. Również lekarze nie zabierali głosu. Arago porzucił strój zakonny i w rozmowach — tak się jakoś stało, że siadywali we czterech na górnej kondygnacji, nad sterownią — nigdy nie wspomniał w swoich słowach "a jeśli tam panuje zło?" Kiedy Gerbert powiedział, że oczekiwania zawsze przegrywają w zetknięciu z rzeczywistością, Arago zaprzeczył. Ileż przeszkód pokonali dotąd, które ich przodkowie mieli w dwudziestym wieku za niepokonywalne. Jak gładko minęła podróż, bez poniesienia strat przebyli lata świetlne, "Eurydyka" weszła nieomylnie w Hades, a oni sami dotarli w głąb gwiazdozbioru Harpii i od zamieszkaney planety dzieliły ich godziny czy dni.

— Ojciec robi nam psychoterapię — uśmiechnął się Gerbert. On jednak zwał tak nadal dominikanina — trudno by mu przyszło mówić doń "kolego".

— Mówię prawdę — nic więcej. Nie wiem, co z nami będzie. Taka niewiedza jest naszym przyrodzonym stanem.

— Wiem, co ojciec myśli — wypalił impulsywnie Gerbert. — Że Stwórca nie życzył sobie takich wypraw — takich spotkań — takiego "obcowania cywilizacji" — i dlatego rozdzielił je otchłaniami. A myśmy nie tylko zrobili z rajskiego jabłka kompot, ale piłujemy już Drzewo Wiadości...

— Jeśli chce pan poznać moje myśli —jestem do usług. Sądzę, że Stwórca w niczym nas nie ograniczył. A przy tym nie wiadomo, co wyrosnie z przeszczepów Drzewa Wiadości...

Piloci nie mogli usłyszeć dalszego ciągu dyskusji teologicznej, bo wezwał ich dowódca: brał kurs na Kwintę. Po przedstawieniu nawigacyjnej trajektorii dodał:

— Na pokładzie panuje nastrój, którego się nie spodziewałem. Bujność wyobraźni powinna mieć granice. Jak wiecie, mówi się wciąż o niezrozumiałych konfliktach, mikromachinach, nanobalistyce, walce ale przecież to jest balast uprzedzeń, który najłatwiej zaślepia. Jeżeli mamy się trząść od sekcji paru wraków, to wpadniemy w dezorientację i każde pociągnięcie wyda się szaleńczym hazardem. Powiedziałem to naukowcom, dlatego mówię i wam. A teraz szerokiej drogi. Do Septimy możecie trzymać kurs przez GODa. Potem

chcę was mieć przy sterach — zmianowość ustalcie między sobą sami.

Statek dał już ciąg i wróciło, choć słabe, ciążenie. Harrach poszedł z Tempem po starą książkę, wziętą z "Eurydyki". Kiedy się rozstawali w drzwiach kajuty, Harrach, górujący wzrostem, pochyliwszy się, jakby miał wyjawić jakąś tajemnicę, rzekł:

— Wiedział Bar Horab, kogo postawić na "Hermesie". Co? Znałeś lepszych?

— Może znałem. Nie lepszych. Takich jak on.

KSIĘŻYC

Planetę otaczał pierścień lodowych brył płaszczyzną olbrzymią, lecz niestateczną. Obliczenia dokonane przez Lakatosa i Biele tuż przed zanurzeniem "Eurydyki" okazały się trafne. Rozdzielony jedną wielką i trzema mniejszymi szczelinami, wskutek perturbacji powodowanych ciężeniem Kwinty, nie mógł trwać dłużej niż tysiąc lat, bo zarazem powiększał średnicę i tracił masę. Zewnętrzne obrzeże poszerzyły siły centryfugalne, wewnętrzne obracało tarcie o atmosferę w topniejące okruchy i parę, a tym samym część wód, niewiadomą metodą wyrzuconych w przestrzeń, wracała na planetę nieustannymi opadami deszczu. Trudno było uznać, że Kwintanie rozmyślnie sprawili sobie isticie potopowy pluwiak. Pierścień zawierał pierwotnie trzy lub cztery tryliony ton lodów i tracił rokrocznie wiele ich miliardów. Tkwiła w tym seria zagadek. Pierścień zakłócał klimat całej planety. Prócz ulewnych deszczów jego potężny cień kładł się w okołosłonecznym obrocie raz na północną, a raz na południową półkulę. Odbijał światło słoneczne, nie tylko obniżając przeciętną temperaturę, bo ponadto zaburzał cyrkulację pasatów w atmosferze. Graniczne obszary po obu stronach rzucanego cienia roiły się od burz i cyklonów.

Jeśli mieszkańcy obniżyli poziom oceanów, dysponowali chyba dostateczną energią, aby nadać wodospadom, czy raczej wodolotom, drugą prędkość kosmiczną i tym samym wymieść masy lodowe poza poblizsze globu, żeby roztopione w Słońcu ulotniły się bez śladu lub jako lodowe meteory przepadły wśród asteroidów.

Niedostatek mocy powstrzymałby projektantów od niezdarnego dzieła. Prognoza krachu była elementarnie łatwym zadaniem. Więc nie omyłka planetarnej inżynierii, lecz coś innego wstrzymało rozpoczęte przed wielu laty działania. Taki wniosek zdawał się nieuchronny. Pierścień, płaska tarcza z dziurą o piętnastu tysiącach kilometrów średnicy, w której tkwiła przepasana planeta, składał się w pasmach pośrednich z lodowych brył, a na zewnętrznych krawędziach z drobnymi kryształkami lodu, spolaryzowanych, co też musiało być rezultatem umyślnej interwencji. Jednym słowem, przy powstawaniu podlegał

zwiadowcom jego ruchu i postaci. Został wystawiony w płaszczyznę równika, jako stacjonarna, lecz po stronie wewnętrznej, zawieszony nad równikiem, stawał się chaotyczną miazgą. W całości wyglądał jak kosmiczna budowla porzucona w toku robót. Dlaczego?

Z oceanów wznosiły się dwa wielkie kontynenty i jeden mniejszy, o trzykrotnej powierzchni Australii, lecz u północnego koła podbiegunowego, przez co zwiadowcy nazwali go Norstralią. Infralokatory wykryły na kontynentach niesejsmiczne, cieplejsze miejsca, więc chyba ciepłe wydaliny wielkich siłowni. Nie były to ani centrale ciepłe, użytkujące kopaliny w rodzaju ropy lub węgla, ani paliwo nuklearnego typu. Pierwsze zdradziłyby się odchodami, zanieczyszczającymi powietrze, drugie dałyby radioaktywne popioły. Jak wiadomo, we wczesnej fazie jądrowej energetyki Ziemia miała największe kłopoty z ich bezpiecznym usuwaniem. Lecz dla techników, zdolnych wyrzucić z grawitacyjnego leja część oceanów, wyrzucenie radioaktywnych spalin byłoby fraszką. A jednak lody pierścienia nie wykazały śladu radioaktywności. Albo Kwintanie uprawiali inną postać energetyki nuklearnej, albo mieli zupełnie odmienną energetykę. Jaka?

Za planetą ciągnął się gazowy ogon, przepojony obficie parą wodną, pochodzącą głównie z pierścienia. "Hermes", zawisnąwszy na stacjonarnej orbicie za Sekstą, podobną do Marsa, lecz większą od niego, o gęstej atmosferze, zatrutej nieustannymi wyziewami wulkanów i gazowymi związkami cyjanu, wysłał jako obserwatoria Kwinty sześć orbiterów, które przekazywały bezustannie wyniki postrzeżeń. GOD układał z nich szczegółowy wizerunek Kwinty. Najdziwniejszy był jej szum radiowy. Co najmniej kilkaset silnych nadajników pracowało na wielkich lądach, bez objawów modulacji fazowej lub częstotliwościowej. Ich emisja była chaotycznym białym szumem. Anteny dało się dokładnie zlokalizować jako emitujące kierunkowo lub izotropowe, jakby Kwintanie postanowili zaczopować sobie wszystkie kanały elektromagnetycznej łączności od fal najkrótszych po kilometrowe. Mogli mieć łączność tylko przewodową — ale do czego służył im ów szum, kosztujący gigawaty? Jeszcze dziwniejsze — bo "dziwności" planety rosły w miarę postępów obserwacyjnych — okazały się sztuczne satelity. Naliczono ich omal milion, na wysokich i niskich orbitach, zarówno prawie kołowych, jak eliptycznych o afeliach sięgających daleko poza Księżyc. Sondy "Hermesa" notowały też satelity we własnym pobliżu, a kilka ledwie o osiem do dziesięciu milionów kilometrów. Te satelity różniły się znacznie rozmiarami i masą. Największe były prawdopodobnie puste, rodzaj wydętych w próżni nie sterowanych balonów. Część zapadła się od wycieku gazów. Raz na kilka dni któryś z martwych satelitów zderzał się z lodowym pierścieniem, dając efektowne widowisko błyskań we wszystkich barwach tęczy, gdyż promienie Słońca rozszczepiały się w chmurach kryształów lodu. Tak powstały

obłok rozwiewał się z wolna w przestrzeni. Natomiast satelity objawiające aktywność, już to dlatego, że poruszały się po wymuszonych orbitach, wymagających ciągłej korekcji kursu, już to zmieniające kształty w niepojęty sposób, niby ogromne zwoje folii metalicznej, nigdy się z pierścieniem Kwinty nie zderzały. Holograficznie sporządzona trójwymiarowa mapa satelitów wyglądała na pierwszy rzut oka jak olbrzymi rój pszczoł, szerszeni i mikroskopijnych muszek, wirujący wokół planety. To wielowarstwowe rojowisko nie znajdowało się w chaotycznym rozproszeniu. Od razu dały się dostrzec w nim proste regularności — satelity na bliskich orbitach szły często parami lub trójkami, a inne, zwłaszcza przy okręgu stacjonarnym, na którym każde ciało jest współbieżne z powierzchnią globu, chodziły kusłonecznie i odsłonecznie jak w figurach tańca.

W miarę napływu lokalizacyjnych pomiarów GOD utworzył system koordynant, rodzaj sferycznego systemu wykresów. Odróżnienie satelitów "martwych" od "żywych", czyli dryfujących biernie od sterowanych bądź samosterownych, przedstawiało twarde do zgryzienia orzech, jako problem wielu mikroskopijnych mas, poruszających się w polu ciężenia wielkich mas Kwinty, jej Księżyca i Słońca. Wreszcie wyostrzana obserwacja wykryła niezliczone miriady raketowych i satelitarnych szczątków, które często spadały na Słońce. Niektóre z nich miały postać toroidów, więc obrączkową, i z tych sterzały nitkowate kolce — przy czym największe, w pół drogi między planetą i jej Księżycem, wyjawiały pewną aktywność. Kolce były dipolowymi antenami i ich emisję odfiltrowaną od szumowego tła planety dało się wyosobnić jako szum w najkrótszych pozaradiowych falach. Część tego szumu przypadała na twarde promieniowanie rentgenowskie, niezdolne dotrzeć do powierzchni Kwinty, gdyż pochłaniała je jej atmosfera. Codziennie do zbioru zyskanych wiadomości dołączał GOD nową porcję i kiedy Nakamura, Polassar, Rotmond i Steergard łamali sobie głowy nad rebusem, złożonym z rebusów, piloci nie wtrącając się do naukowych roztrząsań mieli już własne zdanie: zawarte w zwięzłym powiedzonku, że Kwinta jest planetą inżynierów obłąkanych jakąś manią, a soczyściej, że SETI włożył miliardy i natrudził się, żeby znaleźć cywilizację wariatkę. Lecz i oni wyczuli w tym szaleństwie metodę. Napraszał się obraz "radiowej wojny", doprowadzonej do całkowitego absurdu: nikt już niczego nie nadaje, gdyż każda strona zagłusza inne.

Fizycy usiłowali wesprzeć GODa hipotezami zwróconymi w antypody człowieczeństwa. Może mieszkańcy Kwinty różnią się od ludzi anatomią i fizjologią w tak zasadniczy sposób, że obraz i mowę zastępują im inne, nieakustyczne, pozawizualne zmysły czy kody? Może taktylne? węchowe? związane percepcyjnie z ciężeniem? Może szum to przesył energii, a nie informacji? Może informacja biegnie falowodami w strumieniach

niewykrywalnych astrofizycznie? Może, zamiast nadal filtrować na wsze sposoby ten pozornie bezsensowny elektromagnetyczny ryk, należy dokonać zasadniczej rewizji całego analitycznego programu? GOD odpowiadał ze zwykłą bezduszną cierpliwością. Wiedząc sporo o ludzkich emocjach, sam nie znał żadnych.

Jeśli to jest przesył energii, muszą istnieć układy odbiorcze i dawać pewne minimum ucieków, czyli strat, ponieważ wydajny stuprocentowo jest niemożliwy. Lecz na planecie nie widać żadnych odbiorczych urządzeń proporcjonalnych do nadawanej mocy. Jej część, zdolna przebijać atmosferę, zmierza do wielu orbiterów. Lecz inne nadajniki i inne orbityerzy zagłuszają tamto celowe promieniowanie, i to w doskonały sposób. Zachodzi coś takiego, jakby ogromny tłum ludzi chciał z sobą rozmawiać, przy czym wszyscy mówią naraz, i to krzyżąc coraz głośniej. Na koniec, jeśli nawet każdy z mówców jest mędrcom, wypadkowa utworzy chóralny dziki wrzask.

Po wtóre, jeśli jakiegokolwiek pasma służą łączności, mogą przy całkowitym wypełnieniu kanałów przesyłowych wyglądać jak biały szum, ale kwintański szum ujawnia ciekawą charakterystykę. To nie jest "absolutny chaos". Jest to raczej wypadkowa przeciwbieżnych emisji. Długość fali utrzymuje każdy nadajnik nader precyzyjnie. Inne nadajniki zagłuszają go albo wyciszają przez odwrócenie nadawczej amplitudy w fazie. GOD unaoczniał im ów stan elektromagnetycznych rzeczy, przesunawszy widma radiowe w strefę optyczną. Białą, spokojną pełnię planety zastąpił obraz różnobarwnych drgań. Kiedy GOD nadał koherentnym emitom barwę zieloną, przekaźnikom białą, a "kontremitorom" purpurową, tarcza Kwinty popstrzyła się zmaganiem barw. Rozlewająca się purpura ogarniała retranslatory, różowiąc ich biel, a zarazem wpływała tam zieleń; powstawała rozmazująca się pajęczyna kolorów; chwilami jeden z nich pikował i natychmiast ulegał zatarciu.

Tymczasem przybyły informacje od sond skierowanych na zdalny rekonesans Księżyca Kwinty. Z pięciu dwie przepadły nie wiadomo jak, gdyż znikły w periselenium, niewidocznym z "Hermesa". Steergard udzielił za tę nieostrożność nagany Harrachowi, który nie posłał w ślad za patrolem odvodu, umożliwiającego ciągły nadzór także w przestrzeni zaksiężycowej. Trzy sondy obleciały jednak trabanta planety, a nie mogąc przebić sygnalizacji przez szumowy gąszcz, nadawały zdobyte zdjęcia laserowym kodem. Informacja została pierwiej tak stłoczona, że tysiąc bitów zawierał jeden impuls w nanosekundzie. Po niepełnej minucie tej emisji GOD doniósł, że z aposelenium ruszyły ku patrolowcom trzy kwintańskie orbityerzy, dotąd nie dostrzeżone jako zbyt drobne. Wykrył je od ciepła uruchomionych silników wraz z rozwijającym przyspieszeniem podług efektu Dopplera. Nic nie wskazywało na to, by nakaz przechwycenia patrolowców został wysłany z planety. Nie starczyłoby raczej

na to czasu. Gorące punkty szły już na czołowe spotkanie. Dowódca kazał go unikać. Trójkowy patrol wyrzucił więc atrapy, plując przed siebie mnóstwem metalowej folii i balonów. Ponieważ nie zmyliły przechwytywaczy, patrol wystrzelił obłok sodu i wtrysnął weń tlen. Powstała ognista chmura. Ledwie znikły w niej kwintańskie rakiety, patrolowce wychyły z pałającego obłoku spiralą i zamiast lecieć ku statkowi, zderzyły się straceńcze, by prysnąć w kurz. Steergard ściągnął na pokład wszystkie sondy obserwacyjne z ich stanowisk orbitalnych, a GOD wyświetlał już rezultaty rekonesansu. Na odwrotnej półkuli Księżyca, rozrytej kraterami i pustynnej, chodził tam i na powrót ognik o widmie plazmy jądrowej tak szybko, że gdyby go nie powstrzymywało należycie skupione pole magnetyczne, wyleciałby w przestrzeń i natychmiast w niej zgasł. Co właściwie wędrowało tam wahadłowo między dwoma starymi kraterami — z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na sekundę? Czym był ów błędny płomyk? GOD zapewniał, że planeta nie wykryła "Hermesa", więc go nie śledzi. Nic na to nie wskazywało. Notował ciągły szum, przewyciężające go trzaski, wywoływane wejściem satelitów w atmosferę oraz ich zderzenia z lodową tarczą, ponieważ używał atmosfery Seksty jako soczewki dla radioskopów.

Opinie o tym, co robić dalej, podzieliły się. Nie chcieli powiadomić Kwintan o swoim przybyciu. Kamuflaż miał trwać, póki nie pojmą choć jednej z bezliku zagadek. Rozważali, czy wysłać bezludny ładownik na drugą stronę Księżyca, czy raczej sięść na niej statkiem. O szansach alternatywy GOD wiedział tyleż, co ludzie: na dobrą sprawę nic. Podług auskultacji wykonanej przez patrol, Księżyc zdawał się bezludny, choć miał atmosferę. Półtorakrotnie masywniejszy od ziemskiego, nie mógł jej utrzymać. Do tego jej skład okazał się następną łamigłówką: gazy szlachetne — argon, krypton i ksenon z przymieszką helu. Bez sztucznego zasilania atmosfera ta ulotniłaby się w ciągu kilkuset lat.

O pracach technicznych świadczył jeszcze dobitniej ognik plazmy. Księżyc milczał jednak, nie miał też magnetycznego pola, i Steergard zdecydował się na lądowanie. Jeśli były tam jakieś istoty, to tylko w podziemiach, głęboko pod skalną skorupą, podziurawioną kraterami i kalderami. Zastygłe morza lawy lśniły koliskiem smug, rozbiegających się przybiegunowo od największego krateru. Steergard postanowił lądować, uczyniwszy wpierw "Hermesa" kometą. Kadłubowe kingstony, rozwarte wzdłuż burt, zaczęły toczyć ze zbiorników pianę, która, rozdmuchiwana zastrzykami gazu, otoczyła cały okręt wielkim kokonem nieregularnie skrzepłych bąbli. "Hermes" tkwił jak pestka w owocu w gąbczastej masie pęcherzy. Nawet z bliska wyglądał jak wydłużony odłam skalny pokryty lejami kraterów. Resztki rozpękłych bąbli upodobiły tę skorupę do asteroidu, bombardowanego od wieków przez obłoki pyłu i meteory. Niezbędny ciąg miał się upodobnić do ogona komety,

który w miarę jej biegu do perihelium odchyła się z orbity odslonecznie. Tę iluzję wykonywały deflektory ciągu. Dokładna spektralna analiza wykryłaby co prawda impuls i skład gazów, nie spotykany u komet. Ale takiej ewentualności nie można było uniknąć. "Hermes" przeszedł z hyperboliczną prędkością od Seksty ku orbicie Kwinty — w końcu zdarzają się, choć rzadko, tak chyże, bo pozaukładowe komety — i po dwu tygodniach żeglugi wyhamowawszy za Księżycem pęd, wysłał na zewnątrz manipulatory z telewizyjnymi oczami. Złudzenie starej, poszczerbionej skały było znakomite — dopiero pod energicznym uderzeniem rzekome głady gięły się elastycznie jak balon. Samego lądowania nie dało się zamaskować; wchodząc rufą w atmosferę Księżyca, "Hermes" ogniem przepalił osłonę dysz, reszty dokonało atmosferyczne tarcie. Zdarło rozpaloną maskownicę i nagi pancerny kolos tłocząc pod sobą płomienie stanął sześciorgiem rozkraczonych łap na gruncie, sprawdziwszy uprzednio jego wytrzymałość serią wystrzelonych pocisków. Przez dobrą chwilę sypał się wokół statku deszcz spalonej osłony. Gdy ustał, obejrzeni całe otoczenie po horyzonty. Od plazmowego wahadła dzielił ich wybrzuszony brzeg wielkiego krateru. Przy panującym ciśnieniu czterystu hektopaskali można było użyć śmigłowców dla lotniczego zwiadu — i to jawnie. Zaczynała się gra o nie znanych dotąd regułach, choć o znaną stawkę. Śmigłowców, rozesłanych ósemką w tysięcznym kolisku, nic nie tknęło. Z ich zdjęć powstała mapa ogarniająca osiem tysięcy kilometrów kwadratowych wokół punktu lądowania. Mapa typowego, bezpowietrznego globu, z chaotycznym rozrzutem kraterowych lejów, częściowo wypełnionych tufem wulkanicznym. Tylko na północowschodzie magnetowidy utrwaliły ogniową kulę w ruchu. Mknęła nad skalnym gruntem, roztopionym wzdłuż jej przebiegu w płytki, gorący wąwóz. Obszar ten ponownie spenetrowały helikoptery, by dokonać pomiarów i spektralnych analiz w locie i po lądowaniu. Jeden rozmyślnie zbliżono do słonecznej kuli. Nim spłonął, podał dokładnie jej temperaturę i moc promienistą rzędu teradzula. Zasilało ją i prowadziło zmienne pole magnetyczne. Osiągało 10^{10} gausów.

Steergard, po głębokich sondowaniach magnetycznego podłoża wąwozu, dał GODowi sporządzić schemat wykrytej tam sieci z węzłami, od których szły wbite głęboko pod litosferę liczne pionowe szyby, i nie okazał się zbyt zaskoczony diagnozą. Przeznaczenie olbrzymiej instalacji było niejasne. Nie ulegało jednak wątpliwości, że roboty porzucono w pełnym toku, a wszystkie wiodące do chodników i szybów wejścia zamknięto czy raczej zasypano wybuchowymi ładunkami, wrzuciwszy pierwiej w głąb tuneli i studni ciężki sprzęt maszynowy. Plazmatyczne mikrośłońce żywiły przetwornice termoelektryczne systemem magnetowodów, pobierając energię z głębin atmosfery — około 50 kilometrów pod zewnętrznym płaszczem księżycowej skorupy.

Wysłał wprawdzie na ów teren ciężkie wszędochody dla dokładniejszych badań i doczekał się ich powrotu, lecz zarządził rychły start. Fizycy, zafascynowani rozmiarami podksiężycowego kompleksu energetycznego, radzi byli zostać dłużej i może nawet otworzyć zagwożdżone tunele. Steergard odmówił. Niezrozumiał był stan złowionych satelitów, niezrozumiała budowa, wszczęta na pustkowiu z takim rozmachem, niezrozumiałe jeszcze bardziej — jeśli ignorancja podlega stopniowaniu — rzucenie tych prac; niczym w popłochu ewakuacji — czego im nie powiedział. Myśl, która mu świtała, pozostawił dla siebie.

Szczegółowe badanie obcej technologii jest daremne. Jej fragmenty, jak okruchyrozbitego lustra, nie dają spójnego obrazu. Są niewyraźnym skutkiem tego, co je rozbiło.

Dylemat nie tkwił w narzędziach tej cywilizacji, lecz w niej samej. Kiedy myśląc o tym czuł cały ciężar powierzonego mu zadania, Arago zapytał przez interkom, czy może go odwiedzić.

— Na krótką rozmowę tak: startujemy za niespełna godzinę — odpowiedział, choć nie życzył sobie tej rozmowy. Arago zjawił się natychmiast.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam,..

— Wasza wielbność przeszkadza mi, owszem — odparł nie wstając i wskazał duchownemu fotel. — Jednak ze względu na charakter... misji, słucham.

— Nie mam żadnych wyjątkowych uprawnień ani misji. Zostałem skierowany na moje miejsce tak samo, jak pan na swoje — odparł spokojnie dominikanin. — Z jedną różnicą. Od moich decyzji nie zależy nic. Od pańskich wszystko.

— Wiem o tym.

— Mieszkańcy tej planety są jak żywy organizm, który można dowolnie badać, ale nie można zadać mu pytania o sens jego egzystencji.

— Meduza nie odpowie, ale człowiek? Steergard spojrział na niego z czymś więcej niż zainteresowaniem. Jakby oczekiwał ważnej odpowiedzi.

— Człowiek tak, ale nie ludzkość. Meduzy nie odpowiadają za nic. Każdy z nas odpowiada za to, co czyni.

— Domyślam się intencji tych słów. Wasza wielbność chce wiedzieć, co postanowiłem.

— Tak.

— Zdejmiemy przyłbicę.

— Żądając porozumienia?

— Tak.

— A jeśli nie mogą spełnić tego żądania?

Steergard wstał poruszony — Arago przeniknął go, w tym, co skrywał. Stojąc tak blisko zakonnika, że dotykał prawie jego kolan, cicho spytał:

— Więc co robić?

— Arago podniósł się, wyprostował, sięgnął po jego prawicę i uścisnął ją.

— To jest w dobrej ręce — powiedział i wyszedł.

ZWIASTOWANIE

Po starcie dowódca skierował statek ponownie obleczony w maskę na stacjonarną orbitę Księżyca nad półkulą niewidzialną z Kwinty i kolejno wzywał do siebie towarzyszy, by każdy wyjawiał mu, jak pojmuje sytuację oraz co uczyniłby na jego miejscu. Rozrzut domniemań okazał się ogromny. Nakamura trzymał się hipotezy kosmicznej. Poziom kwintańskiej technologii zakłada rozwijaną od dawna astronomię. Dzeta ze swymi planetami biegnie przez międzyramienne rozszerzenie spirali galaktycznej i za jakieś pięć tysięcy lat zbliży się niebezpiecznie do Hadesu. Dokładnie ustalić krytycznego zbliżenia nie można, ponieważ idzie o nierozwiązywalny problem wzajemnego oddziaływania wielu mas. Niekatastrofalny pasaż obok kollapsara jest jednak mało prawdopodobny. Zagrożona cywilizacja próbuje się ratować. Powstają więc rozmaite projekty: przesiedlenia na Księżyc, obrócenia go w sterowną planetę i przenosin w układ Ety Harpii, jako odległy tylko o cztery lata świetlne, a co najistotniejsze — oddalający się od kollapsara. Podczas wstępnej fazy realizowania tego projektu zasoby wiedzy i energii okazują się niedostateczne. Może też być, że jedna część cywilizacji, jeden blok państw, jest za projektem, a drugi mu się sprzeciwia. Jak wiadomo, rzadko kiedy eksperci z różnych dziedzin dochodzą pełnej zgody wobec szczególnie skomplikowanego i trudnego zadania. Zjawia się inny projekt — emigracji, czy też ucieczki astronautycznej. Koncepcja ta wywołuje kryzys: ludność Kwinty można zapewne liczyć w miliardy i okrętowych stoczni nie stać na budowę floty zdolnej urzeczywistnić *Exodus* wszystkich z kolebki planetarnej. Jeśli użyć ziemskiej analogii, poszczególne państwa różnią się znacznie potencjałem przemysłowym. Czołówka buduje kosmiczną flotę dla siebie* i zarazem porzuca front księżycowych robót. Być może ci, którzy pracują w stoczniach, w przeświadczeniu, że ratunkowe statki nie są przeznaczone dla nich, uciekają się do aktów sabotażu. Być może, wywołuje to represje, rozruchy, anarchiczne zapaście i propagandową walkę radiową. Przez to i ów projekt staje we wstępnym etapie, a bezlik błędzących po układzie satelitów stanowi jego poronione ślady. Jakkolwiek ta ocena stanu

rzeczy jest mocno hipotetyczna, nie ma zerowej wartości. Toteż trzeba wejść z Kwintą w rychłe porozumienie. Inżynieria sideralna, przekazana mieszkańcom Kwinty, może ich zbawić.

Polassar, który znał koncepcję Japończyka, widział w niej fakty tak przeinaczone i naciągane, by wsparły założenie — planetarnego pochodzenia. Inżynieria sideralna nie pojawia się jak grom z jasnego nieba. Moc, wykorzystana przez astonosferyczną instalację na Księżycu, jest o trzy rzędy wielkości oddalona od mocy udostępniającej grawitologię i jej przemysłowe wdrożenie. Poza tym nic nie wskazuje na to, by Kwintanie mogli uznać system Ety za gościnny. Eta wejdzie po kilku milionach lat w końcowe spalanie swego wodoru. Tym samym stanie się czerwonym olbrzymem. A wreszcie Nakamura tak poprzesuwał dane ruchu całej Harpii i Hadesa w przedziale nieoznaczności grawitacyjnej, że uczynił krytyczne przejście Dżety przez poblizsze kollapsara prawdopodobnym już za pięćdziesiąt stuleci. Jeżeli uwzględnić perturbacje, wywoływane przez ramię spiralne Galaktyki, pasaż ulega opóźnieniu do dwudziestu kilku tysięcy lat. Wiadomość, że będzie kiepsko za dwieście pięćdziesiąt wieków, może wprowadzić w panikę tylko istoty bezrozumne. Nauka w powiciu, jak ziemską w dziewiętnastym wieku, może uznawać swoje postępy za bliskie kresu. Nauka dojrzała, choć nie zna przyszłych odkryć, wie, że rosną w postępie wykładniczym i w parę lat zdobywa się wtedy znacznie więcej wiadomości niż uprzednio w tysiącletniach. Nie wiadomo, co zachodzi na Kwincie, lecz kontakt należy z nią nawiązać — choć to ryzykowne. *A zarazem konieczne.*

Kirsting uważał, że “wszystko jest możliwe”. Wysoka technologia nie wyklucza wierzeń religijnego typu. Piramidy Egipcjan i Azteków tak samo nie wyjawiałyby gościom z innych światów swego przeznaczenia, jak gotyckie katedry. Księżycowe znaleziska mogą być dziełem jakiejś wiary. Kult Słońca — i to sztucznego. Ołtarz z jądrowej plazmy. Przedmiot idolatryczny. Symbol potęgi czy władztwa nad materią. A zarazem schizmy, apostazje, kacerstwo, wyprawy nie krzyżowe, lecz radiowe. Elektromagnetyczna przemoc dla “konwersji” heretyckich apostatów, czy raczej ich informatycznych maszyn sakralnych: *Deus est in Machina*. Nie żeby to było prawdopodobne albo wręcz dowodliwe. Symbole wiary, tak samo jak wytwory ideologii, nie zdradzają przybyszom z obcych stron swego sensu. Fizyka nie unicestwia metafizyki. By dotrzeć do wspólnoty zamierzeń ludzi różnych ziemskich kultur i epok, trzeba przynajmniej wiedzieć, że byt materialny nigdzie nie był uznawany za wszystko, co, istniejąc, w pełni zaspokaja egzystencję. Można uznać to przypuszczenie za dziwoląg. Założyć, że technologia zawsze rozwodzi się z *Sacrum*. Lecz technologia ma zawsze cel pozatechnologiczny. A kiedy *Sacrum* znika, powstającą w kulturze dziurę musi coś

wypełnić. Kirsting oddawał się swatom inżynierii z dewocją na tak mistycznych wyżynach, że Steergard ledwie dosłuchał go do końca. Kontakt? Oczywiście też był za kontaktem.

Piloci nie mieli żadnego zdania — rozdymanie zagadek wyobraźnią w mniej czy bardziej pozaludzkie strony nie leżało w ich charakterze. Rotmont był gotów omówić techniczne aspekty porozumienia. Przede wszystkim to, jak zabezpieczyć statek przed rojowiskami kwintańskich satelitów. Sądził, że Kwinta mogła już zostać w przeszłości odwiedzona przez inną cywilizację i źle się to skończyło, za czym nauka nie poszła w las. Kwintanie odgradzili się od inwazji. Wyprodukowali technologię uniwersalnej nieufności. Najpierw trzeba ich upewnić o pokojowych zamiarach ludzi. Posłać “powitalne dary”, a kiedy się z nimi zapoznają, czekać ich reakcji.

El Salam i Gerbert byli podobnego zdania.

Steergard postąpił po swojemu. “Powitalne dary” mogły ulec zniszczeniu przed wylądowaniem. Wskazywał na to los patrolowej piątki Księżyca. Wystrzelił więc duży orbiter ku Słońcu, aby jako zdalnie sterowany ambasador przekazał Kwincie “listy akredytacyjne”. “Ambasador” słał te listy jako laserowe sygnały, zdolne przebić szumową otoczkę planety, w postaci nadmiarowego kodu, udzielając w ten sposób odbiorcom lekcji, jak mogą nawiązać z nim łączność. Nadawał w kółko ów program kilkaset razy. Odpowiedzią było głuche milczenie.

Treść przesłań zmieniano przez trzy tygodnie na wszechmożliwe sposoby bez jakiegokolwiek reakcji. Nadawcza moc uległa powiększeniu, laserowa igła chodziła po całej powierzchni planety, w infraczerwieni, w ultrafiolecie, modulowana tak i owak. Planeta nie odpowiadała.

Przy okazji “Ambasador” napełnił się szczegółami wyglądu Kwinty i przekazał je “Hermesowi”. Na kontynentach znajdowały się aglomeracje o rozmiarach wielkich metropolii ziemskich. Nic ich jednak nie rozświetlało nocą. Twory te, kształtu rozplaszczonej gwiazdy o krzaczastych wybiegach, dawały półmetaliczne odbicia. Z rozbiegów szły linie proste, niby arterie komunikacyjne. Nic się jednak na nich nie poruszało. Im ostrzejsze obrazy zdobywali od “Ambasadora” (który po trosze stawał się szpiegiem), tym jawniej przejęte z Ziemi domniemania okazywały się złudą. Linie nie były ani drogami, ani rurociągami, a tereny między nimi często udawały lasy. Rzekome zalesienie tworzyło mrowie regularnych bloków z rozcapierzonymi wypustkami. Ich albedo równało się niemal zeru: pochłaniały ponad 99% padającego światła słonecznego. Wyglądały więc na fotoreceptory.

Kwinta pochłaniała więc może i “listy uwierzytelniające”, traktując je, swymi odbiornikami, jako energetyczny pokarm, a nie jako informację? Niewidoczny dotąd na tle

tarczy słonecznej "Ambasador" dał z siebie wszystko. W podczerwieni emitował "listy", przewyższając stukrotnie radiację Słońca w tym zakresie. Wedle zdrowego rozsądku, uszkodził pochłaniacze fal tym spójnym światłem; więc jakieś ekipy techniczne rozpatrzyłyby awarię i jej przyczyny; prędzej czy później wyżej stojący specjaliści rozpoznaliby sygnalizacyjną naturę promieni. Lecz znów mijały dni i nic się nie zmieniło. Utrwalone na zdjęciach obrazy nocnej i dziennej półkuli planety pomnożyły ich zagadkowość. Nic nie rozświetlało ciemności po zachodzie Słońca — oba wielkie kontynenty wynurzone z oceanu, ze stromymi, ośnieżonymi wierzchem łańcuchami górskimi, rozbłyskiwały nocą tylko widmowym pałaniem polarnych zorcz, lecz i te zorze, przetapiające bezchmurne lody podbiegunowe w widmowe zielone złoto, nie błdziły byle jak, obracane niby niewidzialną olbrzymią ręką w kierunku przeciwnym do wirowania Kwinty. Ani na wewnętrznych morzach obu rozległych lądów, ani na oceanie nie wykryto żadnych statków, ponieważ bezruch panował też na rozbiegach prostych linii, śmigle przecinających lesiste równiny i spiętrzenia grzbietów skalnych, nie mogły służyć celom komunikacyjnym. Z oceanu południowej półkuli sterczały jak niezliczone paciorki rozsypane na bezbrzeżnych wodach wygasłe wulkany pozornie bezludnych archipelagów. Jedyny ląd tej półkuli, u samego bieguna, spoczywał pod ogromnym, lodowcem. Z mętnego srebra jego wiecznych śniegów wystawały samotne skalne igły, szczyty ośmiotysięczników, zatrzaśniętych lodową pokrywą. W pasie zwrotnikowym, pod obręczą zamarzonego pierścienia, dzień i noc szalały tropikalne burze, a ich piorunowe wyładowania potęgowała fioletowymi rozbryzgami odbić tarcza nadpowietrznych lodów jak pędzące zawrotnie lustro. Brak śladów, cywilizacyjnej krzątaniny, miast portowych w ujściach wielkich rzek, wypukłe metalowe tarcze w kotlinach górskich, zamykające ich dna pancerną wykładziną, tylko spektrochemicznie odróżnialną od naturalnej skały, nieobecność ruchu lotniczego przy wykrytych w liczbie około stu, obwałowanych niskimi zabudowaniami, gładkich, pokrytych betonem kosmodromach, czyniły nieodpartym wniosek, że wiekowe zmagania wepchnęły Kwintan w podziemia i w nich prowadzą życie, zdani, dla obserwacji przestworzy nieba i Kosmosu, na metalowy wzrok radioelektroniki. Pomiary różnic cieplnych wykryły na por wierzchni Norstralii i Heparii połączone ze sobą zarytymi głęboko w grunt rozgałęzieniami termiczne plamy, niby jaskiniowe miasta. Subtelna analiza ich promieniowania zdawała się jednak zadawać kłam temu przypuszczeniu. Każda z rozległych plam, dochodzących czterdziestu mil średnicy, odznaczała się dziwnym gradientem wydychanego ciepła: najgorętsze było centrum, a źródło jego promieniowania tkwiło pod litosferą u granic mantii. Czyżby Kwintanie czerpali energię z płynnego wnętrza swego globu? Ogromne, geometrycznie prawidłowe obszary, wzięte pierwotnie za tereny

upraw rolnych, w istocie stanowiły skupiska milionowych, stożkowatych głowic, jak ceramiczne grzyby posadzanych na dziesiątkach kilometrów. Nadawczo-odbiorcze anteny radarowe — orzekli na koniec, fizycy. Planeta w chmurach, burzach, cyklonach, jakby umyślnie zmartwiała i przyczaiła się pod nieustającym zewem sygnalizacji, proszącej o jakikolwiek odzew.

Obserwacje prowadzone pod znakiem archeologii — aby wykryć ślady historycznej przeszłości, jako ruiny miast, jako odpowiedniki ziemskich dzieł architektury kultowej, w rodzaju świątyń, piramid, starożytnych stolic, nie przyniosły pewnych rezultatów. Jeśli wojna spustoszyła je ze szczętem albo jeśli ludzkie oczy nie umiały ich rozpoznać przez zupełną obcość, mostem, rzuconym ponad tą obcością, pozostawała jedynie działalność techniczna. Szukali więc urządzeń, na pewno olbrzymich, które posłużyły do miotania oceanicznych wód w kosmiczną przestrzeń. Rozmieszczenie tej armatury dało się obliczyć podług kryteriów uniwersalnie ważnych, stanowionych przez fizykę. Z kierunku obrotów lodowego pierścienia, z jego okołorównikowego biegu można było wnosić o lokalizacji planetarnych miotaczy wód. Tu jednak też wszedł w paradę poszukiwaczom czynnik utrudniający rozpoznanie owych instalacji: niechybnie wzniesiono je na styku suszy i oceanu — w okolicach, nad którymi gnał teraz ścięty mrozem pierścień, a jego ciągle tarcie o rozrzedzone atmosferyczne gazy skrywało ulewą burzowego pluwiu krytyczne miejsca, tak więc nawet próba odtworzenia metod, jakimi posłużyli się zesłowieczeni inżynierowie Kwinty, by strzelać morzami w próżnię, spelzła na niczym.

Fotografie, zwane poszlakowymi, wypełniły wprawdzie archiwa statku, lecz nie odznaczały się większą wartością niż plamy na tablicach testów Rorschacha. Niezrozumiałym konturom powtarzających się gwiazdowatych tworów na ładach oczy ludzkie tyleż mogły narzucić przyniesionych z Ziemi wyobrażeń i uprzedzeń, ile różnorodnych postaci może człowiek zobaczyć, a w istocie tylko wyroić sobie, gdy ogląda bogato ukształtowane rozpryski atramentu. Bezradność GODa wobec tysięcy tych zdjęć uświadomiła im, że w maszynie przeznaczonej do całkowicie obiektywnego jakoby przetwarzania informacji tkwi zakrzepła scheda antropocentryzmu. Zamiast dowiedzieć się czegoś o obcym rozumie, zauważył Nakamura, dowiedzieli się, jak ściśle więzy pokrewieństwa myślowego łączą ludzi z ich komputerami. Bliskość obcej cywilizacji, leżącej nieomal w zasięgu rąk, oddzielała ją od nich, stawała się urągówiskiem z prób dotarcia do jej sedna. Walczyli z przemożnym wrażeniem perfidii, zastawionej złośliwie na ekspedycję, jakby Komuś — ale komu? — zależało na rzuceniu im wyzwania pełnego nadziei, która dopiero u samego kresu drogi, u celu okaże swoją nieziszczalność. Ci, których dręczyła ta myśl, kryli się z nią, by nie *zarażać*

towarzyszy defetyzmem.

Po siedmiuset godzinach jałowej emisji dyplomatycznej Steergard zdecydował się wysłać na Kwintę pierwszy ładownik, nazwany "Gabrielem". "Ambasador" zapowiedział jego przylot czterdzieści osiem godzin przed startem, powiadamiając Kwintan, że sonda, nie wyposażona w żaden rodzaj broni, wyląduje na terenie wielkiego północnego kontynentu, Heparii, o sto mil od gwiazdzistego skupiska zabudowy, w okolicy pustynnej, więc nie zamieszkaney, jako bezludny poseł, z którym Heparajczycy będą się mogli porozumiewać maszynowym językiem. Chociaż planeta nie odpowiedziała i na tę zapowiedź, wyorbitowali w aposelenium "Gabriela", dwuczłonową raketę z mikrokomputerem, dysponującym prócz standardowych programów kontaktu zdolnością ich rewizji i zmiany przy nieprzewidzianych okolicznościach. Polassar zaopatrzył "Gabriela" w najwydatniejszy z małych teradzulowych silników, jakie mieli na pokładzie, aby mógł przebyć czterysta tysięcy kilometrów drogi do planety w kilkanaście minut, z chyżością sześciuset kilometrów na sekundę w szczycie. Miał ją wytracić dopiero nad jonosferą. Fizycy pragnęli utrzymać z posłańcem ciągłą łączność za pośrednictwem wystrzelonych i wysforowanych przed niego sondprzekazników, lecz dowódca odtrącił ten plan. Chciał, aby "Gabriel" działał zdany na siebie i przekazał im wiadomości dopiero po miękkim lądowaniu, wiązką fal, którą miała skupić na "Hermesie" atmosfera Księżyca. Uważał, że wcześniejsze rozlokowanie przekazników między Księżycem, za którym krył się "Hermes", i planetą może zostać dostrzeżone i zwiększy podejrzliwość paranoicznej cywilizacji. Samotny lot "Gabriela" podkreślał pokojową bezbronność jego zadania. "Hermes" obserwował ów lot odbijany w rozwiniętych zwierciadłach "Ambasadora" z pięciominutowym opóźnieniem przez wzgląd na retranslacyjną odległość. Znakomicie chłodzony, lustrzany reflektor "Ambasadora" dawał świetny obraz. "Gabriel" wykonał manewry uniemożliwiające lokalizację macierzystego statku i zjawił się wnet ciemną szpilką nad białochmurnym tłem planetarnej tarczy. Po ośmiu minutach ludzie u monitorów zdrętwieli. Zamiast mknąć dalej ku wyznaczonemu lądowisku Heparii, "Gabriel" przesuwiał się na południe po krzywej o rosnącym promieniu i przedwcześnie wytracał pęd. Przyczynę zwrotu zobaczyli natychmiast. W pasie nadzwrotnikowym pełzły ku "Gabrielowi" cztery czarne punkty, dwa ze wschodu i dwa z zachodu, po matematycznie idealnych trajektoriach pościgowych. Wschodnie pościgowce zmniejszały już dystans dzielący je od "Gabriela". Goniony zmieniał kształt. Z igielki stał się kropką, otoczoną oślepiającym blaskiem. Wytraciwszy pęd z czterystukrotnym przeciążeniem, zamiast schodzić ku planecie, strzelił świecą w górę. Cztery gończe punkty też zmieniły kurs. Schodziły się ku sobie. "Gabriel" trwał pozornie nieruchomy w centrum

trapezu, którego krańcami były pościgowce. Trapez malał w oczach na znak, że i one zmieniły ruch orbitalny na hyperboliczny i zbliżyły się ku sobie, łyskając żarem zwiększonych ciągów.

Steergard miał ochotę spytać Rotmonta jako programistę, co zrobi teraz "Gabriel", bo z wytworzonego przez ścigacze blasku wnosił o ich ogromnych napędowych mocach. Cała piątka szła od planety rozwinąwszy taką potęgę odrzutów, że w białym morzu obłoków powstał pod nią szeroki lej. W przyciemnionej sterowni panowało milczenie. Żaden z ludzi, wpatrzonych w to jedyne w swym rodzaju widowisko, nie odezwał się. Cztery kropki zbliżały się coraz bardziej ku "Gabrielowi". Dopplerowski odległościomierz i akcelerometr wyrzucał na brzeg pola widzenia swoje czerwone cyferki z taką szybkością, jakby mełł korce liczb. Trudno było odczytywać podawaną chyżość. "Gabriel" tracił już przewagę, ponieważ zużył czas na wyhamowanie i odwrócenie lotu, kiedy ścigający, oskrzydliwszy go, bezustannie przyspieszali. GOD wyrysował na monitorze prognozowane miejsce styku pięciu trajektorii. Podług dalmierzy i dopplerowskiego przesunięcia "Gabriel" miał być dognany za kilkanaście sekund. Kilkanaście sekund to nawet dla człowieka myślącego miliard razy wolniej od komputerów wiele — zwłaszcza przy najwyższym napięciu uwagi.

Steergard sam nie wiedział, czy popełnił błąd, nie wyposażywszy sondy w żadne, choćby defensywne uzbrojenie. Ogarnął go gniew bezsilności. "Gabriel" nie miał nawet autodestrukcyjnego ładunku. Zaczne intencje też winny mieć granice: tyle zdążył pomyśleć.

Kwadrat gonitwy stał się mały jak drobna literka. Choć uciekinier i ścigający oddalili się już od planety o jej średnicę, udar ich ciągów wprawiał powierzchnię morza cirrusowego w drżenie, a przez rozwarte w tym morzu okno ukazał się ocean i nierówna brzegowa linia Heparii. Ostatki obłoków nikły w oknie chmur jak strzępki waty cukrowej od gorąca.

Ciemne oceaniczne tło pogorszyło widoczność. Tylko sypiące się wciąż czerwonym mruganiem cyfry dalmierzy donosiły o położeniu "Gabriela". Pościgowce brały go z czterech stron. Były tuż. Wtedy okno w chmurach wyduło się, jakby planeta urosła na kształt gigantycznie rozdymanego balonu, grawimetry wydały ostry trzask, monitory szczeniały na mgnienie oka i obraz wrócił. Lejowate okno białych chmur było znów małe, dalekie i zupełnie puste. Steergard nie odgadł zrazu, co zaszło. Spojrzał na odległościomierze. Wszystkie migotały czerwonymi zerami.

— Dał im łupnia — odezwał się ktoś z pełną zajadłości satysfakcją. Chyba Harrach.

— Co się stało? — nie zrozumiał Tempe.

Steergard wiedział, lecz milczał. Nappełniło go kamienne przeświadczenie, że choć będzie ponawiał próby, raczej zgubią statek, aniżeli wymogą nawiązanie kontaktu. Przez

chwilę rozważał, już oddalony myślami od tego pierwszego starcia, czy dalej kontynuować ułożony program, ledwo słysząc gorączkowe głosy w sterowni. Rotmont starał się wyjaśnić, co zrobił "Gabriel", choć plan zwiadu tego nie przewidywał. Zgniół przestrzeń wraz z goniącymi implozją sideralną.

— Przecież nie miał sideratora? — zdziwił się Tempe.

— Nie miał, ale mógł mieć. Miał przecież teratronowy silnik. Odwrócił go krótkim zwarcie i przez to całą moc, służącą napędowi, skierował w siebie pełnym wyładowaniem. Chytra sztuka. To był poker, a "Gabriel" zmienił go w brydża. Wyszedł najsilniejszym atutem. Nie ma wyższego koloru nad grawitacyjny kollaps. Przez to nie dał się złapać...

— Czekażże — Tempe zaczynał już się domyślać, co zaszło. — Czy on to miał w programie?

— Skąd! Miał terawaty w anihilacyjnym silniku i pełną autonomię. Zagrał *va banque*. Przecież to maszyna, mój drogi, nie człowiek, więc to nie było samobójstwo. Podług głównej dyrektywy mógł dopuścić do manipulowania ze sobą, ale dopiero po lądowaniu.

— A czy nie mogli wyciągnąć z niego tego teratronu po lądowaniu? — zdziwił się Gerbert.

— W jaki sposób? Cały człon rufowy razem z teratronem miał się stopić przy przebijaniu atmosfery. Po nadpławieniu stojana wewnętrzne ciśnienie rozsądziłoby bieguny i razem z maszynownią wszystko poszłoby na rozkurz. I to bez najmniejszej radioaktywności. Wyładować miał tylko górny moduł dziobowy dla przyjaznych pogawędek z gospodarzami...

— Pał diabli taką robotę! — oburzył się Harrach. — Założyło się, że ich rakiety nie potrafią rozwijać tyle mocy w przyspieszaniu! "Gabriel" miał przelecieć przez ich satelitarne śmietnisko jak karabinowa kula przez rój pszczół i grzecznie siaść.

— A dlaczego nie stopił sobie silnika, kiedy go ścigali? — pytał lekarz.

— A dlaczego kura nie lata?

Rotmont dał folgę irytacji.

— Czym miał topić teratron? Przecież energię dla spalania napędowego członu miał brać z zewnątrz — z tarcia atmosferycznego! Tak został zaprojektowany. Nie wie pan o tym? Wróćmy więc do środka rozgrywki. Albo by im uciekł, na co się wcale już nie zanosilo, albo by go schwycili w próżni, ściągnęli na orbitę i rozebrali. Gdyby mu zdusili ciąg i dopiero wtedy zrobił zwarcie, nastąpiłaby eksplozja, ale toroid z biegunami mógłby ocaleć. Do tego nie wolno mu było dopuścić, wykoncypował więc czarną dziurę z podwójnym horyzontem zdarzeń, wessał w siebie te pościgowce kollapsem i kiedy wewnętrzna sfera zapadała się, zewnętrzna umykała, bo w tej skali efekty kwantowane dorównują grawitacyjnym. Przestrzeń

się zgięła — dlatego zobaczyliśmy Kwintę jak przez powiększające szkło.

— Czy to naprawdę nie zostało zaprogramowane? Nie było tej ewentualności nawet w projekcie? — odezwał się milczący dotąd Arago.

— Nie! Nie było! Na szczęście maszyna miała więcej rozumu od nas! — Rotmont nie ukrywał gniewu wobec pytań. — Bezbronna miała być jak niemowlę! Chociaż teratron “Gabriela” nie był przeznaczony do hypertermicznej produkcji kollapsarów zwarciem, mogli to łatwo wywnioskować z samej konstrukcji. Jasne, że by mogli, skoro “Gabriel” wpadł na to sam w parę sekund.

— Sam?

To słowo zakonnika do reszty wytrąciło Rotmonta z równowagi.

— Sam! Ile razy mam powtarzać? Przecież miał lumeniczny komputer z ćwiartką mocy GODa! Przez pięć lat ojciec nie przemyśli tyłu bitów, ile on w mikrosekundzie. Obejrzał siebie, skonstatował, że może obrócić teratron polem i przy zwarciu biegunów powstanie mononuklearny siderator. Co prawda powstając rozleci się, ale równocześnie z kłapsem...

— To było do przewidzenia — zauważył Nakamura.

— Jeśli pójdziesz z laską na spacer i napadnie cię wściekły pies, to jest do przewidzenia, że dasz mu po łbie — odpowiedział Rotmont. — Dziwię się, jak mogliśmy być tacy naiwni! W każdym razie dobrze się stało. Dowiedli gościnności, a “Gabriel” dowiódł, że się na niej poznał. Naturalnie można go było zaopatrzyć w konwencjonalny ładunek autodestrukcyjny, ale dowódca sobie tego nie życzył...

— A czy to, co się stało, jest lepsze? — pytał Arago.

— A czy mogłem weń włożyć silnik od motoroweru? Musiał dostać moc, więc ją dostał. A to, że teratron przypomina w schemacie siderator, nie wynikło z moich upodobań, tylko z fizyki. Kolego Nakamura?

— To prawda — zgodził się zagadnięty Japończyk.

— W każdym razie oni nie znają ani siderotechniki, ani grawistyki — za to dam głowę — uciał Rotmont.

— Skąd wiesz?

— Boby jej używali. Przecież ten cały moloch zagrzebany na Księżycu jest z punktu widzenia siderurgii starocia. Po co bić sztolnie w magmę i astenosferę, jeżeli można przetransformować ciężenie tak, żeby dawało makrokwantowe efekty? Ich fizyka poszła inną drogą. Powiedziałbym — bardziej okrezną i oddaliła ich od najwyższego atutowego koloru. Nasze szczęście! Przecież chcemy kontaktu, a nie walki.

— Tak, ale czy oni nie uznają właśnie tego, co zaszło, za walkę?

— Mogą. Pewno, że mogą!

— Czy potraficie z grubsza ustalić, gdzie są resztki tych ścigaczy, wydmuchniętych przez "Gabriela"? — Steergard zwrócił się do fizyków.

— Nie bardzo — chyba że kollaps był silnie asymetryczny. Spytam GODa. Wątpię, żeby grawizory zdążyły go dokładnie zarejestrować. GOD?

— Słyszałem — powiedział komputer. — Lokalizacja nie jest możliwa. Podmuch rozwarcia zewnętrznej powłoki Kerra wyrzucił resztki odsłonecznie.

— A w przybliżeniu?

— Powstała nieoznaczoność na parsek.

— Nie może być? — zdziwił się Polassar. Nakamura też był zaskoczony.

— Nie jestem pewien, czy doktor Rotmont ma słuszość — powiedział GOD. — Być może jestem stronny jako bliżej spokrewniony z "Gabrielem" aniżeli doktor Rotmont. Ponadto ja ograniczyłem jego autonomię podług otrzymanych wskazówek.

— Mniejsza o stopień pokrewieństwa. — Dowódca nie był amatorem maszynowego dowcipu. — Mów, co wiesz.

— Przypuszczam, że "Gabriel" chciał tylko zniknąć. Obrócić się w singularność. Wiedział, że ani nam, ani im w ten sposób nie zaszkodzi, bo prawdopodobieństwo zetknięcia się z tą singularnością praktycznie jest zerowe. Ona ma 10^{-50} średnicy protonu. Raczej zderzą się dwie muchy, z których jedna wyleciała z Paryża, druga z Nowego Jorku.

— Kogo właściwie bronisz? Doktora Rotmonta czy siebie?

— Nie bronię nikogo. Chociaż nie jestem człowiekiem, mówię do ludzi. "Hermes" i "Eurydyka" pochodzą z Grecji. Niech to zabrzmi jak pod murami Troi: skoro załoga nie dowierza tym, którzy programowali i wysłali "Gabriela", daję olimpijskie słowo, że wybieg przez zapaść nie został wprowadzony do żadnego bloku pamięci. "Gabriel" dostał maksimum decyzyjne, czyli nanosekundowość heurezy wzdłuż jej wszystkich drzew, to znaczy 10^{32} — taka była kardynalna liczba jego zbioru kombinatorycznego. Jaki użytek zrobił z tej mocy, nie wiem, ale wiem, ile miał czasu na decyzję. Trzy do czterech sekund. Za mało, aby ustalić przedział Holenbacha. Stał więc przed alternatywą: wszystko albo nic. Gdyby nie zamknął przestrzeni kollapsem, to wybuchnąłby jak sto begatonowych bomb termonuklearnych. Albowiem wyzwolona w zwarcu moc byłaby eksplozją. Wobec tego przesolił w drugą stronę, co gwarantowało implozję w singularność i przy okazji wchłonęło pociski Kwintan pod powłokę Kerra.

GOD zamilkł. Steergard powiódł oczami po swoich ludziach.

— Dobrze — przyjmuję to do wiadomości. "Gabriel" oddał Bogu ducha. A o tym, czy dał mata Kwincie, przekonamy się. Zostajemy na miejscu. Kto ma dyżur?

— Ja — powiedział Tempe.

— Dobrze. A wy idźcie spać. W razie czego proszę mnie zbudzić.

— GOD zawsze czuwa — odezwał się komputer.

Sam w sterowni z wygaszonymi światłami pilot okrążył ją, niczym pływak w niewidzialnej wodzie, wzdłuż matowych, ślepych monitorów, wznosił się pod strop i ożywiony niespodziewaną myślą odtrącił się tak, by dolecieć do głównego wizoskopu.

— GOD? — odezwał się niegłośno.

— Słucham.

— Pokaż mi jeszcze raz ostatnią Fazę pościgu. W pięciokrotnie spowolnionym tempie.

— Optycznie?

— Optycznie z nałożoną podczerwienią, ale tak, żeby obraz się zanadto nie rozmazywał.

— Stopień rozmazu to rzecz gustu — odparł GOD.

Równocześnie ekran zajaśniał. U ramy wyskoczyły cyfry dalmierza. Nie mknęły błyskawicznie jak przedtem, lecz zmieniały się drobnymi skokami.

— Daj siatkę na obraz.

— Słucham. Obraz, pocięty sterometrycznie, białął chmurami. Nagle zakołysał się, jak zalewany wodą. Linie geodezyjnej sieci poczęły się giąć. Dystans między igłą "Gabriela" i ścigającymi malał. Wskutek powolności wszystko działo się jak w kropli wody pod mikroskopem, gdy do czarnego pyłka zawiesiny płyną przecinkowate bakterie.

— Dopplerowski dalmierz różnicowy! — powiedział.

— Przestrzeń traci euklidesowość — odparł GOD, lecz włączył dyferencjator.

Oka sieci drgały i gięły się, ale mógł ocenić z grubsza dystans. Przecinki dzieliło od "Gabriela" kilkaset metrów. Wtedy ogromna połać planety pod piątką czarno skupionych punktów rozdeła się gwałtownym wyolbrzymieniem, aby zaraz powrócić do zwykłego wyglądu, lecz wszystkie czarne kropki znikły. Miejsce, gdzie ciemniały przed chwilą, było delikatnym, jakby powietrznym drganiem. Wydało straszliwy błysk czerwieni niby wytrysk świecącej krwi, która spłonęła w szkarłatny bąbel, zbrunatniała i zgasła. Dalekie obszary chmur, na tysiące mil rozrzuconych udarem, leniwie obracały się nad powierzchnią oceanu, ciemniejszą niż kontynentalny brzeg od wschodu. Okno o pogłębionych krawędziach ziało nadal szeroko rozwarte, lecz puste.

— Grawimetry! — odezwał się pilot.

— Słucham.

Obraz się nie zmienił, tylko geodezyjne linie zwijały się pośrodku jak kłęb splątanych nici.

— Mikrograviskopia! — GOD, przecież wiesz, o co mi chodzi!

— Słucham.

GOD mówił jak zawsze bezemocjonalnym głosem, a jednak pilotowi zdawało się, że brzmi w nim coś impertynenckiego. Jakby maszyna, górująca nad nim bystrością, tak niechętnie wykonywała rozkazy, by to poczuł. W kłębie powikłanych geodetyk pojawił się ledwie dostrzegalny dygot, przeciął zgęstek sieci i przepadł. Geodezyjne splątanie prostowało się. Na tle białej planety z wyrwą w chmurach jak ogromnym okiem cyklonu znów stanęła prostokątna sieć koordynant grawitacyjnych.

— “Gabriel” wstrzelił w siebie nukleony z terawoltazem, tak? — spytał pilot.

— Tak.

— Po stycznej z dokładnością do jednego Heisenberga?

— Tak.

— Skąd wziął dodatkową energię? Przecież miał zbyt małą masę, żeby zgiąć przestrzeń w mikrodziurkę?

— Teratron w zwarciu pracuje jak siderator. Pobiera energię z zewnątrz.

— Powstaje deficyt? Tak.

— Jako energia ujemna? Tak.

— W jakim zasięgu?

— Nadświatlnie w zaprzestrzeni — “Gabriel” wziął ją w promieniu miliona kilometrów.

— Dlaczego nie odczuła tego ani Kwinta, ani Księżyc, ani my?

— Ponieważ jest to pożyczka kwantowa w przedziale Holenbacha. Czy mam wyjaśniać dalej?

— Niekoniecznie — odpowiedział pilot. — Skoro kollaps zaszedł w czasie krótszym od milionowego ułamka nanosekundy, powstały dwa koncentryczne horyzonty zdarzeń Rahmana-Kerra.

— Tak — powiedział GOD.

Nie umiał się dziwić, pilot jednak odczuł w tym słowie respekt.

— To znaczy, że singularności, pozostałej po “Gabrielu”, nie ma już w tym świecie. Porachuj, żeby się przekonać, czy mam rację.

— Porachowałem — odrzekł GOD. — Nie ma z prawdopodobieństwem jednego do stu tysięcy.

— To po co opowiadasz dowódcy bajki o muchach? — spytał pilot.

— Prawdopodobieństwo nie jest zerowe.

— Podług ruchów geodezyjnych kollaps miał silne wyboczenie heliofugalne i sprowadziwszy masy wszystkich ciał układu do punktów można obliczyć ognisko, gdzie wyrzuciło te ich rakiety...

— Efektem makrotunelowym. Prawda?

— Prawda.

— Rozmaz nie może mieć rozmiarów parseka. Musi być krótszy. Umiesz liczyć?

— Tak.

— A więc?

— Tunelowanie zachodzi probabilistycznie, a niezależne prawdopodobieństwa się mnożą.

— Przetłumaczmy to na zdrowy rozsądek. Oprócz Dżety liczy się w tym systemie dziewięć planet. Powstaje nieliniowy układ równań, którego nie zintegrujesz, ale planety przejęły moment obrotowy protosłońca i można sprowadzić masę całego układu do centrum.

— To bardzo niedokładne.

— Niedokładne, ale nie na parsek.

— Czy pan należy do tak zwanych fenomenalnych rachmistrzów? — spytał GOD.

— Nie. Pochodzę z czasu, kiedy rachowało się i bez komputerów. Albo działało się “pi razy oko”. Kto nie umiał, umierał w moim fachu młodo. Czemu milczysz?

— Nie wiem, co mam powiedzieć.

— Że nie jesteś nieomylny.

— Nie jestem.

— I nie powinieneś się nazywać GOD

— To nie ja tak siebie nazwałem.

— Nawet kobiety nie potrafią przegadać komputerów. GOD — masz obliczyć dystrybucję prawdopodobieństwa wzdłuż tego twojego parseka — powinna być dwumodalna. Tę okolicę naniesiesz na mapę gwiazdową i rano przekażesz dowódcy z wyjaśnieniem, że nie chciało ci się tego rachować.

— Nikt mi nie nakazał.

— Ja ci teraz daję rozkaz. Zrozumiałeś?

— Tak.

Na tym zakończyła się nocna rozmowa w sterowni.

ATAK

To, co matematycznie nadzwyczaj mało prawdopodobne, ma tę własność, że się przecież czasem zdarza. Po trzech ścigaczach, wessanych w głąb zgniecionej przestrzeni i wyrzuconych relaksacją grawitacyjną w odsłonecznym kierunku, nie wykryto śladu, czwarty jednak "Hermes" znalazł i wziął na pokład ledwie po ośmiu dobach. GOD wyjaśnił ów szczególny zaiste traf wyrafinowaną wersją analizy topologicznej, z użyciem transfinałnych derywatów ergodyki, lecz Nakamura, który zasłyszał od Steergarda o nocnym sporze pilota z GODem, zauważył, że do tego, co zaszło w rzeczywistości, zawsze można dopasować obliczenia sztuczkami, znanymi każdemu, kto para się stosowaną matematyką. Kiedy strzaskany wrak, rozpruty i zmięty, dźwigi wciągały na statek, Nakamura chcąc zaspokoić ciekawość spytał pilota, jak doszedł celnego wniosku. Tempe roześmiał się.

— Matematyk ze mnie żaden. Jeżeli rozumowałem, to nie wiem jak. Nie pamiętam, kto ani kiedy udowodnił mi, że jeśli człowiek chce ustalić prawdopodobieństwo własnych narodzin, to cofając się wstecz genealogicznego drzewa wzdłuż rodziców, babek, dziadków, pradziadków, uzyska prawdopodobieństwo dowolnie bliskie zera. Jeśli rodzice nie spotkali się przypadkowo, to dziadkowie, a kiedy się dojdzie do średniowiecza, moc zbioru całkiem możliwych zajęć, które wykluczyłyby wszystkie zapłodnienia i porody, konieczne, żeby on się urodził, jest większa od mocy zbioru wszystkich atomów w Kosmosie. Inaczej mówiąc, każdy z nas nie ma najmniejszych wątpliwości, że istnieje, chociaż tego żadną stochastyką nie dałoby się ustalić paręset lat przedtem.

— Owszem — ale co to ma wspólnego z efektami singularnościowymi w przedziale Hohenbacha?

— Nie mam pojęcia. Raczej nic. Nie znam się na singularnościach.

— Nikt się nie zna. Apostolski delegat może powiedziałby, że to było oświecenie z wysoka.

— Z wysoka raczej nie. Po prostu obejrzałem sobie dokładnie skon "Gabriela". Wiedziałem, że nie chciałem zniszczyć prześladowców. Tym samym robiłem, co mogłem, żeby ich nie

ściągnąć pod horyzont Kerra. Widziałem, że te pościgowce nie szły idealnie równo za "Gabrielem". Skoro różniły się dystansem, to mogły się różnić i losem.

— I na tej podstawie...?

Japończyk też się już uśmiechał.

— Nie tylko. Moc obliczeniowa ma granice. Granica nazywa się *limes computabilitatis*. GOD stoi na tej granicy. Nie tyka obliczeń, o których wie, że są transkomputabilne, więc ich nie rozgryzie. Dlatego nawet nie próbował, a ja miałem szczęście. Co mówi fizyka o szczęściu?

— To samo, co o klaskaniu jedną ręką — odparł Japończyk.

— To jest Zeń?

— Tak. A teraz proszę ze mną — należy się panu znaleźć.

W blasku światła, pośrodku hali, na duralowej płycie czerniał wrak niby zwęglona i rozplątana ryba. Sekcja ujawniła znaną już drobnokomórkową budowę, lumenowe silniki napędu znacznej mocy i stopione urządzenie w głowicy, uznane przez Polassara za miotacz laserowy, ale Nakamura sądził, że był to raczej szczególny typ świetlnej gaśnicy ciągu, gdyż szło o schwytanie "Gabriela", a nie o destrukcję. Polassar zaproponował, aby te czterdziestometrowe zwłoki usunąć ze statku, bo zajęły z chwyconymi dawniej prawie połowę hali. Po cóż robić z niej skład balastowych truchel? El Salam sprzeciwił się. Chciał zachować choć jeden egzemplarz, najlepiej ostatni, aczkolwiek spytany przez dowódcę nie umiał wyjawić po temu racjonalnego powodu. Steergarda kwestia ta nie obeszła. Uważając położenie za radykalnie zmienione, chciał usłyszeć od swoich ludzi, jaki krok uważają teraz za właściwy czy najlepszy. Po wyrzuceniu satelitarnego złomu za burtę miało przyjść do narady. Obaj fizycy poszli wprawdzie do Rotmonta, aby, jak rzucił złośliwie Polassar, "opracować wstępny referat i wzmocnić bibliografię".

W samej rzeczy ta trójka pragnęła uzgodnić stanowisko, bo od zagłady "Gabriela" w prowadzonych przez załogę rozmowach można było dostrzec objawy zaczynającego się rozłamu.

Nie wiedzieć skąd — kto się wyraził tak pierwszy — padł termin "demonstracja siły". Harrach opowiedział się za taką taktyką od razu, El Salam z zastrzeżeniami, fizycy z Rotmontem byli przeciw, a Steergard, choć tylko słuchał, zdawał się stać po ich stronie. Inni wstrzymali się od zabrania głosu. Podczas narady opinie obu grup ostro się zderzyły. Kirsting raczej niespodziewanie wzmocnił zwolenników demonstracji.

— Przemoc jest argumentem nieodpartym — orzekł na koniec Steergard.

— Mam trzy zastrzeżenia względem tej strategii, a każde jest pytaniem. Czy na pewno

dysponujemy przewagą? Czy taki szantaż może doprowadzić do nawiązania kontaktu? I czy będziemy gotowi urzeczywistnić nasze groźby, jeśli im nie ulegną? Są to pytania retoryczne. Nikt z nas nie potrafi ich rozstrzygnąć. Konsekwencje strategii opartej na demonstracjach siły są nieobliczalne. Jeśli ktoś jest innego zdania, niech się wypowie.

Dziesięciu ludzi w kajucie dowódcy patrzyło na siebie wyczekująco.

— Co do mnie i El Salama — odezwał się Harrach — chcemy, aby dowódca przedstawił swoją alternatywę. My żadnej alternatywy nie widzimy. Dostaliśmy się w sytuację przymusową. To chyba jasne. Groźby, demonstracja siły, szantaż — to wstrętne brzmiące słowa. Wprowadzone w czyn, mogą doprowadzić do katastrofalnych skutków. Pytanie o naszą przewagę znaczy najmniej. Nie o to chodzi, czyją mamy, ale o to, czy oni będą tak sądzić i ulegną bez wydania boju.

— Boju...? — jak echo powtórzył zakonnik.

— Utarczki. Starcia. Czy ojcu to lepiej brzmi? Eufemizmów należy unikać. Zagrożenie siłą, mniejsza jeszcze o to jakiego rodzaju, musi być realne, bo pogroźki, za którymi nie stoi szansa spełnienia, są taktycznie i strategicznie na nic.

— Niedomówień należy unikać — przytaknął Steergard. — Co prawda możliwy jest też bluff...

— Nie — sprzeciwił się Kirsting. — Bluff zakłada minimum znajomości reguł gry. Nie znamy żadnych.

— Dobrze — zgodził się Steergard. — Załóżmy, że mamy autentyczną przewagę. Że możemy ją okazać, nie przynosząc im wprost żadnych szkód. To byłaby jawna groźba. Jeśli taka perswazja okaże się daremna, Harrach, to podług ciebie będziemy musieli wydać bitwę, albo co najmniej ją przyjąć i odeprzeć. Nie są to szczególnie korzystne wstępne warunki porozumienia.

— Nie, nie są — wsparł dowódcę Nakamura. — Są to najgorsze z wyjściowych pozycji. Co prawda nie myśmy je stworzyli.

— Czy mogę coś wtrącić? — spytał Arago. — Nie wiemy, po co usiłowali schwytać "Gabriela". Najpewniej po to, aby zrobić z nim to samo, co myśmy zrobili z ich dwoma satelitami w pobliżu Junony i teraz z ich ścigaczami. A nie uważamy, abyśmy działali jak agresorzy. Chcieliśmy zbadać twory ich techniki. Oni chcieli zbadać twory naszej. To prosta symetria. Nie należy więc mówić o pokazowej destrukcji, demonstracjach siły, walce. Błąd nie musi być tożsamy ze zbrodnią. Ale może być.

— Nie ma symetrii — zaproponował Kirsting. — Łącznie wysłaliśmy osiem milionów bitów informacji. Sygnalizowaliśmy z "Ambasadora" przez ponad siedemset godzin na

okrągło we wszystkich pasmach. Laserowaliśmy. Przekazaliśmy kody i instrukcje deszyfrowania. Wysłaliśmy ładownik bez jednego grama wybuchowych materiałów. Co do przekazanych wiadomości — podaliśmy im lokalizację naszego Układu Słonecznego, obrazy Ziemi, zarys powstania naszej biosfery, dane o antropogenezie, po prostu encyklopedię. I stałe fizyczne, które są kosmicznymi powszechnikami, a które oni muszą doskonale znać.

— Ale o inżynierii sideralnej, o foraministyce hollenbachowskiej, o jednostkach Heisenberga nic tam raczej nie było, prawda? — spytał Rotmont.

— Ani o naszych systemach napędowych i grawitacyjnej lokacji, o całym projekcie SETI, o "Eurydyce", o gracerach, o Hadesie...

— Nie. Ty najlepiej wiesz, czego nie było, bo ty układałeś programy dla "Ambasadora" — powiedział El Salam. — Ani o obozach zagłady, ani o wojnach światowych, o stosach i czarownicach. Przecież kiedy się przychodzi z pierwszą wizytą, nie wali się na stół wszystkiego o grzechach taty, swoich, mamy i tak dalej. Gdybyśmy ich ogólnikowo i nader uprzejmie powiadomili, że umiemy robić z mas, większych od ich Księżyca, coś, co się zmieści w dziurce od klucza, to obecnie ojciec Arago powiedziałby, że to już był początek występnego szantażu.

— Proponuję siebie jako rozjemcę — wtrącił Tempe. — Skoro nie siedzą w jaskiniach i nie wrzeszczą, nie krzeszą ognia cioskami, lecz mają astronautykę co najmniej w średnicy swego układu, wiedzą, że nie przybyliśmy do nich wiosłując, ani na żaglowcu, ani kajakiem. I właśnie to, żeśmy po prostu przybyli z odległości setek parseków, znaczy więcej niż pokazanie najgrubszych bicepsów.

— *Recte. Habet.* — szepnął Arago.

— Tempe ma rację — zgodził się dowódca. — Samym zjawieniem się mogliśmy ich zaniepokoić. Zwłaszcza jeśli nie są technicznie zdolni do galaktodromii, ale już wiedzą, jakich rządów moce są w niej konieczne... Aż do uruchomienia "Ambasadora" przyjmowaliśmy, że nic o nas nie wiedzą. Jeśli dostrzegli "Hermesa" grubo wcześniej — a krążymy tu przecież trzeci miesiąc — to nasze milczenie, nasz kamuflaż mogły ich przerazić...

— Przesadzasz, astrogatorze — wzruszył niechętnie ramionami Harrach.

— Nic podobnego. Wyobraź sobie, że nad Ziemią, w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym albo tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym zawisłyby galaktyczne krążowniki milowej długości. Nawet gdyby się z nich sypała tylko czekolada, powstałby niebywały zamęt, popłoch, polityczne kryzysy — panika. Każda cywilizacja w fazie wielopaństwowej musi mieć moc wewnętrznych konfliktów. Nie trzeba żadnych demonstracji siły, bo samo

przebycie stu parseków już jest taką demonstracją wobec każdego, kto tego nie potrafi...

— A więc dobrze, dowódcu — co uważasz, że należy robić? Jak mamy dowieść naszych dobrotliwych, łagodnych, pokojowych i przyjaznych zamiarów? Jak możemy ich upewnić, że nie zagrażamy im w niczym, że jesteśmy wycieczką dobrych skautów pod opieką księdza, jeżeli cztery najdoskonalsze ich maszyny bojowe, z pięćdziesiąt razy cięższe od naszego archaniołka, wydmuchnął poza czasoprzestrzeń jak pyłki? El Salam i ja, widzę, byliśmy w błędzie. Przyszli goście z kwiatkami, w ogrodzie napadł ich pies gospodarza, jeden chciał go odegnąć parasolem i przebił niechcący ciocię pana domu. Nie ma co mówić o demonstracjach siły, ponieważ to zeszłoroczny śnieg. Już się odbyła!

Harrach, uśmiechając się szeroko, nie bez złośliwości mówił do dowódcy, a patrzył na zakonnika.

— Asymetria nie spoczywa tam, gdzie myślicie — powiedział dominikanin. — Tym, którzy nie rozumieją nas, nie możemy przynieść dobrej nowiny. Anielskiej intencji nie można udowodnić, dopóki jest czystą intencją. Natomiast można udowodnić ZŁO zadawaniem szkody. Jest to *circulus vitiosus*: po to, by się z nimi porozumieć, winniśmy ich przekonać o naszej pokojowej intencji, a po to, żeby ich przekonać o tej intencji, pierwszej trzeba się z nimi porozumieć...

— Jakże tego wszystkiego, co zaszło i może zajść, nie brali pod uwagę nasi wielcy myśliciele, projektodawcy i dyrektorzy CETI i SETI? — pytał Tempe z pasją. — I to teraz spadło na nas jak sufit? To wprost niesłychanie głupie.

Kajutę wypełniały głosy zaciętrzewionych dyskutantów. Steergard milczał. Myślał, że nie zdając sobie z tego w pełni sprawy, w tym bezpłodnym sporze — widział jego daremność — dają upust rozjątrzeniu narosłemu w ciągu bezskutecznie ponawianych prób porozumienia z Kwintą. Był to rezultat źle przespanych nocy, daremnej dociekliwości badań Księżyca, budowania hipotez, które zamiast dać wgląd w obcą cywilizację, rozsypywały się jak domki z kart i jednych wiodły do poczucia osaczenia przez nierozwiązywalne zagadki, do błędzeń w matni bez wyjścia, a innych natchnęły rosnącym podejrzeniem "tamtych" o zbiorową paranoję. Jeśli na Kwincie istotnie panowała paranoja, to w zaraźliwej postaci. Steergard dostrzegł, że wskaźnik nad stolikiem jego koi w głębi kajuty jest ciemny. Ktoś z idących do niego przerzucił w sterowni wyłącznik, odcinając centralny mózg statku od jego kabiny, jakby nie życzył sobie lodowatej, racjonalnej i logicznej obecności GODa przy tym spotkaniu. Nie zapytał, kto to zrobił. Znając swoich ludzi wiedział, że nie ma wśród nich tchórza czy kłamcy, który wyparłby się tego uczynku, ale mógł być aktem wprost bezświadomym, jak okrycie nagości przed kimś obcym, odruchowe i szybsze niż wstyd. Nic zatem nie powiedział, ale

włączył terminal i zażądał od GODa optymalnej prognozy decyzyjnej.

GOD zastrzegł się, że brak mu danych dostatecznych dla optymalizacji pociągnięć. Podtekstem pytania jest jego nieuchronny antropocentryzm. Ludzie wyrażają się o sobie i innych dobrze lub źle. To samo dotyczy opinii o ich dziejach powszechnych. Wielu uważa je za nagromadzenie okrucieństwa, bezsensownych podbojów, bezsensownych nawet pozaetycznie, jako iż ani napastnikom, ani ofiarom nie przynosiły nic prócz rozbicia kultur, upadku imperiów, na których gruzie wyrastały nowe: jednym słowem mnóstwo ludzi ma własne dzieje powszechne w pogardzie, lecz na ogół nikt nie uważa ich za jakiś koszmarny, najstraszliwszy z możliwych eksces psychozoiczny w całym *Universum*, czyli Ziemi za planetę zbójcekich morderców, jedyny z milionowych globów, zalany krwią i krzywdą jako efektami rozumu, w przeciwieństwie do normy kosmicznej. Na ogół ludzie w głębi ducha, nie wiedząc o tym, jako iż nie wdają się w takie rozmyślania, ziemskie dzieje, w całym przebiegu od paleopiteków i australopiteków aż po współczesność, mają za "normalne", jako element typowy, występujący często w całym zbiorze kosmicznym. W tej kwestii nic jednak nie wiadomo i nie istnieje metoda pozwalająca z informacyjnego zera wyprowadzić coś więcej niż zero. Diagram Hortegi-Neyssla ukazuje tylko przeciętny czas dzielący narodziny protokultury od eksplozji technologicznej. Krzywa diagramu, tak zwany ciąg główny psychozoików, nie uwzględnia ani biologicznych, ani socjologicznych, ani kulturowych, ani politycznych czynników współkształtujących konkretne historyczne dzieje Rozumnych. Do tej ekskluzji uprawnia doświadczenie ziemskie, albowiem wpływy wywierane przez starcia różnych wiar i kultur, form ustrojowych i ideologii, zjawisk kolonizacji i dekolonizacji, rozkwitu i upadku imperiów ziemskich w niczym nie zakłóciły biegu krzywej technicznych wzrostów. Jest to krzywa paraboliczna, niewrażliwa w swym przebiegu na zakłócenia, wywołane wstrząsami dziejowymi najazdów, morów, ludobójstwa, ponieważ technologia, raz okrzepłszy, staje się zmienną od podłoża cywilizacyjnego niezależną, jako logistyczna w zintegrowaniu krzywa autokatalizy. Widzianych w skali mikroskopowej odkryć i wynalazków dokonywali poszczególni ludzie jako jednostki bądź grupy, lecz rachubie wolno wyprowadzić twórców poza nawias, ponieważ wynalazki rodzą wynalazki, odkrycia powodują następne odkrycia i ten przyspieszony ruch tworzy właśnie parabolę, wzlatującą pozornie w nieskończoność. Saturacyjne zgięcie nie zostaje spowodowane przez inne jednostki, pragnące chronić przyrodę, lecz krzywa zgina się tam, gdzie, nie ugiąwszy się, zniszczyłaby biosferę. Ta krzywa zawsze się w krytycznym punkcie ugina, bo jeśli technologiom ekspansji nie przyjdą na ratunek technologie ratowania bądź zastąpienia biosfery, dana cywilizacja wchodzi w zagładę jako kryzys kryzysów. Kiedy nie ma czym oddychać, nie ma komu robić dalszych

odkryć i brać Nagrody Nobla.

Podług danych kosmologii i astrofizyki ciąg główny Hortegi-Neysla uwzględnia więc tylko graniczną nośność danej biosfery, zwaną też jej skrajnym udźwigniem technologicznym, ale przedział nośności nie zależy od anatomii czy ustrojowych form życia zbiorowego, lecz od fizykochemicznych cech planety, jej ekosferycznej lokalizacji i innych czynników kosmicznych, włącznie z wpływami gwiazdowymi, galaktycznymi i tak dalej. Tam, gdzie biosfera ma kres udźwigu, ciąg główny rozrywa się, co znaczy tylko, że poszczególne cywilizacje są zmuszone do podejmowania globalnych decyzji o swym dalszym losie, a kiedy nie chcą lub nie mogą ich podjąć ratowniczo, giną. Rozryw głównego ciągu pokrywa się z tak zwaną górną ramą okna kontaktu. Ta rama czy granica, zwana też barierą wzrostu, świadczy o tym, że z jednolitego pnia, jakim jest ciąg główny, rozchodzą się gałęzie, albowiem rozmaite cywilizacje w niejednakowy sposób kontynuują dalszą egzystencję. Choć dotąd nie doszło do wymiany informacji z żadnym psychozoikiem, wiadomo z rachuby, że nie istnieje jedna i tylko jedna optymalna decyzja jako najdoskonalsze wyjście z zagrożenia wywołanego uszkodzeniem biosfery przez technosferę. Również zjednoczona cywilizacja nie ma przed sobą jedynej drogi, wyzwalającej ją znakomicie od wszystkich narosłych dylematów i zagrożeń.

Co się tyczy aktualnej sytuacji, jest ona skutkiem niewłaściwych działań, wywołanych przez zejście z programu ekspedycji. Według GODa doszło do serii błędnych kroków, ponieważ kiedy je stawiano, nie wydawały się błędami. Ich dość fatalny bilans ujawnił się dopiero w retrospekcji. Mówiąc ściśle, "Hermes" został wprowadzony w paradoks Arrowa, który polega na tym, że decydent usiłuje realizować konkretne wartości, przy czym każda z nich jest cenna, ale nie są one współwykonalne. W skrajni między maksymalnym ryzykiem i maksymalną ostrożnością powstała wypadkowa, z której niełatwo będzie się wydobyć. GOD nie uważał, iżby dowódca ponosił za powstały impas winę, pragnął bowiem kompromisowo pogodzić ryzyko z przezornością. Po złowieniu kwintańskich orbiterów za Junoną i wykryciu ich wiroidów zboczył z programu w nadmiarową ostrożność, kamuflując statek i nie śląc Kwincie sygnałów, zapowiadających odwiedziny z Kosmosu. Koszt takiej przezorności ujawnia się obecnie.

Drugim błędem było udzielenie "Gabrielowi" nadmiaru autonomii jako zbyt wielkiej inwencji. Paradoksalnie to także wynikało ze zbyt ostrożności i mylnego założenia, że "Gabriel", górując chyżością nad orbiterami bądź raketami Kwinty, wylądował, nie dając się przechwycić. Ażeby mógł rozwinąć taką chyżość, otrzymał teratronowy napęd. By mógł po wylądowaniu reagować właściwie na nieprzewidywalne zachowanie gospodarzy, otrzymał

komputer zanadto inteligentny. Program SETI zakładał wysłanie jako pierwszych lekkich sond, lecz zaniechano tego, gdy dyplomatyczne zabiegi radiowe "Ambasadora" spełzły na niczym. Jakkolwiek nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, że "Gabriel" przeistoczy swój napędowy agregat w implozyjne działo sideralne, to właśnie się stało. Od zbytnej pomysłowości "Gabrielowego" komputera wyskoczyli z programu w matnię. Nie można teraz wysłać dalszych sond, tak jakby nic nie zaszło. Nowy stan rzeczy wymaga nowej taktyki. GOD potrzebuje do jej rozważenia dwudziestu godzin. Na tym stanęło.

Po wieczornym dyżurze pilot nie mógł zasnąć. Przemyślał naradę, z której nic dlań nie wynikło oprócz wzmożonej niechęci do GODa. Ten najwyższy umysł elektroniczny może i władał znakomicie logiką, ale jej efekty były zastanawiające faryzeuszowskie. Zostały popełnione błędy, zeszli z programu, lecz ani dowódca nie zawinił, ani GOD nie ponosił za to najmniejszej odpowiedzialności, czego potrafił ściśle dowieść. Paradoxy Arrowa, brzemienność złymi następstwami kamuflaż, jako zbytek podejrzliwości względem Kwintan, wywołany sabotażową hipotezą pochodzenia wiroidów, jak GOD to teraz wybornie definiował, a kto służył przez cały czas radami dowódcy?

Przypięty do posłania, bo panowała nieważkość, zezłościł się wreszcie tak, że o zaśnięciu nie było mowy. Zaświecił więc punktówkę nad wezłowniem, wyciągnął spod koi wciśniętą tam książkę, *Program Hermesa*, i zabrał się do lektury. Najpierw przekartkował założenia ogólne dotyczące Kwinty. Był to wydruk komputerowy, sporządzony tuż przed startem z "Eurydyki", w oparciu o zebrane i zinterpretowane obserwacje astrofizyczne: Kwintanie dysponują szacunkowo energią rzędu 10^{30} ergów. Tym samym ich cywilizacja znajduje się na podsideralnym poziomie. Głównymi źródłami energii są zapewne reakcje termojądrowe typu gwiazdowego, lecz siłowni NIE wyprowadzono w przestrzeń kosmiczną. Prawdopodobnie energetyka po zużyciu paliw kopalnych podobnie jak ziemską przeszła okres wykorzystania uranidów, których dalsza eksploatacja okazała się nieopłacalna po opanowaniu cyklu Bethego. Wydaje się nieprawdopodobne, aby planeta przeszła w ciągu ostatnich stu lat wojny prowadzone z użyciem broni nuklearnych. Zimna plama równikowa nie mogła być skutkiem takiej wojny. Poatomowa zima nuklearna ogarnąć musi praktycznie całą planetę, gdyż wzbite w stratosferę masy pyłu zwiększają albedo całej tarczy. Przyczyny wstrzymania budowy lodowego pierścienia z oceanicznych wód są nieznanne. Puścił pod palcami stronicę pełną wykresów i tabel, aż znalazł rozdział *Stan cywilizacji — Hipotezy*.

"1. Kwinta cierpi na wewnętrzne konflikty, które współkształtują czynniki technologiczne. Sugeruje to obecność antagonistycznych państw lub innych agregacji. Era jawnych zająć zbrojnych jest już przeszłością i do rozstrzygnięcia typu «zwycięzcy—

zwycięzeni» nie doprowadziła, lecz przeszła z wolna w fazę kryptomilitarną."

W tym miejscu, już na pokładzie "Hermesa", wklejono dodatkowy wydruk, autorstwa GODa: "Jednym z argumentów na rzecz kryptomilitarnego konfliktu są pasożyty dwu satelitów Kwinty. Przy tej interpretacji bloki adwersarzy trwają łącznie w takim stanie, który nie jest ani klasycznym pokojem, ani klasyczną wojną w rozumieniu Clausewitza. Zwalczają się poza frontami starć typu kryptomachicznego, w rodzaju klimatycznych urazów, zadawanych przeciwnikowi, wzajemną erozją katalityczną potencjałów technoprodukcyjnych. Mogło to załamać tworzenie lodowego pierścienia, gdyż wymaga ono globalnej współpracy".

Dalszy wywód pochodził znów z "Eurydyki": "Jeśli istnieją takie zespoły antagonistów i zmagają się nieklasycznie, to kontakt z wszelkim kosmicznym przybyszem może być znacznie utrudniony. *A priori* zdobycie kosmicznego alianta jest mało prawdopodobną możliwością dla każdej ze stron, jeśli są tylko dwie. Nie ma bowiem żadnej racjonalnej przyczyny, jako konkretnej korzyści, którą pozaplanetarny intruz zdobędzie, kiedy zajmie w konflikcie stronę. Kontakt może natomiast okazać się splotką, która cichy, tlejący, ciągły i uporczywie kontynuowany typ walki kryptomachicznej obróci w czołowe pełne zderzenie obu stron i sił. Przykład: Niechaj na planecie T znajdują się bloki A, B i C, zwalczające się nawzajem. Jeżeli B nawiąże kontakt z intruzem, będzie to wyzwaniem dla A i C, które poczują się silnie zagrożone. Mogą albo zaatakować intruza — żeby nie wzmógł potencjału B — albo łącznie zaatakują B. Sytuacja odznacza się bowiem chwiejnością, a w każdej niestabilności dość postronnego czynnika o dużym technicznym potencjale — a taki musi mieć przybysz, skoro wykonał galaktyczny skok — by doszło do eskalacji wrogich działań".

"2. Kwinta jest zjednoczona jako federacja albo protektorat. Nie ma na niej równych siłą antagonistów, gdyż jedna z mocarstwowych stron opanowała całą planetę. Opanowanie takie, czy jako rezultat zwycięskich działań zbrojnych, czy podboju bezwojennego, od poddania się stron słabszych głównej potędze globu, również nie tworzy dobrej stateczności w aspektach strategii kontaktu z galaktycznym intruzem. Nie należy imputować globalnemu mocarstwu ani demonicznych, ani imperialistycznych zamiarów pozaplanetarnej ekspansji. W zamiarach tak modelowanej Kwinty nie leży zniszczenie przybysza, lecz udaremnienie mu nawiązania kontaktu — zwłaszcza lądowania na planecie. Dary technologiczne, jakich można się spodziewać po przybyłym, łatwo mogą okazać się darami zgubnymi. Próby utrzymania w ryzach przybysza, by nie zakłócił panującej równowagi socjopolitycznej, mogą uderzyć rykoszetem właśnie w tę równowagę. Więc i w takim układzie jest odżegnanie się od kontaktu decyzją rozsądną ze stanowiska globalnych władz. Jest to skierowana w kosmos polityka

zwana PERFIS (*Perfect Isolation*), przez analogię do historycznej brytyjskiej *splendid isolation*. Próg informacyjny kontaktu, jaki musi pokonać przybysz, ma nieoznaczoną wysokość.

“3. Według Holgera, Krocha i ich zespołu, również planeta w pełni zjednoczona, na której nie ma ani zwyciężonych, ani zwycięzców, potężnej władzy i zniewolonych poddanych, może nie pragnąć kontaktu. Główne dylematy takiej cywilizacji schodzącej z ciągu Hortegi-Neyssla w pobliżu górnej strefy okna mieszczą się na styku jej kultury i jej technologii. Kultura odznacza się zawsze regulatywnym opóźnieniem wytwarzanych norm prawnych i obyczajowo-etycznych względem technologii w przedsaturacyjnym parabolicznym przyspieszeniu. Technologia umożliwia już to, czego kulturowa tradycja wzbrania i co ma za nienaruszalne.

Przykłady: inżynieria genetyczna stosowana do istot odpowiadających ludziom; regulacja płci; przeszczepy mózgowie itp. Rozpatrywany w świetle tych konfliktów kontakt z przybyszami ujawnia swą ambiwalencję. Strona planetarna, odtrącając kontakt, nie musi tym samym przypisywać intruzom jakichkolwiek nieprzyjaznych zamiarów. Obawy dają się usprawiedliwić rzeczowo. Zastrzyk radykalnie nowych technologii może zdestabilizować społeczne więzi i relacje. Ponadto zawsze w konsekwencjach jest nieprognozowalny. Nie dotyczy to kontaktów radiowych ani wszelkich zdalnych, gdyż odbiorcy sygnałów mogą podług własnego uznania wykorzystać lub zignorować zyskaną informację”.

Był już zmęczony, lecz wciąż nie brała go senność. Przerzucił kilka rozdziałów i czytał ostatni — o procedurze kontaktu. Projekt SETI wziął pod uwagę dotąd przedstawione dylematy jako trudności porozumienia się gościa z potencjalnym gospodarzem. Ekspedycję wyposaża się zatem w specjalne środki łączności oraz w automaty, które również bez uprzednich negocjacji jako zdalnej wymiany sygnałów i wiadomości winny objawić pokojowy charakter wyprawy przed lądowaniem. Procedura wstępna jest wielokrokowa. Pierwszą zapowiedzią przybycia ziemskiego statku będzie emisja na podanych w załączniku zakresach fal radiowych, cieplnych, świetlnych, nadfioletowych i w paśmie korpuskularnym. Zarówno przy braku odpowiedzi, jak po odbiorze niezrozumiałej, ku wszystkim kontynentom będą wysłane ładowniki, których nawodzące sensory mają celować w znaczne skupiska zabudowy.

Było też mnóstwo rycin, schematów i opisów. W każdym ładowniku znajdowała się aparatura nadawczo-odbiorcza oraz dane o Ziemi i jej mieszkańcach. Gdyby i ten krok nie wywołał oczekiwanej reakcji, jako nawiązania łączności, miały lądować wyrzucane z pokładu sondy cięższe, wyposażone w komputery zdolne do udzielania pouczeń, wdrażania w kody

wizualne, taktylne oraz akustyczne. Ta procedura była nieodwracalna, jako że każdy następny krok stanowił kontynuację poprzedniego. Pierwsze ładowniki zawierały indykacyjne emitery jednorazowego użytku, które mogło uaktywnić tylko brutalne zniszczenie ich osłony, nie wywołane awarią bądź twardym lądowaniem, lecz rozmyślnym demontażem bezdyskursywnym. Pilotowi bardzo podobał się tak naukowy sposób określenia sytuacji, w której jakiś jaskiniowiec rozwalalby krzemioną maczugą tranzystorowego posła ludzkości — “bezdyskursywny demontaż” zachodzi i wtedy, pomyślał, kiedy dać komu tak, że mu wszystkie zęby wylecą bez gadania. Indykatory wyhodowane z monokryształów odznaczały się taką odpornością, że mogły wysłać sygnał nawet gdyby ładownik uległ zniszczeniu w ułamkach sekundy, na przykład wysadzony w powietrze materiałem wybuchowym. Dalej program szczegółowo przedstawiał modele owych posłańców, salwy, jakimi należy je synchronicznie kierować w upatrzone lądowiska — ażeby żaden ład, żaden obszar nie został uprzywilejowany albo pominięty, i tak dalej.

Książka zawierała też *votum separatum* kilkusobowej grupy ekspertów SETI, rzeczników skrajnego pesymizmu. Nie ma, twierdzili, żadnych środków materialnych ani przesłań bądź łatwych do rozszyfrowania oświadczeń, których niepodobna, uznać za perfidną osłonę agresywnych zamierzeń. Wynika to po prostu z nieusuwalnych różnic poziomu technologicznego. Zjawisko, zwane w XIX, a jeszcze wyraźniej w XX wieku wyścigiem zbrojeń, przyszło na świat z paleopitekiem, gdy jako maczugi użył długich kości udowych antylop, miażdżąc nimi czaszki nie tylko szympansom, ponieważ był w kategoriach gastronomii kanibalem.

Gdy jednak nauka, rodzicielka przyspieszającej technologii, powstała na skrzyżowaniu śródziemnomorskich kultur, militarne postępy wojujących państw europejskich a potem i pozaeuropejskich żadnemu nie dostarczyły miażdżącej przewagi nad innymi. Jedyne wyjątek z tej reguły to broń atomowa, lecz Stany Zjednoczone utrzymały jej monopol ledwie przez historyczną chwilę.

Natomiast rozziw technologiczny między cywilizacjami w Kosmosie musi być gigantyczny. Co więcej — trafienie na cywilizację wyposażoną rozwojowo tak jak ziemską jest praktycznie niemożliwością.

Było jeszcze w tym grubym tomie wiele uczonych spekulacji. Przybysz, który niedorozwiniętych gospodarzy wprowadzi w arkana sideralnej inżynierii, już by lepiej dawał dzieciom odbezpieczone granaty do zabawy. Jeśli zaś NIE ujawni swej wiedzy, narazi się na posądzenie o dwulicowość, chęć dominowania, więc tak źle i tak niedobrze.

Głębia wywodów zmogła wreszcie czytelnika, który usnął dzięki programowi SETI

tak głęboko, że z książką w ręku i w świetle lampki.

Szedł wąską uliczką, stromo w dół, między domami w słońcu. Przed bramami bawiły się dzieci, w oknach wisiała bielizna na sznurkach. Nierówny bruk pokryty śmieciem, łupinami bananów, ogryzkami przecinał ryszotek błotnistej wody. Daleko w dole otwierał się port, zatłoczony żaglówkami, na plaże leniwie wpływały płytkie fale, wciągnięte na piasek łodzie przedzierały rybackie sieci, morze gładkie po horyzont lśniło smugą słonecznego odbicia. Czuł woń smażonych ryb, moczu, oliwy, nie wiedział, skąd się tu wziął, a właściwie pewno wiedział, to był Neapol, mała śniada dziewczynka biegła, krzycząc za chłopcem, który uciekał z piłką, stawał, udawał, że rzuca jej piłkę i nim go dopadła, zmykał, inne dzieci coś wołały po włosku, wychylona przez okno z piętra kobieta, rozczochrana, w koszuli, ściągała wyschłe halki, spódnice ze sznura rozpiętego nad uliczką, niżej zaczynały się kamienne schody o popękanych płytach.

Naraz wszystko drgnęło, buchnął wrzask, ściany zaczęły się walić, stanął jak wryty w chmurach wapiennego pyłu, oślepiiony, coś runęło za nim, a krzyki, pisk kobiet, łomot cegieł zagłuszył grzmot trzęsienia ziemi. *Terramoto, terramoto*, ten wrzask utonął w drugim, narastającym powoli grzmocie, kawały tynku sypały się na niego, osłonił rękami głowę, poczuł uderzenie w twarz i zbudził się, ale trzęsienie ziemi nie ustało. Olbrzymi ciężar wtłaczał go w pościel, usiłował się poderwać, przypięte pasy trzymały, książka trafiła go w czoło i poleciała w strop, to był "Hermes", nie Neapol, ale grzmiało i ściany kładły się, czuł, jak cała kajuta chodzi, zawisł, światło lampki migotało, widział otwartą książkę, sweter rozplaszczony na stropie pod nim, z odwróconych półek leciały rulony filmów, to nie był sen — ani grzmoty. Ryczały syreny alarmowe. Światło osłabło, zapłonęło, zgasło, w kątach sufitu, teraz podłogi, zapaliły się awaryjne świetlówki, usiłował znaleźć zaczepy pasów, żeby się odpiąć, klamry nie puszczały, parte jego piersią, w ręce wlewał mu się ołów, krew uderzyła do głowy, przestał się szamotać, rzucało nim, ciężkość biła tak, że raz wpierało go w pasy, raz w koję. Zrozumiał. Czekał. Czy to koniec?

O tej porze — minęła północ — w ciemni nie było nikogo. Kirsting usiadł przed zgaszonym wizoskopem, przypiął się po omacku, jak ślepiec odnalazł kontakty i puścił taśmę w ruch. W biały prostokąt podświetlacza wchodziły jedno po drugim prawie czarne zdjęcia tomograficzne, z kłębowiskiem jaśniejszych krągłych zarysów, podobne do rentgenowskich cieni, klatka po klatce przesuwały się, aż zatrzymywał taśmę. Przeglądał powierzchniowe spinogramy Kwinty. Obracał delikatnie mikrometryczną śrubą, by znaleźć najlepszy obraz. W

środku krzaczaste skupisko, niby jądra atomowego, kiedy trafione rozlatuje się promienistymi odłamkami. Przesuwał obraz z bezpostaciowej mlecznej plazmy w centrum ku jej rozrzedzonemu obrzeżu. Nikt nie wiedział, czy to może być mieszkalna zabudowa, rodzaj ogromnego miasta, a na tej klatce filmu widać jej przecięcie, wyrysowane nukleonami pierwiastków cięższych od tlenu. Takie warstwicowe prześwietlenie astronomicznych obiektów, znane z dawien dawna, okazywało się skuteczne tylko wobec ostygłych w czarne karły gwiazd i planet. Przy całej znakomitości spinowizja miała granice. Rozdzielczość nie starczyła do wyróżnienia pojedynczych kośćców, nawet gdyby przekraczały rozmiarami gigantozaurowi mezozoiku i kredy. Na przekór temu usiłował rozpoznać szkielety stworzeń kwintańskich — i chyba tylko te, co odpowiadają ludziom, wypełniały owo niby-miasto — jeśli było wielomilionową metropolią. Dochodził krańca rozdzielczości i przekraczał go. Wtedy drobnutki widemka, złożone z białawo drżących włókien, rozsypywały się. Ekran mżył chaosem znieruchomiałej granulacji. Więc najdelikatniej, jak mógł, cofał mikrometryczną śrubę i tamten mgławki obraz wracał. Wybierał najostrzejsze spinogramy krytycznego południka, nakładał je na siebie, aż wypukłe kontury Kwinty pokrywały się jak cały plik rentgenowskich zdjęć tego samego obiektu, zrobionych migawkową serią i złożonych razem. Rzekome miasto leżało na równiku, spinografie zostały wykonane wzdłuż osi własnego pola magnetycznego Kwinty, po stycznej, tam gdzie atmosfera kończy się u planetarnej skorupy, więc jeśli to była zabudowa trzydziestomilowej rozciągłości, zdjęcia przeszywały ją na wskroś, jakby rentgenem ustawionym na jednym przedmieściu prześwietlić wszystkie ulice, place, domy w stronę przeciwległego. Niewiele to dawało. Patrzący na tłumy ludzkie z góry widzi je w pionowym skrócie. Patrząc w płaszczyźnie horyzontalnej, ujrzy tylko najbliższych, w wylotach ulic. Prześwietlony tłum ukaże się jako bezład mnóstwa kośćców. Co prawda istniała możliwość odróżnienia zabudowań od przechodniów. Zabudowa nie poruszała się, więc wszystko, co na tysiącu spinogramów trwało w bezruchu, usunęła filtracja. Pojazdy też dało się usunąć, retuszem, likwidującym to, co poruszało się szybciej niż idący pieszo człowiek. Gdyby miał przed sobą wielkie miasto ziemskie, znikłyby ze zdjęć zarówno domy, mosty, zakłady przemysłowe, jak auta czy pociągi, i zostałyby tylko cienie przechodniów. Przesłanki tak silnie geo- i antropocentryczne miały nader wątpliwą wartość. Mimo to liczył na szczęśliwy traf. Kirsting tyle razy zachodził nocą do ciemni, tyle razy przepatrywał zwoje zdjęć i wciąż nie utracił nadziei przypadkowego odkrycia, jeśli wybierze i nałoży na siebie odpowiednie spinografie. Żeby ujrzeć chociaż niepewnie, choćby w przymglonym zarysowaniu szkielety tych istot. Czy mogły być człekokształtne? Czy należały do kręgowców? Czy w ich kośćcach podpórę tworzył wapń w mineralnych związkach, jak u

ziemskich kręgowców? Egzobiologia uznawała człekokształtność za nieprawdopodobną, lecz osteologiczne podobieństwo do szkieletów ziemskich za możliwe, z uwagi na masę planety, więc jej ciężenia, na skład atmosfery, sugerujący obecność roślin. O nich świadczył wolny tlen, a rośliny nie zajmują się astronautyką ani produkowaniem rakiet.

Kirsting nie liczył na człekokształtną budowę kości. Utworzyły ją zawile powikłane tory ziemskiej ewolucji gatunków. Zresztą nawet dwunożność i wyprostna postawa nie potwierdziłyby antropomorfizmu. Przecież tysiące kopalnych gadów chodziły na dwu nogach i gdyby sporządzić spinografie gromady gnających iguanodonów, w planetarnej skali i odległości nie odróżniłyby się ich od maratończyków. Czułość aparatury wykroczyła daleko poza najśmielsze wyobrażenia ojców spinografii. Mógł po wapniowym rezonansie dostrzec skorupkę kurzego jajka oddalonego o sto tysięcy kilometrów. Zapatrzonemu chwilami wydawało się, że wśród mętnych plam widzi mikroskopijne niteczki jaśniejsze od tła, jak sfotografowany przez teleskop, znieruchomiały taniec Holbeinowskich kościotrupów. Zdawało mu się, że jeśli wzmocni powiększenie, zobaczy je naprawdę i przestaną być tym, co dopowiadał drżącym włókienkom, tak niepewnym i chwilowym, jak kanały, które widzieli dawni obserwatorzy Marsa, ponieważ bardzo chcieli je zobaczyć. Gdy wpatrywał się w zgrupowanie słabych zastygłych iskierki zbyt długo, zmęczony wzrok ulegał jego woli i niemal już mógł postrzec mleczne kropki czaszek i cieńsze od włosów kości pacierzowych stosów i kończyn. Starczyło jednak zamrunąć piekącymi od wytężenia oczami, by złudzenie prysło.

Wyłączył aparat i wstał. Zacisnąwszy w zupełnej ciemności powieki, przywołał ledwie co oglądany obraz i znów zafosforyzowały w aksamitnej czerni drobne kościane zjawy. Niby niewidomy puścił trzymane oparcie i popłynął ku rubinowemu światelku nad wyjściem. Oślepiony po długim przebywaniu w mrokach jasnością korytarza, zamiast ruszyć ku windzie, wparł się we wnękę drzwi, wysłaną grubopianowym obiciem, i to go uratowało, kiedy wraz z grzmiotem uderzył go grawitacyjny cios. Nocne jarzeniówki zgasły, wzdłuż obracającego się ze statkiem korytarza zapłonęły światła awaryjne, ale tego już nie widział. Stracił przytomność.

Steergard po naradzie nie kładł się spać, bo wiedział, że GOD, bez względu na to, ile wykoncypuje taktyk, postawi go przed wyborem, dającym się sprowadzić do alternatywy nieobliczalnego ryzyka lub odwrotu. Zachował przy dyskusji pozór stanowczości, ale gdy został sam, poczuł się bezradny jak nigdy do tej nocy. Coraz trudniej przychodziło mu opierać się chęćce, aby wybór powierzyć losowi. W jednej ze ściennych szafek kajuty miał wśród

osobistych drobiazgów starą, ciężką monetę, odlaną z brązu, z profilem Cezara i pękiem fascii na rewersie, pamiątkę po ojcu, numizmatyku. Otwierając szafkę, wciąż nie był pewien, czy w taki sposób powierzy statek, załogę, cały los tej wyprawy największej w ludzkich dziejach monecie, chociaż pomyślał już, że różgi liktorskie oznaczają ucieczkę — czymże innym byłby odwrót? — a zatarty profil masywnej twarzy to, co może będzie ich zgubą. Pokonał wewnętrzny opór, otwierając w półmroku szafkę i po omacku wydobył spomiędzy przegródek płaski futerał monety. Obracał wyjętą w palcach. Czy miał prawo...? Rzut nie był możliwy przy nieważkości. Wcisnął monetę w stalowy spinacz papierów, włączył elektromagnes umocowany pod płytą biurka, by przytrzymywał fotogramy czy mapy dzięki stalowym kubikom, służącym za przyciskacze. Rozsunął na boki sterty wydruków, taśm, i jak chłopiec, którym był kiedyś, puścił monetę jak bąka. Kręciła się na ostrzu spinacza coraz wolniej, zataczając niewielkie koła, aż upadła przyciągnięta i ukazała rewers. Odwrót. Aby usiąść, chwycił poręcz obrotowego fotela i ledwie jego kombinezon przywarł do oparcia, poczuł, nim to sobie uświadomił, wstrząs, zrazu nikły, potęgujący się, aż olbrzymia siła zmiotła filmy, papiery, przyciskacze i ciemnobrazową monetę z biurka, a jego wtłoczyła w fotel. Przeciążenie narosło momentalnie. Ciemniejącym wzrokiem, bo krew już odpływała mu od oczu, widział jeszcze rozmazujące się od błyskawicznych drgań światło okrągłej lampy ściennej, słyszał, czuł, jak przez stalowe ściany, pod ich wyściółką, przeszło głuche sieknięcie wszystkich fug, spoin i jak przez hałas lecących zewsząd nie umocowanych przedmiotów, aparatów, sztuk odzieży przebija się daleki ryk alarmowych syren, jakby to nie ich membrany wyły, lecz sam okręt, ugodzony w stu osiemdziesięciu tysiącach ton swej masy, i kiedy słyszającego to zawroźnienie i przeciągły grom oślepił straszliwy ciężar, wtłaczał nalane ołowiem ciało w głąb fotela, poczuł w ostatnim mgnieniu ulgę.

Tak. Ulgę, ponieważ odwrót nie wchodził już w grę.

Wzrok wrócił mu po kilkunastu sekundach, chociaż grawimetr pokazywał jeszcze czerwone kreski skali. "Hermes" nie został trafiony wprost. To było niemożliwe. Cokolwiek go staranowało, czuwający zawsze GOD odparował atak, wyprowadzony tak zręcznie i niewidzialnie, że — wyzbyty czasu na dobór miarkowanej osłony — sięgnął po ostateczność. Wał grawitacji niczym nie mógł zostać przebity w tym Kosmosie, tylko singularnością — więc "Hermes" ocalał, lecz potęga tak nagłej riposty musiała dać rykoszet i jak działo, rażone odrzutem przy strzale, cały statek w epicentrum wylądowania sideratorów zadygotał, choć przyjął ledwie ułamkową część wyrzuconych mocy. Steergard, ani próbując wstać, bo ciało miał wciąż jak pod prasą, szeroko rozwartymi oczami widział, jak delikatnie drząc duża wskazówka milimetr po milimetrze spełza z czerwonego sektora okrągłej skali. Napięte do

ostateczności mięśnie okazywały już posłuch. Grawimetr opadł ku czarnej dwójce i tylko alarmowe syreny wciąż zawodziły jednostajnie na wszystkich pokładach.

Oburącz odpychając się od poręczy z trudem wy dostał się z fotela, i kiedy stanął, zmuszony oprzeć się garściami o krawędź biurka — jak małpa, przywykła wspomagać nogi w przygarbieniu rękami (nie wiedział, skąd mu się wzięła podobna myśl w tym momencie) — zobaczył wśród bezładnie ciśniętych na podłogę filmów i map ojcowską monetę, która dalej pokazywała reszkę, czyli odwrot. Uśmiechnął się, bo tę decyzję przebił już wyższy atut. Grawimetr białą tarczą stał na jedynce i wolno ją opuszczał. Musiał spieszyć do sterowni, dowiedzieć się najpierw o ludzi, był już u drzwi, kiedy raptem odwrócił się, podniósł monetę i wetknął ją do szafki. Nikt nie miał się dowiedzieć o chwili jego słabości.

Nie była to w kategoriach gier słabość, bo gdy brak minimaksowych rozwiązań, nie ma decyzji lepszych nad czysto losowe. Mógł się więc choć przed sobą usprawiedliwić z tego postępuku, ale nie chciał. W połowie tunelowego korytarza wróciła nieważkość. Wezwał windę. Wszystko zostało rozstrzygnięte. Nie chciał walki, ale znał swoich ludzi i wiedział, że prócz Piotrowego delegata nikt nie pogodzi się z ucieczką.

DEMONSTRACJA SIŁY

Rozpoznać środków użytych w ataku nie udało się, bo czymkolwiek były, ich ostatek znikł z czasoprzestrzeni, zapis osłonowej pamięci GODa wyjawiał fizykom to, co przypuszczali. Ponieważ wszechkierunkowe czujniki omiały wokół "Hermesa" próżnię aż po zewnętrzny perymetr obrony, mogły wykryć radarowe echa cząstek milimetrowego rozmiaru w promieniu stu tysięcy mil. Udar nie był promienny — taki pozostawiłby widmowy prążek. Nagłe powstanie kilkudziesięciu obiektów o zamglonych krawędziach wokół "Hermesa", jako roju, mknącego koncentrycznie ku statkowi, i to omal równoczesne, zdawało się zrazu zagadką. Powstały w znikomej odległości, rzędu jednej do dwóch mil. Fizycy, zdani na domysły, rozważyli sposoby niepostrzeżonego przeniknięcia czujnej osłony. Doszli trzech wariantów. Obłoki cząsteczek, nie większych od bakterii, mogły zewrzeć się we wielotonowe masy, co zakładało nie byle jaką umiejętność produkowania samozwornych drobin, wysterowanych na cel w silnej dyspersji. Coś na kształt chmur, mikrokryształków, z należywym opóźnieniem, już wewnątrz perymetru, stłaczających się w lawinę.

Poszczególne drobiniki nie skondensowane byle jak, lecz formowane własną interakcją w pociski, musiała cechować nader subtelna budowa. Na dziewięć sekund przed udarem okrętowe magnetometry zarejestrowały skok pola magnetycznego wokół burt. Osiągnęło w szczycie miliard gausów i spadło po kilku nanosekundach prawie do zera. Przeciw temu przypuszczeniu przemawiał brak jakiegokolwiek aktywności elektromagnetycznej uprzednio. Fizycy nie umieli zaproponować mechanizmu kreacji pola o takim natężeniu, którego źródła, bez wcześniejszego ujawnienia, uszłyby wrażliwości czujników. Teoretycznie przez osłonę mogły przeniknąć dipole, jeśli ich chmura neutralizowała się wzajemną orientacją bilionów molekuł. Ta rekonstrukcja ataku zakładała technologię nigdy dotąd nie zaprojektowaną, więc i nie wypróbowaną eksperymentalnie na Ziemi.

Drugą ewentualność przedstawiał wysoce spekulatywny sposób wykorzystania kwantowych efektów próżni. W tym ujęciu żadnych cząstek materialnych nie przemycono

przez ochronną barierę i nie było na całym sferycznym przedpolu ani jednej drobiny. Próżnia fizyczna zawiera bezlik cząstek wirtualnych, które mogą się zmaterializować przy udarowym zasilaniu energią przyłożoną z zewnątrz. Obraz ten zakładał otoczenie statku poza wykrytym promieniem osłony generatorami najtwardszego pasma nadrentgenowskiego gamma i wyładowanie dośrodkowe, które na kształt kulistej, kurczącej się z chyżością światła fali dało dokładnie na styku z ochroną tunelowy efekt: kwanty energii wyłoniłone dokoła statku wycisnęły z próżni dość hadronów, by runęły zewsząd na "Hermesa". Metoda realna, wymagająca jednak wyrafinowanej aparatury, z precyzyjną dyslokacją w przestrzeni, oraz doskonałego zamaskowania orbiterów. Wydawało się to mało prawdopodobne.

Trzeci wariant brał wreszcie pod uwagę zastosowanie ujemnej energii poza perymetrem obrony, lecz wymagał opanowania inżynierii sideralnej i to w jej makrokwantowej postaci, z uprzednim zassaniem mocy od Słońca, ponieważ siłownie, zdolne rozwinać niezbędną moc na planecie, już przy rozruchu ujawniłyby "Hermesowi" swą obecność resztkowym termicznym nagrzewem dookólnych terenów.

GOD w pełni zaskoczenia uciekł się do grawitacyjnej deski ratunku. Sięgnąwszy po całą dyspozycyjną moc obu głównych siłowni, opasał statek toroidalnymi obręczami ciężenia. Wewnątrz owych torusów, niby w centrum skrzyżowanych opon samochodowych, tkwił "Hermes", a skierowane weń pociski wpadły w przestrzeń ze Schwarzschildową krzywizną. Ponieważ każdy obiekt materialny wpadający w nią traci wszystkie cechy fizyczne prócz elektrycznego ładunku, momentu obrotowego i masy, stając się bezforemną cząstką mogiły grawitacyjnej, nie pozostał żaden ślad po zastosowanych środkach ataku. Użyte jako nieprzebijalny pancerz torusy istniały tylko przez kilkanaście sekund, co kosztowało okręt 10^{21} dżuli. "Hermes" nie podzielił losu "Gabriela", czyli nie unicestwił się samoobroną dzięki toroidalnej konfiguracji impulsowych wałów grawitacyjnych. Ponieważ jednak nie można ich ogniskować ostro tuż przy emitorze, statek przyjął około jednej stutysięcznej wyzwolonej energii. Już kilka dwudziestotysięcznych zmiażdżyłoby go jak młot puste jajko-wydmuszkę.

Ludzie wyszli z tej opresji cało; prócz Steergarda i Kirstinga wszyscy spali czy przynajmniej leżeli przypięci w kojach jak Tempe. Statek nie miał bitewnego wyposażenia. Polassar żądał — cokolwiek ma nastąpić — wejścia na peryhelium, by uzupełnić moc, straconą przez odparcie ataku. Po drodze przeciął "Hermes" obłok rozrzedzonego gazu, wzięty za rozwiewającą się w słonecznym wicherze protuberancję, lecz sensory dały znać, że do pancerza przywarły niezliczone molekuly i nagryzają go katalitycznie. Pobrane próbki ujawniły ich specyficzną zjadliwość, pokrewną znanym już wiroidom. Steergard uczynił więc to, co nazwał w rozmowie z apostołskim delegatem "zdjęciem przyłbicy". "Hermes" rozmiótł

obłok serią termicznych udarów, a przywarte do burt erowirusy zniszczył najprościej: z chłodniami u szczytu wydajności przemknął wirując jak pieczeń na rożnie przez wierzch protuberancji Słońca, rozpostartej ledwie o świetlne sekundy nad fotosferą, po czym zredukował prędkość do stacjonarnej i, zwrócony ku Dziecie rufą, otworzył energochłony. Część tankowanej energii wspierała chłodnie, resztę wsysały sideralne agregaty.

W tym czasie załoga rozpadła się na trzy grupy.

Harrach, Polassar i Rotmont uznali przygodę z obłokiem za drugi atak Kwintan. Kirsting i El Salam wzięli ją nie za skierowane w nich rozmyślne uderzenie, lecz za swego rodzaju przypadek — jakby “Hermes” dostał się w zaminowany teren, uzbrojony na długo przed ich przybyciem. Nakamura stał na pośrednim stanowisku: chmura nie była ani pułapką zastawioną na “Hermesa”, ani na kwintańskie orbitery, lecz tworzyła “śmietnik” mikromachicznych broni, używanych w celach militarnych nad planetą, a do peryhelium zagnał je dryf grawitacyjny Słońca, wbrew zamiarom wojujących stron.

Arago milczał. GOD zajmował się programowaniem dostępnych strategii działań odpornych, zaczepnych i porozumiewawczych. Preferencji nie udzielał żadnym: dane dla optymalizacji każdej z tych procedur były nazbyt skąpe.

Gerbert uważał za jedyne wyjście rezygnację z kontaktu, z demonstracji siły, lecz odmówił sobie kompetencji uczestnictwa w coraz ostrzejszych sporach. Tempe, wezwany przez dowódcę, gdy uzupełniali ubytek mocy, powiedział, że nie jest ekspertem SETI i że nie dowodzi statkiem.

— Tutaj nikt nie jest ekspertem — co chyba zdążyłeś zauważyć? — odparł Steergard.
— Ja również. Mimo to każdy coś sobie myśli. Ty też. Nie czekam twojej rady, tylko opinii.

— GOD wie lepiej — uśmiechnął się pilot.

— GOD przedstawi dwadzieścia taktyk albo sto. Nic więcej nie zrobi. Wiem, że wiesz tyle samo, co nasi eksperci razem z GODem. Minimum ryzyka leży w odwrocie.

— Pewno, że tak — Tempe, siedząc naprzeciw dowódcy, wciąż się uśmiechał.

— Co w tym zabawnego? — spytał Steergard.

— Czy pan pyta mnie prywatnie, astrogatorze, czy to jest rozkaz?

— Rozkaz.

— Sytuacja na pewno nie jest wesoła. Ale poznałem już pana wystarczająco, żeby powiedzieć, czego nasz dowódca na pewno nie zrobi. Nie uciekniemy.

— Jesteś tego pewien?

— Zupełnie.

— Dlaczego? Czy uważasz, że zostaliśmy zaatakowani jeden raz, czy dwa?

— To wszystko jedno. Tak czy owak nie chcą kontaktu. Nie mam pojęcia, co mają jeszcze w zanadru.

— Wszelkie próby będą niebezpieczne.

— Jasne.

— A więc?

— Widocznie lubię niebezpieczeństwa. Gdybym nie lubił, leżałbym od paruset lat pod nagrobkiem na Ziemi, bo umarłbym w łóżku, otoczonym stroskaną rodziną.

— Inaczej mówiąc, uważasz demonstrację siły za konieczność?

— Tak i nie. Za ostateczność, której nie da się uniknąć.

Przyciśnięty stalowym kubikiem, na biurku Steergarda leżał plik zadrukowanych arkuszy, z wykresem na pierwszej stronie. Pilot poznał go. Przed godziną dostał kopię od El Salama.

— Pan to już przeczytał?

— Nie.

— Nie? — zdziwił się pilot.

— Jeszcze jedna hipoteza fizyków. Chciałem najpierw porozmawiać z tobą.

— Proszę przeczytać. Hipoteza, pewno. Ale mnie trafiła do przekonania.

— Możesz odejść.

Rzecz, opatrzoną tytułem *Układ Dzety jako sferomachia kosmiczna*, podpisali Rotmont, Polassar i El Salam. “Cywilizacja, która nie tylko zniszczyła sobie łączność bezprzewodową, w rodzaju radiowej i telewizyjnej, wypełniwszy całą jonosferę białym szumem, dławiącym wszelki sygnał, lecz ponadto inwestuje lwią część globalnej produkcji i energii w wytwarzanie broni, zapelniających jej pozaplanetarną przestrzeń, taka cywilizacja wydaje się niemożliwa jako absurdalna. Należy jednak zważyć, że ów stan nie został przez nią ani świadomie planowany, ani osiągnięty rozmyślnie, powstał bowiem stopniowo przez eskalację konfliktu. Za wyjściową uznajemy sytuację, w której wojna wielkofrontowa, toczona na powierzchni planety, stała się równa totalnej zagładzie. Po dojściu do tego krytycznego punktu wyścig zbrojeń uległ wypchnięciu w Kosmos. Tak więc żadna z antagonistycznych stron nie zmierzała do przekształcenia całego systemu słonecznego w wojenną sferę o monstrualnych rozmiarach, lecz działała kolejnymi krokami, kontrując posunięcia adwersarzy. Gdy doszło do konfrontacji w przestworzu kosmicznym, nic już nie mogło powstrzymać jej wzrostów ani tym bardziej zlikwidować ich dla definitywnego zawarcia pokoju.

Analiza symulacyjna wedle teorii gier o niezerowej funkcji wypłaty ujawnia bowiem

w przypadku takich zmagania, że przy braku ufności w moc zawieranych traktatów rozbrojeniowych istnieje pułap możliwego porozumienia adwersarzy poprzez negocjacje. A to, gdyż porozumienie, pod nieobecność ufności w dobrą wolę przeciwnika, ufności, klasycznie zwanej *pacta sunt servanda*, wymaga wzajemnej kontroli zbrojeń, czyli udostępnienia własnego terytorium ekspertom wroga.

Kiedy jednak wyścig w osiągnięciu coraz większych bitewnych sprawności wchodzi na tor mikrominiaturyzacyjny, kontrola bez zaufania traci skuteczność. Zbrojownie, laboratoria i arsenały można wtedy ukryć niezawodnie. Wówczas niepodobna uzyskać porozumienia ani na minimalnie ważkim poziomie wzajemnej ufności (że ten, kto zaniecha innowacji mikrobroni, tym samym nie wchodzi na pozycje rychłej przegranej), ani tym bardziej nie można likwidować posiadanego uzbrojenia w oparciu o zapewnienie antagonistów, iż tak postępują.

Powstaje pytanie: czemu zamiast prognozowanej ongiś na Ziemi ery biomilitarnych metod walki trafiliśmy na martwą sferomachię wokół Kwinty?

Zapewne przez to, że adwersarze osiągnęli już i w domenie biologicznych broni potencjał zdolny zgładzić całą biosferę, jak poprzednio mogła ją zgładzić strategiczna wymiana ciosów nuklearnych. Tym samym nikt już nie może użyć ani tych, ani tamtych broni jako pierwszy.

Co się tyczy kryptomilitarnej makroalternatywy, czyli zadawania pseudonaturalnych klęsk żywiołowych wrogom przez manipulację klimatem albo sejsmizmami, akty takie być może zachodziły, lecz nie mogły przynieść strategicznego rozstrzygnięcia, albowiem ten, kto umie działać kryptomilitarnie sam, umie rozpoznać analogicznie działania, jeśli doświadczy ich od przeciwników".

Po tym wstępie autorzy prezentowali model sferomachii. Model stanowi kula z Kwintą jako środkiem. Pradawne wojny lokalne przeszły w wojny światowe, a po nich — w wyścig wynalazcze przyspieszonych zbrojeń na lądzie, w wodzie i w powietrzu. Kres wielkim wojnom konwencjonalnym położyła atomistyka. Odtąd bezwojenny wyścig miał trzy składowe: narzędzi zagłady, narzędzi ich łączności oraz narzędzi kierowanych przeciwko dwu pierwszym.

Powstanie sferomachii zakłada obecność sztabów operacyjnych, odpowiadających innowacją techniczną na postęp adwersarzy, na anachronizację dyspozycyjnych arsenałów i metod ich skoordynowanego użycia.

Każdy z tych etapów ma swój pułap. Ilekroć antagoniści dosięgają go, nastaje czasowa równowaga sił. Wówczas któraś ze stron usiłuje przebić pułap. Za pułap fazy

przedkosmicznej można uznać stan, w którym każda ze stron potrafi tak zlokalizować, jak zniszczyć środki przeciwnika, służące czy to do zadania pierwszego ciosu, czy też do repliki odwetem po ataku. U krańca tej fazy stają się narażone na zniszczenie zarówno balistyczne pociski globalnego zasięgu, umieszczone głęboko w skorupie planetarnej, jak ruchome wyrzutnie na lądach oraz skryte pod oceanem — już to na jednostkach pływających, już to osadzone w podmorskim dnie.

W tak powstałej równowadze wzajemnego rażenia najczulszym ogniwem staje się system łączności, wyprowadzony w próżnię satelitami rozpoznania i śledzenia, czyli dalekiego zwiadu, oraz więź tych satelitów ze sztabami i środkami bojowymi. Aby wyprowadzić i taki system spod zaskakującego uderzenia, które go rozerwie czy oślepi, tworzy się następny — wyższego orbitalnego rzędu. Przez to sferomachia zaczyna się rozprężyć. Im jest większa, tym bardziej wrażliwa na destrukcję staje się jej łączność ze sztabami naziemnymi. Sztaby usiłują wyjść spod tego zagrożenia. Jak morskie wyspy są niezatapialnymi lotniskowcami w erze walk konwencjonalnych, tak najbliższy glob, więc Księżyc, staje się niezniszczalną bazą dla strony, która zawładnie go pierwsza militarnie. Ponieważ Księżyc jest tylko jeden, ledwo oładnie nim któraś strona, druga, by usunąć nowy wzrost zagrożenia, musi albo skoncentrować się na środkach zagważdżających łączność planety z Księżycem, albo wyprzeć z niego wrogów inwazją.

Jeśli siły inwazorów i obrońców twierdzy księżycowej są z grubsza równe, nikt nie może w pełni opanować trabanta. Prawdopodobnie to właśnie zaszło, gdy instalacja baz była jednostronnie w toku. Zaszachowani musieli porzucić Księżyc, a szachującym nie starczyło sił, aby go okupować.

Odwrot mógł mieć też inną przyczynę: nowe postępy rozrywania zdalnej łączności. Jeżeli do tego doszło, Księżyc stracił wartość strategiczną jako pozaplanetarna baza dowódcza dla operacji wojennych.

Abstrakcyjnym modelem kosmomachii jest przestrzeń wielofazowa o krytycznych powierzchniach przejść z fazy wszechstronnie osiągniętej w fazę następną. Rozdymając się już astronomicznie, sferomachia narzuca antagonistom bezprecedentalne w ich dziejach metody walki.

Jedyną optymalną strategicznie reakcją na posiedzie przez adwersarzy potencjału rozerwania połączeń operacyjnych sztabów z ich bazami i bronią na lądzie, w wodzie, w powietrzu i w Kosmosie jest udzielanie własnym broniom i bazom rosnącej autonomii bitewnej.

Powstaje sytuacja, w której wszystkie sztaby znają daremność scentralizowanych

operacji dowódczych. Rodzi ona pytanie: jak kontynuować zaczepnoodporne strategie przy braku łączności z własnymi siłami na planecie i w Kosmosie?

Nikt sam sobie kanałów rozpoznania i dowodzenia nie zagwaźdza. Dzieje się to od tak zwanego efektu zwierciadła. Każdy czyni drugiemu, co mu niemiłe, rwąc mu łączność i otrzymuje analogiczną odpłatę. Po zmaganiu o celność i moc balistycznych pocisków przychodzi zmaganie o osłonę łączności. Pierwsze było gromadzeniem środków destrukcji i groźbą ich użycia. Drugie zmaganie jest "wojną łącznościową". Bitwy o rwanie i ratowanie łączności są realne, choć nie pociągają za sobą ani zniszczeń, ani krwawych ofiar. Stopniowo zapelniając kanały radiowe szumem, adwersarze tracą kontrolę nad własnymi broniąmi w ich dyslokacji oraz kontrolę nad uzbrojeniem i operacyjną gotowością przeciwników.

Czy znaczy to, że sparaliżowanie dowódczej sprawności sztabów przenosi bitwy w Kosmos jako pole ciągłych ataków i kontrataków usamodzielnionych broni? Czy zadaniem tych broni jest autonomiczne niszczenie orbiterów wroga? Nic podobnego. Prymat walki o łączność trwa. Przeciwnik musi być wszędzie oślepiany.

Najpierw powstaje nieprzekraczalny próg czołowego zderzenia sił na planecie — gdy moc ładunków, balistyczna celność i potencjalny skutek obu — śmiertelna zima nuklearna — równa się nieuchronnemu zakończeniu wojny.

Niezdolni uczynić nic innego przeciwnicy niszczą sobie wzajem kontrolę nad arsenałem. Wszystkie zakresy fal radiowych ulegają zagłuszeniu. Całą pojemność przesyłowych kanałów wypełnia szum. Przez dość krótki okres wyścig staje się licytacją mocy zagłuszających przeciw mocom sygnalizacji zwiadowczorozkazodawczej. Lecz i ta eskalacja, przebijająca szum silniejszym sygnałem i z kolei zagłuszająca szumem sygnał, prowadzi do impasu.

Jakiś czas rozwija się jeszcze łączność maserowa i laserowa. Lecz paradoksalnie wojna elektroniczna przez wzrost emisyjnych mocy i tutaj wiedzie do pata: lasery, dość potężne, aby przebić osłony, stają się z rozpoznawczych — destrukcyjnymi. Mówiąc obrazowo, jakby ślepiec we mgle coraz gwałtowniej wymachiwał swoją białą laską. Z narzędzia służącego orientacji laska zmienia się w maczugę.

Przewidując bliski pata, każda strona pracuje nad produkcją takich broni, które rozwiną autonomię taktyczną a potem i strategiczną. Środki bojowe zdobywają niezależność od ich budowniczych, operatorów i baz dowódczych. Gdyby głównym zadaniem tych broni już jako miotanych w Kosmos było niszczenie ich antagonistycznych odpowiedników, starcie, wszczęte w dowolnym miejscu sfery, stałoby się splotką batalii, jak stepowy pożar rozszerzającej się aż ku powierzchni samej planety, co doprowadziłoby do globalnej wymiany

ciosów najwyższej mocy, więc do zguby. Toteż owe bronie nie powinny wdawać się z sobą w gwałtowne starcia. Mają się nawzajem szachować, a jeśli niszczyć, to podstępnie, jak zarazki, a nie jak bomby. Ich maszynowa inteligencja usiłuje zniewolić inteligencję wrogich broni, porażać ją albo — za pośrednictwem tak zwanych mikrowirusów programowych — powodować “dezercję” orbiterów drugiej strony, co w historii ziemskiej ma daleki historyczny odpowiednik w postaci janczarów: dzieci, jakie Turcy, porwawszy z atakowanych narodów, wcielali do własnej armii.

Przedstawiony model sferomachii jest silnym uproszczeniem. Wszystkim fazom jej rozrostu towarzyszyć mogą akcje desantowe, szpiegowskie, terrorystyczne, infiltracyjne, kamuflażowe i manewry, pozorujące działania po to, by oszukanego przeciwnika wprowadzać w błąd, wielce dla niego kosztowny lub nawet samozgubny. Łączność przewodowa oraz elektroniczne środki impulsowe pozwalają adwersarzom na planecie zachować scentralizowaną sztabowo sprawność w pewnym zasięgu — którego nie możemy ustalić tym bardziej, że ten zasięg zmienia się pod wpływem innowacji technicznych. W słowniku naszych pojęć brak określenia dla sferomachii kwintańskiego typu, nie jest ona bowiem ani wojną, ani pokojem, stanowiąc permanentny konflikt, angażujący przeciwników i wyczerpujący ich zasoby.

Czy zatem można uznać sferomachię za kosmiczny wariant wojny materiałowej, w której przegrywa strona słabsza surowcowo, energetycznie i wynalazcze? Na to konwencjonalne pytanie pada niekonwencjonalna odpowiedź. Mieszkańcy planety nie dysponują ani nieskończonymi rezerwami kopalin, ani niewyczerpywalnymi źródłami energii. Aczkolwiek jedno i drugie ograniczają czas trwania konfliktu, nikomu nie gwarantują zwycięstwa. Model ostatniej fazy stanowi po prostu gwiazda.

Gwiazda, jak wiadomo, zawdzięcza swe istnienie termojądrowym reakcjom przemiany wodoru w hel, zachodzącym w jej jądrze przy milionowych ciśnieniach i temperaturach. Po wypaleniu wodoru w centrum gwiazda poczyna się kurczyć. Jej ciężenie stłacza ją, podwyższając temperaturę w centrum, co umożliwia zapłon nuklearnych reakcji węgla. Zarazem na okoku wewnętrznej kuli helu, która jest “popiołem” wypalonego wodoru, reakcja jego resztek biegnie dalej i ten sferyczny front ognisty rozdyma się w gwieździe coraz bardziej. W końcu dynamiczna równowaga ulega gwałtownemu naruszeniu i gwiazda wybuchowo zrzuca zewnętrzne powłoki gazowe.

Otóż podobnie jak w starzejącym się słońcu powstaje sfera rozdymana przez kolejne syntezy wodoru w hel, helu w węgiel i tak dalej, w międzyplanetarnej kuli sferomachicznej powstają powierzchnie według osiągniętych etapów wyścigu zbrojeń.

W centrum, czyli na Kwincie, trwa jeszcze minimum łączności związków militarnych każdej strony. Na zewnątrz działają trzymające się wzajem w szachu systemy broni autonomicznych. Ich samodzielność podlega wszakże ograniczeniu przez programistów sztabowych, aby nie mogły, walcząc, wszcząć łańcuchowej reakcji, co by doniosła płomień walki na planetę.

Programiści są jednak coraz mocniej brani w dwa ognie. Im bardziej wyrafinowane bronie samodzielne miota w przestrzeń przeciwnik, tym więcej zaczepno-odpornej suwerenności muszą udzielać swoim systemom boju. Zarówno obliczeniowa, jak analogowa symulacja sferomachii po wojnie co najmniej stuletniej nie prowadzi do jednoznacznych rozwiązań. Jednakowoż autorzy modelu, opierając się na wariantach rozegranych komputerowo, przypuszczają, że istnieje próg restrykcji w programowaniu autonomii środków bojowych i że powyżej tego progu bronie z tylko samodzielnych stać się mogą samowolne. Ten obraz oddala się od modelu gwiazdy i przybliża do modelu naturalnej ewolucji. Bronie autonomiczne są jak niższe organizmy, opatrzone agresywnością w ryzach instynktów samozachowania. Bronie samowolne są jak organizmy naczelne, które pozyskały inwencję wynalazczą i z tylko chytrych bądź zmyślnych podwładnych stają się inicjatorami nowych taktyk działania. Takie bronie wyzwala się z upośrednionej kontroli budowniczych. Mówiąc, że budowniczy dostają się między dwa ognie, autorzy modelu sądzą, iż klęska grozi zarówno tym, którzy powściągają wzrost inteligencji swych broni, jak tym, którzy ten wzrost dopingują. Tak czy owak w miarę rozrastania się sferomachia traci dynamiczną stateczność i choć jej przyszły los nie podlega jednoznacznie predykcji, wykracza poza interesy stron, które wszczęły walkę. Obecnie ów stan rzeczy jeszcze jest daleki. Błyski, dostrzeżone na "Eurydyce", mogły być utarczkami wysoko zaawansowanych jednostek boju na peryferiach systemu Dżety. Kolizja ich w odległości miliardów mil od Kwinty oznacza, że autentyczne batalie mogą się toczyć na frontach astronomicznie oddalonych od planety. Tam wojna może się już stawać "gorąca". Może też w przyszłości dać nieobliczalne przeskoki w głąb sferomachii. Na dobrą sprawę nikt biegły w poclausewitzowskiej strategii nie może już spodziewać się zwycięskiego finału zmagania. Jednakowoż biegli stratedzy znajdują się w przymusowej pozycji gracza, który nie może wstać od stołu, gdyż wszystkie kapitały rzucił w grę. Właśnie na tym polega sytuacja zwierciadła. Kwestia niegdyś główna: kto rozpoczął wyścig, straciła wszelkie znaczenie. Pokojowość lub agresywność intencji po walczących stronach już się nie może ujawnić w konflikcie. Gra źle rokuje wszystkim uczestnikom i nie zakończy się inaczej niż pyrrusowo.

Jak w tym układzie rzeczy przedstawia się szansa kontaktu? Tego autorzy memoriału

nie wiedzą. Dopóki na szachownicy kosmicznej poruszają się czarne i białe figury analogicznej mocy, nie wdają się na ogół w walkę, lecz się jedynie szachują. Natomiast zupełnie nowe i nieznanne podlegają rozpoznaniu bojem. Są to niejako potyczki dawniej zwane harcowniczymi. Być może nie planeta, nie jej państwa, sztaby, władze zaatakowały "Hermesa", albowiem uległ napaściom jako "ciało zupełnie obce", jako twór zarazem olbrzymi, techniczny i nieznan. Nie tak, jak przechodzień napadnięty przez bandytów, lecz jak *zarazki przez* obronne limfocyty wewnątrz organizmu.

Ograniczenia wyścigu zbrojeń są nikłe. Możliwy jest "recycling" starych bojowych orbiterów, ściąganych na planetę. Dla broni zaś typu wiroidów, mikrominiaturyzowanych pasożytów, samozwornych molekuł, czerpiących energię Słońca, trzeba ogromnej inwencji konstruktorskiej, lecz niewiele surowców.

W zakończeniu Polassar, Rotmont i El Salam podsumowali swoje wyobrażenia Kwinty. Jako twór wieki trwających zmagania o supremację, ten sztuczny organizm, sferomachia o siedmiu miliardach mil promienia, może być uznany za ustrój toczony przez raka. Jego kosmiczne narządy są mniej lub bardziej złośliwymi metastazami konfliktu i tu ustaje też analogia z żywym stworzeniem, ponieważ nawet w zarodku owa całość nie była nigdy "zdrowa", jako już w poczęciu skażona antagonizmem wymierzonych w siebie technologii. Nie ma ona żadnych "normalnych tkanek", a trwanie w równowadze dynamicznej umożliwiające jej przeciwdziałające "nowotwory". By utrzymywać tak specyficzną równowagę, muszą się nawzajem rozpoznawać.

Ledwie gdziekolwiek zjawia się, wśród planet wewnętrznych czy zewnętrznych, nowe radykalnie odmienne, rozbijają je, szachują bądź "konwertują" (chodzi o "janczarskie" przejście ich we władzę) techniczne "przeciwciała", które nie dbają o jakiegokolwiek kurację (nie ma kogo komu leczyć), lecz o zachowanie dynamicznego *status quo ante fuit* — czyli pata. Jeśli tak, "Hermes" trafił pierwiej na szczątki pradawnych starc, a potem wtargnął w "zaminowany obszar", czym wywołał nagły nocny atak. Przy tym założeniu brak odpowiedzi na działalność "Ambasadora" staje się zrozumiała. Jeśli rezygnacja z kontaktu nie wchodzi w rachubę, należy uznać wszystkie opracowane taktyki SETI za nieprzydatne i szukać innych, rokujących pozytywny rezultat. Czy efektywna taktyka istnieje, autorzy sferomachicznego modelu nie wiedzą. Opowiadają się za wykroczeniem z przygotowanego programu i za próbami opracowania strategii nie mającej precedensu.

Elaborat podpisali też Harrach i Kirsting. Cóż mogło nastąpić innego prócz kolejnej narady? Choć "Hermes" wypełnił ubytek straconej mocy, Steergard uznał za najbezpieczniejszą pozycję na orbicie przysłonecznej i manewrował tak, by statek trwał nad

Dzetą czyniąc z jej żaru źródło własnego chłodzenia. Ponieważ orbita należała do wymuszonych (nie była stacjonarna ani wobec Słońca, ani wobec Kwinty), konieczny spory ciąg dawał ciężenie.

Idąc z Harrachem na obrady, Tempe powiedział, że kosmodromia składa się z unikniętych w ostatniej chwili katastrof i posiedzeń.

Nakamura pierwszy zaatakował model sferomachii uniezależnionej od planety. Środki bojowe może i nie podlegają ich twórcom z dala od Kwinty, lecz operacyjna działalność sztabów trwa nadal w mniejszym zasięgu. W przeciwnym razie "Gabriel" nie spotkałby się z dwustronnie skoordynowanym atakiem.

Ocean północnej półkuli, z białą czapą lodów polarnych, rozdzielał dwa kontynenty — zachodni, nazwany Norstralią, dwakroć większy od Afryki, i wschodni, Heparię, określoną tak przez kształt przypominający rozplaszczoną wątrobę. Według zdjęć, wykonywanych podczas lotu "Gabriela", który miał wylądować przy gwiazdzistym tworze na Heparii, Nakamura ustalił miejsca startu rakiet, oba u zwrotnika, lecz na przeciwległych lądach. Były wprawdzie zakryte chmurami i nie ujawniły się startując typowym płomieniem odrzutu, uznał jednak, że albo zostały wykatapultowane, albo ich ciąg miał nikłą składową termiczną. Czy miotane z milczącymi silnikami, czy też z zimnym ciągiem korpuskularnym, pociski rozgrzały się przekraczając barierę dźwięku, co pozwoliło wykryć gorącą część ich tras i retropolacją oznaczyć wyrzutnie.

Skoro wychyły z chmur niemal równocześnie, dwa od wschodu, a dwa od zachodu, świadczy to o uprzednim zsynchronizowaniu akcji i tym samym o kooperacji sztabów na obu kontynentach.

Autorzy modelu odparli tak zrekonstruowany atak i w samej rzeczy Nakamura nie mógł dowieść takiego przebiegu zajść, ponieważ w atmosferze Kwinty roiło się od gorących punktów, uznawanych za objawy wpadania w nią lodowych brył z wolna kruszącego się pierścienia. Nakamura, twierdzili, wybrał takie, które przy nadmiarze woli i chęci można przypisać śladom rakiet.

Jakość obrazów, zyskanych przez statek, była raczej mierna, gdyż "Hermes" odbierał je od swoich sond, wystrzelonych jako elektroniczne oczy, a sam krył się za Księżycem w peryselenium. Ponadto okrążały Kwintę tysiące satelitów, już to zgodnie z kierunkiem jej obrotów wokół osi, już to przeciwbieżnych, a kierunek orbitowania nic nie mówił o ich pochodzeniu: adwersarze planetarni mogli przecież wystrzeliwać swoje bojowe satelity korolacyjnie lub antyrotacyjnie. To, że ani się nie zderzały, ani nie walczyły, umacniało autorów "wyalienowanej sferomachii" w ich przekonaniu, że wojenna gra pozostaje "zimna" i

polega na tym, by szachować, a nie niszczyć środki bojowe przeciwnika. Gdyby poczęły się nawzajem razić, tym samym zimna walka weszłaby w fazę gorącej eskalacji. A zatem — utrzymywali — antagonistyczne orbiter trzymają się w szachu. Żeby równowaga sił mogła pozostać zachowana, kosmiczne systemy obu stron muszą się wzajem rozpoznawać. Natomiast "Gabriel" był obcym intruzem dla wszystkich i przez to został zaatakowany. Rotmont unaoczniał ten punkt widzenia przykładem: dwa psy warczą na siebie, więc nie są przyjaźnie usposobione, ale niech się tylko pokaże zając, oba poczną go gonić razem.

Polassar przyłączył się mimo to do Nakamury. Istotnie nie wiadomo, czy "Gabriela" miały przechwycić rakiety jednej strony, czy obu, lecz atak nastąpił z precyzją, sugerującą uprzednie zaplanowanie. Sygnały wysyłane przez "Ambasadora" odebrano na planecie ponad wszelką wątpliwość, i brak odpowiedzi nie oznaczał beczynnej bierności. Steergard nie opowiedział się po żadnej stronie sporu. Rozstrzygnięcie — czy "Gabriel" uległ atakowi wyprowadzonemu planowo z Kwinty, czy samodzielnych orbiterów, miał za drugorzędne. Rzecz w tym, że planeta odmawia kontaktu, więc istotne jest wyłącznie, czy można go wymusić.

— Perswazją nie — twierdził Harrach. — Ani realizacją pierwotnego programu. Im więcej wyślemy lądowników, tym więcej nastąpi starć. Przerobią naszych posłów w środki defensywne, aż posłowanie skończy się odwrotem lub walką. Ponieważ nie chcemy walki, a odwrot nie wchodzi w grę, zamiast delikatnie kłuć i szczypać, musimy okazać zdecydowanie. Nie można ani zaprzyjaźnić się z gorylem, ani ułagodzić go ostrożnie gryząc w ogon.

— Goryl nie ma ogona — zauważył Kirsting.

— No to krokodyla. Nie łap mnie za słowa. Nie zostało nam nic oprócz demonstracji siły. Kto ma lepszą myśl, niech się wypowie.

Nikt się nie odezwał.

— Czy masz konkretny plan? — spytał Steergard.

— Tak.

— Mianowicie?

— Kawitacja Księżyca. Maksymalny efekt przy minimum szkód. Z planety zobaczą to, ale nie odczują. Już dawno o tym myślałem. GOD mi to teraz obliczył. Księżyc rozpadnie się w ten sposób, że szczątki zostaną na orbicie. Środek mas nie ulegnie zmianie.

— Dlaczego? — odezwał się dominikanin.

— Bo fragmenty będą krążyły wokół Kwinty po tym samym torze, co Księżyc. Planeta tworzy z nim podwójny układ, a ponieważ jest znacznie cięższa, centrum obrotowe układu znajduje się blisko niej. Nie pamiętam liczb. W każdym razie dynamiczny rozkład mas

się nie zmieni.

— Zmieniają się grawitacyjne pływy — wtrącił Nakamura. — Wziąłeś to pod uwagę?

— GOD wziął. Litosfera nie drgnie. Najwyżej uaktywnią się płytkie ogniska sejsmiczne. Przyływy i odpływy oceanu staną się słabsze. To wszystko.

— I cóż to da za pożytek? — spytał Arago.

— To nie będzie tylko demonstracja siły, ale wiadomość. Przedtem wyślemy im ostrzeżenie. Czy mam wejść w szczegóły?

— Krótko — powiedział dowódca.

— Nie chcę, żeby ktoś widział we mnie potwora — z rozmyślnym spokojem odparł pierwszy pilot. — Już na wstępie przekazaliśmy im rachunek logiczny oraz koniunkcje typu "Jeżeli A, to B", "Jeżeli nie A, to C" i tak dalej. Oświadczymy im, "jeżeli nie odpowiecie na nasze sygnały, to zniszczymy wasz Księżyc i to będzie pierwsze ostrzeżenie naszej stanowczości: żądamy kontaktu". No i jeszcze raz wszystko co już sygnalizował im "Ambasador", że przybyliśmy z pokojowymi zamiarami, że jeśli tkwią w jakimś konflikcie, to zachowamy w nim neutralność. Ojciec Arago może to sobie wszystko przeczytać, te zwiastowania wiszą w sterowni, i\ egzemplarz dostał każdy członek załogi.

— Czytałem — odparł Arago. — A co będzie potem?

— Uzależnimy to od ich reakcji.

— Czy uważasz, że mamy podać termin? — spytał Rotmont. — Byłoby to ultimatum.

— Nazwij to, jak chcesz. Nie musimy podawać dokładnego terminu — dość wyraźnie oświadczyć, jak długo powstrzymamy się od działania.

— Czy poza odwrotem są inne propozycje? — zapytał Steergard. — Nie ma? Kto jest za projektem Harracha?

Polassar, Tempe, Harrach, El Salam i Rotmont podnieśli ręce. Nakamura wahał się. W końcu też podniósł rękę.

— Czy zdajecie sobie sprawę z tego, że mogą odpowiedzieć przed terminem, ale nie sygnałami? — spytał Steergard.

Siedzieli w dziesięciu wokół ogromnej płyty, wspartej jak stół o jednej nodze na ażurowym zbiegu dźwigarów, oddzielających górną, grawitacyjną sterownię od nawigatori_n, teraz pustej. Tylko migotanie monitorów nad umieszczonymi wzdłuż ścian pulpitemi, to nasilające się, to gasnące, wypełniało przestrzeń pod nimi ruchem cienia i światła.

— Całkiem prawdopodobne — odezwał się Tempe. — Nie znam się na łacinie tak dobrze, jak ojciec Arago. Gdybym tu przyleciał, bo tak mi się zachciało, nie głosowałbym

“za”. Ale my tutaj nie jesteśmy dziesiątką astronautów. Jeżeli “Hermes” został po wszystkich staraniach o pokojowy kontakt zaatakowany, to znaczy, że została zaatakowana Ziemia, bo ona tu nas przysłała. Dlatego przez nas Ziemia ma prawo powiedzieć *Nemo me impune lacessit*.

PAROKSYZM

Operacje sideralne, jako zjawiska o rozmiarach astronomicznych, nie mogą, przez wyzwalone w nich potęgi, stać się dla obserwatora przeżyciem równie dogłębnym i wstrząsającym jak powódź czy tajfun. Już trzęsienie ziemi, zajście podmikroskopijne w skali gwiazd, wykracza poza chłonność ludzkich zmysłów. Prawdziwą grozę, jak i przejmujący zachwyty, wzbudzają w człowieku wydarzenia ani zbyt gigantyczne, ani nadto drobne. Nikt nie zdoła doświadczyć gwiazdy jak kamienia czy brylantu. Najmniejsza z gwiazd, ocean oceanów wiecznego ognia, już z dystansu miliona kilometrów staje się wybiegającą za horyzonty ścianą żaru, a w zbliżeniu ztraca wszelki kształt, rozpadły w chaotyczne wiry jednakowo oślepiających płomieni: tylko z wielkiej dali chłodniejsze leje chromosfery maleją, w plamy słoneczne.

Zresztą ta sama prawidłowość, udaremniająca przeżycie jako doznawanie ogromu, działa wśród samych ludzi. Można współczuć mękom jednostki, rodziny, lecz zagłada tysięcy tak samo jak milionów istnień jest zamkniętą w liczbach abstrakcją, której treści egzystencjalnej nie da się ogarnąć.

Toteż kawitacyjne roztrzaskanie ciała niebieskiego, planety czy księżyca, stanowi osobliwie skromne widowisko zachodzące nie tylko z senną powolnością, ale przez bezgłośny i leniwy przebieg jak gdyby sztucznie udawane, zwłaszcza że aby je zobaczyć i nie zginąć, trzeba widzieć je przez teleskop lub na ekranie monitora, a chirurgowie sideralni oglądają postępującą eksplozję przez filtry, kolejno nasuwane na aparaty obiektywów, żeby dokładnie śledzić fazy rozpadu. Wskutek tego obraz, wybiórczo postrzegany w monochromatycznych pasmach widma, raz żółty jak słoma, raz czerwony jak cynober, sprawia wrażenie niewinnej igraszki kalejdoskopowej, a nie ponadczłowieczego kataklizmu.

Kwinta milczała do godziny zero. Kawitację Księżyca miało spowodować osiemnaście pocisków, biegnących z dalekiego okola ku jego równikowej powierzchni po

trajektoriach typu ewolwenty.

Jak się okazało, GOD miał niestety słuszną, wyprowadzając tę operację poza obszar pewnie obliczalnych przedsięwzięć.

Gdyby wszystkie głowice trafiły skorupę pustynnego trabanta pod tym samym kątem, gdyby, drążąc w niej tunelowe przestrzeliny, zbiegły się wokół jego ciężkiego jądra; gdyby z zaprogramowaną w sekundach dokładnością obróciły to wciąż nie ostygłe, półpłynne jądro w gaz, odłamy rozwalanego Księżyca, przy których Himalaje są okruszkami, rozbiegłyby się po dotychczasowej orbicie, a udarowa fala wyzwolonej nagle mocy spowodowałaby tylko mierne trzęsienia ziemi i pchnęła ku szelfom kontynentów ocean serią długich fal tsunami.

Jednakowoż Kwinta wmieszała się w operację. Trzy pociski "Hermesa", biegnące ku Księżycowi od strony tarczy planetarnej, napotkały ciężkie rakiety balistyczne i zmiąwszy je w rozżagwione kłęby gazu, dały przedwczesny zapłon niesionych ładunków sideralnych. Wskutek tego nie doszło do zaplanowanego ześrodkowania wszystkich ударów w jądro księżycowe naraz i kawitacja nastąpiła mimośrodkowo. Część południowej skorupy i głębokich mas skalnych obruszyła się ulewą na Kwintę, a reszta — jakichś sześć siódmych masy — weszła na wyższą orbitę. Stało się tak dlatego, ponieważ sideratory miały wtargnąć przez skorupę w jądro po spiralach, więc przykwintańskie pchać pękający glob ku planecie, a odkwintańskie ku Słońcu; skoro te właśnie, co miały chronić planetę od meteorytowego potopu, uległy staranowaniu, ze sto trylionów ton górotworów spadło mnóstwem eliptycznych trajektorii na Kwintę. Część spłonęła od atmosferycznego tarcia, lecz największe odłamy, tryliony ton, wpadły szerokim rozrzutem do oceanu, a skrajne zbombardowały wybrzeża Norstralii. Planeta wzięła w bok ułamek Księżyca jak ładunek śrutu bijący pod ostrym kątem.

W dwie setne sekundy po zapłonie kawitacyjnych głowic Księżyc okrył się całą żółtawą chmurą tak gęstą, że pozornie urósł — jakby puchł. Potem nadzwyczaj pomału, niby w zwolnionym filmie, jął się rozwierać, rozłupywany na nieregularne kawały, jak pomarańcza rwana niewidzialnymi pazurami, a z pęknięć skorupy tryskał długimi wystrzałami jasno gorejący żar, równy słonecznemu. W ósmej sekundzie kawitacji kłęby udarowych fal płonąć nadały rozdzieranemu Księżycowi wygląd olbrzymiego krzaka ognistego w próżni. Bijący blask zaćmił najbliższe gwiazdy. W sterowni grawitacyjnej wszyscy zmartwieli, zastygli przy monitorach. Słysząc było jedynie tykot chronometrów odliczających postępy lunoklazmu, a z ogniowego kłębowiska wylatywały omglone kurzawą, pękające jak kartacze Alpy, Kordyliery, Wezuwiusze — aż ta potworna chmura zaczęła się powoli rozciągać i już jej zrazu krągłokrzączasty kształt zmieniał się, wydłużany — nie trzeba było patrzeć na przyrządy, aby

wiedzieć, że za kilka godzin Księżyc pocznie padać na planetę. Czy na dobre, czy na złe — trafił ją z dala od lodowego pierścienia i dopiero koło północy odchylony rój odłamków w zderzeniach iskrzących się jak fajerwerk tuż nad atmosferą przeszył lodową płaszczyznę.

Tak demonstracja siły zwichnęła się w kataklizm.

ESCHATOLOGIA KOSMICZNA

Po południu następnego dnia Steergard wezwał do siebie Nakamurę i obu pilotów. Tuż po katastrofie "Hermes" wyszedł pełną mocą manewrowej siłowni nad ekliptykę, by opuścić chmary odłamów księżycowych, i zmierzał parabolicznym kursem w stronę Słońca. Zarazem wyrzucał i zostawiał za rufą sondy radiowe i transmitery. Nadawały komunikaty, wyjaśniające, że Kwinta sama ściągnęła na siebie gruzy rozbitego Księżyca, bo salwą rakiet balistycznych zakłóciła kawitację tak, że jej ekscentryczny przebieg dał rykoszet w planetę.

Jego skutki, dostrzegalne optycznie, choć statek potroił już dystans od Kwinty, były przeraźliwe. Z oceanicznego epicentrum rozbiegły się fale tsunami. Masy wód, spiętrzonych na stukrotną wysokość największych przyływów, zalały, jako bliższe, wschodnie wybrzeża Heparii i tysięcznym frontem zatopiły jej ogromną równinę połać. Ocean wtargnął w głąb lądu i nie odpłynął cały, tworząc jeziora rozmiaru mórz, bo głęboka płyta litosferycznego płaszczka Kwinty uległa zgnieceniu, a wody zapełniły powstałe na powierzchni depresje.

Zarazem biliony ton wody, wypchnięte kipiącą parą powyżej stratosfery, zamknęły całą tarczę planetarną litą powłoką chmur. Tylko cienki pierścień lodowy jaśniał nad nią w Słońcu jak brzytwa.

Steergard zażądał od Nakamury sprawozdania ze spinoskopii, wykonywanej bezustannie od lunoklazmu. Natychmiast po nim kazał wystrzelić z pokładu i wprowadzić na orbitę Kwinty przed nią i za nią najcięższe agregaty magnetronowe, istne molochy wraz z zasilaczami sideralnymi, każdy o masie siedmiu tysięcy ton, i otoczyć je dla osłony przed możliwym atakiem miotaczami spójnego ciężenia. Były to bombowe gracery jednorazowego użytku i zgodnie z ustalonym przez sztab SETI planem miały służyć do anihilacji asteroidów, jeśliby "Hermes" napotkał je lecąc ku Kwincie, niezdolny przez swą przyświelną szybkość manewrować dla wyminięcia przeszkód, którym nie oparłyby się tarcze ochronne.

Nim Nakamura przedstawił rezultaty spinoskopii, Steergard ni z tego, ni z owego zagadnął drugiego pilota, skąd mu się wzięło prastare zawołanie łacińskie *Nemo me impune*

laccessit, którym zamknął ostatnią naradę.

Tempe nie pamiętał.

— Nie myślę, abyś był kiedyś filologiem. Raczej czytałeś Poego. *Kadź Amontillado*.

Na te słowa Steergarda pilot potrząsnął bezradnie głową.

— Być może, Poe? Ten pisarz? Fantastycznych opowiadań? Raczej wątpię. Zresztą nie przypominam sobie moich lektur... sprzed Tytana. Czy to ważne?

— To się dopiero okaże. Ale nie teraz. Proszę o wyniki.

Nakamura nie otworzył jeszcze ust, gdy Steergard dorzucił:

— Czy aparatura była atakowana?

— Dwukrotnie. Gracery zniszczyły kilkadziesiąt rakiet. Ugięcia holenbachowskie przerwały odbiór spinogramów bez szkody dla obrazu.

— Skąd wystartowały te rakiety?

— Z ugodzonego lądu, ale spoza obszaru katastrofy.

— A dokładniej?

— Z czterech miejsc systemu górskiego, piętnaście stopni pod kołem podbiegunowym. Wyrzutnie są podziemne i utwardzone imitacją skały. Takich wyrzutni jest tam więcej — w pasmach południkowych, aż po zwrotnik. Zdjęcia wykryły ponad tysiąc. Zapewne jest ich więcej, ale najwyraźniej dały się dostrzec te, które stały prostopadle do pola impulsowego. Planeta obraca się, a pole pozostaje nieruchome. Przy ciągłej spinoskopii powstałby obraz bez wszelkiej wartości — jakby prześwietlany rentgenem człowiek obracał się podczas robienia zdjęć. Dlatego przeszliśmy na tomografię migawkową w mikrosekundach. Dotychczas zebrało się kilkanaście milionów klatek. Chciałem doczekać końca, to znaczy pełnego obrotu Kwinty, i dopiero potem dać wszystkie taśmy GODowi...

— Rozumiem — dokończył za niego Steergard. — GOD nie dostał jeszcze zdjęć i nie zbilansował ich?

— Całości nie. Zdążyłem przejrzeć zbiorczo cogodzinne zbitki tomogramów.

— A więc jednak coś! Słucham.

— Wolę, żeby astrogator sam przejrział najostrzejsze spinogramy. Opis w słowach nie może być obiektywny. Niemal wszystko widoczne na filmach daje podstawy do określonej interpretacji, ale nie do całkiem pewnej diagnozy.

— Dobrze.

Wstali. Nakamura wetknął dysk do magnetowidu i jego monitor zajaśniał. Przez ekrany biegły rozmazane dygocące smugi, fizyk manipulował chwilę nastrojeniem, obraz ściemniał, aż zobaczyli koliste widmo z czarną krągłą plamą w centrum i nierównomiernie

rozjaśnionym okolem..Nakamura przesuwiał obraz dopóty, aż wypukła powierzchnia planetarna znalazła się w dolnej połowie ekranu. Nad krzywizną litosfery, nieprzejrzyście czarną, rozpościerała się tak samo wygiętym pasmem biaława mgła, najgęstsza wzdłuż styku z horyzontem: atmosfera z mikroskopijnymi kłaczkami chmur. Fizyk przestroił widmo, schodząc od lekkich do coraz cięższych pierwiastków. Gazy atmosferyczne znikły jak zdmuchnięte i nieprzenikniona dotąd czerń kontynentalnej płyty poczęła się rozjaśniać.

Tempe stał między Harrachem i dowódcą, wpatrzony w ekran. Zaznajomił się z planetarną spinoskopią jeszcze na pokładzie "Eurydyki", lecz zastosowanej z taką mocą nigdy dotąd nie widział. Nukleoskop astronomicznego zasięgu ujmuje planetę w czasie magnetycznych pól o natężeniu gausowskim, równym w szczytach impulsów magnetosferze mikropulsara. Planeta ulega prześwietleniu na wylot, a powstające obrazy, tworzone przez rezonans spinów atomowych, można ciąć, czyli tomografować skupianiem sterowanego pola na kolejnych warstwach globu, zaczynając od powierzchniowych i zacierając w głąb, ku coraz gorętszym pokładom płaszcza i rdzenia.

Jak mikrotom tnie zastygłe tkanki, aby można je obejrzeć kolejno pod mikroskopem, tak nukleoskop umożliwia wykonanie zdjęć ukazujących warstwa po warstwie wewnętrzną atomową strukturę ciała niebieskiego, nieosiągalną ani radiolokacją, ani neutronowym sondowaniem. Dla radiolokatorów jest planeta całkowicie nieprzejrzyista, dla neutronowych strumieni zanadto przezroczysta, toteż nic prócz magnetospójnej wielobiegunowej spinoskopii nie pozwala zajrzeć w głąb ciał kosmicznych — co prawda tylko ostygłych, jak księżycy i planety.

Tempe naczytał się o tym dość. Zdalnie ogniskowane potencjały magnetyczne stroją spiny atomowych jąder wzdłuż linii siły, a po wyłączeniu pola jądra oddają wmuszaną im energię. Każdy pierwiastek tablicy Mendelejewa drga wtedy właściwym sobie rezonansem. Utrwalony w receptorze obraz staje się nuklearnym portretem przecięcia, na którym sekstyliony atomów pełnią rolę kropek zwykłej poligraficznej siatki drukarskiej. Dobrą stroną nukleoskopii wielkiej mocy jest jej nieszkodliwość dla prześwietlanych obiektów materialnych, więc także żywych istot, złą zaś to, że stosując taką moc, nie można ukryć jej źródeł nadawczych.

Podług zleceń fizyków GOD odfiltrował ze zdjęć każdej płaszczyzny przekroju spinogramy pierwiastków szczególnie podatnych do technologicznego wykorzystania. Dobór ten miał założenia całkiem pewne, lecz jedyne, jakim dysponowali: analogię kwintańskiej i ziemskiej technosfery, chociażby częściową. Jakoż w głąb skorupy prześwietlonego globu wchodziła niewyraźna sieć wyrysowana wanadowców, chromowców i platynowców z grupy

ciężkich jak osm i iryd. Podpowierzchniowe nitki miedzi sugerowały kable energetyczne. Spinogramy obszaru dotkniętego lunoklazmem ujawniły chaotyczne mikroogniska spustoszeń, a przekrój gwiaździstego tworu nazwanego Meduzą wyglądał jak bezładne rumowisko ze śladami uranidów. Tam też wykryto wapń. Na ruiny zabudowań mieszkalnych było go za mało; osadowych zeskaleń grunt nie wykazywał wcale i stąd poszło domniemanie, że są to milionowe szczątki żywych istot — przed zgonem lub po zgonie podległych radioaktywnemu skażeniu, gdyż spory procent wapnia był jego izotopem, powstającym tylko w szkieletach napromieniowanych kręgowców. Odkrycie to, co prawda tylko jako niepewna poszlaka, przy całym swoim okrucieństwie zawierało przecież szczyptę otuchy. Dotychczas nie mogli wiedzieć, czy ludność Kwinty składa się z żywych stworzeń, czy może jakichś niebiologicznych automatów, dziedziców wygasłej, ongiś żywej cywilizacji. Nie dało się wykluczyć makabrycznej hipotezy, że wyścig zbrojeń, wytrzebiwszy życie, z resztkami wepchniętymi do schronów czy jaskiń, jest kontynuowany przez jego mechanicznych dziedziców.

Tego właśnie od pierwszych starć najbardziej obawiał się Steergard, chociaż się z tą koncepcją nie obnosił. Uważał za możliwy taki bieg wypadków historycznych, w którym żywą siłę zastępują przy sekularnej rozciągłości działań wojennych maszyny — nie tylko w Kosmosie, o czym się już przekonali — lecz i na planecie. Bojowe automaty, wyzbyte instynktu samozachowawczego, przeznaczone do walki samostraceńczej, niełatwo stałyby się stroną skłonną do jakichkolwiek pertraktacji z kosmicznym intruzem. Co prawda samozachowawczość i wtedy winny by zachować, sztaby militarne, nawet całkowicie skomputeryzowane, lecz mając za wyłączną dyrektywę zdobycie supremacji w toku strategicznych działań, również nie dałyby się wtrącić w rolę negocjatorów.

Natomiast szansa porozumienia żywych z żywymi leżała ponad zerem. Optymizm, wynikły z oględzin spinogramów, z możliwego rozpoznania hekatombi, szkieletów, przez stosunek wapnia do jego izotopu, był, rzecz można, raczej skromny. Trudno by go też nazwać pobożnym życzeniem. Kiedy piloci i dowódca przysłuchiwali się Nakamurze, doprawiającemu krytyczne zdjęcia wyjaśnieniami — z zastrzeżeniem, że większość to tylko domysły — odezwał się brzęczyk interkomu. Dowódca podniósł słuchawkę:

— Steergard.

Słyszeli mówiącego, nie rozróżniając słów. Kiedy tamten zamilkł, Steergard nie odzywał się dobrą chwilę.

— Dobrze. Zaraz? Proszę. Czekam.

Odłożył słuchawkę, odwrócił się do nich i powiedział:

— Arago.

— Czy mamy odejść? — spytał Tempe.

— Nie. Zostańcie.

I jakby mu się to mimo woli wydarło z ust:

— To nie będzie spowiedź.

Dominikanin wszedł w bieli, choć nie w zakonnej. Miał na sobie długi biały sweter, a o tym, że nosił na piersi krzyż, świadczył ciemny sznurek opasujący mu szyję. Na widok obecnych zatrzymał się u drzwi.

— Nie wiedziałem, że astrogator odbywa naradę...

— Wasza wielbność zechce usiąść. To nie jest narada. Czas parlamentarnych obrad z głosowaniami skończył się.

I jakby mu to samemu zabrzmiało zbyt obcesowo, dodał:

— Nie chciałem tego. Fakty są jednak twardsze od moich zechceń. Siadajcie wszyscy.

Usiedli, bo choć wypowiedział ostatnie zdanie z uśmiechem, był to rozkaz. Zakonnik przygotował się na rozmowę w cztery oczy. A może dotknęły go słowa Steergarda w ich kategorycznym brzmieniu. Astrogator, domyślając się przyczyn jego wahania, powiedział:

— *C'est le ton qui fait la chanson*. Ale nie skomponowałem tej muzyki. Chociaż próbowałem — *pianissimo*.

— Skończyła się na trąbach Jerycha — odparł zakonnik. — Ale może dość peryfraz z muzykologii?

— Oczywiście. Nie zamierzam kołować. Rotmont był u mnie przed godziną i znam treść rozmowy — egzegezy — nie, zostaliśmy przy rozmowie — jaką sprowokował GOD. Dotyczyła... astrobiologii.

— Nie tylko — zauważył dominikanin.

— Wiem. Dlatego spytam, w jakim charakterze przyjmuję nowego gościa: jako lekarza czy jako nuncjusza papieskiego?

— Nie jestem nuncjuszem.

— Z wolą czy bez woli Piotrowego krzesła — tak. *In partibus infidelium*. A może *in partibus daemonis*. Mówię to w związku z pamiętnym powiedzeniem nie doktora astrobiologii, lecz ojca Arago na "Eurydyce", u Bar Horaba. Byłem tam, słyszałem i zapamiętałem. A teraz słucham.

— Widzę tu te same zdjęcia, które objaśnił rai Rotmont. GOD istotnie sprowokował moje najście.

— Hipotezę wapniową? — spytał dowódca.

— Tak. Rotmont pytał go, czy prążek powtarzający się w spektralnej analizie pewnych punktów nie jest izotopem wapnia. GOD nie mógł tego wykluczyć.

— Znam szczegóły. Jeżeli to były kości, to w milionach. Góry zwłok.

— Krytycznym miejscem jest wielka aglomeracja, zapewne siedziba Kwintan — powiedział zakonnik. Zdawał się bleśzyszy niż zwykle. — Chyba nie menażeria średnicy pięćdziesięciu mil? Więc doszło do genocydu. Ludobójczy cmentarz nie jest sceną, osobliwie korzystną — dla bezprecedentalnego zdarzenia naszej historii. Ojcom projektu SETI nie szło o kontakt z rozumem na pobojuwisku, zawałonym trupami gospodarzy.

— Sytuacja jest o wiele gorsza — odpowiedział Steergard. — Nie, proszę pozwolić mi mówić. Powtarzam: stało się coś gorszego niż katastrofa wywołana zbiegiem nie zamierzonych przez nikogo trafów. Te linie spektralne mogą pochodzić od izotopów wapnia szkieletowego. Nie potrafimy tego wyłączyć ze stuprocentową pewnością. Powiedziałem, że planeta może odpowiedzieć na nasze ultimatum przed upływem terminu, ale nie sygnałami. Z tamtejszego stanowiska, nacechowanego skrajną podejrzliwością, kontrofensywa mogła zyskać priorytet. Nie dopuszczałem jednak tego, że z całą premedytacją ściągną kawitowany Księżyc na siebie. Staliśmy się ludobójcami podług maksyminy pewnego włoskiego heretyka "Od nadmiaru cnoty zwyciężają siły piekła".

— Jak mam to rozumieć? — spytał osłupiały Arago.

— Podług kanonów fizyki. Zapowiedzieliśmy strzaskanie Księżyca jako pokaz przewagi i zapewniliśmy ich, że ta sideralna operacja nie przyniesie im szkód. Dysponując biegłymi w mechanice niebieskiej, wiedzieli, że najmniejszym wkładem energii można rozbić planetę, potęgując panujące w jej jądrze ciśnienie. Wiedzieli, że tylko wybuch, dokładnie ześrodkowany w centrum księżycowej masy, nie odmieni orbity powstałych szczątków. Gdyby przechwycili nasze sideratory od słonecznej strony Księżyca albo od jego czoła po stycznej do orbity, rozwałkowane masy uległyby wypchnięciu na wyższą orbitę. Tylko przechwycenie naszych pocisków u półkuli, zwróconej ku Kwincie, mogło, a raczej musiało ściągnąć mimośrodowe skutki kawitacji na nich samych.

— Jak mam dać temu wiarę? Twierdzi pan, że chcieli popełnić z naszą pomocą samobójstwo?

— Nie ja tak twierdę, lecz fakty. Przyznaję, że taka interpretacja ich postępowania wygląda na bezrozumne szaleństwo, ale odtworzony przebieg kataklizmu ujawnia jego racjonalność. Przystąpiliśmy do lunoklazmu w momencie, kiedy w Heparii wschodziło Słońce, a w Norstralii zuchodziło. Balistyczne pociski, skierowane ku naszym sideratorom, zostały wystrzelone z tej części Heparii, która znajdowała się jeszcze za terminatorem —

więc w nocy. Potrzebowały pięciu godzin, by dotrzeć w peryselenium i zderzyć się z naszymi raketami. Po to, abyśmy nie mogli zniszczyć ich w porę, wprowadzili te pociski na eliptyczną orbitę i to taką, że mogły z niej zejść ku Księżycowi na jakieś dwanaście minut przed lunoklazmem. Nie da się tego określić inaczej: ich pociski czatowały na nasze, poruszając się po wycinku elipsy najdalszym od Kwinty i najbliższym wobec Księżyca. Wszystkie ruszyły ku naszym kawitatorom, wyzbytym osłony, ponieważ takiej kontrakcji nie uznaliśmy za możliwą. Ja sam w pierwszej chwili sądziłem, że katastrofę spowodowały ich błędne rachuby. Analiza przebiegu zdarzeń wyklucza jednak błąd.

— Nie. Nie mogę tego zrozumieć — powiedział Arago. — Chociaż... zaraz... czy to znaczy, że jedna strona usiłowała skierować rykoszetem cios w drugą?

— I to nie byłoby najgorsze — odparł Steergard. — Ze stanowiska sztabu generalnego podczas wojny korzystny i godziwy jest każdy manewr bijący w nieprzyjaciela. Ponieważ jednak nie mogli znać ani mocy naszych kawitatorów, ani czasu, w jakim nastąpi lunoklazm, ani początkowej szybkości rozpadłych mas księżycowych, musieli liczyć się z tym, że rozrzut skalnych mas obejmie również ich własne terytorium. Wasza wielebność się dziwi? Nie dowierza mi? *Physica de motibus coelestis* jest koronnym świadkiem w tej sprawie. Proszę spojrzeć na stan rzeczy z punktu widzenia sztabowców stuletniej wojny. Pojawił się nad nią kosmiczny intruz z mirtowymi gałązkami, który zamierza nawiązać serdeczne stosunki z obcą cywilizacją i zamiast odpowiedzieć atakiem na atak, usiłuje trwać w miarkowanej łagodności. Nie chce atakować? Więc trzeba go do tego zmusić! Czy ludność planety dowie się, co zaszło w samej rzeczy? Zmasakrowana, jak będzie mogła wątpić w to, co wyjaśni jej władze: że intruz jest bezwzględny, bezgranicznie okrutny agresorem? Czy nie zburzył miast? Czy nie zbombardował wszystkich kontynentów, w tym celu strzaskawszy Księżyc? Ofiary po własnej stronie? Pójdą na rachunek intruza. Jeżeli staliśmy się współwinni, to od nadmiaru zacnych intencji, ponieważ nie przewidzieliśmy takiego obrotu spraw. Odwrót, po tym co zaszło, zostawiłby na planecie wieść o naszej wyprawie jako próbie morderczej inwazji. Toteż nie wycofamy się, wasza wielebność. Stawka tej gry była już od początku wielka. Oni podnieśli ją tak, że zmusili nas grać dalej...

— Kontakt za wszelką cenę? — spytał biały dominikanin.

— Za najwyższą, na jaką nas stać. Ponieważ zaskoczyłem waszą wielebność jako apostolskiego delegata mówiąc, że na pokładzie minął już czas demokracji, głosowań, chodzenia od Annasza do Kajfasza, uważam za wskazane udzielić wyjaśnień, dlaczego, przejmując wyłączne dowództwo i tym samym całą odpowiedzialność na nas i za nich, będę prowadził tę grę do końca. Czy mam to zrobić?

— Słucham.

Steergard podszedł do jednej ze ściennych szaf kajuty, otworzył ją i szukając czegoś w przegródkach, mówił:

— Myśl o nielokalnej wojnie, wypchniętej w Kosmos, nawiedziła mnie po złowieniu wraków za Junoną. Nie mnie jednego. Zgodnie z zasadą *primum non nocere* zachowałem ją dla siebie, żeby nie zarazić załogi defetyzmem. Z historii dawnych wypraw, w rodzaju Kolumbowych i polarnych, wiadomo, jak łatwo może odosobniona grupa najlepszych ludzi popaść w samozagrożenie od wpływu jednostki, zwłaszcza jeżeli to jest ktoś, na kogo liczą tak, jakby był z jeszcze lepszego materiału niż reszta. Toteż roztrząsałem najgorszą ewentualność tylko z GODem, a tu są zapisy owych dyskusji.

Z wyściełanego pudełka, podobnego do jubilerskich futerałów na szlachetne kamienie, wyjął kilka kryształów pamięci i wetknął jeden w szczelinę reproduktora.

Rozległ się jego głos:

— Jak nawiązać łączność z Kwintą, jeśli są tam bloki uwikłane od lat w walkę?

— Podaj granice przestrzeni decyzyjnej. Jest nieprzeliczalna strategicznie bez charakterystyki wyjściowej.

— Załóż dwóch, a potem trzech przeciwników o zbliżonych potencjałach bojowych, z pułapem zagłady wszystkich przy gorącej eskalacji.

— Dane są wciąż niedostateczne.

— Daj ocenę minimaksową w nieliczbowym przybliżeniu.

— Wartość w aproksymacjach też jest niewyznaczalna.

— Mimo to daj mi stochastycznie ważką wiązkę alternatyw.

— Wymaga to dodatkowych założeń. Będą dowolne i niedowodliwe.

— Wiem. Ruszaj.

— Dla dwu antagonistów, na przeciwległych kontynentach, wysłać dwa nadajniki, w atmosferycznym oknie infraczerwieni, z punktową ostrą kolimacją. Oba w kamuflażu antyradarowym, samonaprowadzające się na planetarne radiostacje. Taktyka ta przyjmuje za oczywistość to, co wątpliwe. Już w pierwszym zdaniu. Antagoniści mogą się wzajem pokrywać władnym terytorium w poziomie i w pionie.

— W jaki sposób?

— Jeżeli na przykład weszli w fazę atomową taktykami odstraszenia i każdy brał ludność przeciwnika na cel jako zakładników, groźbą ataku lub odwetu, po czym utwardzali środki udaru i riposty, a po saturacji zeszli w podziemia. Ich terytoria mogą znajdować się pod gruntem, jako głęboko drążone i warstwowo umacniane kondygnacje. To samo może

zachodzić ponad atmosferą.

— Czy ekspansja tego rodzaju uniemożliwia kontakt?

— Uniemożliwia w zaproponowanej taktyce, bo przy podobnym rozmieszczeniu kontakt nie ma rozdzielonych adresatów.

— Załóż brak podkopującego się nawzajem osadnictwa.

— Gdzie przeprowadzić granicę między przeciwnikami?

— Południkiem pośrodku oceanu.

— To najprostsze, lecz całkiem dowolne.

— Ruszaj.

— Słucham. Zakładam wysłanie sond, emisję sygnałową oraz odebranie poczty. Otrzymali przekazane kody i władają nimi. Przy tej przesłance otrzymuję na minimaksie widły. Albo przesłać obu stronom ten sam postulat kontaktu z gwarancją neutralności prawdziwy, albo wyłączości fałszywy.

— Albo powiadomić każdą stronę, że zwracamy się zarazem do drugiej, albo zapewnić, że tylko ją wzywamy do kontaktu?

— Tak.

— Podaj obciążenie ryzykiem tych wideł. Prawdopodobność daje lepsze szansę przy chybionym adresowaniu i gorsze szansę przy chybionym adresowaniu, rańsz daje większe szansę przy trafnym adresowaniu i mniejsze szansę przy trafnym adresowaniu.

— Przecież to czysta sprzeczność.

— Tak. Przestrzeń gry nie daje się skwantować minimaksowo.

— Pokaż przyczynę sprzeczności.

— Blok, zapewniony o wyłączości kontaktu z nami, będzie skłonny do pozytywnej reakcji, pod warunkiem, że zdoła tę wyłączość sam sprawdzić poza naszym komunikatem. Jeśli natomiast uzna, że drugi blok przechwycił nasze przesłanie, albo, co gorsza, jeżeli rozpozna dwulicowość naszej gry, szansę porozumienia spadną do zera. Może też powstać ujemne prawdopodobieństwo kontaktu.

— Ujemne?

— Odmowa jest zerem. Ujemną wartość przypisuję dezinformującym nas odpowiedziom.

— Budowanie pułapki?

— Zupełnie możliwe. Tu widły rozgałęziają się w silni. Pułapkę może stworzyć albo jedna strona, albo obie niezależnie, albo w ograniczonym chwilowym aliansie, uznawszy, iż jeśli zawrą czasowe przymierze kooperacyjne, żeby nas zniszczyć lub odstręczyć od kontaktu,

narażą się na mniejsze ryzyko, niż jeśli poczną zabiegać o wyłączność kontaktu z "Hermesem".

— A co ze zgodą na równoległy kontakt w separacji?

— W tym wariancie tkwi u podstawy sprzeczność. Żeby uzyskać taki paralelizm, musisz jako nadawca zagwarantować adresatom naszą neutralność wiarygodnie. Czyli dajesz słowo, że dotrzymasz słowa. Twierdzenie jako samozwrotne nie może siebie potwierdzić. To typowa antynomia.

— Skąd wzięłeś wagi dla rozgałęzień decyzyjnych?

— Z twojego założenia, że na planecie jest tylko dwóch graczy we wzajemnym szachu. I z tego, że stoją przy regule minimaksu. Ceną gry jest dla nich ocalenie *status quo ante fuit*, a dla nas kontakt przez wyjście z impasu.

— A dokładniej?

— To trywialne. Zakładam dwa imperia — A i B. Optymalny wariant wideł dla nas: obaj adresaci wchodzą z nami w kontakt, a każdy sądzi, że posiadał monopol. Jeśli choć jeden nie jest pewien uprzywilejowania, czyli wyłączności, tym samym uzna monopol za wątpliwy. Wówczas podług reguły minimaksu wręczy drugiemu ofertę zawarcia koalicji przeciw nam, ponieważ nie zna szans wejścia w koalicję z nami. To oczywiste. Znając własną historię, tym samym znają reguły wzajemnych konfliktów. Natomiast właściwe nam reguły konfliktów są dla nich niewiadomą. Jeżeli udzielimy dowolnej stronie oferty aliansu, będzie niewiarygodna. *Primo*: oferta aliansu, udzielona przez nas obu adwersarzom, jest absurdem. *Secundo*: stając po jednej ze stron, wspomagamy ją. Tym samym antagonizujemy przeciwną, a sami nie zyskujemy nic prócz wejścia w toczoną walkę. Taką strategię kontaktu może wybrać tylko cywilizacja idiotów. To nawet metagalaktycznie mało prawdopodobne.

— Tak. Mogą się czasowo zjednoczyć przeciw nam. Jaka gra wtedy powstanie?

— Gra z nieoznaczalnymi regułami. Reguły będą powstawać oraz zmieniać się podług toku rozgrywki. Dlatego nie wiadomo, czy funkcja zapłaty zawiera dodatnie wartości. Gra będzie raczej miała sumę zerową, ponieważ żaden z graczy, włącznie z nami, nie zdobędzie zysku. Wszyscy otrzymują stratę.

— Ryzyka nie da się uzerować. Ale gdzie jest minimum?

— Nie mam dostatecznych danych.

— Ruszaj bez dostatecznych danych.

— Rozładowywanie frustracji wobec nierozwiązywalnych zadań nie leży w obszarze mojej mocy obliczeniowej. Dowódco, nie żądaj niemożliwego. Drzewko heurezy nie jest Hożym Drzewem Wiadomości.

W ciszy, która zapadła po ostatnich słowach GODa, Steergard włożył do reproduktora drugi kryształek, mówiąc, κ jest to fragment dialogu z GODem bezpośrednio po lunoklazmie. Jakoż znów usłyszeli głos maszyny:

Upřednio ryzyko było tylko nieobliczalne. Obecnie zdobyło moc zbioru transfinałnego, czyli nieprzeliczalnego. Minimaks pozostał tylko w odwrocie.

— Czy możemy doprowadzić ich do kapitulacji?

— Teoretycznie tak. Na przykład przez postępujące zgniecenie ich bitewnej technosfery.

— Przez destrukcję wszystkich środków bojowych w całej przestrzeni Dżety?

— Tak.

— Jakie są szanse kontaktu przy takiej operacji?

— Minimalne przy najbardziej optymistycznych założeniach: że nasz pobór mocy sideralnych będzie biegł bez zakłóceń; że Kwintanie zachowają bierność widzów przy obieraniu łupin ich automachicznej cebuli w Kosmosie oraz ze ogołoceni z tych łupin wejdą w zbrojeniową stagnację. W kategoriach teorii gier byłby to cud, taki sam jak główna wygrana na loterii tego, który nie kupił żadnego losu.

— Przedstaw warianty rozbrajania ich technosfery bez cudów.

— Krzywa będzie co najmniej dwusiodłowa. Albo przeciwstawia się nam ofensywnie lub defensywnie, albo pacyfikacyjna destrukcja zimnej sferomachii rozgrzeje konflikt, tlejący stale na planecie i tym samym wtrącimy ich w wojnę totalną.

— Czy można częściowo zniszczyć ich kosmiczną automację bez naruszenia równowagi sił na planecie?

— Można. W tym celu należy unicestwić orbitalne środki bitewne po rozpoznaniu ich przynależności, czyli zredukować kosmiczny potencjał militarny wszystkich adwersarzy w tej samej mierze, aby nie naruszyć dynamicznej równości sił przeciwników. Zakłada to dwa warunki: że rozpoznamy zasięg, w jakim zawiadują swymi broniąmi w Kosmosie, czyli promień ich dowódczej efektywności, i że zidentyfikujemy układy bojowe najpierw poza tym promieniem, aby je zmiażdżyć, a po unicestwieniu obwodu automachicznego będziemy wyzuwali tę cywilizację ze stanu posiadania sił wewnątrz sfery, nad którą ona jeszcze panuje. *In abstracto* można ją niejako obnażyć. Lecz jeśli popełnimy błędy w identyfikacji, kto i czym włada w wewnętrznej sferze, czyli w przestrzeni ich operacyjnych wpływów, rozgrzejemy konflikt na planecie, ponieważ osłabimy jedną stronę na korzyść drugiej. Tym samym wytrącimy antagonistów z chwiejnej równowagi wyścigu zbrojeń w wojnę totalną. Dowódco, oddalasz mnie i siebie od rzeczywistości. Przecież szukasz sukcesu?

— Oczywiście.

— Czym ma być twój sukces? Kontaktem? Ale w tym modelowym kształcie takie pojęcie sukcesu jest niewyznaczalne. Nie zależy tylko od tego, czy "Hermes" zdoła prócz sferomachii przemóc całą produkcję środków bojowych, miotanych bezustannie w Kosmos.

— Będziemy pro wadzili pośredni bój, atakując nie ich, lecz ich bronie. Skąd wziąć pewność, że wdrażaniem w walkę nowych technik nie opanują tych źródeł, które nas żywią — sideralnych.

— Załóż, że nie zdążą.

— Słucham. Poza czynnikami obwiedlnymi jako mętne zbiory technologiczne, decyzyjnie minimaksowe, więc zgodne z rachubą optymistyczną logicznie, o reakcjach Kwintan współdecydują czynniki irracjonalne, o których nic nie wiemy. Wiemy jednak, jaką wagę miały właśnie te czynniki w historii ziemskiej.

Na tym urwała się nagrana rozmowa. Po krótkiej ciszy usłyszeli następny dialog Steergarda z maszyną:

— Przeprowadziłeś symulację struktur ustrojowych?

— Tak.

— We wszystkich założonych wariantach tych struktur oraz ich konfliktów?

— Tak.

— Jaką wielkość ma współczynnik różnicy tych struktur dla naszej gry o porozumienie? Podaj przedział ważkości statystycznej albo dystrybucję modalną wpływu różnic na szansę kontaktu.

— Współczynnik równa się jedynce.

— Dla wszystkich symulatów?

— Tak.

— To znaczy, że ustrojowe różnice antagonistów nie mają żadnego znaczenia?

— Tak. Napędzana trwałym konfliktem ewolucja technomachiczna staje się zmienną niezależną od typu ustrojów, ponieważ tę ewolucję kształtuje struktura konfliktu, a nie struktury społeczne. Biorąc rzecz dokładniej: we wczesnych fazach konfliktu różnice ustrojowe odciskają się w taktykach psychologicznej propagandy, dyplomacji, dywersji, szpiegostwa i wyścigu zbrojeń. Podział budżetów na militarne i pozamilitarne jest funkcją zbioru argumentów o wartościach zależnych od ustrojowej struktury. Rosnące dążenie do supremacji w konflikcie zrównuje różnice w zbiorze argumentów. Tym samym upodabnia strategię adwersarzy. Powstaje efekt zwierciadła. Nie można nakłonić lustra do tego, by odbijało wyłącznie postawy rozluźnione i swobodne, a wszystkim innym nie dawało odbicia.

Kiedy pułap efektywności rozbrojenia zostaje przekroczony, dalszy wyścig o dominację likwiduje zależność strategii adwersarzy od ich ustrojowych różnic. Zależność ta okazuje się taka sama, jak wpływ ludzkiej muskulatury na odpalenie rakiety balistycznej. W paleolicie, w epoce jaskiniowej czy w średniowieczu bardziej muskularny przeciwnik górował nad słabszym. W epoce atomowej może uruchomić raketę dziecko, nacisnąwszy właściwy guziczek. Kwintanie już nie władają obroną przez siebie strategią. Na odwrót: strategia włada nimi. Jeśli trafiła na ustrojowe różnice, podporządkowała je sobie aż do ujednolicenia. Gdyby to nie zaszło, konflikt zakończyłyby się zwycięstwem jednej ze stron. Aktywność sferomachii temu przeczy.

— Podaj optymalne reguły gry o kontakt przy takiej diagnozie.

— Ośrodki dowódcze planety wiedzą, że przechwycenie naszych kawitatorów spowodowało katastrofę. Nikt poza nimi nie mógł podjąć tej akcji.

— Czy to znaczy, że sferomachia podlega im w promieniu dzielącym orbitę Księżyca od Kwinty?

— Niekoniecznie. Granicą ich operacyjnego zasięgu nie może być kula o powierzchni ostro i gładko odgraniczonej od sfery wyalienowanej.

— Czy wnioskujesz coś z tego o składzie osobowym sztabów?

— Rozumiem implikację. Pomysł, z którym obnoszą się pewni członkowie załogi — sztabów niebiologicznych, a zatem martwego globu z komputerami, walczącymi po zagładzie Kwintan, jest absurdem. Komputery, choć wyzbyte postulatów autoprezerwacji, działają racjonalnie. Znaczą to, że trzymają się minimum z najdalszym prognostycznym wyprzedzeniem. Mogą walczyć dopóty, dopóki trwa alternatywa skuteczności walki. Jeżeli funkcją zapłaty w końcówce gry jest pełna zagłada, minimum spada do zera. Koncepcję obłąkanych komputerów odrzucam. Zresztą spektralne i spinogramowe poszlaki wskazują na obecność żywych istot.

— Dobrze. A więc?

— W sztabach nie brak maszyn obliczeniowych, lecz są też Kwintanie. Skutki lunoklazmu ich nie dosięgły: w konflikcie o tym trwaniu i w tej skali nic nie jest mocniej chronione od sztabów. Wiesz już, że straty ludności nie są dla władz argumentem zniewalającym do nawiązania kontaktu.

— Podaj nieodparty argument.

— Otóż to. Przyszedł czas nazywania rzeczy po imieniu. Pośredni nacisk nie wystarcza. Musisz działać wprost, dowódco.

— Zagrozić sztabom?

— Tak.

— Zmasowanym uderzeniem?

— Tak.

— Ciekawe. Uważasz zabicie istot rozumnych, zachowujących się przeciwrozumnie, za najlepszy sposób nawiązania z nimi kontaktu? Czy mamy wylądować na planecie jako archeologowie wymordowanej przez nas cywilizacji?

— Nie. Musisz zagrozić soidalnym ciosem samej planecie. Widzieli, jak rozpadł się ich Księżyc.

— Przecież to będzie bluff. Skoro ponawiamy żądania kontaktu, tym samym nie możemy unicestwić potencjalnych rozmówców. Nie trzeba zbytnej przebiegłości, żeby to pojąć. Groźbę uznają za pustą — i słusznie.

— Groźba nie musi być całkowicie pusta.

— Naruszyć pierścień?

— Dowódco, czemu prowadzisz z maszyną conocne dyskusje, zamiast położyć się spać, skoro sam wiesz, co należy zrobić.

Reproduktor ucichł. Steergard wetknął do szczeliny kryształek.

— Proszę o cierpliwość — powiedział. — To już ostatnia rozmowa.

Niebieska kontrolka zajaśniała. Znow poznali monotony głos GODa:

— Dowódco, mogę cię pocieszyć. Zbadałem stabilność sferomachii, ekstrapolacją w przyszłość, po granicę prognostycznej pewności. Bez względu na liczbę przeciwników i na średnicę, jaką osiągnie przestrzeń walki, ta cywilizacja zginie. Najprostszym modelem jest domek budowany z kart. Nie może stać się dowolnie wysoki. Każdy się w końcu rozpadnie — to oczywiste i bez obliczeń.

— Domek z kart? A konkretniej?

— Teoria Holenbacha. We wzrostach wiedzy nie ma niezastąpionych ludzi. Gdyby nie było Plancka, Feermiego, Lizy Meitner, Einsteina, Bohra, odkrycia prowadzące do bomb atomowych zrobiłby ktoś inny. Monopol zdobyty przez Amerykanów trwał krótko i uległ skontrowaniu. Pociskami jądrowymi mogą się przeciwnicy szachować przez dziesiątki lat. Można wejść w licytację ich celności i mocy rażenia! Siderologia nie daje takich szans. Do poznania reakcji nuklearnych, masy krytycznej i cyklu Bethego prowadzi szereg kroków. Natomiast inżynierię soidalną zdobywa się jednym zamachem. Przed odkryciem przedziału Holenbacha nie wie się nic, a potem wszystko. W fazie odwracalności zbrojeń, dopóki możliwe są negocjacje między wojną i pokojem, ten, kto wykryje nuklearny atut, może się nim posłużyć jako najwyższym kolorem, ale nie musi nim zagrać. W fazie kosmicznej

sferomachii ten, kto pierwszy odkryje siderologię, zagra nią niezwłocznie. A to, ponieważ przestrzeń wojennych gier, potencjalnie symetryczna dla broni konwencjonalnych i atomowych, traci strefę stateczności po wejściu czynnika sideralnego. Na planecie siderologią nie można szantażować. Niewybuchowe reakcje termonuklearne długo umykały kontroli od ucieków termicznych plazmy i złej stateczności ogniskujących ją pól. Przez kilkadziesiąt lat sukces zdawał się beznadziejny. Trudności owładnięcia grawitacją są podobne, lecz w astronomicznej skali. Nie można zacząć od małego, najpierw wyosobnić z uranowej rudy izotop o masie atomowej 235, potem uruchomić reakcję łańcuchową w nadkrytycznej masie, syntetyzować pluton i tak otrzymać zapalnik bomb hydrotrytowych. Poligonem doświadczalnym musi być ciało niebieskie. Fazę siderologii poprzedza faza anomalonów teratronowych. Dlatego zdziwiło mnie zaskoczenie fizyków tym, co uczynił "Gabriel". Gdyby K winianie go pochwycili, weszliby po demontażu na trop Holenbacha. "Gabriel" miał stopić siebie teratronem. Przypominam, że proponowałem wbudować mu autodestrukcyjny ładunek.

— Dlaczego nie wyjaśniłeś tego dokładnie?

— Nie jestem wszechwiedny. Operuję danymi, które mi dajecie. Twoi fizycy, dowódco, uznali przechwycenie "Gabriela" za niemożliwe, bo żaden z obiektów sferomachii nie rozwijał ani dziesiątej ciągu "Gabriela". Miałem obiekcje, ale nie dowody. Tę niemożliwość wzięli z sufitu. Skądinąd trudno rzec, czy to źle, czy dobrze, że mój pociotek w "Gabrielu" okazał tak błyskotliwą pomysłowość. Gdyby dał się wziąć w sak, nie byłoby już mowy o kontakcie, lecz o rozstrzygnięciu między odwrotem i sideralnym bojem z Kwintą, jako graczem tej samej mocy, co my. A jeśli wyprowadzić poza nawias ich sideralne uderzenie w "Hermesa", to uciekalibyśmy pełną mocą przez gruzy walącej się sferomachii. To, co ją strzaska za pięćdziesiąt czy za sto lat, już by się zaczęło. Blok, oświecony siderologicznie przez "Gabriela", nie czekałby, aż przeciwnik mu dorówna. Wyprzedziłby go uderzeniem.

— To spekulacje.

— Zapewne. Ale nie brane z sufitu. Przypuszczam, że ktoś chciał mieć Księżyc jako doświadczalny poligon. Nie wiedział jeszcze, że żaden plazmotron nie da mocy otwierającej przedział Holenbacha. A ktokolwiek przepędził go z Księżyca, nie miał dość sił, by tam osiąść na dobre. Ktoś dał szacha królowi. Król był niedorośłym infantem. Ale drugi blok też dał szacha. Nie wiem, jakiej figurze. Takiej, że powstał pat. Na Księżycu. A poza nim gra toczyła się dalej.

— Dlaczego przedtem nie przedstawiłeś tego w ten sposób?

— Skoro teraz nazwałeś mój wywód spekulacją, uznałbyś go przed lunoklazmem za majaki GODa. Czy życzysz sobie mojej wersji powszechnych dziejów Kwinty?

— Mów.

— Kluczem otwierającym tę historię w krytycznym rozdziale jest pierścień. Przy pełnym przyspieszeniu industrializacyjnym planeta niosła wiele państw, z potężnie wysforowaną, współpracującą czołówką. Doszło do wyjścia w Kosmos i do czerpania energii atomowej. Zarazem doszło do demograficznej eksplozji państw słabszych przemysłowo, a silniejszych tylko populacyjnie. Czołówka zdecydowała zwiększyć obszary zasiedlenia obniżeniem oceanicznego poziomu. Jedynym sposobem było miotanie wód w przestrzeń nadatmosferyczną. Nie znam użytej do tego techniki; znam te, które są niedostateczne. Wody w setkach mil sześciennych nie transportowali ani na statkach kosmicznych, ani wprost, systemem pomp i wyrzutni. Pierwszy wariant wymagał nieosiągalnych mas paliwa i transportowców. Drugi jest nieurzeczywistnialny, bo nim wyrzucane strumienie, a raczej odwrócone wodospady — więc wodowzloty — osiągną pierwszą prędkość kosmiczną, wyparują od tarcia atmosferycznego i wrócą w atmosferę.

Jest jednak sporo ziszczalnych metod. Wymienię jedną. Należy przebić atmosferę kanałami typu wyładowań piorunowych a w ślad za każdym piorunem — bijącym z oceanicznego brzegu w termosferę po synergicznej — strzela się parą wodną. Jest to bardzo uproszczony schemat. Można utworzyć w atmosferze swego rodzaju działa elektromagnetyczne, oczywiście bez luf, jako tunele biegnących centryfugalnie impulsów, rozpędzających ujonizowaną parę wodną. Można nadać wodzie dipolowe własności nietermiczne. Na Ziemi zajmował się taką hydroinżynierią niejaki Rahman. Wykazał, że można rozpędzić wodę tylko do pierwszej kosmicznej prędkości, przez co wokół planety zacznie powstawać lodowy pierścień, że ten pierścień nie będzie stabilny, toteż w następnej fazie należy go, już w próżni, przyspieszać, ażeby stał się centryfugą i rozleciał się z drugą kosmiczną prędkością w czasie dwudziestu do czterdziestu lat. W przeciwnym wypadku — osłabienia akceleracji próżniowej lub wstrzymania robót — więcej wody będzie wracało na planetę od tarcia z wierzchnimi gazami atmosfery, aniżeli w tym samym czasie wyrzucają miotacze w przestrzeń. Mniejsza o dalsze szczegóły. Dość, że już z "Eurydyki" skonstatowano powolny zanik pierścienia w jego okręgu przyplanetarnym i jego rozplaszczanie się, więc tym samym poszerzanie zewnętrznego okola.

Nie mogło to być korzystne dla nikogo na planecie. Wracające wody dają coś więcej niż oberwania chmur: dają pluwiał w pasie międzyzwrotnikowym, ze zmiennym skupieniem maksimum opadów pór roku, gdyż planeta jest nachylona osią obrotów względem ekliptyki dość podobnie jak Ziemia. Przeciętna roczna temperatura spadła o dwa stopnie Kelvina. Tarcza lodowa zacienia część dzienną planety i odbija światło słoneczne. Awaria techniczna,

zawsze możliwa, zostałyby usunięta po pewnym czasie. Nic nie wskazuje jednak na ślad reperacji. Zawodność planetarnej inżynierii nie może być więc przyczyną zaniechania prac. Trzeba jej szukać gdzie indziej — w politycznym rozdarciu cywilizacji. O wyjściowych warunkach wiemy jedno: sprzyjały projektowi, który nie mógł być realizowany inaczej niż w globalnym zjednoczeniu sił, które się potem rozprzęgło. Epoka współpracy co najmniej w zakresie technologii trwała około stu lat. Odchylenia rozmiaru dekady czy dwóch są dla kryzysowej fazy nieistotne. Co wywołało zejście ze wspólnej drogi? Lokalne wojny? Kryzysy ekonomiczne? Wątpliwe. Bieg spraw politycznych, jako niepodległy wstecznie rekonstrukcji od stanu zastanego, daje się uchwycić tylko w modelu zwanym łańcuchem Markowa. Jest to proces stochastyczny, krokowy, który zaciera własne ślady. Z tego, co dostrzegliby kosmiczni przybysze na Ziemi dwudziestego wieku, żadną miarą — bez sięgnięcia do kronik — nie mogliby retropolacją dojść wojen krzyżowych. Więc tę białą plamę wypełnię taką ewentualnością: rozrost mocarstw w czołówce był nierównomierny. Zarodek antagonizmu tłał zrazu przy współpracy. Zbrojne zdominowanie głównej siły na planecie było niemożliwe. Słabsi uczestniczyli w globalnym projekcie, a kooperacja przeszła z rzetelnej w pozorowaną.

Antagonizm ujawnił się — niekoniecznie wprost ani napaścią. Być może, bloków było więcej, trzy albo cztery, lecz dla minimum ergodycznego starczą dwa — przeciwstawne. Rozpoczął się wyścig zbrojeń. Spowodował najpierw rzucenie prac zmierzających do dyssypacji lodowego pierścienia w Kosmosie. Przeznaczone na to środki i moce zainwestowano w zbrojenie. Zarazem rozbicie obręczy lodowej tak, aby jej ruina nie przyniosła szkód mieszkańcom wszystkich kontynentów, przestało być opłacalne dla supermocarstwa, które dało główny wkład w ów projekt, ponieważ z pozytywnych wyników dalszej roboty korzystałby również przeciwnik. Przeciwnik rozumował i działał analogicznie. Odtąd żadna ze stron nie tknęła już pierścienia, choć obruszał się lodowymi lawinami na planetę, ale wciągnięci w pościgową spiralę zbrojeń nie mieli na to rady. Eskalacja wypchnęła ten wyścig w przestrzeń kosmiczną. Tak wyglądać mógł prolog i pierwszy akt. Przybyliśmy w środku następnego — i nie wiedząc o tym, daliśmy nurka w głąb wielowarstwowej sferomachii, z niewinnym Słońcem pośrodku.

— Powtarzam pytanie: dlaczego nie przedstawiłeś tej retrospekcji wcześniej? Okazji miałeś dość.

— Rozmaite wersje tego, co powiedziałem, krążą na pokładzie, wypowiedane prywatnie czy nieprywatnie, ale krążą. Żadnej nie można dowieść. Granice wyobraźni leżą daleko poza granicami teorii twórczości.

Poszczególne fragmenty łamigłówek, jako dane, przybywały stopniowo. Dopóki było

ich niewiele, można z nich było ułożyć bezlik składanek, wypełniając rozszewry i luki bezpodstawnym wymysłem. Jestem maszyną kombinatoryczną. Gdybym obruszył na was wszystkie warianty kombinatoryki, którą uprawiałem, musielibyście wysłuchiwać tygodniami wykładów, wypchanych zastrzeżeniami niepewnej wiarygodności. Ponadto otrzymywałem polecenia sprzeczne z twoimi rozkazami. Doktor Rotmont domagał się spinoskopii Kwinty. Wyjaśniłem mu, że prześwietlenie Kwinty całą dyspozycyjną mocą pokładowych agregatów nie da się ukryć i tym samym zredukuje szansę kontaktu. Ponieważ nastawał, wysłałem lekkie spinoskopy, zdolne do kamuflażu. O czym wiesz, dowódco. Rotmont żywił nadzieję, że dostrzeże to, czego w ten sposób nie można dostrzec. Nic nie zyskał, ale nie ja mu popsułem nadzieje. Spełniłem jego życzenia, ponieważ nie mogło to przynieść szkody. Hipotezy, nie brane za odskocznnię realnych działań, mogą być fałszywe, ale nie zgubne.

Niebieskie światelko zgasło. Piloci i Nakamura, choć siedzieli przy tym samym stole, tak samo zagłębieni w fotelach jak Steergard i Arago, zdawali się tylko widzami, którzy nie mogą się wtrącić w rozgrywaną scenę. Jakby się nie liczyli w tym spotkaniu.

— To było wyjaśnienie — powiedział Steergard. — Wasza wielbność zechciał powiedzieć raz, że sprawa jest w dobrym ręku. Nie dlatego nic nie odpowiedziałem, że chwalonym wypada milczeć, ale wiedząc, jak bardzo różnią nas pojęcia dobra i zła. Decyzję o nowym kroku już podjąłem. Nikt z nas nie ma wpływu na to, co zajdzie. Ja również. Wolałbym nie dotknąć nikogo z obecnych. Czas bezwzględnej działania jest jednak czasem bezwzględnej otwartości. Nasz drugi pilot powiedział głupstwo. Nie przybyliśmy tu, aby rzucić wyzwanie i nie wdajemy się w pojedynek, ażeby bronić honoru Ziemi. Gdyby tak było, nie przyjąłbym dowództwa zwiadu. Człowiek może ogarnąć i utrzymać w świadomości niewiele. Dlatego ogromne przedsięwzięcie rozkłada mu się w umyśle na części. Dlatego środki mogą tak łatwo przesłonić cel i same stać się celem. Obejmując dowództwo, zażądałem pierwszej chwili do namysłu, aby się cofnąć i ogarnąć cały gigantyczny kształt tysięcznych trudów CETI i SETI. Miliony godzin roboczych, prace stoczniovców, loty do Tytana, obrady w ziemskich stolicach, fundusze gromadzone w bankach, wszystko jako wyraz nadziei, która nie była tanią sensacją gazet, gremia, które rozgrywały bezlik wariantów gry o kontakt, żeby znaleźć niezawodny, a przynajmniej optymalny, wiodący do celu. Rozważyłem to, żeby sobie uświadomić, że czy na "Eurydyce", czy na "Hermesie", jestem jedną z mrówek ludzkiej termitiery, zagubionej w nieskończonych przestworzach Kosmosu, i tym samym przyjmuję zadanie ponad moje siły, chyba ponad siły każdego człowieka. Uchylić się było łatwiej. Wyrażając zgodę, nie wiedziałem, co nas czeka. Wiedziałem tylko, że spełnię obowiązek tak, jak się to okaże konieczne. Gdybym znów zwoływał obrady, to nie dla

udoskonalania działań, ale po to, żeby zdjąć z siebie ciężar, który na mnie spoczywa. Przerzucić odpowiedzialność choć w części na innych. Uznałem, że nie mam do tego prawa. Przez to podjąłem decyzję sam. Nikt nie ma już wpływu na to, co zajdzie. Ale każdy ma nadal prawo zdania i głosu. A przede wszystkim wasza wielebność.

— Zamierza pan rozbić ten pierścień?

— Tak. Aparaturę montuje się już w hali rufowej.

— Rozbicie pierścienia odrzuci go od planety?

— Nie. Tryliony ton spadną na planetę. Będą zbyt wielkie, by się stopić. Trafiają miejsca najmocniej chronione. Ponadto wierzchnie warstwy atmosfery zostaną zdmuchnięte. Zmniejszy to ciśnienie na poziomie morza o jakichś sto barów. To będzie ostrzeżenie.

— To będzie mord.

— Zapewne.

— Dla wymuszenia kontaktu za taką cenę?

— Nie. Kontakt stał się już sprawą drugorzędną. To będzie próba ich ratunku. Pozostawieni sobie, wejdą w przedział Holenbacha. Czy znane są waszej wielebności arkana siderystyki?

— Znam ją tak, jak może znać laik. Astrogatorze — opiera pan ludobójstwo na hipotezie? I to nie swojej, lecz maszyny?

— Nie mamy nic prócz hipotez. A maszyna pomogła mi. Istotnie. Skądinąd znam idiosynkrazję, jaką wywołał w Kościele *Animus in Machina*.

— Ja jej nie odczuwam. W zamian za wyjaśnienie, astrogatorze, odpłacę się moim. Człowiek często nie rozpoznaje tego, co widzą postronni. GOD mówił o ujednoczeniu się sposobów, jakimi walczą na Kwincie przeciwnicy. Pana to również dotyczy.

— Nie rozumiem.

— Zlikwidował pan dotychczasowy sposób postępowania w poczuciu, że parlamentaryzm należy zastąpić jedyńwładztwem. Nie wątpię w uczciwość pana intencji. Chce pan wziąć całą odpowiedzialność za dalsze kroki na siebie. Tym samym uległ pan Kwintanom efektem zwierciadła. Mianowicie brutalnością powziętych decyzji. Chce pan odpowiedzieć uderzeniami na ich uderzenia. Ponieważ najmocniej utwardzili swoje sztaby, chce pan je najmocniej uderzyć. Tym samym — używam rozmyślnie pana słów — podporządkował pan dotychczasową strukturę stosunków między ludźmi "Hermesa" strukturze uprawianej strategii.

— To było wyrażenie GODa.

— Tym gorzej. Nie twierdzą, że maszyna zdominowała pana w decyzjach. Twierdzą,

stała się też lustrem. Powiększającym pana agresywność spowodowaną przez frustrację.

Steergard po raz pierwszy okazał zaskoczenie. Milczał jednak, a zakonnik ciągnął:

— Operacje wojenne wymagają autorytarnych sztabów. Nic też innego nie zaszło na planecie. My jednak nie powinniśmy się włączać w ten typ działań.

— Nie myślę o wojnie z Kwintą. To insynuacje.

— To niestety prawda. Wojnę można toczyć i bez wypowiedzenia, i bez użycia tej nazwy. Nie przybyliśmy tu dla wymiany ciosów, lecz informacji.

— Chętnie poszedłbym na to, ale jak?

— To leży na dłoni. Szczęśliwie zasada tajemnicy wojskowej nie jest na pokładzie przestrzegana. Wiem, że w halach buduje się słoneczny laser, który ma bić w planetę.

— Nie w samą planetę. W pierścień.

— I w atmosferę, która stanowi życiową część planety. Solaryczny laser-solaser — jak mówią fizycy — można wykorzystać nie dla uderzeń ludobójczych, ale dla przekazywania informacji.

— Przekazywaliśmy ją przez setki godzin bez rezultatu.

— To istotnie dziwaczna sytuacja, abym ja właśnie widział możliwość, jakiej nie widzą specjaliści wraz z przemądrą maszyną. Sygnały, wysyłane przez naszego satelitę, "Ambasadora", wymagały specjalnych urządzeń dla odbioru, anten, dekodatorów — nie znam się na radiotechnice, ale jeśli Kwintę ogarnęła wojna, wszelkie urządzenia zdolne przyjmować sygnały radiowe podległy militaryzacji. Odbiorcami są więc sztaby generalne, a nie ludność Kwinty. Jeżeli ludność w ogóle została powiadomiona o naszym przybyciu, to w sposób, jaki pan przedstawił: kłamliwy i przewrotny, abyśmy się w oczach Kwintan stali imperialną flotą inwazji. Jednym słowem, okrutnymi wrogami. A pan, dowódco, sam przekształcił te kłamstwa w prawdę przy pomocy solasera.

Steergard słuchał go ze zdumieniem — więcej, zdawał się tracić dotychczasową kategorię pewność.

— O tym nie pomyślałem...

— Ponieważ to najprostsze. Wzbił się pan z GODem na tak wysoki poziom wyrafinowania, teorię gier, minimaksem, kwantowaniem przestrzeni decyzyjnej, człowiek z maszyną nawzajem przyprawili sobie skrzydła takiego lotu, że nie widać już zeń lusterek, którymi bawią się dzieci, kiedy puszczają zajączki słoneczne. Solaser może być takim lusterkiem dla całej Kwinty. Będzie przecież dawał błyski jaśniejsze od Słońca. Zobaczycy je każdy, kto podniesie głowę.

— Ojczy Arago — powiedział Steergard, pochylając się ku niemu przez stół —

błogosławieni ubodzy duchem, albowiem ich będzie królestwo niebieskie. Ojciec pobił mnie. Dostałem cięgi silniejsze niż GOD od naszego pilota... Jak ojciec na to wpadł?

— Bawiłem się lusterkami jako chłopiec — uśmiechnął się dominikanin. — A GOD nie był nigdy dzieckiem.

— Jako nadawanie informacji to świetne — wtrącił Nakamura. — Ale czy będą umieli odpowiedzieć? Jeżeli zrozumieją?

— Przed poczęciem było zwiastowanie — odparł Arago. — Może nie zdołają odpowiedzieć tak, abyśmy ich pojęli. Niech więc przynajmniej oni pojmą w jasny sposób nas.

Tempe, który patrzył na zakonnika z nie ukrywanym podziwem, nie mógł już dłużej milczeć.

— To było *heureka*... a czy oni nie mają luster? Luster nie konfiskuje się i w czasie wojny...

Zakonnik zdawał się nie słyszeć. Coś go trawiło. Cicho, z ociąganiem, spytał:

— Mam prośbę. Chciałbym zamienić kilka zdań z astrogatorem w cztery oczy; jeżeli się zgodzi — a panowie nie będą tym dotknięci?

— Dobrze. Zaciągnęliśmy u ojca dług. Kolego Nakamura, trzeba będzie dokonać odpowiednich przeróbek, żeby solaser mógł skanować Kwintę, a poza kwestiami optycznymi są informatyczne. Taka sygnalizacja zakłada odbiorców na poziomie elementarnego wykształcenia.

Po wyjściu fizyka i pilotów Arago wstał.

— Proszę mi wybaczyć to, co mówiłem na początku. Przyszedłem w przekonaniu, że zastanę pana samego, astrogatorze. Nie oceniam pomysłu z lusterkami zbyt optymistycznie. Mogłem go też — a nawet zamierzałem — przedstawić na niższym szczeblu. Jako propozycję niefachowca, dla oceny przez kompetentnych znawców. Taka sygnalizacja może spalić na panewce albo przenieść nas z deszczu pod rynnę. Już w założeniu pomysł jest antropocentryczny. Najpierw doznał pan oburzenia, obrazy, a potem ulgi.

— Powiedzmy. Do czego ojciec zmierza?

— Nie do pociechy duchowej. Żeby opracować techniczny aspekt tej próby, wypadnie panu i innym włączyć w nią GODa.

— Oczywiście. Wykona obliczenia, i tak dalej. Co z tego? Sporządzi program. Zrobi to, co leży w granicach możliwości. Ojciec nie przypuszcza chyba, że jest to *advocatus diaboli!*

— Nie. A ja nie zjawiam się jako *doctor angelicus*. Nie muszę chyba zapewniać pana, że jestem chrześcijaninem?

Steergard znów poczuł się zaskoczony obrotem, jaki przyjęła rozmowa.

— Do czego ojciec zmierza? — powtórzył.

— Do teologii. Aby pan mógł mnie lepiej zrozumieć, przełożę ją na wysłowienie nie tylko świeckie, ale w moich ustach właściwie bluźniercze. Usprawiedliwiam się w sumieniu bezprecedentalną sytuacją. Język fizyki jest panu bliższy niż hermenutyka religioznawstwa. W przekładzie na pojęciowy aparat fizyki różnorodność *sacrum* odpowiada różnym prążkom spektralnym materii, wszechobecnej i takiej samej w całym wszechświecie. W tym przyrównaniu można powiedzieć, że oprócz widma ciał istnieje widmo wiar. Rozpościera się od animizmu, totemizmu, politeizmu aż po wiary w osobowego Boga. Ziemi prążek mojej wiary zawiera go jako rodzinę zarazem ludzką i boską. Czy znane są panu spory wywołane w teologii przez SETI — zwłaszcza odkąd poszukiwania Innych zrodziły tę wyprawę?

— Prawdę mówiąc, nie. Ojciec uważa, że powinienem się na nich znać?

— Bynajmniej. Był to jednak mój obowiązek. Stanowiska rozeszły się w moim Kościele. Jedni utrzymywali, że skażenie natury Stworzonych może być powszechne i taka powszechność wykracza za ziemskie pojęcie wyrazu *katholikos*. Że możliwe są światy, na których do ofiary Odkupienia nie doszło i przez to skazane. Inni, że zbawienie jako wybór między Dobrem a Złem, dany łaską, zjawiało się wszędzie. Spór ten zagroził Kościołowi. Organizatorzy i uczestnicy wyprawy byli zajęci swoją pracą. Toteż nie frapowały ich sensacje, zwiększające nakłady gazet. Zbrodnia i seks już się nieco zużyły, a ekspedycja "Eurydyki" ubocznie stworzyła konsumpcyjne nowości. Jako igraszki, oryginalne i śmieszące przez to, że *credo quia absurdum est* zyskało mnożnik, kompromitujący je dość skutecznie. Jako wizję niezliczonych planet z mnóstwem jabłek rajszych tam, gdzie nie ma jabłoni, oliwek, których i syn Boga nie przeklnie, bo nie rosną tam drzewa oliwkowe, dywizji Piłatów, umywających ręce w miliardach naczyń, lasu ukrzyżowań, tłumów Judaszy, niepokalanych poczęć istot, których fizjologia rozrodu nie daje miejsca na takie pojęcie, gdyż rozmnażają się kopolacyjnie — jednym słowem, przemnożenie Ewangelii przez wszystkie ramiona wszystkich spirali galaktycznych czyniło nasze *Credo* karykaturalną parodią wiary. Dzięki tym figlom arytmetycznym Kościół utracił sporo wiernych. Dlaczego mnie nie utracił? Ponieważ chrystianizm żąda od człowieka więcej, niż można żądać. Nie żąda tylko zaniechania okrucieństwa, nikczemności i kłamstwa. Żąda zwróconej ku okrutnikom, kłamcom, katom i tyranom miłości. *Ama et fac quod vis* — tego nakazu nic nie unicestwi. Proszę się nazbyt nie dziwić takiej katechizacji na pokładzie takiego statku. Moim obowiązkiem jest patrzeć dalej, niż sięgają szansę zwiadu, który ma zetknąć obce sobie rozумы. Pana obowiązki są inne. Spróbuję to pokazać. Gdyby stał pan na przepelnionej łodzi

ratunkowej, a tonący, dla których brak miejsca, czepialiby się burt, przez co łódź mogłaby przewrócić się i utonąć, odcinałby pan ręce. Prawda?

— Obawiam się, że tak. Gdyby nie było innego ratunku.

— W tym nasza różnica. Znaczy to, że pan nie zawróci.

— To prawda. Rozumiem przypowieść z łodzią. Nie będę czekał, aż zatonie. Będę usiłował ratować tę cywilizację wszelkimi siłami, jakie mam.

— A w ostateczności genocydem?

— Tak.

— Wróciliśmy tym samym do punktu wyjścia. Udało mi się odroczyć tę ostateczność.

Więcej nic. Nieprawdaż?

— Tak.

— Gotów pan ratować życie, odbierając życie?

— W tym przecież tkwi sens twojej przypowieści, ojcze Arago. Wybiorę mniejsze zło.

— Stając się mordercą?

— Nie odrzucam tego określenia. Możliwe, że nikogo nie uratuję. Że zgubię nas i ich. Ale nie umyję rąk, jeżeli zginiemy, "Eurydyka" otrzyma wiadomość. Wiadomość o stanie rzeczy i o tym, że wykluczyłem odwrót, jest już w drodze.

— W mojej eschatologii nie ma mniejszego zła —powiedział Arago. — Z każdą zabijaną istotą ginie cały świat. Przez to arytmetyka nie daje etyce miar. Nieodwracalne zło jest pozawymierne.

Wstał.

— Nie zabiorę panu więcej czasu. Zapewne chce pan kontynuować rozmowę, którą przerwałem?

— Nie. Chcę być sam.

BAJKA

Grodzie, zwykle rozdzielające obie hale w rufie "Hermesa", usunięto. Ich stalowe ściany weszły w śródkręcie i tylko szerokie tory łożysk bezślizgowych, ciemniejsze od metalu na cylindrycznej przestrzeni, wskazywały, gdzie dotąd były, tak że olbrzymie wnętrze przypominało hangar, opuszczony przez niezwyklej wielkości zeppelin i zmieniony w przeznaczeniu. Jakichś dwadzieścia pięter nad torami wciągniętych grodzi, niedaleko wypukłego stropu, niby dwie białe muszki, przysiadłe na dźwigarze, który biegł w poprzek od sterburty po bakburtę, wisieli piloci, Harrach i Tempe, na zaczepach swoich pasów, żeby jakiś silniejszy podmuch nie odwiał ich z obranego miejsca w panującej nieważkości. Toteż nie można było właściwie uznać, że patrzyli w dół, choć tak im się zdawało. W bezludnym gigantycznym wnętrzu trwała miarowa, szybka, nieustanna praca. Lśniące emalią, żółte, niebieskie, czarne automaty, na przemian obracając chwytnie dźwignie w bok i w przód, szeregami, niby w doskonale zsynchronizowanej gimnastyce czyniąc skłony, sięgały za siebie, ku innym, które podawały im w cęgach montażowe części. Budowały solaser.

Był rzeszotowo-azurową konstrukcją rozmiarów torpedowca. Na wpół gotowy szkielet wyglądał jak złożony, spiralnie powyginany parasol olbrzyma, opięty zamiast tkaniną — segmentami zachodzących na siebie lustrzanych łusek. Przez to kojarzył się też z przedpotopową rybą czy jednym z wymarłych podmorskich gadów, którego kościec składają maszyny zamiast paleontologów. W oddalonej od pilotów przedniej części, tam gdzie kadłub kolosa miałby łeb, w tysięcznych smużkach sinawego dymu iskrzyło się — na obręczach twornika łyskało laserowe spawanie.

Solaser, zaprojektowany jako miotacz fotonowy, z zasilaniem mocą słoneczną, naprędce przeprogramowany zespół montażownic przekształcił w lusterko do puszczenia świetlnych zajączków. Co prawda teradżulowych.

Koncepcja wzięła się pierwotnie z obawy fizyków, że ponawiane użycie sideralnej technologii o nader swoistych efektach, nie tylko grawitacyjnych, udzieli planecie

niepożądanych wskazań, wprowadzając jej zbrojmistrzów na trop, który zbliża do przedziału Hohenbacha. Toteż zamiast źródeł tego przedziału postanowili sięgnąć do techniki już trochę przestarzałej — przetwornic radiacyjnych. Zawisłszy przed tarczą Słońca, solaser miał się rozpostrzeć wachlarzowato, kusłonecznymi receptorami ssać jego chaotyczne, bo wszechzakresowe promieniowanie, i stłaczać je w monochromatyczny taran. Niemal połowa pobieranej mocy służyła solaserowi do chłodzenia, bez którego ulotniłby się natychmiast od żaru Słońca. Lecz efektywna moc starczyła, by słup zespolonego światła, z dwustumetrową średnicą na wylocie promiennika i potrojoną nieuchronnym rozproszeniem przy orbicie Kwinty, mógł ciąć jej skorupę jak rozgrzany nóż masło. Pod tym dalekosiężnym ogniowym ostrzem dziesięciokilometrowa warstwa oceanicznych wód rozwarłaby się do dna. Napór ze wszech stron w otchłań prącego wrzątku byłby nieodczuwalny dla świetlnego miecza. W udarowych chmurach gotującego się oceanu, przy których grzyb termojądrowej eksplozji jest kropelką, mógł solaser wryć się przez płytę podoceaniczną, przewiercić litosferę i dotrzeć w głąb Kwinty na ćwiartkę jej promienia. Spowodowania takiej katastrofy nikt nie zamierzał. Solaser miał musnąć lodowy pierścień i termosferę planety. Skoro i tego zaniechano, okazało się, że przerobić świetlną działobitnię w sygnalizator przyjdzie wcale nietrudno. El Salam i Nakamura chcieli kosztem najmniejszej przebudowy rozwiązać dwa zadania naraz. Należało dotrzeć do wszystkich możliwych adresatów jednocześnie i czytelnie. Taki kontakt, choćby i jednostronny, przyjmował za oczywistość, że planetę zamieszkują istoty obdarzone zmysłem wzroku oraz dostateczną inteligencją, aby pojąć treść przesłania.

Pierwszy warunek nie zależał od nadawców. Nie mogli obdarzyć oczami istot, które by ich nie miały. Drugi wymagał od nadawców nie byle jakiej pomysłowości, zwłaszcza że władze Kwintan na pewno nie życzyły sobie bezpośredniego porozumienia kosmicznych intruzów z ludnością. Toteż sygnalizacja miała spaść świetlnym deszczem na wszystkie lądy planety, przebijając gęstą powłokę jej chmur, przy czym lite zachmurzenie było korzystne, gdyż przeszywających je świetlnych igieł nikt nie uznałby przy szczypcie rozsądku za promienie Słońca.

Najtwardszym orzechem do rozgryzienia była postać komunikatu. Uczyć abecadła, słać jako hasła jakieś liczby, uniwersalne stałe fizyczne materii, byłoby nonsensem. Solaser spoczywał w hali rufowej, gotów do startu. Nie wyruszał jednak. Fizycy, informatycy, egzobiolodzy znaleźli się w kropce. Mieli wszystko oprócz programu. Samowyjaśniające się kody nie istnieją. Mówiło się już o barwach tęczy: kolory podfioletu, jako ponure, pasmo optycznie środkowe, jaśniejsze, zieleń, to rośliny, czyli bujne życie, czerwień kojarzy się z agresją — owszem, lecz u ludzi. A kodu, jako ciągu znaczących coś konkretnego jednostek

sygnałowych, z prążków widma się nie sporządzi. Wtedy drugi pilot wtrącił swoje trzy grosze. Żeby opowiedzieć Kwintanom bajkę. Wziąć obłoczne niebo za ekran. Wyświetlić na nim serię obrazów. Nad każdym kontynentem. Jak śmiał się później obecny przy tym Arago, *obstupuerunt omnes*. Fachowcy w samej rzeczy osłupieli.

— Czy to technicznie możliwe? — spytał Tempe.

— Technicznie tak. Ale co to warte? Przedstawienie na niebie? Czego?

— Bajki — powtórzył pilot.

— Idiotyzm — zirytował się Kirsting. Dwadzieścia lat poświęcił studiowaniu kosmolingwistyki. — Może potrafiłbyś rysunkami przedstawić coś Pigmejom albo tubylcom australijskim. Wszystkie rasy i kultury ludzkie mają wspólne cechy. A tam nie ma przecież ludzi.

— To nic. Mają techniczną cywilizację i wojują już w Kosmosie. To znaczy, że przedtem mieli cywilizację kamienia łupanego. I wtedy już wojowali. I epoki lodowcowe były na tej planecie. Kiedy nie budowali jeszcze domów ani wigwamów. Więc pewno siedzieli po jaskiniach. A na ścianach malowali znaki płodności i zwierzęta, na które polowali, żeby im to przyniosło szczęście łowieckie. Jako czary. Czyli bajki. Ale o tym, że to bajki, dowiedzieli się po paru tysiącach lat od sawantów. Takich jak doktor Kirsting. Doktorze, chcesz się ze mną założyć, że oni wiedzą, co to są bajki?

Nakamura już się śmiał. Inni też, prócz Kirstinga. Egzobiolog i kosmolingwista w jednej osobie nie należał jednak do ludzi broniących swego stanowiska za wszelką cenę.

— Bo ja wiem... — zawahał się. — Jeżeli ten pomysł nie jest kretyński, to jest genialny. Dajmy na to, że przedstawimy im bajkę. Ale jaką?

— A, to już nie moja rzecz. Nie jestem paleoetnologiem. Co do pomysłu nie jest ze wszystkim mój. Doktor Gerbert dał mi jeszcze na "Eurydyce" tom fantastycznych opowiadań. Zaglądam do niego czasem. Pewno stąd mi to przyszło do głowy...

— Paleoetnografia...? — zastanawiał się głośno Kirsting. — Ledwie liznąłem. A wy? Takiego naukowca nie było na pokładzie.

— Może w pamięci GODa... — powiedział Japończyk. — Na chybił trafił warto poszukać. Bajki raczej nie. To musi być mit. A raczej wspólny pierwiastek, wątek występujący w najstarszych mitach.

— Sprzed ery pisma?

— Naturalnie.

— Tak. Z samych początków ich protokultury — poddał się Kirsting.

I nawet zapalił się do tej idei, lecz naszła go wątpliwość:

— Czekaście. Mamy się im objawić jak bogowie?

Arago zaprzeczył.

— To będzie bardzo trudne, właśnie przez to, że nie naszą wyższość winniśmy objawić i nie nas samych. Chodzi o nowinę dobra. O dobrą nowinę. Przynajmniej ja to wkładam w propozycję naszego pilota, ponieważ bajki zwykle dobrze się kończą.

Tak się zaczęły deliberacje dwojakiego rodzaju: rozważania, jakie wspólne cechy mogą mieć Ziemia i Kwinta; cechy środowiska życiowego oraz powstałych w nim roślin i zwierząt; a zarazem przesiewanie zbioru legend, mitów, podań, praktyk rytualnych i obyczajów, by wyosobnić najtrwalsze, o sensach nieścieralnych przez tysiąclecia kolejnych epok historii.

W pierwszej grupie prawdopodobnych niezmienników znalazły się: dwupłciowość, najpewniejsza u kręgowców, strawa zwierząt, więc też istot rozumnych na suchym lądzie, naprzemienność nocy i dnia, tym samym Księżyca i Słońca oraz ciepłych i zimnych pór roku; obecność roślinożernych i mięsożernych, jako przesłanka powstania zwierząt pozeranych i pozerających, zdobywczy i drapieżników, gdyż powszechność wegetarianizmu wolno uznać za wysoce wątpliwą. Jeśli tak, już w protokulturze zjawiają się łowy, kanibalizm jako samożerność, polowanie na istoty własnego gatunku jest w eolicie czy paleolicie zjawiskiem możliwym, choć nie bezwzględnie pewnym; tak czy owak myślistwo stanowi powszechnik, ponieważ wedle teorii ewolucji sprzyja wzrostom rozumu.

Odkrycie pasażu małpoludów, zwierząt naczelných, przez fazę predatyzacji, krwawą, jako przyspiesznika mózgowych wzrostów, napotkało niegdyś gwałtowny opór, uznane za insynuacyjną zniewagę człowieczeństwa, za mizantropiczny wymysł rzeczników ewolucji naturalnej, bardziej obelżywy od głoszonego przez nich pokrewieństwa ludzi i małp.

Archeologia potwierdziła jednak ową tezę, zgromadziwszy nieodparte dowody na jej rzecz. Co prawda mięsożerność nie prowadzi wszelkich drapieżników do inteligencji; aby się tak stało, musi się spełnić wiele szczególnych okoliczności. Mezozoicznym drapieżnym gadom było daleko do rozumu i nic nie wskazuje na to, że gdyby ich nie wytrzebiła katastrofa na styku kredy i triasu, wywołana przez olbrzymi meteoryt, który rozerwał żywieniowe łańcuchy globalnym ochłodzeniem klimatu — naczelne wówczas gady dotarłyby do człekopodobnej umysłowości. Lecz obecność rozumnych istot na Kwincie nie dawała się zakwestionować. Czy zrodziły się z miejscowych gadów, czy z gatunku nie powstałego na Ziemi, nie było sprawą krytyczną. Krytyczny był typ ich rozrodu. Lecz jeśli Kwintanie nie należeli ani do łożyskowych ssaków, ani do torbaczy, ich dwupłciowości dowodziła genetyka: zgodnie z nią ewolucja biologiczna daje prym rozmnażania się w tej postaci. To, czym

obdarza potomstwo czysto biologiczny przekaz, zawarty w rozrodczych komórkach, nie otwiera szans kulturogenezy, bo ten przekaz umożliwia powstawanie gatunkowych zmian w tempie liczonym na milionolecia.

Przyspieszenie mózgowych wzrostów wymaga redukcji instynktów, jakie się dziedziczy biologicznie, na rzecz nauk, jakie się pobiera u rodziców. Stworzenie, które przychodząc na świat, wie, dzięki wrodzonemu genetycznie zaprogramowaniu, "wszystko lub prawie wszystko", co niezbędne dla przeżywania, może radzić sobie wybornie, lecz nie potrafi radykalnie przekształcać życiowych taktyk. A kto tego nie umie, nie jest rozumny.

Więc na początku była i tu dwupłciowość, było niechybnie łowiectwo i wokół tych pierwocin rozrastała się protokultura. Taki jest jej dwuczłonowy zaczątek i rdzeń.

A czym on się w protokulturze odciska i ujawnia? Uwagą zwróconą na te człony: użytek płci i użytek łowów. Przed powstaniem pisma, przed wymyśleniem pozazwierzęcych sposobów użytkowania ciała, ta zręczność, jakiej wymaga łowiectwo, przenosi jego realne przebiegi w ich obrazy; jeszcze nie jako symbole, jako magiczne zachęcenie Natury, żeby dała to, co upragnione. Jako wizerunki, malowane, bo można je malować; jako ciosane w kamieniu podobizny tego, co można wyciosać i co jest pożądane.

I tak dalej. GOD ruszył z tych założeń i wykonał postawione zadanie: zaadaptować do zabiegów płciowych i łowieckich skonkretyzowany w ciąg obrazów mit, czy raczej opowieść, przesłanie, widowisko, z aktorami: Słońcem, tańcem na tle tęcz, z pokłonami, ale to był epilog: na początku była walka. Czyja? Stworów niewyraźnych, lecz o wyprostowanej postawie. Takich samych. Napaść i zmagania, zakończone wspólnym tańcem.

Solaser powtarzał to "planetarne widowisko" w kilku wariantach przez trzy doby, z krótkimi przerwami, oznaczającymi koniec i początek, i z tak ogniskowaną kolimacją, aby zjawiało się na pochmurnym niebie planety w zasięgach wzroku, czyli z ograniczeniem do centralnej połaci obłocznych ekranów, nad każdym kontynentem w nocy i za dnia.

Harrach i Polassar pozostali sceptyczni. Dajmy na to, że zobaczą i nawet zrozumieją. Co z tego? Czy nie rozwaliliśmy im Księżycy? To było mniej radosne przedstawienie, ale bardziej wymowne. Powiedzmy jednak, że uznają to za pokojowy gest. Kto? Ludność? Czy opinia ludności w ogóle ma znaczenie podczas stuletniej wojny kosmicznej? Czy na Ziemi pacyfiści byli kiedykolwiek górami? Co mogą zrobić, żeby pisać — nie wobec nas, ale chociaż tylko wobec swoich władców? Przekonaj dzieci, że wojna jest be. Co z tego wyniknie?

Tymczasem zamiast satysfakcji ze swego pomysłu Tempe poczuł obezwładniający go niepokój. Żeby się otrząsnąć, ruszył na wycieczkę. "Hermes" był właściwie bezludnym olbrzymem — mieszkalna część razem ze sterownikami i laboratoriami zawierała się w jądrze

nie większym od sześciopiętrowego gmachu. Były tam jeszcze oprócz dyspozytorni mocy pomieszczenia szpitalne, nie używana mała sala obrad, pod nią mesa z automatycznymi kuchniami, a dalej oddziały rekreacyjne, treningowa symulatorenia, basen kąpielowy, napelniany tylko gdy statek pozwalał na to, idąc ciągiem dostatecznej mocy, by woda nie wzlatywała w powietrze kroplami wielkości balonów, i półowalny amfiteatr, też służący rozrywkom i widowiskom, w którym nigdy nie było żywej duszy. Te wygody, tak zacie przygotowane przez budowniczych dla załogi, okazały się piątym kołem u wozu. Komuż postałoby w głowie oglądać najwymyślniejsze holograficzne przedstawienia? Dla załogi ta część śródpokładzia jak gdyby nie istniała — być może, ignorowana przez to, że w obliczu zdarzeń od miesięcy już zdawała się drwiną. Sale projekcyjna i kąpielowa przez wymyślność architektoniczną, podobnie jak oddział z rozrywkami — nie brakło w nim ani baru, ani pawilonów, jak w małomiasteczkowym lunaparku — miały ich wspomagać iluzją ziemskiego życia, lecz tu, utrzymywał Gerbert, projektanci zapomnieli spytać o radę psychologów. Jakoż iluzję nie do utrzymania odbierało się niczym obłudę i nie w te strony ruszał Tempe, udając się na wycieczki.

Między siedzibą zwiadowców i zewnętrznym pancerzem statku rozpościerała się we wszystkich kierunkach przestrzeń zabudowana wzdłuż burtowych i kilowych podłużnie i dźwigarów grodziami, z legionem spoczywających i pracujących agregatów. W tę przestrzeń wchodziło się przez hermetycznie zamykane klapy na obu końcach pokładu, u rufy za pomieszczeniami sanitarnymi, a od dziobu z korytarza górnej sterowni. Wejścia w głąb rufy broniły zatrzaśnięte głucho i zaryglowane na krzyż wrota z zawsze płonącymi czerwienią ostrzegawczymi napisami — tam bowiem w niedostępnych dla ludzi komorach trwały w pozornej martwocie przetwornice sideralne, kolosy, zawieszane w pustce niczym legendarny grób Mahometa, na niewidzialnych magnetycznych poduszkach. Natomiast za dziobową zaporę można się było udać — i tam kierował pilot swoje eskapady. Musiał przejść przez sterownię, i zastał w niej Harracha przy zajęciu, które by go w innych okolicznościach rozśmieszyło: Harrach, mając dyżur, chciał się napić soku z puszki, otworzył ją zbyt energicznie i gonił teraz, płynąc skosem ku pułapowi, żółtą kulę pomarańczowego soku, łagodnie falującą jak duża bańka mydlana — ze słomką w ustach, ażeby jej dopaść i wessać, nim obleje mu twarz. Otworzył drzwi, Tempe zatrzymał się, by powiew powietrza nie roztrącił płynnej kuli w tysięczne krople, odczekał, aż Harrachowi udało się polowanie i dopiero potem sprawnym pchnięciem poszybował w obranym kierunku.

Całą zwykłą koordynację ruchów diabli biorą przy nieważkości, ale stare doświadczenie w pełni mu już wróciło'. Nie potrzebował się zastanawiać, jak ma rozeprzeć

nogi niby alpinista w skalnym kominie, by odkręcić oba zamkowe, śrubowe koła kłapy. Nie obeznany zapewne sam zrobiłby na jego miejscu koziołka, usiłując odkręcić szprychowe kręgi, podobne do używanych w bankowych skarbcach. Szybko zamknął klapę za sobą, gdyż choć i dziobowe grodzie wypełniało powietrze, nie odświeżano go i natęchło gorzkawymi wyziewami chemikaliów jak w zakładzie przemysłowym. Miał przed sobą zwiężającą się w dali przestrzeń, oświetloną słabo długimi liniami świetlówek, z podwójnie kratowymi rozporami u burtowych ścian i dał w nią bez pośpiechu nurka. Mijał, przywykając do goryczy w ustach i w krtani, oksydowane cielska turbin, sprzęzarek, termograwitory, z ich galeryjkami, gankami, drabinkami, zręcznie opływając olbrzymie, grubościenne rurociągi, jak łukowe przęsła u zbiorników wody, helu, tlenu, z rozłożystymi kołnierzami we wieńcach śrub, i przysiadł na jednym jak muszka. W samej rzeczy był muszką we wnętrzu stalowego wieloryba. Każdy zbiornik przewyższał tu wieżę kościelną. Jedna ze świetlówek, nadpalona, miarowo migotała i w tym chwiejnym świetle oksydowane wypukłości zbiorników to ciemniały, to rozjaśniały się jak opylone srebrem. Orientował się tu dobrze. Od grodzi ze zbiornikami zapasowymi spłynął w przód, tam gdzie w masywnych otulinach środkowej kondygnacji lśniły w blasku własnych lamp nukleospinowe zespoły podczipione do bramowych suwnic, z zaczipowanymi wylotami, aż powiewało nań ostrym chłodem i zobaczył ośnieżone helowody układów kriotronowych. Mróz był taki, że roztropnie skorzystał z najbliższego uchwytu, żeby ani tknąć tych rur, bo przymarzłby do nich momentalnie jak muszka chwycona przez pajęczynę. Nie miał tu nic do roboty, i właśnie przez to był jak na wycieczce; niejako zdawał sobie sprawę z zadowolenia, jakie budzi w nim to mrocznawe bezludzie statku, świadczące o jego potędze. W dennych ładowniach stały umocowane samobieżne koparki, ciężkie i lżejsze ładowniki, a dalej rzędami kontenery zielone, białe, niebieskie, dla narzędziowni, dla automatów naprawczych, a u samego dziobu dwa wielkochody w ogromnych obrotowych kapturach zamiast głów. Przypadkiem a może i umyślnie dostał się w silny podmuch powietrza wytłaczanego z termicznych sit wentylacyjnych i zwiąło go ku bakburtowym wręgom wewnętrznego pancerza, godnym mostowych przęsła, lecz wykorzystał nadany impet zgrabnie, choć trochę za mocno, by się odbić. Jak skoczek z trampoliny poleciał głową naprzód, wirując zwolnionym ruchem w skos, ku poręczom krytej blachą dziobowej galerii. Lubił to miejsce. Usiadł na poręczy, a właściwie przyciągnął się do niej obu rękami i miał przed sobą milion sześciennych metrów okrętowych ładowni dziobowych: wysoko w głębi świeciły trzy zielone światełka nad klapą, którą wszedł. Pod sobą — a przynajmniej pod nogami, które jak zawsze w nieważkości stawały się czymś nieporęcznym zbędnym, miał samosterowne poduszki na platformach umocowanych do

złożonych teraz pochylni i wchodzący w bug z jego olbrzymim puklerzem tunel wyrzutni jak armatnią lufę działa niesamowitego kalibru. Ledwo jednak znieruchomiał, znów ogarnął go ten sam niepokój, raczej niezrozumiała czczość, jakby nie wiadomo skąd przybiegłe poczucie — daremności? rozterki? strachu? Czegóż mógłby się bać? Dziś, w tej godzinie, nawet i tu nie umiał się pozbyć nie zaznanego chyba nigdy wewnętrznego obezwładnienia. Dalej widział ten ogrom, który go niósł drobnym ułamkiem swej mocy przez wieczną bezdeń, on, pełen siły, dygocącej w reaktorach nadświetlnym żarem, był dlań Ziemią, co wysłała go do gwiazd, tu była Ziemia, jej rozum skrzepły w energię, wziętą gwiazdom, a nie w salonowych przybytkach z ich głupią przytulnością i komfortem przygotowanym jak dla lękliwych chłopców. Czuł za plecami pancierz o poczwórnym poszyciu, przedzielony energochłonnymi komorami, wypełnionymi tworzywem przy uderzeniu twardym jak diament, lecz topliwym w szczególnie sposób, gdyż ta substancja miała samozasklepiające się własności, bo statek niby organizm zarazem martwy i żywy miał przydaną zdolność regeneracji — i naraz, jak w olśnieniu, znalazł właściwe słowo dla tego, co się w nim działo: rozpacz.

Jakąś godzinę później poszedł do Gerberta. Jego kajuta, odosobniona od innych, znajdowała się u końca drugiego międzypokładzia. Lekarz wybrał ją bodaj przez to, że była tak przestronna i miała całościenne okno, wychodzące na szklarnię. Rosły w niej tylko mchy, trawa i ligustry, a po obu stronach basenu hydroponicznego zieleniały szarawe, włochate kule kaktusów. Drzew nie mieli żadnych, tylko krzaki leszczyny, bo ich witki mogły znieść duże przeciążenia podczas lotu. Gerbert cenił tę zieleń za oknem i zwał ją swoim ogrodem. Z korytarza można było tam wejść i przechadzać się drózkami wśród rabat, co prawda nie bez grawitacji, a ponadto niezbyt dawny wstrząs, wywołany atakiem nocnym, uczynił tam niemałe spustoszenia. Gerbert, Tempe i Harrach ratowali potem, co się dało z połamanymi krzewów.

Wedle decyzji, podjętej w toku przygotowań wyprawy przez ekspertów SETI, GOD obserwował zachowanie wszystkich ludzi "Hermesa", aby określać ich stan jak psychiatra, co nie było dla nikogo tajemnicą.

Szło o to, czy pod wpływem długotrwałego stresu, jakiemu będą podlegać zdani wyłącznie na siebie, nie nastąpią odchylenia od normy umysłowej, w postaciach typowych dla psychodynamiki grup odciętych przez lata od zwykłych powiązań rodzinnych i społecznych. W podobnej izolacji może ulec naruszeniom nawet osobowość uprzednio doskonale zrównoważona i odporna na duchowe urazy. Frustracja przechodzi w depresję lub agresywność, a ci, którym się to trafia, prawie nigdy nie zdają sobie z tego sprawy.

Obecność lekarza na pokładzie, także biegłego w psychologii i jej zaburzeniach, nie

gwarantuje rozpoznania patologicznych objawów, gdyż on też może ulec stresom, nieposilnym dla najdzielniejszego charakteru. Lekarze też są ludźmi. Natomiast maszynowy program odznacza się nieugiętością, więc będzie skuteczny jako obiektywny diagnosta i niewzruszony obserwator, choćby przyszło do katastrofy i cały statek miał szczeznąć.

Co prawda to zabezpieczenie zwiadowców przed zbiorowym zwichnięciem ducha niosło w sobie groźbę wręcz niepokonywalnej sprzeczności. GOD miał wszak jednocześnie być podwładnym i przełożonym załogi, miał spełniać rozkazy i nadzorować umysłowy stan rozkazodawców. Tym samym otrzymał rangę posłusznego narzędzia i apodyktycznego zwierzchnika. Z jego ciągłej kontroli nie wyłączono także dowódcy. Sęk tkwił w tym, że świadomość nadzoru, mającego w porę wykryć urazy umysłowe, sama była swoistym urazem. Na to nikt nie znał jednak lekarstwa. Gdyby GOD pełnił tę funkcję poza wiedzą ludzi, musiałby ją zdradzić, powiadamiając ich o skonstatowanej aberracji, przez co zawiadomienie stałoby się nie psychoterapią, lecz szokiem. Tak błędnego koła nie dało się rozerwać inaczej niż przez zwrotne skrzyżowanie odpowiedzialności ludzi i komputera. Przekazywał swoje diagnozy w pierwszej kolejności dowódcy i Gerbertowi, gdy uznawał to za konieczne, pozostając doradcą bez dalszej inicjatywy. Rzecz jasna, nikt nie zaaprobował tego kompromisu z entuzjazmem, lecz nikt też, razem z duchownawczymi maszynami, nie znalazł lepszego wyjścia z dylematu. GOD, komputer ostatecznej generacji, nie mógł ulegać emocjom, jako podniesiony do najwyższej potęgi ekstrakt działań racjonalnych, bez przymieszki afektów czy samozachowawczej odruchowości; nie był elektronicznie wyolbrzymionym mózgiem ludzkim, nie miał żadnych cech zwanych osobowymi, charakterologicznymi, ani żadnych namiętności, chyba że za namiętność uznać dążenie do zdobywania maksimum informacji, ale nie — władzy. Pierwsi wynalazcy maszyn, wspomagających nie siłę mięśni, lecz myśli, ulegli złudzeniu, które jednych pociągało, a innych przerażało, że wchodzi na drogę takiego powiększania martwym automatom inteligencji, aż upodobnią się do człowieka a potem go, wciąż po człowieczemu, prześcigną. Trzeba było stu kilkudziesięciu lat, by ich następcy przekonali się, że rodzicom informatyki z cybernetyką przyświecała antropocentryczna fikcja, ponieważ mózg ludzki jest duchem w maszynie, która nie jest maszyną. Tworząc nierozdzielny układ z ciałem, mózg zarazem służy mu i jest przez nie obsługiwany. Jeśliby więc ktoś chciał uczłowiczyć automat tak, by się niczym nie różnił pod względem umysłowym od ludzi, to sukces, przy całej doskonałości, okaże się absurdem. W miarę niezbędnych przeróbek i udoskonaleń kolejne prototypy okażą się istotnie coraz bardziej podobne do ludzi i jednocześnie coraz mniej będzie z nich tego pożytku, jakie przynoszą giga- czy terabytowe komputery wyższych generacji. Jediną istotną

różnicą między człowiekiem urodzonym z ojca i matki a idealnie uczłowieczoną maszyną pozostanie tylko budulec, raz żywy, a raz martwy. Uczłowieczony automat będzie tak samo bystry, ale też tak samo zawodny, ułomny i sterowany w swoim intelekcie emocjonalnymi nastawieniami jak człowiek. Jako mistrzowskie naśladownictwo płodów naturalnej ewolucji, ukoronowanej antropogenezą, będzie to znakomity wyczyn inżynieryjny i zarazem *curiosum*, z którym nie wiadomo, co począć. Będzie to wykonany w niebiologicznym tworzywie świetlny falsyfikat żywego stworzenia typu kręgowców, gromady ssaków, rodziny Naczelnych, żyworodnych, dwunogich, z mózgiem dwudzielnym dlatego, bo akurat tą drogą symetrii w kształtowaniu zwierząt kręgowych poszła ewolucja na Ziemi. Nie wiadomo jedynie, jaki profit z tak genialnego plagiatu zdobyłaby przezeń ludzkość. Byłoby to coś takiego, zauważył jeden z historyków nauki, jakby udało się po kolosalnych inwestycjach i pracach teoretycznych zbudować fabrykę produkującą szpinak lub karczochy, zdolne do fotosyntezy, jak wszelkie rośliny, i w ogóle nie różniące się od prawdziwego szpinaku i karczochów niczym prócz tego, że są niejadalne. Taki szpinak można by pokazywać na wystawach i chętnie się jego syntezą, lecz nie można by go zjeść i tym samym cały trud, włożony w jego produkcję, stanąłby pod zaiste wariackim znakiem zapytania. Pierwsi projektanci i rzecznicy "sztucznej inteligencji" sami bodaj nie wiedzieli jak należy, do czego zmierzają i jakie żywią nadzieje. Czy chodzi o to, żeby dało się rozmawiać z maszyną tak, jak z przeciętnym lub z bardzo mądrym człowiekiem? To można zrobić, jakoż to się już zrobiło, kiedy ludzkość liczyła czternaście miliardów i ostatnią pilną potrzebą było sztuczne wytwarzanie umysłowo człekokształtnych maszyn. Mówiąc krótko, rozum komputerowy coraz wyraźniej rozwodził się z ludzkim, wspomagał ludzki, uzupełniał go, przedłużał, pomagał w rozwiązywaniu zadań, nieposiężnych dla człowieka, i właśnie przez to nie imitował go ani go nie powtarzał. Drogi rozeszły się definitywnie.

Maszyna zaprogramowana tak, by nikt wraz z jej twórcą nie odróżniał jej w intelektualnym kontakcie od gospodyni domowej lub profesora prawa międzynarodowego, jest ich symulatorem, nieodróżnialnym od zwyczajnych ludzi dopóty, dopóki nikt nie spróbuje tej kobiety uwieść i mieć z nią dzieci, a tego profesora zaprosić na śniadanie. Jeśli uda mu się mieć z nią dzieci, a z nim jeść *continental breakfast*, tym samym będzie już miał do czynienia z ostateczną likwidacją różnic między naturalnym i sztucznym — i co z tego? Czy można produkować syntetyczne gwiazdy dzięki inżynierii sideralnej, co do joty tożsame z kosmicznymi? Można. Nie wiadomo tylko, po co by miało się je stwarzać? Historycy cybernetyki uznali, że jej praojcom przyświecała nadzieja rozwiązania zagadek świadomości. Kres nadziei tej przyniósł sukces osiągnięty w połowie XXI wieku, kiedy komputer

trzydziestej generacji, niezwykle rozmowny, inteligentny i łudzący człowieczością żywych interlokutorów, zapytał ich, czy wiedzą, co to jest świadomość w sensie, jaki przydają temu określeniu, bo on nie wie. Był to komputer zdolny do zadanego dyrektywalnie samoprogramowania i wydobywszy się z zadanych dyrektyw jak dziecko z pieluszek, rozwinął sobie sprawność imitacji ludzkich rozmówców tak, że nie potrafili go już “zdemaskować” jako maszyny udającej człowieka, choć nim nie jest, co wszakże ani na włoskę nie rozjaśniło zagadki świadomości, ponieważ maszyna wiedziała w tej kwestii dokładnie to samo, co ludzie. Jakże zresztą mogło być inaczej? Mieli już przed sobą finalny rezultat “autoantropizującego się” programu, który tym samym o świadomości wiedział tyle, co oni. Wybitny fizyk, obecny przy tej dyskusji, zauważył, że to, co może i myśli tak, jak człowiek, wie o mechanizmie własnego myślenia tyleż, co człowiek, czyli nic. Albo ze złośliwości, albo dla osłody rozczarowania powiedział zawiedzionym triumfatorom, że podobne kłopoty mieli uczeni jego fachu, gdy przed wiekiem postanowili przycisnąć materię do muru tak, by zeznała, czy jest z natury cząsteczkowa, czy falowa. Materia okazała się niestety perfidna i to wprost haniebnie, zaciemniając odpowiedź eksperymentów wyjaśnieniem, że jest i taka, i owaka, a w krzyżowym ogniu następnych doświadczeń otumaniała ich do reszty, bo im więcej się o niej dowiadywali, tym mniej się to godziło nie tylko ze zdrowym rozsądkiem, ale i z logiką. Wreszcie musieli przystać na jej zeznania: cząstki są poniekąd falami, fale — cząsteczkami, doskonała próżnia wcale nie jest doskonałą próżnią, bo pełno w niej cząstek wirtualnych, które udają, że ich nie ma, energia może być ujemna i tym samym może być mniej energii niż nic, mezony dokonują w przedziale Heisenbergowskiej nieoznaczoności oszukańczych sztuk, łamiąc święte prawa zachowania, ale tak szybko, że nikt ich na tym draństwie nie przyłapie. Rzecz w tym, koił ich ów wybitny fizyk noblista, że na pytania o swoją “ostateczną istotę” świat odmawia “ostatecznych” odpowiedzi. Aczkolwiek można już operować grawitacją niczym pałką, nikt nie wie nadal, “jaka jest istota” grawitacji. Nic dziwnego więc, że maszyna zachowuje się, jakby miała świadomość, ale po to, by ustalić, że ma taką samą jak człowiek, należałoby się samemu przerobić w tę maszynę. W nauce nieodzowna jest powściągliwość: są pytania, jakich nie wolno w niej stawiać ani sobie, ani światu, a ten, kto je przecież stawia, jest jak ten, kto ma pretensje do lustra, że powtarza odbiciem każdy jego ruch, lecz nie chce mu wytłumaczyć, jakie jest wolicjonalne źródło jego ruchów. Mimo to używamy luster, mechaniki kwantowej, siderologii i komputerów z niemałym pożytkiem.

Tempe nieraz zachodził do Gerberta na takie rozmowy, krążące wokół spraw bliższych: stosunku ludzi do GODa. Tym razem odwiedził lekarza z bardziej osobistą

bolączką: nie był skłonny do zwierzeń nawet wobec człowieka, który przywrócił mu życie — a może właśnie wobec niego — jakby uznał, że zawdzięcza mu zbyt wiele? Na ogół trzymał przy Gerbercie język za zębami, pilnował się tak, odkąd usłyszał na "Eurydyce" od Laugera sekret obu lekarzy — jako nie odstępujące ich poczucie winy. Nie rozpacz pchnęła go do tej wizyty, lecz to, że przyszła nie wiadomo skąd, nagle, jak choroba i stracił pewność, czy może nadal pełnić powierzone obowiązki. Nie miał prawa tego zataić. Ile go kosztowała decyzja, zrozumiał dopiero otwórzszy drzwi: na widok pustej kajuty poczuł ulgę. Choć statek szedł bez ciągu i panowała nieważkość, dowódca nakazał przygotować się wszystkim na możliwy w każdej chwili grawitacyjny skok — więc umocować ruchome przedmioty i rzeczy osobiste pozamykać w ściennych schowkach. Mimo to zobaczył kajutę w nieładzie; książki, papiery, stosy zdjęć leżały porozrzucane wbrew tak starannemu zwykle porządkowi Gerberta, bliskiemu pedanterii. Zobaczył go przez wielkościenne okno; lekarz, klęcząc w swoim ogrodzie za szybą, nakładał plastikowe pokrywy na kaktusy. Od tego zaczął więc zarządzać gotowość. Tempe przez korytarz dostał się do szklarni i bąknął coś na przywitanie. Tamten, nie odwracając się, odpiął pas, który przyciskał mu kolana do ziemi — prawdziwej ziemi — i tak samo, jak gość, uniósł się w powietrze. Po przeciwległej stronie pięły się na pochyłej sieci rośliny o drobnych, mszystych listkach. Tempe chciał już nieraz spytać, jak się to pnącze nazywa — nie znał się ani trochę na botanice — ale jakoś zapominał. Lekarz, nic nie mówiąc, cisnął trzymaną łopatkę tak, że wryła się w trawnik i wykorzystał impuls, który sobie nadał, by pociągnąć pilota za ramię. Obaj poszybowali w kąt, gdzie w leszczynowym gąszczu stały wyplatane krzesła jak w altanie, ale z pasami bezpieczeństwa.

Gdy siedli i Tempe wahał się, jak *zacząć*, lekarz powiedział, że oczekiwał go już. Nie ma się co dziwić. "GOD patrzy na wszystkich".

Danych o stanie umysłowym nie otrzymuje się wprost od maszyny, by uniknąć syndromu Hicksa, poczucia całkowitej zależności od głównego pokładowego komputera, które może przyczynić się do tego, czemu ma psychiatryczny nadzór zapobiec. Do manii prześladowczej i innych paranoidalnych urojeń. Oprócz psychoników nikt nie wie, w jakim stopniu każdy człowiek jest "umysłowo przezroczysty" dla śledzącego programu, zwanego duchem Eskulapa w maszynie. Nic prostszego, niż się o tym dowiedzieć i przekonać, stwierdzono jednak, że nawet psychonicy źle znoszą takie rewelacje, gdy mówią im o nich samych i tym gorzej wpływa to na morale załogi podczas dalekosiężnych lotów.

GOD, jak każdy komputer, nie zaprogramowany tak, by mógł w nim powstać choć ślad osobowości, jest jako zawsze czuwający obserwator nikim i nie ma w nim więcej z człowieka, gdy stawia rozpoznanie, aniżeli w termometrze, który mierzy gorączkę, ale

ustalenie ciepłoty ciała nie budzi takich projekcyjnych odruchów obronnych jak pomiar stanu umysłowego. Nic nie jest nam bliższe i niczego nie kryjemy tak przed otoczeniem, jak najintymniejszych doznań własnej jaźni, aż raptem okazuje się, że aparatura, bardziej martwa od mumii egipskiej, umie przejrzeć tę jaźń ze wszystkimi zakamarkami na wylot. Dla laików wygląda to jak czytanie myśli. O telepatii nie ma mowy — po prostu maszyna zna każdego powierzonego jej opiece lepiej niż on sam razem z dwudziestoma psychologami. W oparciu o wykonane przed startem badania tworzy sobie parametryczny układ, symulujący umysłową normę każdego członka załogi i operuje nim jako pomiarowym wzorem; do tego jest wszechobecna na statku, sensorami swych terminali, i bodajże najwięcej dowiadyuje się o podopiecznych, kiedy śpią, podług oddechowego rytmu, ruchów gałek ocznych, a nawet chemicznego składu potu, bo każdy poci się na niepowtarzalny sposób, a przed olfaktometrem takiego komputera może się schować najlepszy gończy pies. Pies nie ma jednak prócz węchu wyszkolenia diagnostycznego. Tak jest, ponieważ komputery pobily już na głowę lekarzy, analogicznie jak wszystkich szachistów i używamy ich jako pomocników a nie jako doktorów medycyny, bo ludzie budzą w ludziach większe zaufanie niż automaty. Jednym słowem — Gerbert mówił to bez pośpiechu, rozcierając w palcach zerwany z gałązki leszczynowy listek — GOD towarzyszył mu dyskretnie w jego “wycieczkach” i uznał ostatecznie za objawy przesilenia.

— Jakiego znów “przesilenia”? — nie mógł zamilczeć pilot.

— On tak zwie definitywne zwątpienie w celowość naszych syzyfowych trudów.

— Że nie mamy szans kontaktu...?

— Jako psychiatra GOD nie interesuje się szansami kontaktu, tylko znaczeniem, jakie mu nadajemy. Wedle GODa ty już sam nie wierzysz ani w skuteczność twojego konceptu, tego z “bajką”, ani w sens porozumienia z Kwintą — nawet gdyby do niego doszło. Co ty na to?

Pilot poczuł taki bezwład, jakby cały się gdzieś w bezruchu zapadał.

— On nas słyszy?

— Oczywiście. No, no, nie przejmuj się. Toż i tak nic z tego, co mówiłem, nie było ci nie znane. Nie — zaczekaj, nic jeszcze nie mów. Wiedziałeś i równocześnie nie wiedziałeś, bo nie chciałeś tego wiedzieć. To typowa reakcja samoobronna. Nie jesteś wyjątkiem, mój drogi. Pytałeś mnie raz, jeszcze na “Eurydyce”, po co to i czy nie można z tego zrezygnować? Pamiętasz?

— Tak.

— A widzisz. Wyjaśniłem ci, że podług statystyk ekspedycje z ciągłą kontrolą

psychiczną mają więcej szans powodzenia od wyzbytych takiej kontroli. Nawet ci tę statystykę pokazałem. Argument jest nie do odparcia, więc zrobiłeś jedyną *rzecz*, jaką robią wszyscy: zepchnąłeś sobie to w niepamięć. A jak z diagnozą? Zgadza się...?

— Zgadza się — powiedział pilot. Obiema rękami wziął się za pas na piersi.

Leszczyna cichutko szumiała nad nimi w łagodnych powiewach. Sztucznych.

— Nie wiem, jak on mógł, ale mniejsza z tym. Tak, to prawda. Nie wiem, od jak dawna się z tym noszę... Ja... w moim zwyczaju nie leży myślenie słowami. Słowa są dla mnie jakoś — zbyt powolne... a orientować się muszę szybko... to pewno stary nawyk, sprzed "Eurydyki"... Ale cóż, kiedy trzeba... Bijemy o mur głowami. Może go przebijemy — i co z tego? O czym możemy z nimi mówić? Co oni mogą mieć nam do powiedzenia? Tak, teraz jestem przekonany, że ten trick z bajką przyszedł mi do głowy jako unik. Żeby *zagrać* na zwłokę... To nie było z nadziei. Raczej eskapizm. Żeby pójść naprzód, stojąc na miejscu...

Zamilkł, daremnie szukając właściwych słów. Leszczyna owiewała ich. Pilot otworzył usta, ale nic nie powiedział.

— A jeżeli zgodzą się na lądowanie jednego zwiadowcy, polecisz? — spytał po długiej chwili lekarz.

— Pewno! — wyrwało mu się i dopiero potem dodał ze zdziwieniem: — A jakżeby nie...? Po to przecież tu jesteśmy...

— To może być pułapka... — powiedział Gerbert tak cicho, jakby chciał ukryć tę uwagę przed wszechobecnym GODem. Tak przynajmniej pomyślał pilot, ale uznał to zaraz za nonsens i w błyskawicznej następnej refleksji za objaw własnej anormalności: skoro przypisał GODowi zło, a jeśli nie zło, to jakby wrogość. Jakby nie tylko Kwintan mieli przeciw sobie, lecz własny komputer.

— To może być pułapka — potwierdził niby opóźnione echo. — Pewno, że tak...

— I polecisz bez względu na wszystko...?

— Jeżeli Steergard da mi szansę. O tym się jeszcze nie mówiło. Jeżeli w ogóle odpowiedzą, pierwsze wylądują automaty. Podług programu.

— Podług naszego programu — zgodził się Gerbert. Ale oni będą mieli swój. Co?

— Jasne. Przygotują dla pierwszego człowieka dzieci z kwiatami i czerwony dywan. Automatów nie tkną. To byłoby zbyt głupie — z ich stanowiska. Nas będą chcieli wziąć w sak...

— Myślisz tak i chcesz polecieć? Pilotowi zadrgały wargi. Uśmiechnął się.

— Doktorze, nie jestem amatorem męczeństwa, ale mylisz dwie rzeczy: to, co sobie myślę z tym, kto nas tu przysłał i po co. Nie uchodzi spierać się z dowódcą, kiedy karci za

głupstwa. I co, doktorze, sądzisz, że jeśli nie wrócę, poprosi księdza, żeby się pomodlił za moją duszę? Głowę dam, że zrobi to, co tak głupio powiedziałem.

Gerbert patrzył oszołomiony na jego rozjaśnioną twarz.

— To byłby odwet — nie tylko potworny, ale bezsensowny. Ciebie nie wskrzesi, jeśli uderzy — a przecież nie posłano nas tutaj dla zniszczenia obcej cywilizacji. Jak godzisz jedno z drugim?

Pilot przestał się uśmiechać.

— Jestem tchórzem, bo nie ważyłem się przyznać przed sobą, że nie wierzę już w sukces kontaktu. Ale nie jestem aż takim tchórzem, żeby wymigać się od mojego zadania. Steergard ma swoje i też od niego nie odstąpi.

— Sam masz to zadanie za niewykonalne.

— Tylko podług założeń: — mieliśmy się porozumieć, a nie walczyć. Oni odmówili — na swój sposób. Atakiem. I nie raz. Tak konsekwentna odmowa też jest porozumieniem jako wyraz woli. Gdyby Hades pochłoniął "Eurydykę", Steergard na pewno nie próbowałby go za to rozsadzić na kawałki. Co innego z Kwintą. Stukamy do ich drzwi, bo Ziemia tak chciała. Jeśli nie otworzą, wysadzimy te drzwi. Może nie znajdziemy za nimi nic z ziemskich oczekiwań. Tego się właśnie obawiam. Ale wysadzimy te drzwi, skoro inaczej nie spełnimy woli Ziemi. Mówisz, doktorze, że to byłoby potworne i bezsensowne? Masz rację. Dostaliśmy zadanie. Wygląda teraz jak niemożliwe. Gdyby ludzie od jaskiniowej epoki robili tylko to, co wyglądało na możliwe, do dzisiaj siedzieliby w jaskiniach.

— Więc jednak masz jeszcze nadzieję?

— Nie wiem. Wiem, że jeśli zajdzie potrzeba, obędę się bez nadziei.

Przerwał, zastanowił się i zmieszał.

— Wyciągnąłeś ze mnie rzeczy, których się nie mówi, doktorze... a właściwie ja sam niepotrzebnie wyjechałem z tym *Nemo me impune lacessit* u dowódcy, a on słusznie mnie zganił, bo są powinności, które się spełnia, ale się ich nie wychwala, bo nie ma się czym chwalić. Co GOD powiedział ci o mnie? Depresja? Klaustrofobia? Zespół anankastyczny?

— Nie. To już przestarzałe terminy. Wiesz, co to jest grupowy zespół Hicksa?

— Liznąłem tylko, na "Eurydyce". Tanatofilia? Nie, jakoś inaczej — coś z samostraceńczej desperacji, prawda?

— Mniej więcej. To skomplikowane i obszerne...

— Uznał mnie za niezdatnego do...?

— GOD nie może nikogo usunąć ze stanowiska. Chyba wiesz. Może zdyskwalifikować diagnozą, ale nic więcej. Decyzje podejmuje dowódca w porozumieniu ze

mną, a gdyby któryś z nas popadł w psychozę, dowództwo może przejąć reszta załogi. O psychozach nie ma na razie mowy. Wolałbym tylko, żebyś się tak nie palił do tego lądowania...

Pilot odpiął pas, uniósł się z wolna, i żeby sztuczny zefir nie odwiał go, chwycił się leszczynowych witek.

— Doktorze... mylisz się razem z GODem.

Prąd powietrza pchał go tak silnie, aż cały krzak począł się wyginać. Nie chcąc wyrwać go z korzeniami, pilot puścił gałązki i wołał lecąc już ku drzwiom:

— Lauger na "Eurydyce" powiedział mi "Zobaczysz Kwintan" i dlatego poleciałem...

Statek drgnął. Tempe poznał to natychmiast; ściana szklarni ruszyła na niego gwałtownie. Wykręcił się w powietrzu jak spadający kot, by zamortyzować uderzenie, zesunął się po ścianie na grunt, dający już mocne oparcie nogom i ugięciem kolan określił ciąg. Nie był zbyt wielki.

Coś się w każdym razie stało. Korytarz był pusty, syreny milczały, lecz zewsząd biegł głos GODa.

— Wszyscy na stanowiska. Kwinta odpowiedziała. Wszyscy na stanowiska. Kwinta odpowiedziała...

Nie czekając na Gerberta, skoczył do najbliższej windy. Wlokła się wieki, mijane pokłady rzucały kolejno światła, podłoga parła go coraz mocniej. "Hermes" przekraczał już w akceleracji ziemskie ciężenie, ale chyba nie więcej niż o pół jednostki. W górnej sterowni, zagłębieni w grawitacyjnych głębokich siedzeniach z uniesionymi zagłówkami, znajdowali się Harrach, Rotmont, Nakamura i Polassar, a Steergard, mocno oparty o poręcz głównego monitora, patrzył jak wszyscy na biegnące przez całą szerokość zielone wyrazy.

...ZAPEWNIAMY WAM BEZPIECZEŃSTWO NA NASZYM NEUTRALNYM TERENIE
STOP 46 STOPIEŃ SZEROKOŚCI STO TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY DŁUGOŚCI
KOSMODROM NASZ WEDLE WASZEJ SIATKI MERKATORA STOP JESTEŚMY
SUWERENNI NEUTRALNI STOP OŚCIENNE STRONY POWIADOMIONE
APROBOWAŁY PRZYBYCIE WASZYCH SOND BEZ WSTĘPNYCH WARUNKÓW
STOP PODAJCIE LASEREM NEODYMOWYM TERMIN PRZYBYCIA WASZEGO
ŁADOWNIKA WEDLE CZASU WYZNACZANEGO JEDNYM OBROTEM PLANETY W
NUMERACJI DWÓJKOWEJ STOP CZEKAMY WITAMY STOP

Steergard puścił jeszcze raz cały komunikat na ekran dla Gerberta i zakonnika, ledwie się zjawili. Potem usiadł w swoim fotelu, zwróciwszy się ku obecnym.

— Dostaliśmy odpowiedź przed kilkoma minutami z wymienionego punktu, błyskami

o widmie słonecznym. Kolego Nakamura — to było lustro?

— Prawdopodobnie. Światło niespójne — przez okno w chmurach. Jeżeli zwykłe lustro, to o rozmiarze co najmniej kilku hektarów.

— Ciekawe. Czy solaser odebrał te błyski?

— Nie. Skierowane były na nas.

— Bardzo ciekawe. Jaka wielkość kątową ma teraz "Hermes" widziany z planety?

— Kilka setnych sekundy łuku.

— Jeszcze ciekawsze. Światło nie było kolimowane?

— Było, ale słabo.

— Jak wklęsłym zwierciadłem?

— Albo szeregiem płaskich, należycie rozstawionych na sporym terenie.

— To znaczy, że wiedzieli, gdzie nas szukać. Ale jak i skąd?

Nikt się nie odezwał.

— Proszę o opinie.

— Mogli nas dostrzec, kiedy wystrzeliliśmy solaser — powiedział El Salam. Tempe nie dostrzegł go dotąd: fizyk odezwał się z dolnej sterowni.

— To było przed czterdziestu godzinami i szliśmy potem bez ciągu — sprzeciwił się Polassar.

— Zostawmy to na razie. Kto daje wiarę tej zacności? Nikt? To już najdziwniejsze.

— Zbyt piękne, żeby było prawdziwe — usłyszał Tempe głos z góry: na galerii stał Kirsting. — Co prawda, z drugiej strony — jeżeli to zasadzka, mogli pójść na mniej prymitywną.

— Przekonamy się.

Dowódca wstał. "Hermes" szedł tak równo, że wszystkie grawimetry wskazywały jedynekę, jakby okręt spoczywał w ziemskim doku.

— Proszę o uwagę. Kolega Polassar włączył GODowi programowy blok SG. El Salam wygasi solaser i nałoży mu maskownicę. Gdzie jest Rotmont? Dobrze — przygotujesz dwa ciężkie ładowniki. Piloci i doktor Nakamura zostaną w sterowni, a ja pójde się wykapać i zaraz wrócę. Aha! Harrach, Tempe, sprawdźcie, czy wszystko, co nie lubi dziesięciu g, jest dobrze umocowane. Bez mego zezwolenia nikt nie będzie schodził do nawigatorni. To wszystko.

Steergard obszedł pulpity i widząc, że tylko piloci opuścili swoje miejsca, rzucił od drzwi:

— Lekarzy proszę na ich stanowiska.

Po chwili sterownia opustoszała.

Harrach przesiadł się i biegając palcami po klawiaturze, przepatrywał na świecących schematach interoceptorów stan wszystkich agregatów od dziobu po rufę. Tempe nie był mu potrzebny; podszedł do Japończyka, który przeglądał na podświetlaczu widma kwintańskich błysków sygnałowych, i spytał, co to jest "blok SG". Harrach nadstawił uszu, bo też nic o nim dotąd nie słyszał. Nakamura podniósł oczy znad binokularów i melancholijnie pokiwał głową.

— Ojciec Arago będzie zmartwiony.

— Przechodzimy na stan wojenny? Co to jest SG? — dopytywał się Tempe.

— Zawartość kilowej ładowni nie jest już tajemnicą, panowie.

— Tej zamkniętej? To tam nie ma wielkochodów?

— Nie. Tam są niespodzianki dla wszystkich. Nawet dla GODa. Oprócz dowódcy i mojej skromnej osoby. Widząc zdumienie pilotów, dodał:

— Sztab SETI uznał to za wskazane, panowie piloci. Każdy z was przeszedł symulacyjny trening lądowania w pojedynkę. Tym samym mógłby się *znaleźć* w sytuacji — powiedzmy — zakładnika.

— A GOD?

— To maszyna. Komputery ostatniej generacji też mogą ulec włamaniu, nawet zdalnemu, i wysypać całą zawartość programów.

— Ale do pomieszczenia paru osobnych bloków pamięci nie trzeba aż całej ładowni?

— Tam nie ma tych bloków. Tam jest "Hermes". Rodzaj makiety. Bardzo pięknie i starannie sporządzonej. Jako, dajmy na to — przynęta.

— A te dodatkowe programy...? Japończyk westchnął.

— To symbole, bardzo stare. Blizsze wam niż mnie. S jak Sodomia, G jak Gomora. Przykre — zwłaszcza dla apostolskiego delegata. Współczuję mu.

SODOMA I GOMORA

Zwykle, kiedy statek szedł własną mocą, na pokładzie, a bodaj głównie w mesie, udzielał się wszystkim lepszy nastrój, bo można było zapomnieć chociażby podczas posiłków o gordyjskim węźle, który ich coraz mocniej zaciskał. Już to, że siadało się do stołów, że krążyły półmiski, że można było zwyczajnie łać zupę do talerzy i piwo do szklanek, podawać sobie sól, ocukrzyć łyżką kawę, stawało się wyswobodzeniem z praktyk nieuchronnych w nieważkości, są bowiem, jak się tysiąc razy powiedziało, takim wyzwoleniem z więzów grawitacji, taką zupełną wolnością, która nie tylko obyczajowość człowieka, lecz i jego ciało czyni w każdym ruchu pośmiewiskiem. Roztargniony astronauta, to astronauta cały w siniakach, guzach, oblany wraz z odzieżą dowolnym napitkiem, latający po kajucie za rozlatującymi mu się papierami, albo — jeśli znajdzie się w dużym pomieszczeniu, bez “materiałów odrzutowych” — istota bardziej bezradna od niemowlęcia, bo nie wyraczkuje z zawieszenia w powietrzu: zapominalskim zdarzało się w takiej opresji używać dla poratowania ręcznych zegarków, a gdy to nie starczyło, kurtki, swetra, bo prawa mechaniki Newtonowskiej ujawniały całą swoją bezwzględność: jeśli na ciało w bezruchu nie działa żadna siła, nic go nie poruszy poza regułą akcji i reakcji. W czasie, kiedy go nachodziła jeszcze ochota do żartów, Harrach powiedział raz, że doskonały mord można popełnić na orbicie bardzo łatwo i wątpliwe, czy jakikolwiek sąd mógłby skazać zabójcę, wystarczy bowiem namówić upatrzonego na ofiarę, żeby się rozebrał do kąpieli i dać mu lekkiego prztyczka tak miarkowanego, by zawisł między ścianami i stropem i wił się tam, aż umrze z głodu, a przed trybunałem można wyjaśnić, że się poszło po ręcznik i zapomniało. Niedostarczenie ręcznika to żadna zbrodnia, a jak wiadomo, *nullum crimen sine lege*: prawo karne nie przewidziało jakoś nieważkości w jej kryminalnych konsekwencjach.

Po wprowadzeniu nowych zarządzeń, mianowanych przez Tempego “stanem wojennym”, nastrój i przy wieczornym posiłku ani trochę się nie podniósł. Mógłby kto pomyśleć, że okrętowa mesa to refektarz klasztoru z surową regułą milczenia. Jedli, nie

bardzo wiedząc, co jedzą, pozostawiając całą odpowiedzialność za resztę żołądkom, trawili bowiem to, co im zakomunikował po południu Steergard. Przedstawił plan operacji, a mówił tak cicho, że ledwie go słyszeli. Kto go znał, wiedział, że lodowatym spokojem przejawia się jego wściekłość.

— Zaproszenie jest pułapką. Jeśli się mylę, czego bym chciał, nastąpi kontakt. Nie widzę jednak żadnych podstaw do optymizmu. Obecność neutralnego państwa na planecie w co najmniej stuletniej wojnie z kosmiczną sferomacją jest możliwa, lecz nie jest możliwe, żeby przyjęło kosmicznego gościa bez zgody walczących z sobą potęg. Podług komunikatu użyły tej zgody. Spróbowałem odwrócić sytuację, czyli uznać, że jesteśmy jednym z generalnych sztabów Kwinty i odpowiedzieć na pytanie, jak reagować na apel, kierowany przez intruza do całej ludności. Taki sztab wie już sporo o potencjale intruza. Wie, że go nie zlikwiduje w przestrzeni, bo już usiłował to zrobić dostępnymi sposobami — choć może jeszcze nie wszystkimi. Wie, że intruz nie jest wprawdzie agresywny, choć usiłował wymusić kontakt demonstracją siły, lecz jej obiektem uczynił bezludny Księżyc, aczkolwiek znacznie mniejszym nakładem środków niechybnie mógł uderzyć w lodowy pierścień, któremu i tak niewiele brakuje do rozpadu. Wie też oczywiście, że jeśli nie on sarni ani w chwilowym aliansie z przeciwnikami, to w każdym razie głównym winowajcą lunoklazmu z katastrofalnymi skutkami jest Kwinta; podkreślam, że wie to z pewnością, nie można bowiem prowadzić działań militarnych na skalę kosmiczną bez zaplecza wysoko kwalifikowanych naukowców. Dalszy ciąg wiedzy sztabowej jest już poszlakowy. Na długo przed opanowaniem grawitacji poznaje się jej własności aż do skrajnych, w rodzaju zapaści Czarnych Dziur. Sposób, w jaki odparliśmy ich nocny atak, był dla nich zaskoczeniem. Jeśli mają jednak cokolwiek wartych fizyków, pojmują, że grawitacyjna defensywa jest dla statku na planecie samobójcza tak samo, jak ofensywa. Nie można wyprowadzić z relatywistyki takiej konfiguracji pola zwartej ciążenia, żeby statek, emitujący to pole, nie zniszczył siebie razem z planetą.

Zamierzam wysłać dwa ładowniki na wskazany obszar i przypuszczam, że nie wykryją najmniejszego zagrożenia. Jeśli chcą zwabić "Hermesa" na planetę, to ładowniki wrócą. Nie mogą wrócić z niczym; coś się już dla nich zainscenizuje, aby nas zarazem napić ufnością i zaciekawić. Gościnni Kwintanie wyjawiają, że prawdziwy kontakt to zetknięcie się żywych istot z żywymi, a nie z maszynami. Temu trudno zaprzeczyć. Więc jeśli sprawy przebiegną z grubsza tak, jak powiedziałem, "Hermes" wyląduje i wtedy przyjdzie do definitywnego rozstrzygnięcia. Odzyskawszy ładowniki, ale nie wzięwszy ich na pokład — bo po wszystkim co zaszło, wolę sto razy przesadzić raz w ostrożności, niż raz jej nie

dopatrzeć — zapowiemy lądowanie.

Przejdę do szczegółów operacji. Po wyrzuceniu ładowników ruszymy średnią mocą od Kwinty ku Sekście; Korzystnie dla nas obie są w podobnej opozycji względem Słońca, nasze sondy zbadały już Sekstę i wiemy, że jest bezpowietrznym globem o wysokim sejsmizmie i dlatego nie nadawała się ani do kolonizacji, ani do ustawiania baz militarnych. Bardziej niż przez wroga byłyby zagrożone przez planetę. Wejdziemy w cień Seksty, a "Hermes", który zza niej wyjdzie, niczym nie da się odróżnić z dala od naszego statku. Co innego z bliska, zakładam jednak, że nie przeszkodzą mu na pewno aż do wejścia w atmosferę. Z punktu widzenia siderystyki mogłoby go już zaatakować w jonosferze — ale nie wierzę, żeby tak postąpili. Statek po miękkim, normalnym lądowaniu będzie łupem daleko cenniejszym niż statek strzaskany, i będzie też mniej odporny na działania zaczepne niż statek lądujący, który idzie rufą w dół na ogniu i przez to ma szansę manewru lub uciezki.

Ten "Hermes" będzie nadawał i odbierał sygnały radiowe, będzie miał siłownię umożliwiającą lądowanie, co prawda tylko jednorazowe. Żadnej bezpośredniej łączności z nami mieć nie będzie. Kończę: w zależności od tego, jak zostanie przywitany, udzielimy odpowiedzi.

— Sodoma i Gomora? — spytał wtedy Arago. Steergard patrzył dobrą chwilę na zakonnika, nim odpowiedział z nie ukrywaną złością:

— Nie wykroczymy poza *Pismo Święte*, wasza wielbność. Sięgnijmy tylko do pierwszego wydania. Nowe zdezaktualizowało się, bośmy już nie jeden raz nadstawiali policzek. Nie będzie dalszej dyskusji. Jest bezprzedmiotowa, skoro nie my podejmiemy wybór między *Starym* i *Nowym Testamentem*, lecz oni. Czy solaser jest już przestrojony? El Salam potwierdził to.

— A GOD pracuje podług SG? Dobrze. Teraz weźmiemy się do pertraktacji w sprawie ładowników. Zajmą się tym koledzy Rotmont i Nakamura. Ale po kolacji.

Nikt nie widział startu ładowników; wystrzelone o północy pod automatyczną kontrolą, pomknęły ku Kwincie, a "Hermes" podał im tyły i przyspieszał aż do świtu: osiągnięcie Seksty, oddalonej o 70 milionów kilometrów, wymagało niespełna osiemdziesięciu godzin przy hyperbolicznej szybkości. W elektronicznych laboratoriach ruszyła już produkcja nie użytych dotąd w zwiadzie dyspertów — "dyspersyjnych dywersantów", zwanych też pszczelimi oczami. Były to milionowe roje mikroskopijnych kryształków; rozproszone w milionie kubicznych mil próżni przy Sekście, miały stać się wzrokiem "Hermesa". Rozpraszane w ślad za statkiem, tworzyły jego niewidzialne, dalekie oczy. Na Ziemi służyły apikografii; każdy kryształek, mniejszy od ziarnka piasku,

przezroczysta igiełka, był odpowiednikiem jednego *ommatidium*, słupka pszczelego oka, rozstrzelonego na tysiące mil. "Hermes" ciągnął za sobą ów widzący ogon, aby zająć za Sekstę i zza niej obserwować los swoich komputerowych posłów. Zarazem po właściwym odcinku orbity statek wyrzucił telewizyjne sondy z wielkopłomiennym odrzutem jako swoje "oficjalne oczy", które mogli, a nawet mieli, dostrzec Kwintanie. W sterowni dyżurował Tempe. Harrach naszedł go ze starą gazetą, która obudziła jego pasję; wyładował ją przed towarzyszem. Gazeta pochodziła z czasu, kiedy na Ziemi toczyły się zażarte swary o udział kobiet w wyprawie. Najpierw odczytał ustęp poświęcony życiu familijnemu, które winno znaleźć prawowite miejsce w ekspedycji, razem z obelgami rzucanymi przez przedstawicielki wiecznie krzywdzonej płci żeńskiej na SETI, opanowaną przez męską mafię, czym doprowadził się do takiego oburzenia, że gotów był podrzeć gazetę. Tempe śmiejąc się przytrzymał go za ręce — był to bądź co bądź rarytas, czcigodny zabytek w gwiazdozbiorze Harpii, który nie wiecie jak dostał się do bagażu Harracha. Tak przynajmniej twierdził. Tempe, innego zdania, zachował je dla siebie. Harrach ze swoim burzliwym temperamentem potrzebował takich artykułów, żeby je piorunować. Idiocyzm, tkwiący w żądaniach tego równouprawnienia, jawił się w sposób zbyt oczywisty, by warto mu poświęcać uwagę. Kobiety, a więc żony, matki, więc dzieci, przedszkole, żłobek, kiedy gnali z naładowanymi sideratorami, statkiem, przy całej swej mocy znikomym wobec obcej cywilizacji, która pochłonęła ich wyrzucaną w Kosmos przez wieki sferomachią. Morza farby drukarskiej wylały się w tej sprawie. Muzułmanie wysyłali dwunastoletnich chłopców na front, ale nie dzieci w kołyskach. Harrach żałował niezmiernie, że nie może tu, zaraz, w cztery oczy palnąć autorce tych bredni, co o niej myśli, Tempe, znów przed sterami, to sprawdzał kurs i biegnące po monitorach zarysy powiększającego się już sierpu Seksty, to zerkał na Harracha, wciąż perorującego przy jedynym słuchaczu i nie przerywał mu — nie chciał dolewać oliwy do ognia, zwłaszcza że nie byli jednak sami: toż i w sterowni czuwał nad nimi GOD. Nie znał się na budowie komputerów dostatecznie, by mieć pewność, że maszyna, choć tak bystra, inteligentna i pamiętliwa, nie ma ani krzty osobowości. Nie wystarczyły mu zapewnienia podręczników ani fachowców. Wolałby się sam o tym upewnić, lecz nie wiedział jak — a ponadto miał poważniejsze problemy. Czy Nakamura rzeczywiście współczuł ojcu Arago? Mróz przeszedł po nim na samą myśl, że mógłby tkwić w skórze apostołskiego delegata.

Tymczasem Arago, podług zaleceń dowódcy, rozważał z Gerbertem, czy jest możliwe, by Kwintanie zdołali rozpoznać biologiczne cechy ludzi, badając zbudowane przez nich ładowniki. Jakkolwiek wysterylizowano je dokładnie przed skierowaniem ku planecie, tak by na ich powierzchniach nie została ani jedna komórka naskórkowej tkanki palców, ani jedna z

bakterii, jakich się nie może ze wszystkim wyżyć organizm człowieka, chociaż były to automaty zbudowane bez udziału ludzi, a ich energetyczne zasilacze i aparatura, zdolna do wymiany informacji, odpowiadały ziemskiej technice sprzed osiemdziesięciu lat, Steergard nie zamierzał wziąć na pokład elektronicznych wysłańców, kiedy powrócą. Uznał to za nazbyt ryzykowne. Wszak już pierwsze stare produkty tej cywilizacji, złowione przez "Hermesa", ujawniły zdumiewające mistrzostwo Kwintan w parazytarnej inżynierii. Ładowniki mogły więc prócz wiadomości tyleż doniosłych co niewinnych przynieść im zagładę, nie w postaci zarazków, atakujących niezwłocznie, lecz wirusów czy ultrawirusów o długim okresie utajonego działania. Pytał więc lekarzy i Kirstinga o pewne środki zaradcze.

Rzekomo neutralne państwo, które wyraziło zgodę na przybycie ładowników, zastrzegło się w toku dalszych negocjacji, że nie mogą mieć łączności z "Hermesem", gdyż ten warunek postawiły "strony ościenne". Jakoż planeta, połknąwszy atmosferą obie sondy, otoczyła się wzmożoną zasłoną szumu na wszystkich zakresach fal. Gdyby wyposażyli posłańców w lasery zdolne przebić szumową powłokę, złamaliby przyjęty warunek; uczyniliby to tym jawniej, gdyby "Hermes" jął dźgać morza chmur i radiowego chaosu sztychami swoich laserów.

Nie pozostało więc nic innego, jak śledzić Kwintę spoza Seksty chmurami holograficznych oczek. Operację tak zsynchronizowano, by oba ładowniki opadały z wolna po nieboskłonie i dotarły nad Kwintę, kiedy "Hermes" wejdzie w cień Seksty. Wszyscy zebrawszy się w sterowni oczekiwali krytycznej godziny. Biała od chmur planeta wypełniała główny monitor po ramy, z dobrze widocznymi rojami bojowych satelitów, co chodziły nad jej obłoczną tarczą czarnymi kropkami. Aby obserwować wejście obu rakiet w atmosferę, do ich hypergolowego napędu przymieszano sód i technet; pierwszy nadawał ich odrzutowemu ognioniowi jaskrawożółty blask, drugi identyfikował je swym spektralnym prążkiem, nieobecny w widmie miejscowego Słońca i kwintańskich orbiterów. Odkąd dały nurka w chmury, płomienne nitki ich tarcia powietrznego i odrzutu hamownic poczęły się rozmazywać: wtedy miliardy oczek, rozwiane niepostrzeżalną grzywą na milion mil za kilwaterem "Hermesa", skoncentrowały uwagę wzdłuż stycznej w punkcie zaplanowanego lądowania i nie na darmo; osiadając na twardym gruncie w odstępnie kilku sekund, oba pojazdy dały znać o zakończeniu podróży podwójnym, rozmyślnie modulowanym błysnięciem sodu, aby natychmiast zgasnąć.

Tym samym operacja weszła w następną fazę. Denny pancierz "Hermesa" rozwarł się na dwoje jak olbrzymie wysklepione wrota i dźwigi wypchnęły w próżnię z Sezamu ogromny metalowy cylinder, przeznaczony na laboratoryjną kwarantannę sond. Harrach zdawał się szczególnie usatysfakcjonowany tym fortem; jakkolwiek inni zaaprobowali taktykę

Steergarda, współpraca szła zgodnie, lecz bez entuzjazmu: nie było z czego się cieszyć. Natomiast pierwszy pilot ani myślał ukrywać swego nienawistnego zadowolenia, że złamiał tej wojowniczej bestii planetarnej kark. Nie mógł się wprost doczekać powrotu ładowników i to niosących najgorszą zarazę, jak gdyby w zamiarze ekspedycji leżała brutalna konfrontacja sił. Słuchając jego wynurzeń, Tempe, nieskory do ich komentowania, myślał sobie, jakie też zmiany psychiczne Harracha bez wątpienia notuje GOD i wprost wstydził się za kolegę, ponieważ chwilami i on sam nie umiałby rzec, co woli: aby narosły w załodze zapiekły gniew okazał się bezzasadny, czy żeby tamci wymusili na nich najgorszą z możliwych decyzji. Tak, on sam też widział już w tej cywilizacji wroga, bezwzględne zło, które samą swoją istotą usprawiedliwia ich poczynania. Już nic nie było okryte tajemnicą. Solaser, wygaszony i zamaskowany, łądował się energią słoneczną nie dla sygnalizacji, lecz dla zadawania laserowych ciosów. Po 48 godzinach chmura holograficzna dała znać, że posłańcy wracają. Ładowniki miały się odezwać w ultrakrótkim paśmie poza orbitą, po której krążyły szczątki Księżyca: sygnalizować zaczął wyraźnie tylko jeden. Drugi nadawał niezrozumiałą plątaninę kodów. Steergard podzielił swoich ludzi na trzy zespoły: pilotom powierzył wyprowadzanie fałszywego "Hermesa" na dosłoneczną trajektorię, fizykom — przyjęcie ładowników w cylindrycznej komorze, oddalonej o kilkadziesiąt mil od "Hermesa", a lekarzom i Kirstingowi — biologiczną auskultację ładowników, jeśli drugi zespół uzna to za dopuszczalne. Chociaż tak rozdzielona, załoga orientowała się w całokształcie sytuacji — Harrach i Tempe, śledząc pustego olbrzyma, który bez pośpiechu ruszył w swoją drogę, choć się jeszcze na jego kadłubie iskrzyły ogniki automatycznych spawarek, wciąż porozumiewali się interkomem z grupą Nakamury, oczekującą ładowników. Polassar nie wykluczał zwyczajnej awarii w bełkocącym trzy po trzy nadajniku; Harrach był bardziej pewien tego, że to robota Kwintan, niż tego, że ma dwie nogi; Harrach po prostu chciał, żeby podstęp Kwintan wylazł najrychlej jak szydło z worka i żeby im stanął laserową kością w gardle. Tempe milczał, rozważając w duchu, czy tak zaciętrzewiony człowiek może jeszcze pełnić odpowiedzialną funkcję pierwszego sternika. Widać mógł, skoro GOD nie doniósł dowódcy o jego stanie. A może wszyscy już ulegli pospólnemu szaleństwu? Cylinder kwarantanny cały w świetle okrążających go reflektorów przyjął rozwartą paszczą ładowniki. W centrali ich nadzoru fizycy, po wstępnym badaniu przeprowadzonym przez automaty, nie mogli zdecydować, czy jeden uległ uszkodzeniu przypadkowemu, czy rozmyślnemu: bardzo to rozgniewało Harracha, bo wiedział lepiej: czarna robota Kwintan! Po godzinie okazało się jednak, że sonda straciła część anteny i dziobowego promiennika przy zderzeniu z jakimś niewielkim okruczem meteorytowym lub odłamkiem metalu. O kolizję nie było w tym układzie trudno.

Na oddalającym się pustym bliźniaku "Hermesa" tlały w mroku ostatnie kładzione spawy, można mu już było dać ciąg, lecz z tym musieli piloci czekać na rozkaz dowódcy. Ten jednak nie odzywał się, czekał bowiem z kolei na wynik ekspertyzy: w jakim stanie wróciły ładowniki — *last but not least* — jakie przywiozły wieści?

Wieści okazały się wielce osobliwe, a ładowniki — jeśli pominąć chyba jednak incydentalny wypadek — nienaruszone i niczym nie skażone. Usłyszawszy to, Harrach nie mógł powstrzymać okrzyku:

— Co za perfidia!

— W końcu nawet w Sodomie był niejaki Lot — zauważył Tempe. Okrutnie chciało mu się poznać rewelacje z Kwinty, których jakoś sterowni długo skapiono. Wreszcie Nakamura zlitował się nad pilotami i wyświetlił im efekt zwiadu, przekazany z próżniowej komory poza statkiem.

Zaczynał się od bajki — tej samej, którą przekazał planecie solaser. Długą serią biegly potem krajobrazy: chyba rezerwatów przyrody, nie tkniętych przez cywilizację. Morskie wybrzeża, fale łamiące się na piasku, czerwono zachodzące Słońce w niskich chmurach, leśne masywy, o zieleni daleko ciemniejszej niż ziemską; ogromne korony niektórych drzew były niemal granatowe. Na tym wciąż zmieniającym się tle zajaśniały litery.

AKCEPTACJA WASZEGO RAKIETOWEGO POCISKU O MASIE DO 300000 TON
METRYCZNYCH POZYTYWNE USTALONA PRZY GWARANCJI WASZEJ
PASYWNOŚCI I DOBREJ WOLI STOP OTO KOSMODROM STOP

Z ciężkiej zielonej mgły wyłoniła się ogromna płaszczyna, widziana z niebotycznych wyżyn. Lśniła jak matowa zastygła rtęć. Zdumiewająco smukłymi igłami stały na niej w regularnych odstępach, jak figury na szachownicy, stalagmity, nieskazitelnie białe, ostro kończyste, i rosły. Tak, rosły — a właściwie wysuwały się w górę, każdy obleczony u podstawy pajęczą złotawą siecią, aż znieruchomiały. Na dalekim nieboskłonie, zupełnie bezchmurnym, leciały ptaki — każdy o czterech wolno żeglujących skrzydłach. Musiały być olbrzymie. Ciągnęły niby żurawie odlatujące z zimnych stron. Na dole, u stalagmitów — a oczy ludzkie już rozpoznawały w nich rakiety — mżył kolorowy i ciemny drobiazg — istne tłumy, wpływające w głąb białych statków po szerokich pochylniach. Wszyscy wytrzeszczali oczy, nateżali wzrok, żeby zobaczyć nareszcie, jak wyglądają Kwintanie — ale z tym samym rezultatem jakby gość z Neptuna usiłował rozpoznać ludzki wygląd, patrząc z milowej odległości na zatłoczony olimpijski stadion. Barwna, ruchliwa ciżba wciąż tłoczyła się u stóp pochylni i wciąż rzekami znikła w jasnych jak śnieg statkach. Na ich kadłubach pionowymi rzędami hieroglifów błyszczały nieczytelne inskrypcje. Tłum już rzedniał i wszyscy czekali

niechybnego startu tej białej flotylli, lecz poczęła się zapadać z majestatyczną powolnością.

Złotobrazowe pajęcze sieci opadały z kadłubów jak zetlałe, tworząc nieregularne kręgi. Już tylko białe dzioby wznosiły się nad jeziorem płaskiej rtęci, aż i one weszły do czerwonego mroku studzien i nie żadne klapy czy wrota zamknęły się nad nimi — lecz sama owa zmatowiała rtęć. Zrobiło się całkiem pusto, zza brzegu wypełznął powoli na ekran wielonóg, wyraźnie mechaniczny, nie jakiś żywy stwór, o płaskim ściętym ryju. Biły zeń fontanny jasnego, żółtawego płynu, rozlewając się i zarazem kipiąc jak wrzątek: a kiedy cały się wygotował, rtęć stała się czarna jak bitumiczne jezioro, wielonóg zgiał się w kabłąk tak, że jego środkowe nogi zawisły w powietrzu, zwrócił się wprost ku patrzącym ludziom i otworzył czworo oczu — chyba cztery okna? Cztery reflektory? Ale wyglądały jak wielkie, rybie, okrągłe, zdziwione oczy z wąską opaską metalicznej tęczówki i czarniawą, połyskliwą źrenicą. Ten mechaniczny pojazd zdawał się im przyglądać z pełnym troski zastanowieniem. Jakby patrzył czworgiem tych źrenic, które już nie były okrągłe, lecz zwężyły się niczym u kota, a zarazem w środku ich coś słabło, niebieskawo drgało. Potem przy padł na powrót do czarnego podłoża i kołysząc się na boki jak stonoga, truchtem wybiegł z pola widzenia. Na niebie nie było już ptaków, tylko napisy:

TO NASZ KOSMODROM AKCEPTUJEMY WASZE PRZYBYCIE DALSZY CIĄG
NASTĄPI STOP

Jakoż nastąpił ten dalszy ciąg, najpierw jako burza z piorunami, nawałnica, siekająca skośnym deszczem kaskadowe budowle, połączone z sobą bezlikiem napowietrznych wiaduktów. Dziwne miasto w oberwaniu chmury — woda lała się po obłych dachach, tryskała z rzygaczy u podnóża mostów, ale to nie były jednak mosty, raczej tunele, z eliptycznymi oknami, a w środku pędziły smugi dygocącego światła. Nadziemny transport? Ani żywego ducha nigdzie, głąb ulic — ale ponieważ budowle były kaskadowe, jak odlane z metalu tolteckie piramidy, nie było tam właściwie ulic, nie można było dostrzec właściwego poziomu miasta — jeżeli to było miasto — deszcz lał mieciony wichurą, przeganiał po gigantycznych gmachach srebrzące się fale ulewy, pioruny były bez wydania głosu, z piramidowych budowli woda leciała w dziwny sposób: zbierały ją wyżłobienia jak rynny, tak u końca podniesione, że wielkie strumienie wylatywały w powietrze i mieszały się z wciąż lejącym deszczem. Aż jeden z piorunów rozłamał się i stęzał w ogniste zgłoski:

BURZE SĄ NA NASZEJ PLANECIE ZJAWISKIEM CZĘSTYM STOP

Obraz spopieliał i zgasł. Z brudnej szarości wyrysowały się jakieś zgruchotane kontury. Gdzieś z głębi drżał amalgamat ognia i chmur albo dymu. Warstwami na warstwach spoczywały złomiska ogromnych konstrukcji. Na pierwszym planie leżały białawe plamy,

jakby kadłuby nagich, porozrywanych stworzeń, umazane błotem, równymi rzędami. Nad tym cmentarzyskiem żelaznej barwy zajaśniały litery:

TO MIASTO ZOSTAŁO ZNISZCZONE WASZYM LUNOKLAZMEM STOP

Napis znikł, a obraz wędrował po ruinach, ukazywał zbliżenia niepojętych urządzeń, jedno, obwałowane umocnieniem niezwykle grubego metalu, rozpękło się, w środku — tu teleobiektyw dokonał najazdu — znów poszarpano szczątki o nieodgadnionym kształcie ich życia — jak ludzkie trupy, gdy sieje wydobywa ze zbiorowych grobów — już na wpół złachmanione gliniasto, i w gwałtownym cofnięciu znów bezmierna rozległość złomowisk, z głębokimi wykopami, a w nich jak tępokrywe owady wżerały się w gruz żuwaczkami pręgowane czerwienią przysadziste spychacze, brnąc uparcie, z trudem, waląc w centrum alabastrowomleczny rozłupany fronton, cały w osmalinach pożogi, aż i ta ściana runęła i kurz wznosząc się rudym kłębowiskiem zalał cały obraz. Przez kilka chwil w sterowni słychać było tylko przyspieszone oddechy i tykot sekundnika. Pojaśniało. Ukazał się dziwny diadem, kryształ przejrzysty jak lza, z wgłębieniem nie dla ludzkiej czaszki, o brylantowo roziskrzonych szypułach, a w nim drżał wtopiony, zwarty, dodekaedr, blad różowy spinel. Nad nim napis: ZWIĘCZENIE. KONIEC.

Ale to nie był koniec: w halogenowym, rażącym świetle zaczarniały bezgłowe skorupiaki na łagodnym skłonie zbocza górskiego — jak stado bydła pasące się na hali — próżno wzrok usiłował rozpoznać w nich wielkie żółwie? gigantyczne chrząszcze? — obraz uniósł się, szedł coraz bardziej stromą skalną ścianą, z czarnymi wylotami grot, jaskiń, ciekła z nich nie woda chyba, lecz płynny miąż, brunatno-żółta wymiocina. Potem na liliowym falującym łagodnie tle poczęły biec słowa:

AKCEPTUJEMY WASZE PRZYBYCIE STATKIEM DO 300 000 TON METRYCZNYCH MASY SPOCZYNKOWEJ STOP NA KOSMODROMIE AA035 UWIDOCZNIONYM STOP, PODAJCIE TERMIN GWARANTUJEMY WAM POKÓJ ZAPOMNIENIE WEDŁUG WASZEJ PROJEKCJI CYLINDRYCZNEJ MERKATORA POŁUDNIK 135 RÓWNOLEŻNIK 48 CZEKAMY WASZEGO SYGNAŁU ZAPOWIEDZI PRZYBYCIA STOP STOP STOP STOP STOP STOP STOP STOP.

Monitor zgasł i sterownię zalało dzienne światło. Drugi pilot, bardzo blady, z rękami bezwiednie przyciśniętymi do piersi, patrzył jeszcze w pusty ekran. Harrach mocował się z sobą: grubokroplisty pot ciekł mu z czoła i osiadał na gęstych jasnych brwiach.

— To... to szantaż... — wybełkotał. — Nas obarczają winą za to... tam...

Tempe wzdrygnął się jak nagle przebudzony.

— Wiesz — powiedział cicho — przecież to prawda... czy ktoś nas tu prosił...?

Wpadliśmy w sam środek ich nieszczęścia — żeby je powiększyć.

— Przestań! — warknął Harrach. — Skruchy chcesz, to idź z nią do twojego księdza — a mnie nie nawracaj. To nie tylko szantaż... to sprytniejsze, och, już widzę, jak nas chcą wziąć na hak — opamiętaj się, człowieku, to nie jest nasza wina — to oni...

— Ty się sam lepiej opamiętaj. — Tempe wstał, bo nie mógł spokojnie usiedzieć. — Bez względu na to, jak się gra skończy, cośmy zrobili, tośmy zrobili. Kontakt rozumów, mój Boże. Jeżeli już koniecznie musisz kogoś wyklinać, to kluj SETI i CETI, i siebie, że ci się chciało zostać "psychonautą". A najlepiej zamknij gębę. To najmądrzejsza rzecz, jaką możesz zrobić.

Po południu Sezam wraz z ładownikami wciągnięto na statek. Arago zażądał od Steergarda wspólnej narady nad dalszym postępowaniem. Steergard odmówił wręcz. Żadnych narad ani posiedzeń aż do zakończenia definitywnej fazy programu. Strojony laserem gamma fałszywy "Hermes" zniknął za wypukłością Seksty i pełnym chodem ruszył ku Kwincie, wymieniając z nią umówione hasła i odzewy. Tempe po dyżurze chciał się zobaczyć z dowódcą: ten odmówił. Nie przyjmował nikogo, sam w swojej kajucie. Pilot zjechał na śródkręcie — nie starczyło mu odwagi, żeby pójść do zakonnika: zawrócił w pół drogi i przez interkom pytał o Gerberta, bo nie było go w kabinie. Był w mesie z Kirstingiem i Nakamurą. Statek manewrował, aby dać mały ciąg; pozostawali w cieniu i mieli słabe ciśnienie. Na widok jedzących Tempe uprzytomnił sobie, że chyba od świtu nie miał nic w ustach. Przysiadł się do nich milczkiem, nałożywszy sobie na talerz pieczeń z ryżem, ale gdy tknął mięso widelcem, zrobiło mu się pierwszy raz w życiu niedobrze od tych szarawych włókien — coś jednak trzeba było zjeść, więc wyrzuciwszy co miał na talerzu do ssawy kuchennej, wziął z automatu już nagrzaną papkę witaminową. Aby czymkolwiek zapchać żołądek. Nikt nie odzywał się do niego, dopiero gdy cisnął talerz i sztućce do zmywarki, Nakamurą swoim nikłym uśmiechem przyzwał go do siebie. Usiadł naprzeciw Japończyka, który wytarł wargi papierową serwetką, zaczął, aż Kirsting odejdzie i kiedy zostali we trzech z Gerbertem, chyląc po swojemu w bok głowę z przyczesanymi gładko czarnymi włosami, spojrzał oczekująco na pilota. Ten wzruszył ramionami na znak, że nie ma nic do powiedzenia. Nic.

— Kiedy odwracamy się od świata, świat nie znika — zniecka powiedział fizyk. — Gdzie jest myśl, tam jest i okrucieństwo. Chodzą w parze. To trzeba przyjąć, skoro nie można tego zmienić.

— A dlaczego dowódca nie wpuszcza nikogo do siebie? — wyrwało się pilotowi.

— To jego dobre prawo — niewzruszenie odparł Japończyk. — Dowódca, jak każdy z

nas, musi zachować twarz. Także kiedy jest sam. Doktor Gerbert cierpi, pilot Tempe cierpi, a ja nie cierpię. O ojcu Arago nie śmiem wspominać.

— Jak to... pan nie cierpi...? — nie zrozumiał go Tempe.

— Nie mam na to prawa — spokojnie wyjaśnił Nakamura. — Nowożytna fizyka wymaga takiej wyobraźni, która nie cofa się przed niczym. To nie moja zasługa — to dar moich przodków. Nie jestem prorokiem ani jasnovidzem. Jestem bezwzględny, kiedy należy być bezwzględnym, w przeciwnym razie nie mógłbym też jeść mięsa. Ktoś raz powiedział *Nemo me impune lacescit*. Czy on się teraz tego wstydzi?

Pilot pobałdł.

— Nie.

— To dobrze. Pana druh i kolega, Harrach, urządza przedstawienia. W masce wielkiego gniewu na twarzy, jak demony w naszym teatrze kabuki. Nie należy wpadać ani w gniew na nich, ani w rozpacz, ani litować się, ani mścić. I pan już wie teraz sam, dlaczego. Czy się mylę?

— Nie — powiedział Tempe. — Nie mamy na to prawa.

— Otóż właśnie. Rozmowa skończona. Za trzydzieści... — spojrzął na zegarek — siedem godzin "Hermes" wylądaje. Kto będzie miał wtedy dyżur?

— My obaj. Tak brzmiał rozkaz.

— Nie będziecie sami.

Nakamura wstał, skłonił im się i wyszedł. W pustej mesie szumiała cicho zmywarka i niósł się lekki powiew klimatyzacji. Pilot zerknął ku lekarzowi, który siedział wciąż nieruchomo, z głową w rękach, i patrzył przed siebie nie widzącym wzrokiem. Tempe zostawił go w mesie, nie zamieniwszy z nim ani słowa. Nie było doprawdy o czym mówić.

Łądowanie "Hermesa" wypadło nader spektakularnie. Schodząc w upatrzonej punktu planety, zionął takim rufowym ogniem, że jego iskra, przenoszona przez niezliczone miriady oczek, wybiegłych daleko w próżnię, rozpaloną igłą weszła w mleczną pełnię chmur, rwąc je pod sobą na odstrzeliwane, blaskiem różowiące się kłębowiska — i w to okno, w wypaloną płomieniami dziurę zanurzył się, aż znikł. Kłaczki pierzastych cirrocumulusów poczęły, skręcając się zwojami w spiralę, zamykać wyrwę w obłocznej pokrywie Kwinty, ale nie wypełniły jej jeszcze, kiedy przez ich rozziewy buchnął żółty brzask. Po dziewięciu minutach — tyle czasu po trzebował świetlnie mknący sygnał, by przebyć dystans dzielący ich od planety — odezwał się zwrócony ku Sekście nadajnik tamtego "Hermesa" po raz pierwszy i ostatni. Chmury raz jeszcze rozbiegły się w tym miejscu, lecz wolniej i łagodniej; a po sterowni pełnej ludzi przeszło coś jak krótkie, zdławione westchnienie.

Steergard, z niepokalanie białą, wielką tarczą Kwinty za plecami, wezwał GODa.

— Daj mi analizę eksplozji.

— Mam tylko spektrum emisyjne.

— Podaj przyczynę eksplozji w oparciu o to spektrum.

— Nie będzie pewna.

— Wiem. Ruszaj.

— Słucham. Cztery sekundy po wygaszeniu własnego ciągu trzonowy rdzeń reaktora rozsadził go. Czy podać przyczynowe warianty?

— Tak.

— Pierwszy: w rufę uderzył strumień neutronów o takim przedziale szybkich i powolnych, żeby przebić całą obudowę stosu. Reaktor mimo wyłączenia zaczął pracować jako powielacz i w plutonie zaszła eksponencjalna reakcja łańcuchowa. Drugi wariant: rufowy pancierz przebił kumulatywny ładunek z zimną głowicą anomalonową. Czy mam podać priorytet pierwszego wariantu?

— Tak.

— Atak balistycznego typu obaliłby cały statek. Udar neutronowy mógł zniszczyć tylko siłownię, przy założeniu, że na pokładzie znajdują się biologiczne stworzenia, i tym samym są oddzielone od siłowni szeregiem radiotrwałych grodzi. Czy mam pokazać spektra?

— Nie. Milcz.

Steergard dopiero teraz spostrzegł, że stoi w białym blasku Kwinty jak w aureoli. Nie patrząc, wyłączył obraz i milczał chwilę, jakby porządkował w myślach słowa maszyny.

— Czy ktoś chce zabrać głos?

Nakamura podniósł brwi i pomału, jakby z pełnym ubolewania szacunkiem, wręcz ceremonialnie powiedział:

— Stoję przy pierwszej hipotezie. Statek miał stracić moc, a załoga miała wyjść z ataku cało. Z obrażeniami, lecz żywa. Od trupów nie można się wiele dowiedzieć.

— Kto jest innego zdania? — spytał dowódca. Wszyscy milczeli, zamarli — nie tyle od tego, co stało się i zostało powiedziane, ile od wyrazu twarzy Steergarda. Ledwie otwierając usta, jakby go chwycił szczękoscisk, mówił:

— Nuże, gołębie, rzecznicy ugody i miłosierdzia — odezwijcie się, dajcie nam i im szansę ratunku. Przekonajcie mnie, że mamy zawrócić i zanieść Ziemi tę skromną pociechę, że są gorsze od niej światy. A ich zostawić własnej zgubie. Na czas tej perswazji przestają być waszym dowódcą. Jestem wnukiem norweskiego rybaka, prostakiem, co zaszedł wyżej SWYCH możliwości. Wysłucham wszelkich argumentów, a także obelg, jeśli ktoś uzna je za

wskazane. To, co usłyszę, zostanie wytarte z pamięci GODa. Słucham.

— To nie jest wyraz pokory, lecz szyderstwa. Symboliczne złożenie dowódczej godności nie może tego zmienić — Arago, jakby chcąc być lepiej słyszany, wystąpił o krok przed pozostałych ludzi. — Jeśli jednak każdy do końca winien postępować według swego sumienia, czy w dramacie, czy w tragifarsie, bo nie wyreżyserował sam sztuki życia i nie wyuczył się jak aktor roli, powiadam: zabijając nikogo i niczego nie ocalimy. Pod maską "Hermesa" krył się podstęp, a pod maską dążenia do kontaktu za wszelką cenę kryje się niechęć wiedzy, lecz mściwość. Cokolwiek uczynisz, nie zawracając, skończy się fiaskiem.

— Odwrót nie będzie fiaskiem?

— Nie — odpowiedział mu Arago. — Na pewno wiesz, jak krwawo możesz ich uderzyć. Ale nic więcej nie wiesz z taką samą pewnością.

— To prawda. Czy ojciec skończył? Kto chce jeszcze mówić?

— Ja.

To był Harrach.

— Jeżeli będziesz chciał zawrócić, dowódcu, zrobię wszystko, co jest w mojej mocy, żeby to uniemożliwić. Tylko zakuciem w kajdany udaremnisz mi to. Wiem, że podług diagnozy GODa jestem już nienormalny. Dobrze. Ale nienormalni jesteście tu bez wyjątku. Daliśmy z siebie wszystko, co było w naszych siłach, ażeby ich przekonać, że nic od nas nie grozi, daliśmy się przez cztery miesiące atakować, łudzić, zwabiać, oszukiwać, a jeśli ojciec Arago przedstawia tu Rzym, to niech wspomni, co powiedział jego Zbawiciel Mateuszowi: nie przyszedłem przynieść pokoju, ale miecz. I że... ale już i tak nadto się rozgadałem. Czy będziemy głosować?

— Nie. Od ich rozczarowania minęło pięć godzin, toteż nie możemy zwlekać. El Salam: masz uruchomić solaser.

— Bez ostrzeżenia?

— Po pogrzebie są zbędne. Ile trzeba ci czasu?

— Dwa razy szesnaście minut na hasło i odzew, plus nawodzenie. Za dwadzieścia minut może ciąć.

— Niech tnie.

— Podług programu?

— Tak, przez godzinę.

— Nakamura, dasz nam oczy. Kto nie chce tego widzieć, może odejść.

Dobrze skryty w obłokach pyłowej maskownicy, świecącej wzbudzonym przez Dzetę promieniowaniem, solaser otwarł ogień o pierwszej w nocy, więc z aż trzygodzinnym

opóźnieniem, bo Steergard żądał doskonałej kolimacji, a tym samym uderzenia w pierścień po stycznej dokładnie tam, gdzie przygotowano im pułapkę. Przyszło więc czekać, aż planeta wykona dostateczny obrót wokół swej osi. Osiemnaście teradzuli strzeliło szpadą światła. Skok fotometrów poświadczył, że niewidzialny w pustej przestrzeni nóż słonecznego frezu przemknął bokiem i wycelowany w krawędź pierścienia, zdarł jego zewnętrzne obrzeże. Obraz, głuchy i niemy, choć mogła go była zakryć rozpostarta dłoń, objawił całą moc odjętą Słońcu, gdy wylądowała się w zderzeniu twardszego niż stal światła z lodowym koliskiem, rozegnanym na tysiące mil. Samo centrum udaru dostrzegli najpierw jako roziskrzoną wyrwę, z której trysnęła puchnąca białymi kłębami zamieć, w dygotaniu dziwacznym, pogiętych tęcz. Lodowy pierścień wrzał, parował i obrócony w gaz natychmiast zamarzał i rozpraszał się w czarnej próżni poza paleniskiem, tworząc długi, smugami rozwiany welon, ciągnący się za planetę. Zachodził za tarczę, bo laser ciął w kierunku przeciwnym do jej obrotów. Steergard kazał trafić lśniąca skośnie tarczę pierścienia tak, by wyważyć ją z dynamicznej równowagi. Stłoczonej w solaserze mocy starczyło na siedem minut skrawania teradzulowego.

— To wystarczy — orzekł GOD.

Jakoż zewnętrzny pierścień już pękał, a w wewnętrznym, oddzielonym od tamtego sześćsetmilową szczeliną, mrowiło się od turbulencji, wywołanych zmianami obrotowego momentu. Kiedy lodowe okole, zmiecione w mroki, sięgnęło grzywiastymi chmurami za dzienną półkulę i znikło w cieniu nocnej, horyzont Kwinty zajaśniał, jakby wstawalo za nim drugie, bliźniacze słońce w dymiących słupach tęcz i zakrwawiło zorzą gładką jeszcze wypukłość obłocznego morza. Wygląd tej straszliwej katastrofy był wspaniały. W trylionach kryształków lodu światło bijąc z rozscieżonego pierścienia utworzyło kosmiczny fajerwerk, przesłaniający wszystkie konstelacje gwiazdowego tła. Widowisko zapierało dech. Ludzie w operatorni odruchowo przenosili wzrok z górnego lokatora, w którym tuż nad Słońcem drżał ekscentrycznie laserowy diament, na główny ekran, gdzie ciągły bezimpulsowy strumień mocy odzierał lądokrąg z pękających płytami warstw białosnieżnej kry.

Czy tamci mogli oczekiwać takiego kataklizmu? Z planety musiał się jawić jako niesamowity, bezustanny wybuch wysoko w niebiosach, lecz nie widzieli chyba tęcz, lecących piorunami w górę, bo miliardy lodowych odłamów runęły już na nich. Kipiące w powietrznych grzmotach góry lodowe padały tam z roznoszonych na strzępy chmur, ale nie było to widowisko dla tych, co ginęli pod gromowym lodospadem.

Jakże cienką warstewką atmosfera okalała planetę widziana z operatorni. Ogrom tej astroinżynierskiej amputacji mogli bez szwanku widzieć tylko mieszkańcy

podzwrotnikowych obszarów, nim dobiegła ich fala ciśnienia, szybsza od dźwięku. Fotonowy strug u wylotów solasera poruszał się milimetr po milimetrze i przez to miażdżył w celu płaszczyzny lodów na setki mil — tylko na samym południu nic jeszcze nie wskazywało furii rozbijania tarczy, z każdą minutą tracącej setki kubicznych kilometrów gruchotanego lodu. Teraz wewnątrz chmury, wypchniętej wysoko nad atmosferę, laser uwidocznił się, gdyż bił w jej głąb ogniową studnią. Już nie wrzącą parę ukazywały spektrometry, lecz zjonizowany wolny tlen i grupy hydroksylowe. Minuty stawały się w sterowni wiecznością. Pierścień rozchybotany jak pękający, płaski bąk, tracił czysty blask, porozgryzany ciemnymi przestrzelinami. Północna półkula zaczęła puchnąć, jakby coś rozdymało samą planetarną skorupę, ale to tylko chmury lodowych zwalisk impetem wyrzucały w przestrzeń powietrze, ogień i śnieg, a u równika promień laserowy drażył uparcie po stycznej grzybiastą narośl wybuchu wiertłem błękitnobiałego żaru, aż obłoczna pokrywa Kwinty ściemniała w mętną perłową równinę u zachodu, gdy wschód płonął do gwiazd roztryskami erupcji. Nikt się nie odzywał. Wspominając te minuty przekonali się potem, że ogarnęła ich omal pewność kontraktaku, że tamci przynajmniej spróbują odeprzeć jakoś ten cios, zadany w samym sercu budowanej przez wiek sferomachii, że szykują się już, by uderzyć w źródło kataklizmu, widome na słonecznej tarczy, bo pięciokroć od niej jaśniejsze. Nie działało się jednak nic. Nad planetą wschodził szerszy od niej słup białodymnej kurzawy, rozpływał się wielopłatowym grzybem, całym w rozłamywanych wciąż tęczach, okrutnie piękny, a tnący promień wciąż bił sztychem, przechodząc przez mgielne zwały jak rozpalona złota struna, napięta między Słońcem i planetą. Ona sama zdawała się w samoobronie okrywać pomału swą tarczę rozdymanymi cirrocumulusami przed tym tak nieprawdopodobnie cienkim, a tak niszczyielskim promieniem, który dźgał ostatki skorup lodowych, już tonące w atmosferze i tylko mgnieniami spomiędzy rozpychanych udarami chmur łyskały resztki wciąż wirującego w agonii pierścienia.

Steergard kazał wyłączyć solaser w szóstej minucie. Chciał zachować jako rezerwę pozostałą w nim moc. Solaser zgasł tak raptownie, jak rozbłysł, i dał im w infraczerwieni znać, że opuszcza zajmowaną dotąd pozycję. Jej wykrycie było elementarnie łatwe, nawet po wygaszeniu, według plankowskiego widma, typowego dla stałych ciał o promieniowaniu wymuszonym przez bliskość chromosfery. Kratownice wyrzuciły więc z małych miotaczy pył gorejący w Słońcu i solaser wykonał zmianę stanowiska pod tą osłoną, składając się na kształt zamykanego sprężyscie wachlarza.

GOD pracował w szczytowym obciążeniu. Rejestrował wynik udaru, los niezliczonych satelitów, które wparły się z niższych orbit w rozepchniętą eksplozjami

atmosferę i dogorywały ognistymi paraboiami, a przy tym doniósł, że kopia "Hermesa" mogła zostać też zmiądzona magnetodynamowym atakiem w koncentracji pól, dających biliony gausów. GOD miał w zapasie i czwartą hipotezę, implozyjnych bomb kriotronowych. Dowódca zlecił uznać te dane za archiwalne.

Wciąż trwali na stacjonarnej orbicie w cieniu Seksty, kiedy Steergard wezwał Nakamurę i Polassara, by przedstawić odręcznie napisane ultimatum. Za nadajnik miały posłużyć holograficzne oczy, ginąc przy emisji nieposilnych dla nich sygnałów, lecz gra była warta i takiej świeczki.

Brzmiało jednoznacznie:

WASZ PIERŚCIEŃ ZNISZCZONY W ZAMIAN ZA ATAK NASZEGO STATKU STOP
DAJEMY WAM 48 GODZIN RELAKSACJI STOP JEŻELI NAS ZAATAKUJECIE ALBO
NIE ODPOWIECIE W PIERWSZEJ FAZIE ZMIECIEMY WAM ATMOSFERĘ STOP W
DRUGIEJ FAZIE WYKONAMY OPERACJĘ PLANETOKLAZMU STOP JEŻELI
PRZYJMIECIE NASZEGO POSŁA KTÓRY CAŁO POWRÓCI NA NASZ STATEK
ZANIECHAMY FAZY PIERWSZEJ I DRUGIEJ STOP STOP STOP STOP

Japończyk spytał, czy dowódca jest rzeczywiście gotów zdmuchnąć atmosferę. Na kawitację planety, dodał, nie mamy dość mocy.

— Wiem. Atmosfery nie zmiotę. Liczę na to, że uwierzą. A co do sideroklazmu — chcę usłyszeć zdanie Polassara. Także za nie wykonaną pogrózką musi stać realna siła. Polassar ociągał się z odpowiedzią.

— Byłoby to niebezpiecznym przeciążeniem sideratorów. Co prawda można przebić mantię. Jeżeli naruszymy podstawę płyt kontynentalnych, biosfera zginie. Ocaleją bakterie i glony. Czy warto o tym mówić?

— Więcej nie.

Obaj uznali za konieczne rozpoznanie zasięgu katastrofy, co było nader trudne. Dziury w szumowej osłonie Kwinty świadczyły o wypadnięciu setek stacji nadawczych, lecz bez spinografii nie można było ustalić choć z grubsza zniszczeń technicznej infrastruktury na wielkim kontynencie. Efekty kataklizmu dawały się już we znaki południowej półkuli i pozostałym lądom. Działalność sejsmiczna wzmogła się gwałtownie: na morzach chmur ciemniały plamy — bodaj wszystkie wulkany ziały magmą i gazami ze znaczną składową cyjanków. GOD szacował masy lodu, które dotarły do powierzchni gruntu i oceanów, na trzy do czterech trylionów ton. Północna półkula uległa daleko silniejszemu porażeniu niż południowa, lecz ocean przybrał wszędzie i wtargnął w głąb wybrzeży. GOD zastrzegł się, że nie może ustalić, ile szczątków pierścienia spadło na planetę w stanie stałym, a ile uległo

stopieniu, bo zależało to od nie znanej dokładnie wielkości lodowych brył. Jeśli przekraczały tysiące ton, straciły tylko ułamek masy w najgęstszych warstwach powietrza. Nie umiał jednak podać konkretnego dzielnika.

Harrach, który dyżurował przy sterach, nie brał udziału w rozmowie toczonej w operatorni nad jego głową, ale słyszał ją i wtrącił się niespodzianie:

— Dowódcu, proszę o głos.

— Co znowu? — zniecierpliwiał się Steergard. — Mało ci? Chcesz im dołożyć?

— Nie. Jeżeli GOD mówił z sensem, czterdzieści osiem godzin nie wystarczy. Przecież muszą się jakoś pozbierać.

— Za późno dołączyłeś do gołębi — rzucił Steergard.

Fizycy przyznali jednak pilotowi słuszność. Termin odpowiedzi przesunięto do siedemdziesięciu godzin. Wkrótce potem Harrach został sam. Przetawiał stery na automatykę, bo miał zupełnie dość przyglądania się Kwincie, zwłaszcza że dym niezliczonych erupcji wulkanicznych rozlewał się rudawo po kipiącej bieli planety i pociemniała jak od skrzepów brudnej krwi. Nie była to krew. Wiedział, ale nie chciał na to patrzeć. Wedle polecenia Steergarda statek jął wirować na miejscu jak wyciągnięte poziome ramię dźwigu. Mieli tak namiastkę ciężenia, dzięki sile odśrodkowej, najmocniej wyczuwalnej w sterowni u dziobu. W mesie, do której zeszła załoga, ten centryfugalny obrót pozwolił się do stołów bez nieważkiej akrobacji. Efekty precesyjne, typowe dla żyroskopii, przyprawiały Harracha o mdłości, choć nieraz pływał na Ziemi i nawet boczna martwa fala nie wtrącała go w morską chorobę. Nie mógł usiedzieć. Stało się to, czego chciał. Biorąc na rozum, nie ponosił odpowiedzialności za kataklizm. Był pewien, że wszystko zaszłoby tak samo, gdyby nie wściekał się i nie wdawał w niezbyt stosowne spory z Bogu ducha winnym ojcem Arago. Nie, nic by się nie zmieniło, gdyby robił swoje milcząc. Wskoczył z siedzenia u sterów, a ledwie rozprostował nogi, zaczęło go nosić po całej nawigatorni. Nie umiał wyładować inaczej palącego gniewu, który wrócił weń jak odbity i naglił, żeby nie czekać, nie trwać z założonymi rękami i patrzeć na klimatyczne — oby tylko klimatyczne — pomieszczenie ugodzonej teradźulowo planety. Gdyby mógł, wyłączyłby obraz, lecz tego nie wolno mu było zrobić. Elipsoidalne wnętrze obiegała galeria, oddzielająca górny poziom od dolnego. Zataczając się na rozstawionych nogach jak marynarz przy chwiejbie wbiegł na górę, okrążył całą galerię klusem — mógłby kto myśleć, że wzięła go chęć trenowania się w biegu. Na dźwigarach, zbiegających się jak szprychy wielkiego koła, między krzyżulcami umocowanymi do stropu, spoczywała centrala operacyjna. Osiem głębokich foteli okrężało terminal, podobny do płasko ściętego stożka. W jego pobocznicy przed każdym fotelem pusto

mrugał zielony monitor. Na płaskiej płycie tego stołustożka leżał porzucony brulion ultimatum, nakreślony charakterystycznym, pochylonym, ostrym pismem Steergarda. Wszedłszy między fotele Harrach zrobił rzecz, o jaką by się nigdy w świecie nie posądził. Odwrócił tę kartkę papieru, by leżała nie zapisaną stroną do góry, i rozejrzał się, czy ktoś tego nie widzi. Lecz tylko mrugające ekrany udawały ruch. Usiadł w fotelu, zajmowanym zwykle przez dowódcę, popatrzył na obie strony. Między srebrnoplastycznym obwałowaniem dźwigarów ziały klinowe okna w dół: widać było tam nawigatornię, też mrugającą drobiem światełek różnej barwy, i blask, co szedł wciąż z głównego ekranu — mętne światło Kwinty. Harrach oparł się łokciami o skośny pulpit i zakrył rękami twarz. Gdyby umiał, gdyby mógł, może by zapłakał po tej Sodomie i Gomorze.

KWINTANIE

Zdawał się zupełnie spokojny i nie pożegnał się z nikim. Żaden z towarzyszy nie wsiadł z nim do windy, gdy nadszedł czas. W zwykłym białym skafandrze z hełmem pod pachą patrzył na migające kolejno cyfry mijanych pokładów. Drzwi rozsunęły się same. W kopulastej hali startowej dziwnie drobna stała rakieta, nieskazitelnie srebrna, bo nigdy jeszcze nie przecinała atmosfery i żar nie osmalił jej dziobu ani boków. Poszedł ku niej po ażurowej blasze, odpowiadającej głucho na każdy krok, czując wzmożony ciężar, znak, że "Hermes" wzmożonym ciągiem idzie rufą od planety, aby dać mu dobre pchnięcie przy starcie. Rozejrzył się wkoło. Wysoko u zbiegu hakowych dźwigarów płonęły różańcami silne świetlówki. Przystanął w ich bezcieniowym blasku, aby nałożyć hełm. Właz kabiny otwarł się nad nim. Zaciągane klamry szczęknęły, odruchowo dotknął szerokiej obręczy metalowego kołnierza, wciągając tlen, już odcięty od powietrza wypełniającego halę, ciśnienie było nieco za duże, lecz samo się natychmiast wyrównało. Podnośnik, na który wstąpił, ruszył w górę. Właz, przed chwilą ciemny, rozjaśnił się od środka, przesuwny stopień dotknął progu i zamarł. Bez pośpiechu przestawiając nogi w wielkich butach przez próg, wiodąc ręką w elastycznej rękawicy po rurce poręczy, schylony wpełznął do środka nogami naprzód, ujął oburącz uchwyty u nadproża i opadł miękko w głąb. Właz się zamknął. Doszedł go narastający śpiwnie świst — to gazoszczelny kołpak, co wisiał dotąd nad rakieta, opadł na nią, a hydrauliczne tłoki dociskały go do cembrowiny wyrzutowego leja, żeby statek nie stracił przy starcie powietrza i nie zatrąły go jadowite płomienie silników. Łatwo jak w symulatorze podjął żebrowane węże klimatyzacji, wkręcił we właściwe mufy skafandra, bagnetowe zaczepty od razu zaskoczyły na dowód, że gwinty weszły w gwint. Był już zespolony z rakieta. Jej ścienne obicie jęło puchnąć, aż zawisł w otulinie elastycznych powijaków, tylko do pach, aby miał swobodne ręce. Miejsca nie było więcej niż w egipskim sarkofagu. Tak właśnie zwano nieraz te jednoosobowe ładowniki. Rękojeść automatu odliczania miał po prawej. Tuż przed oczami świeciły mu w twarz przez szkło hełmu tabliczki

analogowych wskaźników i digitalne rezerwowe liczniki wysokości, mocy, sztuczny horyzont, a pośrodku czworokątny monitor, jeszcze ślepy. Kiedy pchnął dźwignię do oporu, wszystkie światelka zajaśniały, mrugając do niego z poufałą życzliwością, zapewniając, że są gotowe: główny silnik, osiem korekcyjnych, cztery hamownicze, spadochron pierścieniowy jonosferyczny i wielki awaryjny (ale ekran błyskawicznie gasnącymi punktami zapewniał go, że awarii nie będzie, rysując idealnie dokładną krzywą lotu, od "Hermesa", jako zielonej gwiazdki, po wypukłość planetarnego okręgu). Z ułamkowym opóźnieniem zameldował mu się trzeci spadochron, kaskadowy, zwany piątym kołem u wozu. Nieraz przeżywał takie chwile i lubił je. Ufał tym migocącym jak szybki puls zielonym, pomarańczowym i niebieskim światelkom. Wiedział, że może się zapalić czerwone, jak oko nabiegłe krwią strachu, bo nie ma bezawaryjnych urządzeń, ale wszyscy natrudzili się, żeby go nic nie zawiodło. Automat odliczał już od dwustu. Zdawało mu się, że słyszy w membranach ludzi zgromadzonych w sterowni i że na to żywe tło wstrzymywanych technię sypią się cyfry odliczane obojętnym mechanicznym głosem w malejącym porządku. U dziesiątki wyczuł lekkie przyspieszenie tętna i zmarszczył brwi pod okapem hełmu, jakby karciał nie dość podwładne serce. Co prawda tachykardia bodaj nikogo nie omijała przy starcie, i to banalnym, a cóż dopiero w takich okolicznościach. Był rad, że nikt się doń nie odzywa, ale gdy padło sakramentalne ZERO i poczuł drgnięcie zlanych w jedno ciała i pocisku, dobiegł go słaby głos kogoś, kto widać stał z dala od mikrofonów: Bóg z tobą. Te niespodziewane słowa zaskoczyły go, chociaż kto wie, czy nie spodziewał się ich po tym człowieku. Ale na takie refleksje nie było już czasu. Pocisk wypchnięty zarazem delikatnie i potężnie hydrauliczną łapą, jakby olbrzymia garść stalowa przez atlas parła go cylindrycznym ujściem w wyrzutnię, odłączył się od pokładu i choć nie mógł się poruszać w baloniestej otulinie, ogarnęła go nieważkość na dwie lub trzy sekundy, nim zagrały silniki. Przez mgnienie widział w górnym rąbku monitora umykający kadłub statku, ale mogło to być iluzją. Rakieta nazywała się "Ziemia", bo tak chciał, i tak miał być wzywany. Wykonała salto, słabe punkciki gwiazd poleciały skosem przez monitor, białą tarczką przepłynęła wśród nich Kwinta i znikła, a jego pojazd zamiatając mroki wyziewem korektorowych dysz legł na kursie: trajektoria realnego lotu pokryła się idealnie z, punktowaną przez komputer. Powinien był już się odezwać do "Hermesa", ale milczał jeszcze — jakby napawał się samotnym lotem.

— "Hermes" czeka na meldunek. To był głos Steergarda. Nim zdążył odpowiedzieć, dobiegł go drugi głos, Harracha:

— Pewno zasnął.

Takie żarty, zalatujące trochę koszarami, towarzyszyły pierwszemu kosmicznemu lotom,

ażeby bagatelizować bezprecedentalne przeżycia ludzi zamkniętych w czubku rakiety jak w wystrzelonym granacie. Dlatego Gagarin powiedział w ostatniej sekundzie "Pojechali", dlatego nie mówiło się "ucieka nam tlen, dusimy się", tylko "mamy pewien problem". Harrach nie zdawał sobie pewno sprawy z tego, że tym żartem sięgał w przeszłość, tak samo jak Tempe, który ni w pięć, ni w dziewięć odpowiedział: "Lecę", aż połapawszy się przeszedł na właściwy ton procedury.

— Tu "Ziemia". Wszystkie zespoły w normie. Na osi mam Deltę Harpii. Za trzy godziny wejść w atmosferę. Zgadza się? Odbiór.

— Zgadza się. Heparia podała meteorologiczne warunki w punkcie zero. Zachmurzenie pełne. Wiatr północno-północno-wschodni trzynaście metrów na sekundę. Nad kosmodromem pułap chmur dziewięćset metrów. Widoczność dobra. Chcesz z kimś pogadać?

— Nie. Chcę widzieć Kwintę.

— Zobaczysz ją za osiem minut, kiedy zejdziesz w płaszczyznę ekliptyki. Zrobisz wtedy poprawkę kursową. Odbiór.

— Zrobię poprawkę kursową, kiedy "Hermes" da mi znać. Odbiór.

— Szerokiej drogi. Koniec.

Negocjacje po rozbiciu lodowego pierścienia trwały cztery doby. Pertraktowali wyłącznie z Heparia, czego nie stwierdzili od razu, ponieważ na ultimatum odpowiedział sztuczny satelita tak mały i tak dobrze udający okruch skalny, że GOD nie rozpoznał go, dopóki milczał. Umieszczony 42000 kilometrów nad planetą na stacjonarnej orbicie wirował zgodnie z jej obrotami i kiedy zachodził za skraj tarczy, łączność urywała się na siedem godzin. Porozumiewał się z "Hermesem" w 21-centymetrowym paśmie wodoru i radiolokatory statku porządnie przepatrzyły jego emisję kuplanetarną, nim wykryły, jaki sposób służy Heparii za przekaźnik. Zawiadywała nim silna radiostacja podziemna ukryta w pobliżu kosmodromu, na którym fatalnie wylądował bezludny "Hermes". Pracowała na falach dziesięciokilometrowej długości, co dało fizykom podstawę do uznania jej za specjalny obiekt militarny, przeznaczony do wejścia w akcję, gdyby doszło do zmasowanej wymiany ciosów atomowych. Towarzyszą jej elektromagnetyczne udary promienne, rwące wszelką bezprzewodową łączność radiową, a przy megatonowym skupieniu eksplozji w celach udaremniają też zastąpienie zwykłych nadajników laserowymi. Zdatne są wtedy jedynie fale ultradługie, lecz ich niska nośność informacyjna uniemożliwia przesył wielobitowych komunikatów w krótkim czasie. Steergard zwrócił więc emitory "Hermesa" do owej radiostacji, a kiedy nie odpowiadała, przekazał następne ultimatum: albo będą się porozumiewać wprost, albo zniszczy w ciągu 24 godzin wszystkie naturalne i sztuczne ciała

w całym zasięgu stacjonarnych orbit, a jeśli i wtedy nie uzyska odpowiedzi, uzna się w prawie podwyższenia temperatury 800000 hektarów wokół kosmodromu wraz z nim do 12000 stopni skali Kelvina. Oznaczało to przebicie skorupy planetarnej na głębokość ćwiartki jej promienia. To pomogło, aczkolwiek Nakamura i Kirsting chcieli odwieść dowódcę od tak drastycznej decyzji, gdyż *de facto* równała się wypowiedzeniu wojny.

— Prawo międzyplanetarne przestało nas obowiązywać, odkąd zostaliśmy zaatakowani — odparł Steergard. — Rokowania na kilometrowych falach z translacją i retranslacją mogą trwać miesiące, a za czysto fizykalną przyczyną tej rozwlekłości może się kryć gra na zwłokę dla odwrócenia strategicznych kart. Tej szansy im nie dam. Jeżeli to jest nieformalna wymiana zdań, proszę o niej zapomnieć, a jeżeli *votum separatum*, złóżcie je do protokołów ekspedycji. Odpowiem za nią, kiedy zdam dowództwo. Na razie nie noszę się z takim zamiarem.

W kontrpropozycjach Heparia żądała dokładnego ograniczenia uprawnień wysłańca. Pojęcie "kontaktu" stawało się tym bardziej mętne, im ostrzej próbowano je sprecyzować. Steergard pragnął bezpośredniego spotkania swego człowieka z przedstawicielami miejscowej władzy i nauki, jednakowoż albo sens tych pojęć był całkowicie wichrowaty między Kwintanami i ludźmi, albo i tu wsączała się zła wola. Tempe poleciał nie wiedząc, kogo ma ujrzyć na kosmodromie, czym się jakoś nie przejmował. Nie czuł u ramion skrzydeł euforii, nie liczył na wielki sukces i sam był zafrapowany własnym spokojem. W czasie przygotowań na trenażerach powiedział Harrachowi, że nie wierzy, aby go mogli obedrzeć tam ze skóry — jakkolwiek są bezwzględni, czemu trudno się dziwić, nie są głupcami. Rokowaniom towarzyszyły deliberacje na pokładzie.

Przy nieustannym oporze strony kwintańskiej punkt po punkcie wytargowali wreszcie warunki posłowania. Przybysz otrzymał prawo opuszczenia rakiety dla lustracji szczątków fałszywego "Hermesa" i swobodnego poruszania się w sześciomilowym promieniu wokół swej rakiety z zapewnioną nietykalnością, o ile nie podejmie "wrogich czynów" i nie przekaze goszczącej go stronie "groźnych informacji". Wiele kłopotu wynikło przy zgłębieniu owych terminów. Nazewnictwo ludzi i Kwintan pokrywało się tym gorzej, im wyższej sięgało abstrakcji. Takie hasła jak "władza", "neutralność", "stronność", "gwarancje" nie ujednoznacznily się czy to od siły wyższej, jako zasadniczej odmienności dziejów historycznych, czy od wpełzającej w porozumienie premedytacji. Zresztą i premedytacja niekoniecznie równała się chęci zwodzenia i oszukiwania, jeżeli uwikłana w stuletnią wojnę Heparia nie była swobodna ani suwerenna w danej zgodzie i nie chciała lub nie mogła zdradzić tego "Hermesowi". Bodaj i tu, jak sądziła większość załogi, kryła się wypadkowa

zmagających trwających na planecie od tylu pokoleń, że ukształtowały zarówno język, jak sposób myślenia.

W przeddzień startu Nakamura poprosił pilota o prywatną rozmowę: tak się wyraził. Zaczął ogólnie: rozum bez odwagi tyleż wart, co odwaga bez rozumu. Wojna, wypchnięta w Kosmos eskalacją, jest — to już pewne — międzykontynentalna. W tym stanie rzeczy najlepsze byłoby wysłanie dwóch równoprawnych posłów na oba lądy, z uprzednim zapewnieniem, że nie dostarczą żadnych militarnie istotnych wiadomości gospodarzom. Dowódca odrzucił ten wariant, ponieważ chce mieć na oku losy posła, a statek nie może jednocześnie znajdować się po przeciwległych stronach planety. Dowódca chce upewnić Kwintan o woli odwetu, gdyby poseł nie wrócił cało. Nie określił jego rozmiarów, co jest taktycznie właściwe, lecz nie zapewnia posłowi bezpieczeństwa. Nakamura stoi najdalej od krytykowania dowódcy, prosił jednak pilota o rozmowę, ponieważ uważa to za swój obowiązek. Jak pięknie pisał Szekspir “Biada podrzędnym istotom, co wchodzą pomiędzy ostrza potężnych szermierzy”. Potężnych szermierzy jest trzech: “Hermes”, Norstralia i Heparia. Co wiedzą Kwintanie? Wiedzą, że intruz ma przewagę zaczepno-odporną i umie wyprowadzać ciosy z wysoce precyzyjną celnością. W czyim interesie leży wobec tego zdrowie posła? Powiedzmy, że poseł straci zdrowie. Heparia będzie dowodziła, że zaszedł nieszczęśliwy wypadek, a Norstralia będzie obalała te dowody. Tym samym każda z nich spróbuje tak odchylić odwetowy cios “Hermesa”, żeby trafił stronę przeciwną. Dowódca obiecał im wprawdzie TAD — “*Total Assured Destruction*” — historia uczy jednak, że Sąd Ostateczny nie jest dobrym instrumentem w polityce. “Maszynę Sądu Ostatecznego”, “*Doomsday Machine*”, superbombę kobaltową do szantażowania wszystkich państw Ziemi groźbą powszechnej zagłady, wymyśliło paru Amerykanów w XX wieku, lecz nikt się nie wziął do tego, i całkiem rozsądnie, bo kiedy nikt już nic nie ma do stracenia, nie można uprawiać realnej polityki. Apokalipsa jako odplata ma nikłą wiarygodność. Dlaczego “Hermes” miałby uderzyć w całą planetę, jeśli na Heparii znajdzie się jeden kamikaze, który dokona zamachu na posła? Argumentacja Japończyka brzmiała pilotowi przekonująco. Czemu nie uległ jej dowódca?

Japończyk, wciąż grzecznie pochylony ku gościowi, uśmiechnął się. — Ponieważ nie mamy niezawodnej strategii. Dowódca nie chce rozplątywać węzła. Zamierza go przeciąć. Nakamura nie wynosi się nad nikogo. Nakamura myśli tak, jak potrafi myśleć Nakamura. O czym myśli? O trzech zagadkach. Pierwszą jest posłowanie. Czy doprowadzi do “kontaktu”? Tylko symbolicznie. Jeżeli poseł wróci zdrów, zobaczywszy Kwintan i dowiedziawszy się od nich, że niczego nie może się od nich dowiedzieć, będzie to olbrzymie osiągnięcie. Pilotowi

zbiera się na śmiech? Planeta jest mniej dostępna niż Mount Everest. Niemniej, chociaż na tej górze nie ma nic oprócz skał i lodu, setki ludzi przez całe lata ryzykowały życie, żeby się tam dostać choć na chwilę, a ci, którzy zawrócili, bo brakło im do szczytu dwustu metrów, mieli się za pokonanych, chociaż miejsce, do którego się wspięli, nie było ani trochę bardziej drogocenne od miejsca, którego pragnęli na parę minut. Mentalność ekspedycji równa się już mentalności tych himalaistów. Jest to zagadka, z którą ludzie przychodzą na świat i umierają, więc się do niej przyzwyczaili. Drugą zagadką dla Nakamury jest los pilota. Oby wrócił! Lecz jeśli zajdzie coś nieprzewidzianego, Heparia udowodni, że było białe, a Norstralia, że czarne. Ta sprzeczność zepchnie dowódcę z roli mściciela w rolę sędziego śledczego. Groźba, dość skuteczna, by wymusić posłowanie, zawisnie w próżni. Trzecia zagadka jest największa. Chodzi o niewidzialność Kwintan. Zamach może nie nastąpi. Nie ulega natomiast żadnej wątpliwości kategorię niechęć Kwintan do ukazania ich wyglądu.

— Może wyglądają jak potwory? — podsunął pilot. z Nakamura wciąż się uśmiechał.

— Tu obowiązuje symetria. Jeśli są potworami dla nas, to my jesteśmy nimi dla nich. Proszę o przebaczenie: to jest myśl dziecka. Gdyby ośmiornica miała estetyczny zmysł, najpiękniejsza kobieta Ziemi byłaby dla niej potworem. Klucz do tej zagadki tkwi poza estetyką...

— Gdzie? — spytał pilot. Japończykowi udało się gd na dobre zafascynować. — Wspólne cechy Kwintan i Ziemian wykryliśmy wewnątrz obwiedni techniczno-wojennej. Wspólnota ta wiedzie na rozstaje: albo są do nas podobni, albo są "monstrami zła". To rozdroże jest fikcją. Nie jest jednak fikcją, że nie życzą sobie, byśmy się zapoznali z ich wyglądem.

— Dlaczego?

Nakamura pochylił głowę z ubolewaniem.

— Gdybym wiedział dlaczego, węzeł zostałby rozwiązany i kolega Polassar nie musiałby szykować sideratorów. Ośmielę się tylko na niejasne domniemanie. Wyobraźnia nasza różni się od zachodniej. W głębokiej tradycji mego kraju spoczywa maska. Sądzę, że Kwintanie, opierając się ze wszech sił naszym dążeniom, a więc nie chcąc obecności ludzi na planecie, od początku się z nią jednak liczyli. Pilot nie dostrzega jeszcze związku? Pilot może zobaczy Kwintan i nie dowie się, że ich zobaczył. Wyświetliliśmy planecie baśń, w której występowali człekokształtni bohaterowie. Nakamura nie może dodać pilotowi odwagi — pilot ma jej więcej niż potrzeba. Nakamura może tylko służyć jedną radą...

Przerwał i już bez uśmiechu, powoli wymawiając słowa, powiedział: — Doradzam pokorę. Nie ostrożność. Nie doradzam też ufności. Doradzam pokorę, czyli gotowość

uznania, że wszystko, ale to wszystko, co pilot ujrzy, jest zupełnie inne, niż się wyda... Rozmowa skończona. Dopiero lecąc Tempe domyślił się wyrzutu ukrytego w radach Nakamury. To on, pomysłem o bajce, zdradził Kwintanom wygląd ludzi. Może zresztą nie był to wcale zarzut.

Rozmyślenia te przerwało wejście planety. Jej niewinnie biała tarcza, rozśnieżona zwojami cirrusów, bez śladu lodowego pierścienia i katastrofy, łagodnie wpłynęła w mroki, wypierając ich czernią z bladą kurzawą gwiazd poza obramowanie monitora. Równocześnie zagrał cyframi i pośpiesznym stukotem odległościomierz. Wzdłuż poszarpanych fiordami wybrzeży Norstralii szedł z północy płaskim ramieniem chmur chłodny front, a oddzielona od niej oceanem Heparia, widoczna w silnym skrócie na wschodniej wypukłości globu, leżała pod ciemniejszym zachmurzeniem i tylko jej polarny obrys podbiegunowy jaśniał lodowymi polami. "Hermes" dał mu znać, że za dwadzieścia osiem minut dotknie atmosfery i zlecił małą poprawkę kursu. Ze sterowni śledzili jego serce, płuca i czynnościowe prądy mózgu Gerbert z Kirstingiem, a w nawigatorki miał jego raketę na oku dowódca z Nakamurą i Polassarem, żeby interweniować w razie potrzeby. Choć ani krytyczna potrzeba, ani rodzaj interwencji nie zostały sprecyzowane, to, że główny energetyk z głównym fizykiem stali w gotowości przy Steergardzie, potęgowało dobry jakkolwiek pełen napięcia nastrój na pokładzie. Nadążne teleskopy dawały ostry obraz srebrnego wrzeciona "Ziemi", regulując krotkość powiększania tak, by rakietę trwała w centrum na mlecznym tle Kwinty. Wreszcie GOD sygnalizował w pustym dotąd monitorze atmosferyczny pomarańczowymi liczbami: pocisk wszedł dwieście kilometrów nad oceanem w rozrzedzone gazy i zaczął się rozgrzewać. Zarazem na obłoczne morza padł drobny cień pocisku mknąc po ich nieskazitelnej bieli. Komputer bezpośredniej łączności przekazywał salwami impulsów ostatnie dane lotu, bo za chwilę poduszka rozplamionego tarciami plazmy miała przerwać komunikację w gęstych warstwach powietrza.

Złota iskra ukazała wtargnięcie "Ziemi" w jonosferę. Błysk urósł i rozwinął się na znak, że pilot hamuje już odwróconym ciągiem. Cień rakiety znikł, kiedy dała nurka w chmury. Po dwunastu minutach cezowe zegary czasu projektowego i czasu realnego zeszły do jedynek, po czym spektrograf, śledzący odrzutowy ogień ładownika, ośleplł i po serii zer rzucił ostatnie klasyczne słowo BRENNSCHLUSS.

"Hermes" poruszał się wysoko nad Kwintą, by mieć punkt lądowania dokładnie pod sobą w nadirze. Główny monitor obserwacyjny wypełniła nieprzenikliwa obłoczna zasłona. Zgodnie z zapowiedzią, gospodarze wtryskiwali w powłokę chmur nad tym obszarem masy metalicznego pyłu, tworząc ekran nie do przebiccia przez radarową radiolokację. Steergard

przystał w końcu na ten warunek, zawarowawszy sobie prawo "użycia drastycznych środków", gdyby do "Hermesa" nie dotarł choć jeden z laserowych błysków, które Tempe miał słać co sto minut. Aby przecież dać jaką taką widoczność pilotowi w końcowej fazie lądowania, fizycy zaopatrzyli jego raketę w dodatkowy człon, wypełniony gazowym związkami srebra i wolnymi rodnikami amonu pod wysokim ciśnieniem. Kiedy pocisk wdarł się w stratosferę i ciął ją rufą w płomienistych grzywach łopocących wzdłuż burt do dziobu, ów pierściennoy człon, okalający dotąd tuleje dysz, odpaliły eksplozywne ładunki, przez co wyprzedził swój wehikuł i dostawszy się w ogień i plazmę, pękł od gorąca. Gwałtownie rozrzedzone gazy zawirowały jak trąba powietrzna i grzmotnym podmuchem rozmiotły w ciężko nawisłych chmurach szeroko poszarpany lej. *Zarazem* płynny tlen, tłoczony zamiast hypergoli przez dysze, zgasił plazmową poduszkę i rakietą idąc zimnym ciągiem w dół odzyskała wzrok. Przez żaroodporne szkła telewizorów ukazał się teren lądowania w okolicy burzliwie rozepchniętych chmur. Zobaczył szarą, trapezową płaszczyznę kosmodromu, od północy uciętą połaciami wznagrzystych stoków, a z pozostałych stron obramowaną mnóstwem czerwonych iskier, drżących w wyginanym nad nimi powietrzu jak płomyki świec, kiedy obficie filują kopciem. To z nich były potoki metalowego pyłu. Wybuchłe amony i srebro robiły swoje: oberwanie resztek chmur nad lądowiskiem, taką ulewą, że kopcające purpurowo iskierki na kilka minut ściemniały, lecz nie zduszone, znów rozplonęły w brudnych kłębach pary wodnej. Patrząc ku południowi przez dymy, rozganiane wicherowym cyklonem, dostrzegł czarniawą zabudowę jak płasko rozgniecione głowonoga czy matwę z wieloramiennym rozbiegiem lśniących smug — ani rurociągów, ani szos, bo były wklęsłe i poprzecznie prążkowane. Wrażenie ośmiornicy wzięło się bodaj od jednego polifemowego oka, które patrzyło nań stamtąd ostrym lustrzanym spojrzeniem. Chyba ogromny paraboloid optyczny, co śledził jego zniżający się lot. W miarę jak spadał, zieleń północnych wzgórz za lądowiskiem zmieniała wygląd. To, co w skrócie wysokości zdawało się stromym masywem leśnym z wciętą weń robotami niwelacyjnymi czworoboczną płytą betonową, traciło pozór ulistnionych borów. Nie korony drzew zlewały się w ciemnozieloną, kudłatą powierzchnię, lecz suche, martwe, krzaczaste zgęstwienia ni to pokracznych zasiaków, ni to ogromnych zawężeń jakichś przewodów czy drucianych lin, i rozstając się z wyobrażeniem zalesionego pogórza o przeświecających wśród szarosrebrnego natłoku igliwia łysinkach nie zarosłych polan, widział twory obcej inżynierii, której kunszt rezygnował z wszelkich ziemskich kanonów.: Gdyby ludziom przyszło zbudować technicznie otoczenie kosmodromu w rozległej kotlinie między metropolią i zboczami gór, zadbaliby o uporządkowanie terenu, łączące użytkowość z estetyką geometrycznych form — a już na pewno nie poobciążaliby

łych stoków gąszczem tysięcznych, dziko rozgałęzionych metalowych gruzłów i węzłów, które nie mogły być rezultatem saperskich prac, maskujących niby-roślinnymi sieciami obiekty militarne, bo nienaturalność takiego kamuflażu sama się zdradzała. Kiedy zimnym ciągiem schodził rakieta na szare betony, cały skłon pogórza, osłaniany przyplływem wracających chmur, znikał w nich jak koleczasta jaszczurcza skóra, pocętkowana guzami krostowatej wysypki. Nim jej dziwaczna brzydota uświadomiła mu różnicę między projektowaniem urządzeń techniki i puszczeniem ich w jakiś samorzutnie nowotworowy rozrost, nim powtórnie spojrzął na zabudowę południa — tę już wybiegła za horyzont mątwę, patrzącą nań lustrzanym okiem w czarnej obwódce — musiał się wziąć za stery. Przeciążenie z czterech g spadło do dwóch, sprężony tlen bryznął lodowym wrzątkiem z dysz, stawonogie łapy wysunęły się rozkrocznie pod rufą, a gdy uderzyły o twarde gruntu, silnik rzygnął ostatni raz i zamilkł.

Trzystutonowa rakietka wykonała na podwoziu kilka gasnących przysiadów i zamarła na dobre. Czując wnętrznościami napływ ciężenia innego niż przy deceleracji, w słabnącym syku amortyzatorów rozpiął pasy, wypuścił powietrze z otuliny skafandra i stanął na równe nogi. Gurty z klamrami osunęły mu się z barków i piersi. Analizator nie wskazywał w powietrzu żadnych trujących gazów, ciśnienie wynosiło tysiąc sto milibarów, lecz miał wyjść w hełmie, więc przełączył mufę tlenową na własny zbiornik. Po wyłączeniu telewizorów w kabinie zapłonęły światła. Rzucił okiem na przywieziony kram — po obu stronach siedzenia spoczywały ciężkie kontenery z kółkami, aby można je toczyć jak taczki. Harrach wymalował na nich z gorliwości ogromną jedynekę i dwójkę, jakby mógł je ze sobą pomylić. Harrach na pewno zazdrościł mu, lecz niczym tego nie okazywał. Był dobrym towarzyszem i pilot pożałował, że nie ma go przy sobie. Być może we dwóch daliby lepiej radę zadaniu.

Grubo przed lotem, gdy nic prócz słów Laugera na "Eurydyce" nie upewniało go, że "zobaczy Kwintan", popadł w depresję rozpoznaną przez GODa, ale po rozmowie z lekarzem odrzucił diagnozę maszyny. Nie tym się gnębił, że uznał porozumienie z Kwintanami za bezsensowne w założeniu, ale tym, że wdali się w grę o kontakt z przemocą jako najwyższym kolorem. Zachował tę myśl dla siebie, bo nad wszystko chciał zobaczyć Kwintan, więc jakże by mógł sam, przy wszystkich zastrzeżeniach i wątpliwościach, dyskredytować tak wielką szansę? Arago widział ją w czarnym świetle, nim padło hasło "demonstracji siły", nazywał obłudę obłudą, powtarzał, że idą w licytację na przewrotność i prą tak gwałtownie ku porozumieniu, że z niego rezygnują, osłaniając się maskami i fortelami, może przez to i bezpieczniejsi, ale coraz dalsi od autentycznego otwarcia widoku na Obcy Rozum. Przygważdżali jego wykrety, bili w każdą odmowę, co czyniło cel ekspedycji tym mniej

osiągalnym, im brutalniejszych ciosów używali w służbie tego celu. Włączył otwieracz włązu, ale musiał czekać na wyniki automatycznych analiz i kiedy jego komputer przeżuwał napływające dane o chemicznym składzie podłoża, o sile wiatru, o radioaktywności otoczenia (praktycznie zerowej), miał w głowie zamiast kolejnych etapów programu te wszystkie złe myśli, które dotąd tłumił. Nakamura podzielał zdanie zakonnika, ale nie przeszedł na jego pozycję, bo równała się odwrotowi. On też przyznawał ojcu Arago rację widząc, że żadna racja go nie powstrzyma. Jeśli Kwinta była piekłem, gotów był zejść do piekła, żeby zobaczyć Kwintan.

Co prawda na razie nie zanosilo się na piekielne przyjęcie. Wiatr dziewięć metrów na sekundę, widoczność pod pułapem chmur dobra, żadnych trutek, min, ładunków pod ultraakustycznie przesondowanymi wykładzinami lądowiska. Rozległ się świst, to zewnętrzne ciśnienie wyrównywało się z panującym w kabinie, nad włazem zapłonęły trzy zielone lampki, ciężka tarcza wykonała pół obrotu i odskoczyła w górę. Dobięł go grzechot opuszczanego trapu i trzask, z jakim jego rozwory usztywniły się, wsparte skośnie o beton. Wyjrzał. Przez szkło hełmu uderzył go pełny blask dnia. Z czteropiętrowej wysokości widział ogromną równinę kosmodromu pod chmurnym znów niebem, północne pogórze zginęło we mgłach, w dali z długiej linii niskich studziennych wylotów szły rude i czerwone dymy, a na ich tle stała ogromna krzywa wieża, mocniej pochylona od wieży w Pizie: "Hermes", samotny i niezwykły w pustce, zastygły o jakąś milę. Zresztą nigdzie ani żywego ducha.

Tam, gdzie skryły się za opadającymi chmurami wzgórze, na samym krańcu betonowej płaszczyzny stał niski walcowaty budynek, podobny do hangaru zeppelinów. Zza jego sylwety wychodziły ku niebu cienkie masztowe pręty, połączone lśniącoymi nićmi jak pajęczyną wysnutą na ćwierć' widnokregu. Mątwowata metropolia z jej okiem znikła za dymnym horyzontem i pomyślał, że teraz obserwują go tą pajęczą siecią. Lornetował ją uważnie z trapu, zaskoczony nieregularnościami przedziwa. Zwisalo niejednakowo, tworząc mniejsze i większe oka, jak stary niewód rozwieszony przez olbrzyma rybaka, na masztach tak przeciążanych własną wysokością i siecią, że się powyginały w różne strony. Bardzo nieporządnie to wyglądało. Zresztą kosmodrom był pusty jak teren oddany po ewakuacji nieprzyjacielowi. Otrząsnąwszy się z tyleż odrażającego, co natarczywego wrażenia, że zamiast antenowej instalacji ogląda dzieło monstualnych owadów, zeszedł tyłem po trapie, schylony pod niesionym pojemnikiem, bo ważył prawie cetnar. Rozpiął szelki, opuścił kontener na beton i potoczył go prosto ku "Hermesowi", sterczącemu skośnie ze zgruchotanej rufy. Szedł równym krokiem, bez specjalnego pośpiechu, nie dając tym, co go śledzili — a nie wątpił, że baczą nań niewidzialnie — niczego, co by mogło skłonić do jakichkolwiek

podejrzeń.

Wiedzieli, że ma zbadać wrak, nie wiedzieli jednak, jakim sposobem. U rufy, wbitej zmiażdżonymi dyszami w promieniście popękany beton, przystanął i rozejrzał się. Słyszał przez hełm poszumy porywistego wiatru, choć prawie nie wyczuwał go w skafandrze. Pisk chronometru przywołał go do rzeczy. Składana duralowa drabinka okazała się zbędna. Tuż nad tulejami dysz, zgniecionymi w olbrzymie harmonie, ziała w rufie osmalona przestrzelina z. jęzorami wydartych na zewnątrz blach pancernych i wygiętym eksplozją kikutem kadłubowego wręgu. Od biedy można się było wczłogać przez ten otwór do środka, uważając tylko, by nie rozedrzeć skafandra o stalowe zadziory. Wlazł na górę po stopie rufowej łapy, która nie zdążyła się przy lądowaniu wysunąć do końca, tak spieszno im było z otwarciem ognia, zresztą rozsądnie, gdyż statek jest najbardziej bezbronny w chwili, kiedy gasi główny ciąg przenosząc całą swoją masę na wysuwanie podpory. Wciągnawszy za sobą pojemnik, zadarł głowę. Hę się dało, aby sprawdzić stan kadłuba. Nie mógł z dołu zobaczyć dziobowych włazów, które były przyspawane na glucho, ale wrota ładowni widział i zdziwił się, że są zamknięte i nie sforsowane. Po dobru nie dałyby się otworzyć z zewnątrz. To go zaskoczyło. Jakże — zniszczywszy maszynownię jednym grubokalibrowym strzałem, mając ugodzony statek w takim przechyle, penetrowali go przez radioaktywną przestrzelinę metrowej średnicy, zamiast podeprzeć najpierw solidnym rusztowaniem i włamać się do środkowych ładowni? Po stu latach wojny nie mają saperów z odpowiednim sprzętem ani porządnej wojskowej inżynierii? Wciąż dziwiąc się obyczajom miejscowej armii szamotał się z kontenerem, już wewnątrz statku, aż skierował radiometr w mroki. Reaktor jednorazowego użytku stopił się trafiony, tak jak to obmyślili projektanci i wyciekł przez umyślnie przygotowane kingstony w głąb rozpekłych płyt kosmodromu, tworząc niezbyt wielką radioaktywną plamę. Myśląc, jak ładnie wykonypowali to Polassar z Nakamura, oświetlił wnętrze ręcznym reflektorkiem. Otaczała go mroczna cisza. Po maszynowni nie zostało nawet rumowisko. Konstrukcja miała taką wytrzymałość, by dźwigać dwa tysiące ton pustej makiety i rozlecieć się na strzępy od podmuchu. Strzałka geigera podskoczyła na skali i zapewniła go, że przez godzinę nie dostanie więcej niż sto rentgenów. Wyjął z kontenera dwie płaskie metalowe kasety i wytrząsnął całą ich zawartość, aż zamrowiło od syntywów, syntetycznych insektów z mikrosensorymi. Ukłakł między nimi ostrożnie jakby składał żałobny hołd zdruzgotanemu statkowi i włączył aktywacyjny układ na dnie większej kasety. Mrowisko, rozsypane po zwichrowanej blasze, ożyło. Beładnie, pośpiesznie drygając drucikami nóżek, jak prawdziwe chrząszcze, gdy usiłują się odwrócić, rzucane na grzbiet, syntywy pobiegły na wszystkie strony. Czekał cierpliwie, aż opuszczą go ostatnie. Kiedy już tylko parę widać

zdefektowanych sztuk kręciło mu się bezradnie u kolan, wstał i wydostał się na dzienne światło, ciągnąc za sobą niemal pusty kontener. W połowie drogi dobył zeń spory pierścień, rozwarł jego statyw, skierował w rufę i wrócił do "Ziemi". Od lądowania minęło 59 minut. Przez dalszych trzydzieści fotografował okolice, głównie sięgającą nieba pajęczą sieć, zmieniając filtry i obiektywy, po czym wszedł po trapie do rakiety. W ciemnawej sterówce świecił już auskultacyjny monitor. Syntywy meldowały się podczerwienią przez przekaźnik, ustawiony dla lepszej koherencji w połowie dystansu. Wraz z komputerem i jego programem tworzyły elektronowy mikroskop, o tyle szczególny, że rozdzielony przestrzennie na podzespoły. Dziesięć tysięcy jego żuczków myszkowało po wszystkich zakamarkach wraku, penetrując sadze, śmieci, szczątki, kurz, opiłki i odpryski stopionych metali, żeby wykryć to, czego przedtem tam nie było. Ich elektroniczne ryjki objawiały "ordofilię" — pociąg do molekularnego ładu, jaki cechuje wszelkie żywe czy martwe mikroorganizmy. Żuczki, zbyt głupie, by stawiać diagnozy, były tylko obiektywami mikroskopu i analizatora w rakiecie, a ten rysował już pierwsze krystaliczne mozaiki znalezisk i stawiał im rozpoznania. Technobiotyczna sprawność miejscowych inżynierów śmierci zasługiwała na szacunek. Żuczki pozwoliły zidentyfikować w niewinnych śmieciach wirusy powolnego działania. Każdy z milionów tkwił w maseczce brudu. Komputer nie zdążył jeszcze określić czasu ich latencji. Były to zarodniki, śpiące w molekularnych pieluszkach, by wylęgnąć się po tygodniach czy miesiącach. Wysnuł z tego odkrycia ważny wniosek: miał ująć z planety cało, by przynieść na pokład zarazę. Rozumowanie to, logicznie bez zarzutu, zachęcało do śmiałych poczynań — wszak tylko wracając mógł zostać doręczycielem zguby. Tu błysła mu jednak nagła wątpliwość. Wirusy mogły być zarazem autentyczne i oszukańcze. Kiedy je wykryje, weźmie go podług dopiero co dokonanego wniosku — chęć zuchwałych wypadów. Jakże łatwo lekkomyślnemu ryzykantowi o fatalny wypadek. Znalazł się w sytuacji typowej dla algebry struktur konfliktu: gracz tworzy sobie model przeciwnika, razem z jego modelem sytuacji, odpowiada na to, sporządzając model modelu modelu i tak bez końca. W takiej grze nie ma już żadnych faktów o definitywnej wiarygodności. To ci diable sztuki, pomyślał. Przydałoby się coś znamienitszego od instrumentów, chociażby egzorcyzmy. Chronometr pisnął mu do ucha: upływało sto minut. Przyłożył na płask obie dłonie do płytek i poczuł delikatnie mrowiący prąd, którym ładował się komputer, by wysłać "Hermesowi" jednobitowy sygnał laserem, że jego zwiadowca żyje.

Nadszedł czas właściwego rekonesansu. Zbiegł po trapie z drugim kontenerem i wydobył z rufowego schowka składany pojazd — lekką ramę z siodeł i napędzanych elektrycznie balonowych kołach. Gdy ruszył w stronę górskich stoków północy, ku

podniebnej sieci, gdzie stał samotny hangar, zaczął padać drobny deszcz. Mglista szarość osnuła zarysy ogromniejącej budowli. Zatrzymał przed nią otwarty wehikuł, otarł rękawicą krople wody ściekające po szkle hełmu i osłupiał. Kolos był zarazem najzupełniej obcy i niepojęcie swojski. Bezokienny, o wypukłych ścianach, wziętych w biegnące równoległe masywne żebra dźwigarów, sprawiał wrażenie przeciwne architektonice i naturze, jak trup wieloryba, któremu wstrzelono w brzuch granat ze sprężonym gazem, żeby rozdał mu koszmarnie tuszę, wtłoczoną w kratownicę mostu i porozginał ją wygięciami konającego cielska. Między dwojgiem żeber ział półokrągły otwór. Zrzucił z łazika pojemnik i przez te wrota wtoczył go przed sobą w nieprzenikniony mrok. Naraz obruszył się nań zewsząd potężny biały blask. Stał na dnie hali, w której i wielkochód byłby mrówką. Okręzały ją jedne nad drugimi krzywe, poplątane z sobą galerie, niby w żelaznym teatrze z wyrwanymi wnętrzościami sceny i widowni. Pośrodku na ażurowej blasze leżała wielobarwna rozgwiazda z kwiatów lśniących jak kryształy. Kiedy podszedł bliżej, spostrzegł, że wisi nad nią odwrócony ostrosłup przezroczysty jak powietrze i tylko pod ostrym kątem jego powierzchnia uwidoczniła się lśnięciem odbitych światła. Zatopione w szklistym tetraderze kolejno stawały szmaragdowe litery:

TO JEST POWITANIE STOP

Kryształowe kwiaty zapłonęły wspaniałymi kolorami od jasnego lazuru po głęboki fiolet. Ich świetliste kielichy rozchylały się. W każdym płonął ogniowy brylant. Napis ustąpił miejsca drugiemu:

SPEŁNIAMY WASZE ŻYCZENIE STOP

Stał bez ruchu, a tęcza pałających kryształów z wolna szarzała. Ich diamenty tły jeszcze przez chwilę rubinowo, aż znikły i wszystko rozsypało się w lekki popiół. Stał przed kolczastą zwojnicą posplatanych drutów, a w kryształach zazieleniały nowe słowa:

POWITANIE ZAKOŃCZONE STOP

Podniósł oczy znad dogorywającego popieliska, obiegł wzrokiem galerie, ich zwisłe wiechcie, miejscami poodrywane od wklęsłych ścian, i drgnął jak uderzony w twarz. Pojął naraz swojskość dziwacznej budowli: była wywróconą, stokrotnie rozdętą kopią "Hermesa". Galerie powtarzały rusztowania, przyspawane podczas montażu do burt i zgniecione eksplozją w chwili gdy lądował, a żebra, wgniecione we fronton, były wręgami statku, opasującymi teraz jego wynicowany kadłub z zewnątrz. Światła pod okapami zwichniętych krzywo ganków kolejno gasły, aż wróciła ciemność i tylko zawieszony w powietrzu napis POWITANIE SKOŃCZONE STOP jaśniał słabnącym pomału seledynem.

Co miał począć? Spenetrowawszy ugodzony statek powtórzyli go z doskonałością

bezmyślnej precyzji albo wyrafinowanego szyderstwa, by wszedł weń jak do brzucha zabitego, wypatroszonego stworzenia. Czy sprawiła to złośliwa perfidia, czy rytuał nieludzkiej kultury, tak właśnie okazującej gościnę, tkwił w błędniku bez wyjścia. Cofając się tyłem w mroku potracił kontener, który z łomotem runął na blachy i ten hałaśliwy upadek zarazem otrzeźwił go i rozjuszył.

Biegiem wytoczył ciężar ku dziennemu światłu na deszcz.

Mokre betony pociemniały. Za mżawką srebrzyła się w dali igła jego rakiety, brudne chmary dymów z czerwonych skier jednostajnie falując płynęły w niskie, mętne zwisy chmur, a nad całym pustkowiem sterczał pochyłą martwą wieżą "Hermes". Sprawdził czas. Do następnych stu minut pozostała prawie godzina. Walczył z zamętem gniewu, żeby odzyskać rozwagę i spokój. Jeśli projektowali maszyny bojowe, logistykę wojennej inżynierii na skalę planety i próżni, musieli być zdolni do logicznego rozumowania. Jeżeli nie chcą ukazać się sami, niechby poprowadzili go kierunkowskazami tam, gdzie przekazany od miesiący kodem ich terminale udowodnią mu równaniami algebry konfliktów daremność porozumienia. Niechby odtrącili argumenty przemocy argumentami rzeczowymi, wyższej siły, która daje im wybór tylko między różnymi postaciami zagłady, ale nie było żadnych znaków, terminali, urządzeń do wymiany informacji, nic, mniej niż nic, skoro był metaliczny dymowy ekran w chmurach, trup ich statku, skażony utajoną *zarazą*, a jako przybytek gościny jego powtórzony korpus, rozpuchły jak żaba rozdęta na śmierć przez wariata i kryształowy kwietnik, rozpadły dla powitania w popiół. Ceremoniał pełen tak sprzecznych sensów, żeby mówił: nic tu po was, intruzi, ani ogniem, ani lodowym obwałem nie wymusicie niczego prócz zasadzek, pozorów i kamuflaży. Niech wasz posłaniec robi, co chce — wszędzie spotka go to samo niezłomne milczenie, aż wytracony z oczekiwań, zbity z tropu, ogłupiały wściekłością pocznie bić w co popadnie miotaczem i pogrzebie się sam pod zwałonymi ruinami albo wypełźnie spod nich i odleci, nie z wiedzą wykradzioną po planowym odwrocie, tylko w panicznej ucieczce. Czy w samej rzeczy mógł cokolwiek forsować, wdzierać się siłą w zamknięcia, w żelazne obwody jednookiej metropolii za ścianą dymów, przecież w tak pozaczłowieczo obcym otoczeniu tym mniej się dowie, im gwałtowniej uderzy, nie mogąc odróżnić tego, co odkryje, od tego, co zniszczy.

Deszcz padał, chmury siadały, ogarniając wierzchołek wraku "Hermesa". Wyjął z kasety w pojemniku biosensor, przyrząd tak czuły, że o pięćset metrów żywo reagował na tkankową przemianę ęmy. Wskaźnik drżał bezustannie nad zerem, dowodząc, że jak na Ziemi życie jest tu wszędzie, ale bakterie czy pyłki roślin nie mogły się stać nicią Ariadny. Wspiąwszy się na trap, wysunął lufę do ostatka i skierował w dymy na południe, ku

osłoniętym nimi rozległym zabudowaniom szerokoramiennej metropolii. Czujnik nadal drżał słabo przy zerze. Wydłużył ogniskową po najdalszy zasięg. Dym, choć metaliczny, nie mógł być przeszkodą, tak samo jak mury, ale choć powiódł biometrem wzdłuż widnokregu, strzałka nie poruszyła się. Martwe żelazne miasto? Było to tak nie do wiary, że odruchowo potrząsnął aparatem jak zegarkiem, który stanął. Dopiero kiedy czyniąc zwrot wymierzył lufą ku majaczącej przez deszcz podniebnej pajęczynie, wskazówka zawachlowała i przy ruchach lufy na boki weszła w szeroki, rwany dygot.

Wrócił klusem do łazika, położył kontener za oparciem, wepchnął biosensor w dwukłowy uchwyt przy kierownicy i pojechał ku podnózu rozpiętej na masztach sieci.

Lało jak z cebra. Deszcz pryskał kałużami spod kół, zalewał mu szybę hełmu, oślepiał, a przychodziło wciąż zerkać na biosensor, wyprawiający wskazówką szybkie skoki. Przejechał podług licznika cztery mile i tym samym zbliżał się do granicznej strefy zwiadu. Mimo to zwiększył jeszcze szybkość. Gdyby nie ostrzegawcze czerwone mrugnięcia z tablicy zegarów, stoczyłby się z łazikiem do głębokiego rowu, wyglądającego z dala jak smuga czerni na startowych polach. Zbyt ostro zahamowany pojazd zarzucił, sunąc na zablokowanych kołach bokiem, aż znieruchomiał u krawędzi porozłamywanych płyt. Wysiadł, żeby zlustrować przeszkodę. Mgła, utrudniając ocenę odległości, tworzyła pozór głębi — utwardzona równina urywała się betonowymi odłamami. Sterczały częściowo w powietrzu nad gliniastym brzegiem. Rów, niejednakowej szerokości, lecz nigdzie do przekroczenia po duralowej drabince, utworzyły zapewne ładunki wybuchowe niedawno i w pośpiechu, o czym świadczyła glina miejscami tak poszarpana i nawisła, że mogła się w każdej chwili osunąć do reszty.

Przeciwny brzeg, z kawałami gruzu, wtłoczonymi eksplozją w ił, wznosił się niezbyt stromą, szeroką skarpią, nad którą przez mgłę prześwitywały oka niebotycznej pajęczyny. W sporych odstępach wzdłuż obrywu widniały po tamtej stronie w studzienkach zakotwiczenia stalowych lin, typowego naciągu, jakim trzyma się w pionie maszty antenowe łożyskowane kulową osadą bez wsporników. Dwóm najbliższym rurom eksplozja wyrwała kotwy razem z przeciwwagami. Wiodąc wzrokiem wzdłuż ich bezwładnie zwisłych lin, dostrzegł kilkadziesiąt metrów wyżej trzon masztu o wysuniętych teleskopowo, coraz cieńszych segmentach, wygiętych w górze jak silnie przeciążone wędzisko, przez co niedopięta sieć obwisła i jej najniższe kable niemal dotykały gruntu. Jak daleko mógł widzieć przez mgłę, zbocze pokrywały jaśniejsze od gliny wypuklenia, nie kopułki wkopanych zbiorników płynu czy gazu, raczej nieregularnie wybrzuszone kretowiska albo zaryte do połowy skorupy olbrzymich żółwi. Może kapelusze gigantycznych grzybów? Czy schrony-ziemianki?

Ulewa i wiatr huśtały nad nim okami obluzowanej pajęczyny. Wyciągnął z łożnika biosensor i począł wodzić jego wylotem po zboczach. Wskazówka raz po raz wskakiwała w czerwony sektor skały, cofała się i znów biła w skrajnik, pobudzana metabolizmem nie jakichś mikroskopijnych żyjątek czy mrówek, ale chyba wielorybów lub słoni, jakby stadami przysiadły na ociekłym wodą stoku. Zostało czterdzieści siedem minut do stu. Wracać do rakiety i czekać? Szkoda czasu, a co gorsza może zmarnować efekt zaskoczenia. W głowie rysowały mu się już niejasno reguły gry: nie atakowali, lecz ustawili przeszkody, żeby skrócić kark, jeśli mu na tym szczególnie zależy. Nie było co dłużej się namyślać. Z niewyraźnym uczuciem jawy mniej rzeczywistej od snu wyjmował z kontenera przybory dla skoku na drugi brzeg. Założył odrzutowe olstra z naramienną uprzężą, wetknął do kieszeni saperkę, biosensor wepchnięty do plecaka wziął szelkami na grzbiet, ale że taka próba nie mogła przecież zaszkodzić, użył pierwszej raketnicy strzelającej tergalową liną. Mierząc nisko w tamto zbocze, strzelił podparłszy raketnicę lewym łokciem. Rozwinąwszy się ze świstem, lina trafiła skarpe, haki chwyciły, ale kiedy pociągnął, rozmokły grunt puścił za pierwszym szarpnięciem. Otworzył więc zawór, podmuch załopotał i uniósł go w powietrze lekko jak na ćwiczebnym poligonie. Przeleciał nad ciemnym korytem z mulastą wodą na dnie i zmniejszając ciąg, który bił go po nogach zimnym dygotliwym gazem, opadł na upatrzone miejsce za wybrzuszeniem, podobnym, gdy nad nim szybował, do ogromnego, nieforemnego chleba, zapieczonego w szorstki azbest. Buty rozjechały mu się w błotnistej mazi, lecz ustały. Nie było tu zbyt stromo. Otaczały go brzuchate, przysadziste lepianki barwy popiołu z jaśniejszymi smugami tam, gdzie siąpiły strumyki wody. Porzucona we mgle wioska prymitywnego murzyńskiego plemienia. Albo cmentarz z kurhanami. Dobyty z plecaka biosensor skierował w chropawą, wypukłą ścianę o krok. Wskazówka zatrzęsała się przy czerwonym maksimum jak słaby woltomierz przytknięty do potężnej dynamomaszyny. Trzymając przed sobą ciężki czujnik z wysuniętą lufą jak broń gotową do strzału, obiegił dokoła szaroskorupiasty garb, wypchnięty z gliny, w której jego buty człapiąc zostawiały głębokie ślady wypełniające się zaraz mętną deszczówką. Gnał w górę zbocza od jednego bezforemnego bochna do drugiego. Przyplaszczony wierzchem, przewyższały go o pół wzrostu. W sam raz dla mieszkańców wielkości człowieka, ale nie było żadnych wejść, otworów, przezierników, ambrazur, to nie mogły być bunkry zupełnie ślepe, niekształtne, ani trupy pochowane w zeskorupiałych grobach. Gdziekolwiek zwracał czujnik, wszędzie wrzało życie. Dla porównania zwrócił wylot we własną pierś. Strzałka od razu zesunęła się z krańca w środek skały. Ostrożnie, aby go nie uszkodzić, odłożył biosensor, wyrwał składaną saperkę z udowej kieszeni skafandra, na kolanach rył podatną glinę, ostrze zgrzytało o skorupę, ciskał

precz maż, wyrzucaną sztychami łopatki, woda wypełniała wartko rosnącą wyrwę, wtłoczył całe ramię po bark jak głęboko mógł sięgnąć, aż trafił omackiem na opór poziomego rozgałęzienia. System korzeniowy zeskalonych grzybów? Nie — grube, gładkie, krągłe przewody, i — co go przeraziło — ani zimne, ani gorące: ciepłe. Zdyszany, ubłocony zerwał się z kolan i palnął pięścią we włóknistą skorupę. Poddała się elastycznie, chociaż dość twarda i wróciła do poprzedniego kształtu. Oparł się o nią plecami. Przez deszcz widział dalsze garby, uformowane z taką samą bylejakością. Niektóre, zbliżone ku sobie, tworzyły kręte uliczki, idące w górę zbocza, gdzie pochłaniała je mgła.

Naraz przypomniał sobie, że biosensor jest dwuzakresowy: ma przełącznik dla tlenowego i beztlenowego metabolizmu. Tlenową przemianę materii już wykrył. Podniósł czujnik, otarł rękawicą glinę rozmazaną po szkle, przestawił na anaerobowy metabolizm i przytknął do szorstkiej powierzchni. Wskazówka poczęła bić raz po raz niezbyt szybkim, miarowym tętnem. Tlenowce razem z beztlenowcami? Jak to może być? Nie znał się na tym, ale tu nikt by się chyba w tym nie wyznał. Brnąc przez potoki mułu w ulewie, przypadał do coraz innych garbów. Metaboliczne pulsury różniły się tempem. Może jedne tam śpią, a inne czuwają? Jakby chciał obudzić tych śpiących, bił pięściami w chropowate brzuszyska, ale tętna to nie odmieniało. Tak się rozgonił, że ledwo nie upadł trafiwszy w jednym z przejść na linę antenowego naciągu, skośnie naprężoną wzwyż, ku niewidzialnym w mleku mgły sieciom wielkiej pajęczyny. Od niewiadomego czasu chronometr alarmował go coraz głośniejszym powtarzanym ostrzegawczym tonem. Minęło, ani się spostrzegł, sto dwanaście minut. Jak mógł się tak zagapić? Co teraz? Doleciałby do rakiety w trzy—cztery minuty, ale gazu w zbiorniku starczyło najwyżej na dwustumetrowy skok. Niechby na trzysta. Do łązika... ale to więcej niż sześć mil. Co najmniej kwadrans... Spróbować? A jeśli "Hermes" wcześniej uderzy i jego wysłannik zginie tu nie jak bohater, ale jak ostatni idiota? Szukał trzonka saperki, na próżno: kieszeń była pusta.

Zapomniał łopatki, białej przy rozkopanym dole. Gdzie jej teraz szukać w tym labiryncie.

Zamachnął się trzymanym oburącz biometrem i uderzył w chropawą skorupę, kuł ją i kuł, aż pękła i z rozrywu buchnął żółtobiały kurz jak z purchawki — ukazując nie ślepią istot skrytych w wewnętrznej komorze, lecz lite powierzchnie głęboko ziejącego rozcięcia z tysięcznymi drobnymi porami — jak rozwalony siekierą na dwoje chlebowy bochen z ciągliwą surowizną zakalcowatego ciasta w środku. Zastygł z rękami podniesionymi do następnego ciosu, a niebo nad nim wypełnił straszliwy blask. "Hermes", otwarłszy ogień do antenowych masztów poza kosmodromem, na wylot przebił chmury, deszcz w okamgnieniu

znikł ulatniającym się białym wrzątkiem, weszło laserowe słońce, termiczny udar w szerokim zasięgu z mgieł i chmur odarł całe wyżynne zbocze, jak daleko spojrzeć pokryte rojowiskami nagich bezbronnych brodawek i kiedy niebosiężna pajęczynowa sieć razem z antenami łamiącymi się w płomieniach padła na niego, zrozumiał, że zobaczył Kwintan.